

Stephen King

Misery

(Przełożył: Robert P. Lipski)

*Dla Stephanie i Jima Leonarda,
którzy wiedzą dlaczego.
O,tak – oni wiedzą na pewno*

BOGINI
AFRYKI

Chciałbym w tym miejscu złożyć wyrazy mojej wdzięczności trzem pracownikom służby zdrowia, którzy pomagali mi fachową poradą, przy pisaniu niniejszej książki. Są to:

Russ Dorr — agent prasowy

Florence Dorr — dyplomowana pielęgniarka

Janet Ordway — lekarz medycyny i doktor psychiatrii.

Jak zawsze pomagali mi przy szczegółach, na które zapewne nie zwróciliście uwagi. Jeżeli dostrzeżecie jakiś poważny błąd, to jest to tylko i wyłącznie moją winą.

Rzecz jasna narkotyk zwany Novril nie istnieje, ale jest kilka bazujących na kodeinie medykamentów, zbliżonych do niego pod wieloma względami a, na nieszczęście, niektóre apteki szpitalne czy pracownie farmaceutyczne nie przywiązują dostatecznej wagi, aby podobne środki trzymać pod kluczem i wydawać pod ścisłą kontrolą.

Miejsca i postacie wymienione w tej książce są fikcyjne.

S. K.

Część pierwsza

ANNIE

Kiedy wejrzysz w otchłań

Otchłań wejrzy również w głąb ciebie

Friedrich Nietzsche

1

umbra broooooom

wrooom umbra broooooom

fayunnn

Te dźwięki: słyszalne nawet we mgle.

2

Ale czasami te dźwięki — jak ból — słabły i pozostawała jedynie mgiełka. Pamiętał ciemność: nieprzenikniony mrok, który trwał przed nadejściem mgiełki. Czy to oznaczało, że robił postępy? Niech stanie się światłość (nawet zamglona), bo światło było dobre itp. itd. Czy te dźwięki istniały w ciemności? Nie znał odpowiedzi na żadne z tych pytań. Czy rozsądne było w ogóle je zadawać? Na to pytanie również nie był w stanie odpowiedzieć. Ból znajdował się gdzieś poniżej poziomu dźwięków. Ból był wschodem słońca i południem jego uszu. To wszystko, co wiedział. Przez jakiś czas — miał wrażenie, że bardzo długo (jak się okazało, słusznie — odkąd ból i burzliwa mgiełka były jedynymi istniejącymi dla niego rzeczami) te dźwięki były jedynymi odgłosami zewnętrznej rzeczywistości. Nie miał pojęcia, kim był, gdzie się znajdował, ale w gruncie rzeczy w ogóle go to nie obchodziło. Chciał umrzeć, jednak poprzez skapaną w bólu mgiełkę, która wypełniała jego umysł jak letnia burzowa chmura, nie wiedział, że tego pragnął. Po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że były też okresy, kiedy nie odczuwał bólu i że powtarzały się one cyklicznie, z pewną regularnością. I po raz pierwszy, odkąd wynurzył się z najgłębszej czerni, która poprzedzała mgiełkę, w jego mózgu pojawiła się myśl, obecna niezależnie od sytuacji, w jakiej się znajdował. Myślał o starym, zerwanym pomoście, z którego został jedynie nagi pal, wystający z piasku na plaży Revere. Jego matka i ojciec zabierali go często na Revere Beach, gdy był dzieckiem, a on zawsze nalegał, żeby rozłożyli koc tak, aby mógł patrzeć na pal, który przypominał mu pojedynczy kiel pogrzebanego potwora. Lubił siedzieć i patrzeć, jak poziom wody podnosi się i przykrywa pal. Potem, wiele godzin później, po zjedzeniu kanapek i sałatki ziemniaczanej, po wypiciu ostatniej kropelki Kool-Aid z olbrzymiego termosu ojca, tuż przed tym, jak matka mówiła, że już czas się zbierać i iść do domu, czubek

przeżniętego pala ponownie wynurzał się spośród fal — z początku sam czubek, a potem, stopniowo, coraz więcej i więcej. Zanim ich śmieci zostały zebrane i wrzucone do olbrzymiego pojemnika z napisem: ZACHOWAJ CZYSTOŚĆ NA PLAŻY — Paulie zdążył pozbierać swoje zabawki

(Paulie — nazywam się Paulie i dziś mama będzie nacierać mi poparzoną skórę olejkami Johnson's Baby — rozmyślał wewnątrz Czaszkogromu, w którym obecnie zamieszkiwał)

i złożyć koc, pal wyłonił się spośród fal na nowo, a jego poczerwiałe, śliskie od szlamu boki otaczały kłęby gęstej piany. To był przyływ — próbował wyjaśnić mu ojciec — ale on zawsze wiedział, że to był pal. Przyływ pojawiał się i znikał, a pal pozostawał. To było to, czego czasami nie potraficie pojąć. Bez pala nie było przyływu. To wspomnienie krążyło i krążyło, jak oszalałe, niczym natrętna mucha. Zastanawiał się, co to mogło oznaczać, ale jego rozmyślenia na dłuższy czas przerwały mu odgłosy

fayuunn

wszystko czerrrrwoone

umbraaaa brooom

Czasami odgłosy milkły. Czasami on sprawiał, że milkły. Jego pierwsze prawdziwe czyste wspomnienie tego *teraz, teraz* spoza burzliwej mgiełki, dotyczyło zatrzymania akcji płuc — przekonania, że nie jest w stanie zrobić kolejnego oddechu — i to było tak, jak być powinno, to było dobre — aczkolwiek niezbyt przyjemne — czuł jeszcze ból, ale nie w takim stopniu jak dotychczas i cieszył się, że udało mu się wypaść z gry.

Potem poczuł na sobie czyjeś usta — usta kobiety, to nie ulegało wątpliwości, mimo iż były to zimne i pozbawione uczucia wargi — kobieta wpuściła powietrze ze swoich ust do jego i jej oddech, poprzez gardło, wypełnił jego płuca. Kiedy usta odsunęły się, po raz pierwszy poczuł zapach swojego strażnika, poczuł ten zapach, kiedy wdychała powietrze do jego płuc, wdzierając się w niego siłą tak, jak mężczyzna mógłby wmusić część samego siebie do wnętrza niepokornej kobiety — przeraźliwą mieszankę waniliowych ciasteczek, lodów czekoladowych, pieczonego kurczaka i masła orzechowego.

Usłyszał głos krzyczący:

— Oddychaj! Do diabła, oddychaj, Paul!

Usta znów przywarły do jego ust. Strumień powietrza znów wdarł się do jego gardła. Wdarł się do środka niczym podmuch wiatru, który zrywa się po przejeździe mknącego z zawrotną prędkością wagonu metra, wzbijając w powietrze strzępy gazet i opakowania po cukierkach; usta odsunęły się, a on pomyślał: na litość boską, tylko nie próbuj czasem

oddychać przez nos — ale nic nie mógł na to poradzić i — och, co za smród — co za SMRÓD, o kurwa, CO ZA SMRÓD!

— Oddychaj, do cholery! — wrzasnął niewidzialny głos, a on pomyślał: zrobię, co zechcesz, tylko proszę, nie rób tego więcej, nie zakazaj mnie już więcej — i spróbował, ale zanim zdążył naprawdę zacząć, usta znów przykleiły się do jego warg, usta tak suche i martwe jak kawałki nasolonej skóry, i ponownie zgwałciły go jej nieświeżym oddechem.

Kiedy tym razem oderwała usta, nie pozwolił jej odetchnąć, tylko sam zrobił wydech i wypuścił powietrze z płuc. Wydusił to z siebie.

Czekał, aż jego niewidzialna pierś znów zacznie się wznosić i opadać równomiernie i z własnej woli, tak jak to robiła przez całe życie bez jakiegokolwiek pomocy z jego strony. Kiedy tak się nie stało, łapczywie i gwałtownie wciągnął powietrze do płuc i w chwilę później już oddychał normalnie — sam, starając się w miarę szybko — na tyle, na ile mógł — pozbyć jej smaku i zapachu przepelniającego jego ciało i wnętrze.

Normalne powietrze nigdy nie smakowało mu tak jak teraz. Znów zaczął zapadać się w mgielkę, ale zanim świat wokół niego zdołał rozplynać się w bezkształtną szarość, usłyszał głos kobiety mrużąccej:

— Ho, ho, to dopiero było zbliżenie.

Nie dość bliskie — pomyślał i usnął.

Śnił o palu i był to sen tak realistyczny, że czuł, iż gdyby tylko wyciągnął rękę, mógłby nią dotknąć zielonoczarne splekanego drewna.

Kiedy powrócił do swego poprzedniego stanu półświadomości, bez trudu zdołał odnaleźć związek między palem a jego aktualną sytuacją, zrobił to niemal od ręki. Ból nie przychodził falami. To była lekcja ze snu, który tak naprawdę był wspomnieniem. Tylko wyglądało, że ból pojawiał się i znikał. Ból był tak jak pal — czasami ukryty, a czasami widoczny, ale był zawsze. Przez cały czas. Kiedy ból nie dawał mu się we znaki, nie mogąc przedrzeć się poprzez gęstą kurtynę szarych chmur, był w głębi duszy wdzięczny i dawał się oszukiwać, ale teraz, kiedy już wiedział — nie da się więcej omamić. Ból był tam stale, czekając tylko na dogodną chwilę, aby powrócić. I pal wcale nie był jeden. Były DWA pale. Ból był dwoma palami i część niego samego wiedziała o tym na długo przed tym, zanim większa część jego umysłu zdołała pojąć, iż tymi połamanymi palami były jego własne strzaskane nogi. Ale sporo jeszcze czasu upłynęło, nim w końcu przełamał zeschniętą warstewkę śliny, która skleiała jego wargi jak cement, i wychrypiął — gdzie ja jestem? — do kobiety, która siedziała przy jego łóżku z książką w ręku. Człowiek, który napisał tę książkę, nazywał

się Paul Sheldon, i kiedy zdał sobie sprawę, że to nie kto inny tylko on sam, wcale go to nie zaskoczyło.

— W Sidewinder, Colorado — odparła, kiedy w końcu zdołał zadać jej pytanie. — Nazywam się Annie Wilkes i jestem...

— Wiem — powiedział. — Jesteś moją najzagorzalszą wielbicieleką.

— Tak — powiedziała z uśmiechem. — To właśnie to, czym jestem.

3

Ciemność. Potem ból i mgiełka. Następnie świadomość, że choć ból trwał stale, czasami cofał się i to sprawiało mu ulgę.

Pierwsze prawdziwe wspomnienie: zatrzymanie akcji płuc i przywrócenie go siłą do życia przez cuchnący, nieświeży oddech kobiety. Następne prawdziwe wspomnienie: jej palce wsadzające mu coś do ust w regularnych odstępach czasu. Coś jak kapsułki Contac, tylko że nie dostawał wody do popicia i kiedy topiły mu się w ustach, czuł przeraźliwą gorycz, przypominającą nieco smak aspiryny. Byłoby nieźle, gdyby mógł wypluć z ust tę gorycz, ale wiedział, że lepiej tego nie robić. Bo gorzki smak powodował przyływy i zakrycie falą sterczących, potrzaskanych pali

(PALE — to są PALE — są DWA, dobra, dobrze, są dwa, tylko już ciii... cicho sza...)
i ból na chwilę odchodził.

Wszystkie te rzeczy pojawiały się w miarę regularnie, ale już wkrótce, tak jak sam ból, który wcale nie ustawał, tylko był w jakiś sposób erodowany (czy jak pal z Revere Beach ulegał erozji — pomyślał — bo nic nie trwa wiecznie, choć dziecko uznałoby tego typu wypowiedzi za czystą herezję), rzeczy z zewnątrz zaczynały uderzać weń coraz bardziej gwałtownie, dopóki świat obiektywny, wraz z całą masą wspomnień, doświadczeń i przyzwyczajzeń nie ukonstytuował się na nowo. Nazywał się Paul Sheldon i pisał dwojakiego rodzaju powieści — dobre i bestsellery. Był dwukrotnie żonaty i dwa razy się rozwodził. Palił za dużo (być może była to już kwestia przeszłości — niezależnie od tego, jak miałyby się owa przeszłość przedstawiać).

Przydarzyło mu się coś bardzo złego, ale nadal żył. Ciemnoszara chmura zaczęła rozpraszać się coraz to szybciej. Minie jeszcze trochę czasu, nim jego najzagorzalsza wielbicielekka przyniesie mu starego, rozklekotanego royala z uśmiechniętą, przepastną jamą

ust i głosem przypominającym Ducky Daddles, ale Paul już na długo przedtem zdał sobie sprawę, że wpakował się w cholerne tarapaty.

4

Ta bardziej przewidująca część jego umysłu zobaczyła ją, zanim zdał sobie sprawę, że ją dostrzegł, i z całą pewnością zrozumiała ją, zanim zdał sobie sprawę, że ją rozumie. No bo niby dlaczego kojarzył sobie z jej osobą wszystko co najgorsze i najbardziej przerażające? W każdym bądź razie kiedy weszła do pokoju, przyszły mu na myśl wyryte w kamieniach wizerunki bożków czczonych przez przesadne szczepy afrykańskie w powieściach H. Ridera Haggarda — kamienny monolit i nieuchronność losu.

Wyobrażenie Annie Wilkes jako afrykańskiego bożka jakby żywcem wyjętego z powieści *Ona* albo *Kopalnie króla Salomona* było tyleż absurdalne co dziwnie trafne. Była potężną kobietą, która oprócz tego, iż nieprzyjazne nabrzmienie piersi ukrywała pod stale noszonym szarym wełnianym swetrem, zdawała się nie mieć żadnych typowo kobiecych zaokrągleń — krągłych bioder czy piersi, nawet jej łydki starannie zakrywane długą wełnianą spódnicą nie były krągłe (wróciła do swojej niewidocznej sypialni, aby nałożyć dzinsy, zanim zaczęła się przy nim krzątać). Ciało miała potężne, ale niezbyt hojnie obdarowane przez naturę.

Zbita, zwarta, kojarzyła się z korkiem ulicznym bardziej niż z otwartą, pustą przestrzenią — miejscem upstrzonym lukami i otworami.

Przede wszystkim odniósł niepokojące wrażenie twardości — **SOLIDNOŚCI** — jakby nie miała w sobie żył, w których przepływa krew, ani w ogóle jakichkolwiek wewnętrznych organów i jakby twarda, niewzruszona Annie Wilkes została wyciosana od stóp do głów z jakiegoś litego materiału. Z każdą chwilą ogarniało go coraz bardziej przekonanie, że jej oczy, które zdawały się poruszać, były tylko i wyłącznie namalowane i nie bardziej ruchliwe niż oczy na portretach w pokoju śledzące każdy twój ruch. Miał wrażenie, że gdyby ułożył dwa palce dłoni w formie litery V i spróbował je włożyć do jej nosa, to zagłębiłyby się w nim nie więcej niż na 1/8 cala, zanim nie natrafiłyby na twardą (a może lekko uginającą się pod jego naciskiem) zaporę, że nawet jej szary sweter i bezkształtne spódnice, jakie nosiła, i wytarte poprzecierane robocze dzinsy były częścią tego twardego, włóknistego, pozbawionego wnętrza ciała. Dlatego też jego wrażenie, że przypominała posąg wyjęty z kart

jakiejsz przygodowej powieści egzotycznej, wcale nie było tak bardzo zaskakujące. Tak jak posąg emanowała tylko jedno: wrażenie niepewności, zmieniające się z wolna i nieubłaganie we wrażenie przygnębiającego strachu. Tak jak posąg pochłaniała wszystko inne.

Nie, chwileczkę, to nie wszystko tak. Ona dawała coś jeszcze. Dawała mu pigułki, które sprowadzały fale zatapiające pale bólu. Pigułki były przypiływem. Annie Wilkes była księżycową obecnością, która wkładała mu je do ust jak towar wyrzucany za burtę dla odciążenia statku i połykany przez fale. Przynosiła mu po dwie pigułki co sześć godzin. Z początku zauważał jej obecność tylko jako parę palców wkładających mu coś do ust (wkrótce nauczył się ssać te palce pomimo ich gorzkiego smaku), potem dostrzegł jej postać w wełnianym swetrze i jednej z półtuzina spódnic — zwykle z którąś z jego powieści pod pachą. Nocą przychodziła do niego w śmiesznej, różowej koszuli nocnej, a jej twarz błyszczała od jakiegoś kremu (bez trudu był w stanie go rozpoznać, nawet gdy nie widział tubki, z której go wyciskała — dusząca woń lanoliny była silna i wyraźna) budząc go bezceremonialnie z mrocznego, głębokiego snu z pigułkami trzymanymi w dłoni i ospowatą tarczą księżyca, który zagnieździł się w oknie ponad jednym z jej potężnych ramion. Po chwili, po tym, jak niepokój stał się zbyt silny, aby mógł go zignorować — zdołał domyślić się, czym go karmiła. To był środek przeciwbólowy z dużą zawartością kodeiny, pod nazwą novril. Powodem, dla którego serwowała mu go tak rzadko, nie było jedynie to, iż znajdował się obecnie na diecie złożonej głównie z płynów i galaretek (wcześniej, kiedy był w chmurze, karmiła go dożylnie), ale również to, że novril należał do środków mogących doprowadzić pacjenta do uzależnienia. Innym efektem ubocznym, chyba poważniejszym, były kłopoty z oddychaniem, jakie mogły wystąpić u bardziej wrażliwych osób. Paul nie zaliczał się do nich, choć był od osiemnastu lat zatwardziałym palaczem, a mimo to przynajmniej raz (być może zdarzyło się to częściej, ale we wszechotaczającej go mgle nie pamiętał tego) płuca odmówiły mu posłuszeństwa.

To właśnie wtedy zrobiła mu sztuczne oddychanie metodą usta-usta. Mógł to, rzecz jasna, być jeden z tych wypadków, które czasami się zdarzają, ale później doszedł do wniosku, że o mało nie umarł, ponieważ omyłkowo zaaplikowała mu zbyt dużą dawkę narkotyku.

Nie знаła się na tym, co robiła, tak bardzo, jak w to wierzyła. Była to jedna z tych cech Annie, która naprawdę go przerażała. Odkrył trzy rzeczy niemal jednocześnie — stało się to w dziesięć dni od chwili, gdy wynurzył się z mrocznej chmury. Po pierwsze, że Annie Wilkes dysponowała sporym zapasem novrilu (w rzeczywistości miała również całą masę

innych narkotyków). Po drugie, że on sam był uzależniony od novrilu. Po trzecie wreszcie, że Annie Wilkes była niebezpieczną wariatką.

5

Ciemność była prologiem bólu i burzowej chmury; zaczął sobie przypominać zdarzenia przed ciemnością, kiedy powiedziała mu, co się z nim stało. Było to krótko po tym, jak zadał jej typowe pytanie człowieka, który dopiero co się obudził, i usłyszał w odpowiedzi, że się znajduje w Sidewinder, małym miasteczku w Colorado. Na dodatek dorzuciła jeszcze, że przeczytała wszystkie jego osiem powieści przynajmniej dwukrotnie, a jej ulubione — powieści z cyklu *Misery* — po cztery, pięć, a może nawet sześć razy. Chciała tylko, aby mógł pisać je szybciej. Powiedziała, że początkowo nie dowierzała, iż jej pacjent był NAPRAWDĘ TYM PAULEM SHELDONEM, nawet gdy zajrzała mu do portfela i przejrzała jego dokumenty.

— À propos, gdzie jest teraz mój portfel? — zapytał.

— Schowałam go u siebie — powiedziała. Jej uśmiech zmienił się nagle w grymas czujności, którego nie lubił — to było jak odkrywanie głębokiej szczeliny skrytej w cieniu letnich kwiatów pośrodku radosnej, pogodnej łąki. — Czy myślisz, że mogłabym ci coś ukraść?

— Nie. Oczywiście że nie. Tylko że...

Tylko że znajduje się w nim cała reszta mojego życia — pomyślał. Moje życie poza murami tego pokoju. Poza bólem. Poza wstęgą czasu, która zdaje się ciągnąć jak długa różowa struna gumy do żucia, którą jakiś znudzony dzieciak zaczyna wyciągać z ust. To jest to, co było, zanim zaczęło się przyjmowanie pigułek.

— Tylko CO, Mój Drogi Panie? — naciskała i z przerażeniem zauważył, że jej spojrzenie staje się coraz groźniejsze. Szczelina rozszerzała się, jakby pod jej brwiami trwało coś na podobieństwo trzęsienia ziemi. Słyszał niezmienny, jęklivy szum wiatru na zewnątrz i nagle przed jego oczyma pojawiła się wizja tej kobiety, unoszącej go w powietrze i przerzucającej go sobie przez ramię jak worek cementu, a potem wynoszącej go na zewnątrz i rzucającej bezceremonialnie w zaspę. Zamarzłyby na śmierć, ale zanimby to nastąpiło, jego nogi dałyby o sobie znać bólem i przeraźliwym krzykiem.

— Chodzi o to, że mój ojciec zawsze mi powtarzał, bym miał swój portfel na oku — powiedział, dziwiąc się sobie, że to kłamstwo tak gładko przeszło mu przez usta. Jego ojciec zajmował się wyłącznie własną karierą i nie zwracał uwagi na Paula bardziej, niż musiał, i o ile Paul dobrze pamiętał, dał mu w życiu tylko jeden jedyny prezent. Na czternaste urodziny Paul dostał od swego ojca prezerwatywę marki Czerwony Diabeł, w foliowym opakowaniu. “Włóż do portfela — powiedział Roger Sheldon — i w razie czego, jak podczas jakiegoś numerku w kinie dla zmotoryzowanych będziesz zbyt podniecony, nie omieszkaj tego nałożyć. Na świecie jest już zbyt wielu sukinsynów, a ja nie chcę, aby wzięto cię do wojska w wieku szesnastu lat”.

Paul ciągnął dalej: — Chyba powtarzał mi to tyle razy, że musiało mi utkwąć w głowie na dobre. Jeżeli cię uraziłem, to przepraszam.

Rozluźniła się. Uśmiechnęła. Szczelina zamknęła się. Letnie kwiaty skinęły radośnie raz jeszcze. Pomyślał, że gdyby wyciągnął rękę w kierunku tego uśmiechu, nie natrafiłby na nic prócz jednolitego, nieprzeniknionego mroku.

— Nic się nie stało. Jest w bezpiecznym miejscu. Chwileczkę. Mam coś dla ciebie.

Wyszła i wróciła z dymiącą miską zupy. Po jej powierzchni pływały jakieś warzywa. Nie był w stanie zjeść dużo, ale zjadł więcej, niż przypuszczał, że może przełknąć. Wyglądała na zadowoloną. To właśnie wtedy, kiedy jadł zupę, opowiedziała mu, co się stało i wówczas przypomniał sobie wszystko. W gruncie rzeczy uznał, że dobrze było wiedzieć, jak do tego doszło, że skończył z połamanymi nogami, ale sposób, w jaki się o tym dowiedział, był wielce niepokojący — jakby dotyczyło to postaci z jakiejś książki czy sztuki — postaci, której przeszłość w gruncie rzeczy nie jest przeszłością, a jedynie zwykłą fikcją literacką. Przyjechała do Sidewinder samochodem, żeby kupić trochę żywności dla zwierząt, które ma w gospodarstwie, i nieco artykułów spożywczych... oraz, aby wpaść do Wilson's Drug Center i zapytać o nową dostawę książek. Chodziło jej o wydania w miękkiej oprawie. Była środa — prawie dwa tygodnie temu. Dostawy książek zawsze przychodzą we wtorki.

— Właśnie myślałam o tobie — powiedziała wsuwając mu kolejną łyżkę zupy do ust, a potem z wprawą wycierając kąciki ust chusteczką. — Dziwny zbieg okoliczności, prawda? Liczyłam, że *Dziecko Misery* ukaże się koniec końców w paperbacku, ale, niestety, nie miałam szczęścia. Zbierało się na burzę — powiedziała — ale do południa wszystkie stacje meteorologiczne były przekonane, że burza przejdzie bokiem, zmierzając na południe w kierunku Nowego Meksyku i Sangre de Cristos.

— Tak — potwierdził, przypominając sobie to wszystko. — Powiedzieli, że przejdzie bokiem. Dlatego wybrałem tamtą drogę. — Próbował przesunąć nogi. W odpowiedzi poczuł falę potwornego bólu przeszywającego całe ciało i jęknął.

— Nie rób tego — powiedziała. — Jak będziesz tak przebierał nogami, Paul, twoje nogi nie wydobrzeją... a ja nie mogę dać ci kolejnej porcji pigułek wcześniej niż za dwie godziny. I tak dałam ci już za dużo.

Dlaczego nie jestem w szpitalu? Było to pytanie, które chciał jej zadać, ale nie wiedział, czy którekolwiek z nich chciało, aby zostało ono zadane. W każdym razie jeszcze nie teraz.

— Kiedy poszłam do sklepu z żywnością, Tony Roberts zaproponował mi, żebym lepiej zaczekała, skoro i tak miałam tam wdepnąć przed burzą, a ja powiedziałam...

— Jak daleko jest stąd do miasta? — zapytał.

— Tak sobie — odparła niejasno odrywając wzrok od okna. Nastąpiła dziwaczna chwila ciszy, a Paul przeraził się wyrazem jej twarzy — było to czarne nic, pustka czeluści otwierającej się w poprzek górskiej łąki, czerń, w której nie rosły żadne kwiaty i w którą, gdy się wpadło, można było lecieć bardzo długo. Było to oblicze kobiety, która chwilowo zatraciła wszelkie oznaki życia, kobiety, która zapomniała nie tylko o dopiero co opowiadanej historii, ale która w ogóle wydawała się wyprana z wszelkich wspomnień. Był raz, kiedyś, w szpitalu psychiatrycznym — miało to miejsce przed wieloma laty, kiedy pracował nad *Misery*, pierwszą z czterech powieści, które stały się podstawowym źródłem jego dochodów przez kolejne osiem lat — i widział tego typu spojrzenie albo raczej, jak w tym wypadku, jego brak. Stan ten określano mianem katatonii, lecz nie owo precyzyjne słowo go przerażało — budziło w nim strach raczej nieokreślone porównanie: w owej chwili miał wrażenie, że jej myśli stały się takie same jak jego wyobrażenie o całej reszcie ciała — twarde, włókniste, pełne, bez jakichkolwiek luk czy szczelin.

Potem, z wolna, jej twarz pojaśniała. Zdawać by się mogło, że myśli znów zaczęły napływać do jej mózgu. Później zrozumiał, że określenie “napływały” nie było w tym przypadku zbyt trafne. Ona nie “napełniała się” jak staw czy przydomowy basen — ona się podładowywała. Tak, ona się podładowuje, jak jakieś niewielkie elektryczne urządzenie — toster albo grzejnik.

— Powiedziałam do Tony'ego: burza przejdzie na południe. — Mówiła z początku wolno, prawie nieskładnie, aż wreszcie złapała rytm i zaczęła mówić normalnie. Mimo to jednak niepokój, jaki się w nim obudził, nie wygasł. WSZYSTKO, co powiedziała, było

odrobinę dziwne, odrobinę podejrzone. Słuchając Annie miało się wrażenie, jakby słuchało się płyty puszczonej na niewłaściwych obrotach.

— Widać zmieniła zdanie — stwierdził Tony.

— Co mi tam — powiedziałam. — Ruszam moim rumakiem w drogę.

— Na pani miejscu zostałbym w mieście, pani Wilkes. Mówią przez radio, że zapowiada się niezła śnieżycyca i nikt nie jest na to przygotowany.

— Ale ja oczywiście musiałam wrócić, oprócz mnie nie ma tu nikogo, kto mógłby nakarmić zwierzęta. Najbliższymi sąsiadami są Roydmanowie, lecz oni mieszkają o parę mil stąd. Poza tym Roydmanowie niezbyt mnie lubią.

Rzuciła mu przenikliwe spojrzenie mówiąc ostatnie słowa, a kiedy nie zareagował, stuknęła apodyktycznie łyżką o krawędź miski.

— Już?

— Tak. Najadłem się, dziękuję. Było bardzo dobre. Dużo masz tu zwierzaków?

Bo — pomyślał z rozwagą — jeżeli tak, to znaczy, że musisz mieć tu kogoś do pomocy, jakiegoś wynajętego faceta na ten przykład. "Pomocnik" był tu właściwym słowem. W każdym razie tak mu się zdawało, gdyż zdążył już zauważyć, że nie miała na palcu obrączki ślubnej.

— Niezbyt dużo — powiedziała. — Pół tuzina kur niosek. Dwie krowy. I Misery.

Zamrugła powiekami. Roześmiała się.

— Pewno nie przypadnie ci do gustu fakt, że nazwałam maciorę imieniem tak wspaniałej i pięknej kobiety, którą stworzyłeś. Ale tak się właśnie nazywa i nie chciałam w ten sposób cię urazić. — Po chwili namysłu dodała: — Jest bardzo przyjacielska. — Kobieta zmarszczyła nos i na chwilę stała się świnią, a parę jasnych włosków na jej podbródku jeszcze bardziej dopełniło tego obrazu. Wydała z siebie głośne kwiknięcie: — Chrum — Chrum — Kwiiik — Kwiiik!

Paul spojrzał na nią rozszerzonymi oczyma.

Nie zauważyła tego. Znowu zapadła się w siebie — jej spojrzenie było zamglone i rozbawione. W oczach nie odbijały się świetlne refleksy, ale lampa na nocnym stoliku rozbłysła dwukrotnie i jej blask na krótką chwilę zamieszkał w źrenicach kobiety.

Wreszcie zastartowała na nowo i powiedziała:

— Przejechałam jakieś pięć mil, kiedy zaczęła się śnieżycyca. Zaczęła się ostro i gwałtownie — tak jak zawsze tutaj. Jechałam wolno na włączonych światłach i nagle zobaczyłam twój wóz — przewrócony w rowie.

Spojrzała na niego z dezaprobatą.

— Nie miałeś włączonych świateł.

— Burza mnie zaskoczyła — powiedział, przypominając sobie, jak został zaskoczony przez śnieżycę. Zapomniał jednak, że miał przy tym trochę w czubie.

— Zatrzymałam się — powiedziała. — Gdyby to było na większej stromiźnie, pewno bym nie stanęła. Wiem, to niezbyt po chrześcijańsku, ale na drodze było już trzy cale śniegu i nawet mając pod ręką dobry wóz o napędzie na cztery koła, nie możesz być pewny, że zdołasz ruszyć z miejsca, jak się już zatrzymasz na dobre. Łatwiej jest sobie powiedzieć: E, oni na pewno wysiedli i złapali jakąś okazję itp. itd. Ale to było na samym szczycie trzeciego ze sporych wzgórz, niedaleko Roydmanów, i tam jest w miarę płasko. No to zatrzymałam wóz i jak tylko wysiadłam, usłyszałam jęk. To byłeś ty, Paul.

Obdarzyła go dziwnym, matczynym uśmiechem.

Wtedy właśnie po raz pierwszy w mózgu Paulą Sheldona pojawiła się myśl: wpakowałam się w niezłą kabałę. Ta kobieta ma nierówno pod sufitem.

6

Siedziała obok niego przez prawie 20 minut w czymś, co mogło być gościnną sypialnią, i mówiła. Kiedy jego żołądek przetrawił zupe, ból w nogach odezwał się na nowo. Bardzo się starał skoncentrować na jej słowach, ale nie udało mu się osiągnąć pełnego sukcesu. Jego mózg pracował dwutorowo. Z jednej strony słuchał jej opowieści o tym, jak wyciągnęła go z wraku jego 74-camaro, cały czas mając świadomość bólu, który ćmił i dawał mu się we znaki jak para starych potrzaskanych pali zaczynających wyłaniać się spośród fal podczas odpływu. Z drugiej zaś strony widział siebie w hotelu Boulderado kończącego swoją nową powieść, która — Bogu niech będą dzięki za jego drobne łaski — nie dotyczyła losów Misery Chastain.

Było co najmniej kilka powodów, dla których nie chciał pisać o Misery, ale jeden był najważniejszy — niepodważalny i niewzruszalny. Misery — dzięki Bogu za olbrzymie łaski — nareszcie nie żyła. Zmarła na pięć stron przed końcem *Dziecka Misery*. W domu nie było ani jednego suchego oka, kiedy to się stało (włącznie z Paulem, tyle tylko że jego łzy były rezultatem histerycznego śmiechu). Kończąc nową książkę — współczesną, opowiadającą o złodzieju samochodów — przypomniał sobie, jak wystukiwał ostatnie zdanie *Dziecka Misery*: “Potem zaś Ian i Geoffrey opuścili razem cmentarz Dunthorpe, wspierając się nawzajem w

smutku, przekonani, że w jakiś sposób uda się im znaleźć utracony sens życia”. Kiedy pisał tę linijkę, chichotał tak obłąkańczo, że z trudem trafiał w odpowiednie klawisze i musiał wracać parę razy. Dzięki Bogu za taśmę korekcyjną starego IBM.

Napisał pod spodem KONIEC, a potem zaczął biegać w kółko po pokoju krzycząc: Nareszcie wolny! Nareszcie wolny! Boże wszechmogący, jestem wreszcie wolny! Ta głupia dziwka wreszcie kopnęła w kalendarz!

Nowa powieść nosiła tytuł *Szybkie samochody* i kiedy ją skończył, nie wybuchnął śmiechem. Po prostu siedział przez jakiś czas przy maszynie, myśląc: może nawet wygrasz nagrodę Pulitzera w przyszłym roku, przyjacielu, a potem...

— Niewielkie obrażenia na twojej prawej skroni, ale to nie wyglądało niebezpiecznie. To były twoje nogi. Pamiętam dobrze tę scenę, widzę, jak —

...podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił po obsługę pokoju. Zamówił Dom Perignona. Przypomniawszy sobie, jak czekał, aż mu go przyniosą, chodząc w tę i z powrotem po pokoju, w którym skończył wszystkie swoje książki od 1974 roku. Przypomniawszy sobie, jak dał kelnerowi 50-dolarowy napiwek i spytał go, czy słyszał prognozę pogody, jak zadowolony, podniecony i uśmiechnięty kelner powiedział mu, że burza najprawdopodobniej przejdzie bokiem na południe, w stronę Nowego Meksyku. Przypomniawszy sobie chłód trzymanej w dłoni butelki, dyskretny dźwięk wyjmowanego korka, przypomniał sobie ostry, cierpko-kwaśny smak pierwszego kieliszka, a także jak otworzył swoją torbę podróżną, żeby spojrzeć na bilet lotniczy do Nowego Jorku. Przypomniawszy sobie nagle, jak pod wpływem chwilowego podniecenia powziął decyzję...

— zabieram cię do domu! To było dopiero zadanie, żeby cię wsadzić do tej ciężarówki, ale jestem silną i potężną kobietą — jak zapewne zauważyłeś — i miałam parę koców z tyłu. Wsadziłam cię do wozu, opatuliłam jak należy i nawet wtedy, w półmroku, wydawałeś mi się znajomy. Myślałam, że może —

...powinien wziąć starego camaro z parkingu i po prostu pojechać na zachód, zamiast lecieć samolotem. No bo niby po cholere było mu lecieć do Nowego Jorku? Moloch, pusty, ponury, nieprzyjazny, pełen różnego rodzaju mętów. Pieprzyć to! — pomyślał i wypił kolejny kieliszek szampana. Na zachód, młody człowieku, na zachód! Ten pomysł był na tyle szalony, że wydawał się całkiem sensowny. Wziąć jedynie parę ubrań i...

— torbę, którą znalazłam. Włożyłam ją również do środka, ale nie było nic innego, a przynajmniej niczego nie zauważyłam i bałam się, że możesz mi zemrzeć albo co, no to odpaliłam Starą Bessie, no i zabrałam cię —

...manuskrypt *Szybkich samochodów*, a potem ruszyć drogą do Vegas albo Reno lub, może, kto wie, nawet do Miasta Aniołów. Przypomniał sobie pomysł, który z początku wydawał mu się idiotyczny — podróży, którą obmyślił jako 24-letni dzieciak, po sprzedaniu swojej pierwszej powieści — ale którego nie zrealizował do dnia, kiedy stał się dojrzałym, 42-letnim mężczyzną. Jeszcze parę kieliszków i ten pomysł wcale nie przedstawiał się tak idiotycznie, jak początkowo przypuszczał. W gruncie rzeczy był nawet interesujący. Rodzaj Wielkiej Odysei Dokądś. Coś, dzięki czemu mógłby powrócić na nowo do rzeczywistości po długim okresie przebywania w świecie literackiej fikcji. A kiedy się znalazł..

— wywiozłam cię stamtąd, jak mogłam najszybciej. Byłam pewna, że umierasz. To znaczy wydawało mi się, że umierasz. Byłam pewna, że umrzesz. Wyjęłam ci z kieszeni portfel i spojrzałam na twoje prawo jazdy. Zobaczyłam nazwisko Paul Sheldon i pomyślałam: O, to musi być po prostu jakiś dziwny zbieg okoliczności, ale na zdjęciu w prawie jazdy też wyglądałeś tak samo i przestraszyłam się, aż musiałam usiąść przy kuchennym stole. Początkowo wydawało mi się, że zemdleję. Po chwili zaczęłam się zastanawiać, że może zdjęcie też było zwykłym zbiegiem okoliczności — te zdjęcia w prawach jazdy nie przypominają nikogo i niczego — ale potem znalazłam twoją kartę Writers Guild, legitymację z PEN-a i nabrałam pewności, że byłeś —

...w kłopotach, gdy śnieg znów zaczął sypać, ale na długo przedtem zatrzymał się w barze Boulderado i dał George'owi dwudziestaka, żeby przyniósł mu drugą butelkę Doma, a potem wypił ją, jadąc wzdłuż 1-70 pośród Gór Skalistych pod niebem koloru ołowiu. Gdzieś na wschód od Tunelu Eisenhowera na jednym ze wzgórz zjechał z drogi i ruszył w przeciwną stronę, bo na szosie było pusto, burza przesuwawała się na południe, a on nie cierpiał tuneli. Na magnetofonie zamontowanym pod deską rozdzielczą swego wozu puszczał taśmę starego Bo Didleya, ale nie włączył radia, dopóki camaro nie zaczął gwałtownie tracić przyczepności i ślizgać się po oblodzonej szosie; dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że pogoda wyraźnie się pogorszyła oraz że zapowiada się całkiem poważna śnieżycą. Być może burza wcale nie przesuwawała się na południe. Być może sunęła wprost na niego i być może już wkrótce znajdzie się w poważnych tarapatach

(w takich kłopotach, w jakich jesteś właśnie teraz)

ale miał na tyle w czubie, że był w stanie wmówić sobie, że może się z tego wydostać. A więc zamiast zatrzymać się w Cana i tam poszukać sobie schronienia, ruszył w dalszą drogę. Przypomniał sobie niebo popołudnia, zmieniające barwę na ciemnoszarą, jakby ktoś włączył nagle przyciemniony filtr. Przypomniał sobie, jak szampan zaczął momentalnie ulatywać mu z głowy. Przypomniał sobie, jak sięgnął do deski rozdzielczej po papierosy i w tej samej

chwili wozem zarzuciło gwałtownie — próbował odzyskać nad nim kontrolę, ale bezskutecznie; było jeszcze gorzej. Przypomnił sobie ciężki, stłumiony odgłos uderzenia i jak cały świat przez chwilę zawirował mu przed oczami. Zaczął...

— krzyżeć! I kiedy usłyszałam twój krzyk, wiedziałam, że będziesz żyć. Umierający rzadko kiedy krzyczą. Nie mają w sobie dość energii. Wiem. Zdecydowałam, że sprawię, byś żył. Wzięłam trochę medykamentów przeciwbólowych z szafki i wmusiłam je w ciebie. Potem usnąłeś. Kiedy się obudziłeś i znowu zacząłeś krzyżeć, dałam ci kolejną porcję. Przez jakiś czas miałeś gorączkę, ale i z nią poradziłam sobie raz-dwa. Dałam ci keflexa. Miałeś jedną czy dwie ciężkie chwile, ale teraz już niebezpieczeństwo minęło. Przrzekam.

Wstała.

— Czas już, żebyś trochę odpoczął, Paul. Musisz nabrać sił.

— Bolą mnie nogi.

— Nie wątpię. Za jakąś godzinę dostaniesz kolejną porcję lekarstwa.

— Teraz. Proszę. — Wstydział się, że prosi, ale nie mógł nic na to poradzić. Trwał odpływ i rozłupane pale sterczały, nagie, niewzruszone, realne — rzeczy, których nie sposób było nie dostrzegać ani tym bardziej ignorować.

— Za godzinę — powiedziała łagodnie. Ruszyła w stronę drzwi z miską i łyżką w jednej ręce.

— Zaczekaj!

Odwróciła się, patrząc na niego z wyrazem srogości zmieszanej z uwielbieniem. Nie lubił tego jej wyrazu. W ogóle tego nie lubił.

— Minęły dwa tygodnie, odkąd mnie wyciągnęłaś? Na jej twarzy pojawił się nieokreślony, lekko rozbawiony grymas. Mógł przypuszczać, że miała dość kiepskie poczucie czasu.

— Mniej więcej.

— Byłem nieprzytomny?

— Prawie cały czas.

— Jak mnie karmiłaś?

Zmierzyła go wzrokiem.

— Dożylnie — odparła krótko.

— Dożylnie? — spytał, a ona zrozumiała jego zaskoczenie i oszołomienie jako wyraz ignorancji.

— Dożylnie — powiedziała. — Kroplówką. To od tego masz te ślady na rękach. — Spojrzała na niego oczyma, które stały się nagle stanowcze i uważne. — Zawdzięczasz mi

życie, Paul. Mam nadzieję, że będziesz o tym pamiętać. Mam nadzieję, że o tym nie zapomnisz.

To rzekłszy wyszła.

7

Minęła godzina. W jakiś sposób, wreszcie, minęła cała godzina. Leżał w łóżku pocąc się i drżąc jednocześnie. Z drugiego pokoju doszły doń pierwsze odgłosy Hawkeye'a i Hot Lips, a potem dysk-dżokejów z WKRP z którejś z dzikich i szalonych stacji Cincinnati. Rozległ się głos spikera zachwalającego noże Ginsu, podał liczbę 800 i poinformował tych ze słuchaczy, którzy byli zainteresowani zakupem noży, że OPERATORZY CZEKAJĄ NA ICH TELEFONY.

Paul Sheldon również czekał.

Pojawiła się punktualnie, gdy zegar w drugim pokoju wybił ósmą, z dwiema kapsułkami i szklanką wody.

Podniósł się na łokciach, kiedy usiadła na łóżku.

— Wreszcie kupiłam twoją nową książkę, przed dwoma dniami. — W szklance brzęknęły kostki lodu. Był to odgłos doprowadzający do szaleństwa. — *Dziecko Misery* — uwielbiam to... Jest tak samo dobre jak pozostałe. Więcej! Najlepsze!

— Dziękuję — wykrztusił. Czuł, jak pot występuje mu na czoło. — Proszę... moje nogi... bardzo boli...

— Wiedziałam, że poślubi Iana — powiedziała z uśmiechem rozmarzona — i jestem pewna, że Geoffrey i Ian w końcu się pogodzą. Znow będą przyjaciółmi. Prawda? — I nagle dodała: — Nie, nie mów! Chcę dojść do tego sama. Dojdę do tego. To zawsze trwa tak długo, zanim powstanie następna.

Ból rozdzierał mu nogi i obejmował jego krocze na wzór stalowych szczypiec. Dotknął tego miejsca i pomyślał, że miednica musi być nietknięta, choć czuł, że jest dziwnie powykrzywiana i skrzywiona. Poniżej kolan zaś czuł, jakby NIC nie było nietknięte. Nie chciał patrzeć. Widział poskręcane, pomarszczone kształty pokryte pościelą i to mu wystarczyło.

— Proszę, panno Wilkes! Ból.

— Mów mi Annie. Wszyscy moi przyjaciele tak mnie nazywają.

Dała mu szklankę. Była chłodna i wypełniona płynem. Trzymała kapsułki w dłoni. Ona była księżycem i to ona sprowadzała przypyływ, który przykrywał pale. Przysunęła kapsułki do jego ust, które on natychmiast otworzył, a potem cofnęła rękę.

— Pozwoliłam sobie przejrzeć twoją torbę. Nie masz nic przeciwko temu, prawda?

— Nie. Oczywiście że nie. Lekarstwo...

Strużki potu pojawiły się na jego czole — czuł na przemian chłód i gorąco. Czy krzyczał? Miał wrażenie, że tak.

— Widziałam tam maszynopis — powiedziała. Trzymała kapsułki w prawej ręce, która teraz nieco się pochylila. Przerzuciła je do lewej ręki. Podążył za nimi wzrokiem. — Nazywa się to *Szybkie samochody*. To nie jest powieść z cyklu *Misery*, wiem o tym. — Spojrzała na niego z nieznaczną dezaprobatą, ale tak jak i poprzednio była ona zmieszana z uczuciem miłości. To było matczyne spojrzenie. — W XIX wieku nie było samochodów, niezależnie — szybkich czy jakichkolwiek innych! — Zachichotała z tego drobnego żarciku. — Pozwoliłam sobie również go przejrzeć..! Chyba nie masz mi tego za złe, co?

— Proszę — jęknął. — Nie, ale proszę....

Jej lewa ręka przesunęła się ku dołowi. Kapsułki przetoczyły się po wnętrzu jej dłoni. Zawahała się, a potem przerzuciła kapsułki do prawej ręki. Zagrzechotały cichutko.

— A gdybym go przeczytała? Gdybym przeczytała maszynopis twojej nowej powieści? Miałbyś mi to za złe?

— Nie...

Jego kości były potrzaskane, nogi jakby wypełnione ropiejącymi odłamkami potłuczonego szkła.

— Nie... — Wysilił się na coś, co miało przypominać uśmiech. — Nie, oczywiście że nie.

— Bo nigdy nie odważyłabym się tego zrobić bez twojego przyzwolenia — powiedziała z przejęciem. — Za bardzo cię szanuję. Prawdę mówiąc, kocham cię, Paul.

Poczerwieniała nagle, zatrzważając. Jedna z kapsułek wypadła jej z ręki na pościel. Paul sięgnął po nią, ale była szybsza. Jęknął, lecz w ogóle tego nie zauważyła; kiedy schwyciła kapsułkę, znów powróciła do swojej nieodgadnionej postawy i przez chwilę w milczeniu spoglądała w stronę okna.

— Twój umysł — powiedziała. — Twoja twórczość. Oto co ma dla mnie największe znaczenie.

W rozpaczy, bo to było jedyne, o czym był w stanie myśleć w obecnej chwili, powiedział:

— Wiem. Jesteś moją najzagorzalszą wielbicielką.

Tym razem nie uśmiechnęła się. Po prostu zapłonęła uśmiechem.

— Otóż to! — krzyknęła. — Właśnie. To jest to! I chyba nie miałbyś mi za złe, gdybym przeczytała tę twoją powieść właśnie w tym duchu, prawda? W duchu... miłości zagorzałej wielbicielki? Nawet jeżeli nie przepadam za innymi twoimi powieściami tak jak za cyklem o Misery?

— Nie — powiedział i zamknął oczy. *Nie. Zrób sobie ze stron tego maszynopisu papierowe czapeczki, jeżeli chcesz, tylko... Proszę... Ja tu zaraz umrę...*

— Jesteś dobry — powiedziała łagodnie. — Wiedziałam, że będziesz dobry. Już czytając twoje książki wiedziałam, że tak będzie. Człowiek, który mógł wymyślić Misery Chastain, a potem tchnąć w nią życie, nie mógł być inny. Po prostu nie mógł.

Jej palce znalazły się nagle w jego ustach — były szokująco zażyłe, nieczysto serdeczne. Oczekiwane. Wyssał spomiędzy nich kapsułki i połknął je, zanim rozlewając część zawartości na pościel zdołał podnieść do ust szklanekę z wodą.

— Jak dziecko — powiedziała, lecz nie widział jej, bo oczy miał nadal zamknięte i czuł w ich kąciakach kęsające żądła łez. — Ale dobrze. Jest tyle rzeczy, o które chciałabym cię zapytać — tak chciałabym wiedzieć.

Sprężyny zaskrzypiały, kiedy wstała.

— Będziemy tu we dwoje naprawdę szczęśliwi — powiedziała. Mimo że w tej samej chwili uczucie przejmującego przerażenia wdarło się do jego serca, Paul nadal nie otwierał oczu.

8

Dryfował. Nastąpił przyptyw i on unosił się swobodnie na fali. Dryfował. W drugim pokoju grał telewizor, po jakimś czasie przestał. Czasami odzywał się zegar, a on próbował liczyć uderzenia, lecz zazwyczaj tracił rachubę.

Kropiółka! To od tego masz te ślady na rękach. Podniósł się na jednym łokciu i sięgnął w stronę lampy. Po niedługim czasie udało mu się ją zapalić. Spojrzał na swoje ręce i w zgięciach łokci zobaczył blednące, zachodzące na siebie cienie w kolorze purpury i ochry — otwory wypełnione czarną krwią pośrodku każdego z siniaków.

Położył się z powrotem, patrząc w sufit i nasłuchując wiatru. Był blisko szczytu Great Divide w samym środku zimy z kobietą, która nie miała wszystkiego po kolei, z kobietą, która podłączyła go pod kroplówkę, kiedy był nieprzytomny, z kobietą dysponującą najwyraźniej nie kończącym się zapasem prochów, z kobietą, która nie zdradziła nikomu, że znajduje się u niej w domu.

Były to rzeczy ważne, ale z wolna zaczął zdawać sobie sprawę, że było coś o wiele ważniejszego. Znowu zaczynał się odpływ. Zaczął czekać na dźwięk jej budzika w pokoju na górze. Minie jeszcze trochę czasu, zanim to się stanie, uznał jednak, że już najwyższa pora, aby zacząć wyczekiwać tej chwili.

Była szalona, ale potrzebował jej.

Boże, ale się wpakowałem — pomyślał i patrzył nie widzącymi oczyma w sufit, podczas gdy na jego czole znów zaczęły się gromadzić kropelki potu.

9

Następnego ranka przyniosła mu więcej zupy i powiedziała, że przeczytała czterdzieści stron tego, co nazywała jego “książką w maszynopisie”. Stwierdziła, że nie uważa jej za równie dobrą jak pozostałe.

— Trudno nadażyć za akcją. Przeskoki w czasie są za duże i za częste.

— Technika — powiedział. Był gdzieś pomiędzy okresem bólu i niebólu, dlatego też mógł myśleć w miarę logicznie na temat tego, co do niego mówiła. — Technika — ot co. Temat... temat dyktuje formę.

W jakiś niejasny sposób przypuszczał, że tego typu zawodowe sztuczki mogą ją zainteresować, a nawet zafascynować. Bóg mu świadkiem, że fascynowały personel warsztatów pisarskich, gdzie, będąc młody, przychodził niekiedy na wykłady.

— Umysł chłopaka, rozumiesz, jest co nieco pomieszany i dlatego...

— Tak. Jest bardzo pomieszany, a to czyni go mniej interesującym. Nie nieinteresującym — jestem pewna, że nie mógłbyś stworzyć nieinteresującej postaci — ale mniej interesującym. I ta profanacja! To słownictwo! To po prostu...

Zamyśliła się, karmiąc go automatycznie i ocierając mu usta, gdy wyciekało mu z kącików, prawie na niego nie patrząc; tak jak wprawny maszynista rzadko kiedy spogląda na klawiaturę. Zrozumiał bez trudu, że musiała być pielęgniarzką. Nie lekarzem, o, nie — lekarze

nie wiedzieliby, kiedy zaczyna wyciekać mu z ust, ani nie byłoby w stanie przewidzieć kierunku spływania strużki z tak fenomenalną dokładnością.

Gdyby meteorolog przepowiadający tę burzę był choć w połowie tak dobry w swoim fachu, jak Annie Wilkes w swoim, nie tkwiłbym teraz w tym pieprzonym bajzlu — pomyślał z goryczą.

— W tym nie ma szlachetności! — krzyknęła nagle, podskakując i niemal rozlewając zupę z kaszą i wołowiną na jego białą, uniesioną do góry twarz.

— Tak — powiedział cierpliwie. — Rozumiem, o co ci chodzi, Annie. To prawda, że w postaci Tony'ego Bonasaro nie ma szlachetności. To dzieciak ze slumsów próbujący wyrwać się ze swego środowiska, rozumiesz, i te słowa... wszyscy używają tych słów jak...

— Wcale nie! — powiedziała, rzucając mu zakazane spojrzenie. — A jak sądzisz, co ja robię, kiedy idę do sklepu z artykułami spożywczymi w miasteczku? Jak sądzisz — co mówię? Tera, Tony, daj no mi tu, k... coś na ząb, coś, żeby mi się mogła, do ch... pochłnąć i dołożyć też trochę tych pier... lekarstw. I jak sądzisz, co on mi na to odpowie?

— Nieźle, k..., Annie, grypsujesz, ja cię pier..., naprawdę, nieźle.

Spojrzała na niego, a jej twarz przypominała niebo, na którym lada chwila mogły pojawić się burzowe chmury. Położył się wygodnie. Był przerażony.

Miska zupy, którą trzymała w dłoniach, drżała. Jedna, potem dwie krople skapnęły na narzutę.

— A potem idę do banku na końcu ulicy i mówię do pani Bollinger: “Mam tu, k... niezły czek, to mi go k... zrealizuj — dawaj no tu pięćdziesiąt pier... dolców, tylko k... szybko, bo mi się bardzo spieszy”? Czy uważasz, że jak mnie postawili przed sądem w Den...

Strumień brunatnej zupy na wołowinie popłynął na narzutę.

Spojrzała nań, potem na niego i jej twarz wykrzywił dziwny grymas.

— No tak! Zobacz, co przez ciebie zrobiłam!

— Przepraszam. Przykro mi.

— Pewno, że ci przykro! — krzyknęła i rzuciła miską w kąt, gdzie roztrzaskała się na kawałki. Zupa rozbryznięta się po ścianie.

Jęknął.

Wtedy się wyłączyła. Po prostu siedziała tam przez chwilę, która z pewnością nie trwała dłużej niż 30 sekund. W tym czasie Paul Sheldon miał wrażenie, że jego serce w ogóle przestało bić.

Rozbudziła się trochę i zachichotała.

— Nerwus ze mnie — powiedziała.

— Przykro mi — powiedział z suchym jak pieprz gardłem.

— Powinno ci być — mięśnie jej twarzy znów się rozluźniły. Patrzyła ponuro na ścianę. Pomyślał, że znów ma zamiar się wyłączyć, ale miast tego Annie westchnęła i podniosła się z łóżka.

— Nie masz w zwyczaju używać tego typu słów w powieściach o Misery, bo oni po prostu wtedy w ogóle nie znali takiego słownictwa. Nie zostało jeszcze wymyślone. Zwierzęce czasy wymagają zwierzęcego słownictwa, jak sądzę, ale muszę przyznać, że w tamtych czasach było o wiele lepiej. Powinieneś pozostać przy swoim cyklu o Misery, Paul — mówię poważnie. Szczerze. Jako twoja najzagorzalsza wielbicielka.

Podeszła do drzwi i spojrzała na niego.

— Włożę ten “książkowy maszynopis” z powrotem do twojej torby i skończę czytać *Dziecko Misery*. Może wrócę do tamtej później, jak już skończę.

— Jeżeli to cię denerwuje, nie rób tego — powiedział. Próbował się uśmiechnąć. — Nie chciałbym, żebyś się denerwowała. I do tego przeze mnie. W pewnym stopniu jestem od ciebie uzależniony — wiesz o tym.

Nie zrewanżowała mu się uśmiechem.

— Tak — powiedziała. — Jesteś. Jesteś, prawda, Paul?

Wyszła.

10

Nastąpił odpływ. Pale powróciły. Zaczął wyczekiwać odgłosów zegara. Miał wybić drugą. Odgłosy rozległy się. Leżał podparty na poduszce, wpatrując się w drzwi. Na sweter i jedną ze swoich spódnic miała założony fartuch. W ręce trzymała wiadro z wodą.

— Przypuszczam, że chciałbyś już dostać swoje lekarstwo — powiedziała.

— Tak, proszę. — Próbował się do niej uśmiechnąć błagalnie i znów zrobiło mu się wstyd — czuł się dziwnie, niemalże obco.

— Mam je — powiedziała. — Ale najpierw muszę oczyścić ten śmietnik w kącie. Śmietnik, który ty zrobiłeś. Będziesz musiał poczekać, aż z tym skończę.

Leżał na łóżku z nogami tworzącymi kształty przypominające połamane gałęzie nakryte narzutą, a pot spływał mu po twarzy zimnymi, drobniutkimi strumyczkami; leżał i patrzył, jak podeszła do kąta, postawiła wiadro na ziemi, a potem pozbierała kawałki miski,

wyniosła je i znów powróciła, uklękła przy wiadrze, sięgnęła do środka i wyjęła zeń namoczoną w wodzie z mydłem ścierkę, i zaczęła zmywać zeschnięte strugi zupy ze ściany. Leżał i patrzył, aż w końcu dostał dreszczy, a dreszcze sprawiły, że jego ból stał się jeszcze bardziej przejmujący, lecz nic nie mógł na to poradzić. Kiedy się odwróciła i zobaczyła go drżącego i owiniętego w przepoconą pościel, obdarzyła go tak szelmowskim uśmiechem, że gdyby mógł, zabiłby ją na miejscu.

— To pozasychało — powiedziała, odwracając twarz w jego stronę. — Obawiam się, że to trochę potrwa.

Zabrała się do szorowania. Zaciek powoli znikał ze ściany, ale ona raz po raz zanurzała ścierkę w wiadrze, wyżywała ją, tarła, po czym znów powtarzała cały cykl od początku. Nie widział jej twarzy, ale myśl — przekonanie — że znów zamknęła się w sobie i mogła tak szorować ścianę przez wiele godzin, nie dawała mu spokoju.

Wreszcie, tuż przed tym, jak zegar wybił jeden raz określając 2.30, wstała i wrzuciła ścierkę do kubła. Bez słowa wyniosła wiadro z pokoju. Leżał w łóżku nasłuchując skrzypienia desek podłogi, które znaczyło każdy jej krok, słyszał, jak wylewa wodę z kubła i — co nieprawdopodobne — szum napuszczanej do wiadra wody. Zaczął krzyczeć bezgłośnie. Odpływ nigdy nie dotarł tak daleko; nie widział nic prócz zeschniętej połaci błota i tych spękanych pali, którym towarzyszyły ich na wieki uszkodzone cienie.

Wróciła i przez chwilę stała w drzwiach patrząc na jego mokrą twarz z tą samą mieszanką rozdrażnienia i matczyne go uwielbienia. Potem jej wzrok przesunął się w kąt, gdzie nie pozostał nawet ślad po rozlanej zupie.

— Teraz muszę to spłukać — powiedziała — w przeciwnym razie mydło zostawi matową plamę. Muszę zrobić to wszystko. Muszę to zrobić, jak należy. Żyjąc tu samotnie nie sposób wymówić się od jakiegokolwiek zajęcia. Trzeba być wszechstronnym. Moja matka mawiała: “Kto raz nabrudzi, nigdy nie będzie dbał o porządek”, a ja żyję zgodnie z jej dewizą.

— Proszę — jęknął. — Proszę, ten ból — ja umieram.

— Nie. Nie umierasz.

— Będę krzyczał — powiedział, podnosząc głos. Krzyk bolał. Ranił jego nogi i ranił serce. — Nic na to nie poradzę.

— No to krzycz — powiedziała. — Ale pamiętaj, że to ty nabrudziłeś. Nie ja. To tylko i wyłącznie twoja wina.

Jakimś sposobem zdołał powstrzymać się od krzyku.

Patrzył, jak moczyła, wyżywała i tarła, moczyła, wyżywała i tarła. Wreszcie, kiedy zegar w czymś, co najprawdopodobniej było salonikiem, zaczął wybijać trzecią, wstała i podniosła kubel.

Teraz wyjdzie, wyjdzie i usłyszę, jak wylewa wodę, i być może nie wróci tu przez parę godzin, bo kto wie, może jej zdaniem kara nie była dość surowa.

Ale zamiast wyjść, podeszła do jego łóżka i sięgnęła ręką do kieszeni fartucha. Wyjęła z niej nie dwie kapsułki, lecz trzy.

— Masz — powiedziała czule.

Włożył je do ust, a kiedy uniósł wzrok, zobaczył, jak podsuwa w jego stronę żółte, plastikowe wiaderko. Przesłaniało mu pole widzenia jak spadający księżyc.

Szara woda przelewała się ponad krawędzią, zachlapując pościel na łóżku.

— Popij je tym — powiedziała. Jej głos nadal brzmiał czule. Spojrzał na nią rozszerzonymi ze zdziwienia oczyma.

— Zrób to — powiedziała. — Wiem, że możesz je połknąć “na sucho”, ale proszę, uwierz mi, ja mogę sprawić, że bardzo szybko je zwrócisz. Poza tym to tylko mydliny. Nic ci się nie stanie.

Pochyliła się nad nim jak monolit, kubel przechylił się nieznacznie. Widział ścierkę obracającą się powoli w mrocznych odmętach niczym topielec; widział kilka mydlanych baniek na powierzchni wody. Całym sobą czuł obrzydzenie, ale żadna jego cząstka nie zawahała się. Popił szybko pigułki i poczuł w ustach smak jak wtedy, gdy matka kazała mu umyć zęby mydłem.

Jego żołądek skurczył się i coś w nim zaburczało.

— Nie wymiotowałabym na twoim miejscu, Paul. Do dziewiątej wieczorem nic nie dostaniesz.

Patrzyła na niego przez chwilę mętnym, pustym spojrzeniem, a potem jej twarz rozjaśniła się uśmiechem.

— Nie zdenerwujesz mnie już więcej, prawda?

— Nie — wyszeptał.

Złościć księżyc, który powodował przyływy? Cóż to za idiotyczny pomysł. Doprawdy **IDIOTYCZNY!**

— Kocham cię — powiedziała i pocałowała go w policzek. Wyszła nie oglądając się za siebie, wynosząc kubel tak jak twarda wieśniaczka mogłaby wynosić wiadro z mlekiem — lekko odsunięty od ciała, jakby w ogóle o nim nie myślała, tak by nie uronić zeń ani kropli.

Położył się, czując w gardle i w ustach piasek i gips. I smak mydła.

Nie wyrzygam... Nie wyrzygam... Nie wyrzygam!

Wreszcie natarczywość jego myśli zaczęła słabnąć i zdał sobie sprawę, że ogarnia go senność. Zdołał zatrzymać to w sobie, dopóki lekarstwo nie zaczęło działać.

Wygrał.

Tym razem.

11

Śniło mu się, że był pożerany przez ptaki. To nie był dobry sen. Potem rozległ się głuchy huk i pomyślał: Tak, dobrze — właśnie tak! Zastrzel go! Zastrzel tego cholernego ptaka!

Po chwili obudził się ze świadomością, że to tylko Annie Wilkes zamknęła z trzaskiem drzwi. Wyszła nakarmić zwierzęta na farmie. Słyszał chrzęst jej kroków na śniegu. Przeszła obok jego okna w grubej kurtce z naciągniętym głęboko kapturem.

Para oddechu buchała z jej ust, a wiatr zwiewał ją z powrotem omiatając nią twarz. Nie spojrzała na niego. Szła do stodoły — jak przypuszczał.

Nakarmić zwierzęta, zrobić porządek w oborze, może przy okazji rzucić też trochę uroków — tego typu skojarzenia nasuwały mu się niemal automatycznie. Niebo pociemniało purpurą. Zbliżał się zachód słońca. Była 5.30, może nawet 6.00. Trwał przypływ i bez trudu znów mógłby zapaść w sen — a chciał zasnąć — lecz musiał zastanowić się nad swoją okropną sytuacją właśnie teraz, kiedy był jako tako zdolny do racjonalnego myślenia.

Najgorsze było jednak to — o czym się wkrótce przekonał — że nie chciał o tym myśleć nawet wówczas, kiedy mógł, nawet kiedy zdawał sobie sprawę, że jeżeli nie zacznie się nad tym zastanawiać, to nigdy nie wypłacze się z tej kabały. Jego umysł starał się usuwać to w kąt jak dziecko, które próbuje odsunąć od siebie talerz z jedzeniem, choć powiedziano mu, że nie może odejść od stołu, dopóki nie zje wszystkiego. Nie chciał o tym myśleć, bo już samo życie z tym było dostatecznie uciążliwe. Nie chciał o tym myśleć, gdyż cokolwiek robił, przeszkadzały mu w tym nieprzyjemne obrazy — sposób, w jaki odcinała się od wszystkiego, sposób, w jaki kojarzyła mu się z posągami i wizerunkami bożków, a teraz również z obrazem żółtego plastikowego wiadra zmierzającego w kierunku jego twarzy jak spadający księżyc. Myślenie o tych rzeczach nie zmieniłoby jego sytuacji, ale było to lepsze niż nic. Wystarczyło, aby jeden jedyny raz zamyślił się nad osobą Annie Wilkes i swoją własną

pozycją tu, w jej domu, a te myśli przesłaniały wszystkie inne. Jego serce zaczęło bić nazbyt szybko, głównie ze strachu, ale po części również ze wstydu. Zobaczył samego siebie przytykającego usta do brzegu żółtego wiadra, zobaczył brunatną wodę z mydłem i pływającą w kuble ścierkę — widział to wszystko, ale mimo wszystko wypił — nie wahając się ani przez chwilę. Nigdy nie powiedziałaby o tym nikomu, zakładając, że w ogóle uda mu się stąd wydostać; przypuszczał, że okłamanie samego siebie przyszłoby mu z łatwością, jednak w głębi duszy wiedział, że nigdy nie byłby w stanie tego zrobić.

Tak — godny pogardy czy nie (ale raczej tak) nadal chciał żyć.

Myśl o tym, do cholery! Jezu Chryste, tak bardzo się boisz, że nawet nie chcesz spróbować!

Nie — prawie tak bardzo się boisz.

Potem dziwna, wściekła myśl przyszła mu do głowy: ona nie lubi tej nowej powieści, bo jest za głupia, żeby zrozumieć, o co w niej chodzi.

Myśl nie była taka całkiem dziwna — w tych okolicznościach uczucie, jakim darzyła *Szybkie samochody*, było całkiem niematerialne. Ale myślenie o tym, co powiedziała, było czymś w rodzaju nowej uliczki, a uczucie wściekłości względem niej lepszej od strachu przed nią, dlatego też chwycił się tej myśli z pełną zapału żarliwością.

Za głupia? Nie. Zbyt ograniczona. Nie tylko nie chce się zmienić, ale co więcej — sprzeciwia się jakiegokolwiek perspektywie zmiany.

Tak. I ponieważ ona najprawdopodobniej była szalona, to nic dziwnego, że miała odmienne zdanie na temat jego powieści niż setki i tysiące innych ludzi w całym kraju (90 procent spośród nich to kobiety) — kto mógłby czekać na kolejny 500-sitronicowy epizod z burzliwego życia podrzutka, który dorósł, by poślubić para? Nie, to, nie tak. Oni chcieli Misery — Misery. Misery. Za każdym razem napisanie kolejnej powieści zabierało mu dwa lata. Z początku pisał z pewnością, potem z nadzieją, a w końcu ze zwyczajną rozpaczą — pod presją lawiny listów od tych kobiet, z których wiele określało siebie mianem jego “najzagorzalszych wielbicielek”. Ton tych listów wahał się od oszołomienia (to w jakiś sposób bolało najbardziej) poprzez wyrzuty aż do otwartej wściekłości, ale treść przesłania była zawsze jednakowa: “To nie było to, czego oczekiwałam — to nie było to, czego ja chciałam. Proszę, wróć do Misery, chcę wiedzieć, co się dzieje z Misery”.

Mógł napisać nowoczesne *Pod wulkanem*, *Tessę*, *Dźwięk i wściekłość*, ale to się nie liczyło. Oni nadal będą chcieli Misery, Misery, Misery.

“Trudno za tym nadażyć... On nie jest interesujący. I to słownictwo — profanacja!”...

Znów rozgorzał w nim gniew. Gniew skierowany przeciwko jej nieugiętości, twardości, wściekłość wynikająca z faktu, że po prostu go porwała — trzymała go tu jak więźnia, zmuszała do dokonania wyboru pomiędzy piciem brudnej wody z kubła i bólem promieniującym z jego potrzaskanych nóg — a potem, na dodatek, pozwoliła sobie skrytykować najlepszą rzecz, jaką kiedykolwiek napisał.

— Pieprzę cię — powiedział i nagle zrobiło mu się jakby lżej; znów był sobą, choć wiedział, że jego bunt był nikły i nic nie znaczący — była w stodole, gdzie nie mogła go usłyszeć, a pale znajdowały się jeszcze pod wodą. Nadal.

Przypomniał sobie jej wejście tutaj, jak wyjmowała kapsułki wymuszając pozwolenie przeczytania maszynopisu *Szybkich samochodów*. Czuł ogarniające go uczucie wstydu napływające do twarzy, poczerwieniał — ale w tej chwili zawstydzenie i upokorzenie były zmieszane z wściekłością. Drobnutki płomyczek zmienił się w płonąca żagiew. Nigdy nie pokazywał nikomu maszynopisu przed dokonaniem korekty i ponownym przepisaniem. NIGDY. Nawet jego agentowi, Bryce'owi. Nigdy. Dlaczego. Przecież...

Przez chwilę nie myślał o niczym. Z oddali dochodziło stłumione muczenie krów.

Maszynopis *Szybkich samochodów* znajdował się teraz w rękach Annie Wilkes, a był to jedyny istniejący egzemplarz tej powieści. Spalił nawet wszystkie swoje notatki.

Dwa lata ciężkiej pracy — powieść nie podobała się Annie — a Annie była szalona.

Lubiła tylko Misery. Tylko ją — nie jakiegoś tam drobnego złodziejaszka kradnącego samochody, chłopaka o ciętym języku, nie przebierającego w słowach, chłopaka rodem z hiszpańskiego Harlemu.

Pamiętał, jak pomyślał: Zrób z kartek mojego maszynopisu papierowe czapeczki, tylko... proszę... Gniew i upokorzenie znów wdarło się do jego serca, budząc pierwszą tępą odpowiedź bólu w jego nogach. Tak. Praca, duma ze swojej pracy, wartość pracy, którą ma za sobą... wszystkie te rzeczy zaczęły niknąć w cieniach magicznej latarni, zmieniając się w rzeczywistość, kiedy ból stał się nie do zniesienia. To, co zrobiłaby z nim i mogła to z nim zrobić, kiedy większość swego dorosłego życia spędził w przekonaniu, że słowo PISARZ było najważniejszą definicją samego siebie, sprawiło, że w jego oczach stała się czymś potwornym — czymś, przed czym musiał uciec. Naprawdę była czymś w rodzaju bożka — posągu i jeźliby go nie zabiła, mogłaby zabić to, co było w nim.

Teraz słyszał pełne entuzjazmu kwiczenie świń.

Myślała, że go tym urazi, ale on uważał, że Misery było wspaniałym imieniem dla świni. Przypomniał sobie, jak ją naśladowała, jak jej górna warga uniosła się do góry — ku

nosowi, policzki jakby się trochę spłaszczyły — i w tej właśnie chwili wyglądała jak prawdziwa świnia — KWIIK — KWIIK — KWIIK.

Ze stodoły dobiegł jej głos: — Eeejże, świnko, świneczko.

Położył się, przykrył oczy ręką i skoncentrował się na wściekłości, bo wściekłość dodawała mu odwagi. Odważny człowiek potrafi myśleć. Tchórz — nie.

Znajdował się u kobiety, która kiedyś na pewno była pielęgniarką. Czy nadal była pielęgniarką? Nie — bo nie chodziła do pracy. Dlaczego nie pracowała w swoim zawodzie? To wydawało się oczywiste. Nie miała wszystkich klepek. Niektóre najwyraźniej się obluźowały. Jeżeli to było oczywiste dla niego, nawet poprzez mgiełkę bólu, w której żył, to musiało być równie oczywiste dla jej kolegów. A on dysponował dodatkową porcją informacji, na podstawie której mógł domyślić się, jak bardzo była nienormalna. Wyciągnęła go z wraku samochodu i zamiast wezwać policję czy ambulans, rozlokowała go w gościnnym pokoju, podłączyła pod kroplówkę i naszpikowała prochami. Zaserwowała mu taką dawkę, że jego płuca na chwilę odmówiły posłuszeństwa. Raz. Przynajmniej raz. Tyle pamiętał. Nie wspomniała o tym nikomu ani słowem i jeżeli nie zrobiła tego do tej pory, to najwyraźniej nie miała takiego zamiaru. Czy postąpiłaby tak samo, gdyby miała do czynienia z Joe Blowem z Kokomo? Gdyby to jego wyciągnęła z rozbitego samochodu? Nie. Uznał, że nie. Uwięziła go, bo był PAULEM SHELDONEM, a ona...

— Ona jest moją najzagorzalszą wielbicielek — wymamrotał Paul i zakrył oczy ramieniem.

Z tej ciemności wyłoniło się nieprzyjemne wspomnienie. Jego matka zabrała go do zoo w Bostonie. Przyglądał się wielkiemu ptakowi. Miał najpiękniejsze pióra — czerwone, purpurowe i błękitne — najpiękniejsze, jakie kiedykolwiek widział, i najsmutniejsze oczy. Spytał matki, skąd pochodził ten ptak, a ona odpowiedziała: — Z AFRYKI. Zrozumiał, że los tego ptaka jest przesądzony, że przyjdzie mu umrzeć tu, w klatce, w której go zamknięto, z dala od rodzinnych stron, gdziekolwiek by się one znajdowały, i zapłakał. Matka kupiła mu loda i wtedy się uspokoił, ale potem znów przypomniał sobie tę scenę i ponownie zebrało mu się na płacz, więc matka zabrała go do domu, a kiedy wracali tramwajem do Lynn, matka powiedziała mu, że jest beksa i maruda.

Jego pióra. Jego oczy.

Ból w nogach stał się dotkliwszy.

Nie! Nie! Nie!

Docisnął przedramię do oczu. Ze stodoły dochodziły stłumione odgłosy uderzeń. Nie sposób powiedzieć, co oznaczały, ale w wyobraźni (twój umysł, twoja twórczość — to

wszystko, co się dla mnie liczy) widział ją spychającą nogą ze strychu bele siana, widział, jak spadają na podłogę stodoły.

Afryka. Ptak pochodzi z Afryki. Z...

I wtedy jego myśli jak nożem uciął jej podniesiony, niemal wrzaskliwy głos: *CZY MYŚLISZ, ŻE JAK MNIE POSTAWILI PRZED SĄDEM W DEN...*

...Przed sądem w Denver... Czy myślisz, że jak mnie postawili przed sądem w Denver. Czy przysięgasz mówić prawdę, całą prawdę i tylko prawdę. Tak mi dopomóż Bóg? (Nie wiem, gdzie to mu się przytrafiło).

A ja wiem.

(On zawsze pisze takie rzeczy)

Podaj swoje nazwisko

(Nikt z mojej strony rodziny nie miał takiej wyobraźni jak on)

Annie Wilkes

(Tak żywej!)

Nazywam się Annie Wilkes

Chciał, by powiedziała coś więcej. Ale nie powiedziała.

— No, dalej — mruknął z ręką na oczach — w ten sposób myślało mu się najlepiej — w ten sposób najlepiej wszystko sobie wyobrażał. Jego matka lubiła mówić do pani Mulraney, mieszkającej po sąsiedzku, jak wspianiała miał wyobraźnię, jak bardzo żywą, jak cudowne historyjki pisywał (z wyjątkiem, rzecz jasna, chwil, kiedy nazywała go beksą i marudą). — No dalej, dalej, dalej!

Widział salę sądową w Denver, widział Annie Wilkes na sali nie w dzinsowych spodniach, ale w purpurowo-czarnej sukience i potwornym słomkowym kapeluszu. Widział, że na sali sądowej nie było wielu widzów, a sędzia był łysy i nosił okulary. Sędzia miał siwy wąsik. Pod wąsikiem niewielkie znamię. Biały wąsik przykrywał je, ale nie całkiem.

Annie Wilkes

(Czytał już w wieku trzech lat! Czy możecie sobie wyobrazić!)

Duch miłości typowy dla wielbicieli.

(On zawsze pisał takie rzeczy, tworzył je...)

Teraz muszę splotkać

(Afryka. Ten ptak pochodzi z Afryki)

— Dalej — wyszeptał, ale nie był w stanie posunąć się dalej. Pomocnik szeryfa raz po raz żądał, by podała swoje nazwisko, ona zaś odpowiadała, że nazywa się Annie Wilkes, ale nie mówiła nic więcej. Siedziała tam ze swym włóknistym, twardym, złowieszczym ciałem

wypierającym powietrze i co i rusz powtarzając, jak się nazywa, ale nie mówiąc ani słowa ponadto. Usiłując bezskutecznie domyślić się, z jakiego powodu była pielęgniarka, która go uwięziła, mogła znaleźć się kiedyś przed sądem w Denver, Paul odpłynął w objęcia snu.

12

Był w szpitalu. Poczł nagłą ulgę — tak wielką, że chciało mu się płakać. Coś się stało, kiedy spał, ktoś przyszedł albo, być może, Annie zmieniła zdanie. Może to był głos serca. A zresztą nieważne. Położył się spać w domu kobiety potwora, a obudził się w szpitalu. Ale czy oddział w szpitalu jest aż tak długim pomieszczeniem? Było olbrzymie jak lotniczy hangar! Wewnątrz stały rzędem łóżka, w których leżeli identyczni ludzie (z identycznymi butelkami kroplówek zwisającymi z wieszaków stojących obok ich łóżek). Usiadł i zobaczył, że mężczyźni byli identyczni. Byli tacy jak on. Byli nim. Potem jakby z oddali usłyszał bicie zegara i zrozumiał, że odgłos ten dobiegał spoza muru snu. To był sen. Smutek zastąpił ulgę.

Drzwi na końcu olbrzymiej sali otworzyły się i stanęła w nich Annie Wilkes — tyle tylko, że miała na sobie długą koronkową suknię i stylowe nakrycie głowy. Była ubrana jak Misery Chastain w *Miłości Misery*. Pod pachą trzymała wiklinowy koszyk. Zawartość przykrywał ręcznik. Kiedy patrzył, wolno zdjęła ręcznik. Sięgnęła do środka, wyjęła pełną garść czegoś i rzuciła tym w twarz wciąż jeszcze zaspanego Paula Sheldona. To był piasek — jak zauważył — Annie Wilkes grała rolę Misery grającej rolę Piaskowego Człowieka. A raczej Piaskowej Kobiety.

Wtedy zauważył, że twarz Paula Sheldona po obsypaniu jej piaskiem staje się upiornie biała — uczucie potwornego przerażenia pomogło mu wyrwać się z objęć snu i przeniosło go na powrót do sypialni, gdzie nad jego łóżkiem pochylała się Annie Wilkes. W jednej ręce miała gruby egzemplarz *Dziecka Misery*. Zakładka w książce wskazywała, że przeczytała dwie trzecie powieści.

— Jęczałeś — powiedziała.

— Miałem zły sen.

— O czym?

Odpowiedział natychmiast, wypowiadając pierwsze słowo, które przyszło mu na myśl.

— O Afryce.

Następnego ranka gdy przyszła, jej twarz przybrała kolor popiołu. Drzemał, ale obudził się natychmiast i uniósł się na łokciach.

— Panno Wilkes? Annie? Nic pani nie j...

— Nie.

Chryste, ona miała atak serca — pomyślał i na chwilę zamarł z przerażenia, ale uczucie to bardzo szybko zastąpiło wewnętrzne zadowolenie. No i dobrze. Niech ma atak serca. I to poważny! Prawdziwy zawał. Byłby bardziej niż szczęśliwy, gdyby mógł doczołgać się do telefonu, niezależnie od tego, jakby to miało być bolesne. Doczołgałby się do telefonu po tłuczonym szkłe, gdyby tylko mógł. I to był atak serca, ale nie taki, o jakim myślał. Podeszła do niego nie zataczając się, a po prostu sunąc, jak marynarz, który wreszcie zszedł ze statku po wyjątkowo długim rejsie.

— Co... — próbował się od niej odsunąć, ale nie było dokąd. Miał za sobą tylko zagłówek, a jeszcze dalej ścianę. — Nie!

Dotarła do brzegu łóżka, uderzyła weń ciałem, pochyliła się i przez chwilę zdawało się, jakby miała na niego runąć. Ona po prostu tam stała, patrząc w dół, na niego, jej twarz była papierowobiała, żyły na szyi nabrzmiały, jedna z żył, na środku czoła, pulsowała rytmicznie. Jej dłonie rozwarły się, szponiaste palce zacisnęły się w twarde jak kamienie pięści, a potem znów rozluźniły.

— Ty... ty... ty... obrzydliwy ptaku!

— Co... Nic nie... — Ale nagle zrozumiał i całe jego wnętrze stało się jakby puste. Po prostu znikło.

Przypomniał sobie, gdzie tkwiła ostatniej nocy używana przez nią zakładka. W trzech czwartych grubości książki. Skończyła ją. Teraz wiedziała już wszystko. Wiedziała, że to nie Misery, tylko Ian był bezpłodny. Siedziała tam, w niewidocznym z jego łóżka pokoju; był ciekaw, czy jej oczy rozszerzyły się, a usta rozwarły, kiedy Misery dowiedziała się wreszcie prawdy, podjęła decyzję i wymknęła się na spotkanie z Geoffreyem? Czy jej oczy wypełniły się łzami, gdy zrozumiała, że Misery i Geoffrey dalecy od nawiązywania romansu za plecami mężczyzny, którego oboje kochali, dali mu największy dar, jaki mogli — dziecko, które będzie uważał za swoje? I czy jej serce przepełniło się radością, gdy Misery powiedziała

Ianowi, że jest w ciąży, a on przytulił ją mocno do siebie i łzy pociekły mu z oczu, z ust zaś raz po raz dobiegał szept: kochana, moja kochana...

W ciągu tych kilku sekund był pewien, że wszystkie te rzeczy musiały się wydarzyć. Ale zamiast płakać w egzaltowanym smutku — co powinna była zrobić, gdy Misery opuszczała ten ziemski padół pozostawiając na nim potomka, którego wychowania podejmą się zapewne wspólnie Geoffrey i Ian — wpadła w prawdziwą furię.

— Ona nie może umrzeć! — wrzasnęła na niego Annie Wilkes. Jej dłonie rozwarły się, szponiaste palce zaciskały się i rozchylały w coraz to szybszym tempie. — Misery Chastain NIE MOŻE UMRZEĆ.

— Annie — Annie, proszę.

Na stole stał szklany dzbanek z wodą. Chwyciła go i zamierzyła się na niego. Zimna woda bryznęła mu na twarz. Kostka lodu wylądowała obok jego lewego ucha i zsunęła się po poduszce aż do zagłębienia jego ramienia. W jego umyśle

(tak żywym)

zobaczył, jak uderza go dzbankiem w twarz, zobaczył samego siebie zmarłego na skutek pęknięcia czaszki i wylewu krwi do mózgu, podczas gdy pod wpływem lodowato zimnej wody z dzbanka na jego przedramionach zaczynała się tworzyć gęsia skórka.

Chciała to zrobić — nie ulegało wątpliwości. W ostatniej chwili zmieniła zdanie i rzuciła dzbankiem w drzwi. Dzbanek roztrzaskał się w drobny mak — jak poprzedniego dnia miska z zupą.

Spojrzała na niego i odsunęła włosy z twarzy — dwa czerwone, drobne punkciki pojawiły się pośród kredowej bieli na wierzchu jej dłoni.

— Paskudny ptak! — zawyła. — Ty przebrzydłe ptaszysko, jak mogłeś!

Mówił szybko, nerwowo, jego oczy błyszczały wpatrzone w jej oblicze — wiedział, że w tej właśnie chwili jego życie mogło zależeć od tego, co powie w ciągu następnych 20 sekund.

— Annie, w 1871 roku kobiety często umierały przy porodach. Misery oddała swoje życie za męża, jej najlepszego przyjaciela i dziecko. Duch Misery będzie zawsze...

— Nie chcę jej ducha! — krzyknęła, zamieniając palce w szpony i wymachując nimi przed jego oczyma, jakby chciała mu je powydzierać.

— Chcę jej! Zabiłeś ją! Zamordowałeś ją!

Jej dłonie znowu zacisnęły się w pięści i opuściła je w dół niczym tłoki po jednym z każdej strony jego głowy. Zagłębiły się mocno w poduszkę, a on podskoczył w górę jak szmaciana lalka. Jego nogi zapłonęły i krzyknął przeraźliwie.

— Nie zabiłem jej! — wrzasnął.

Zastygła, patrząc na niego swym wąskim, mrocznym spojrzeniem — spojrzeniem szczeliny.

— Oczywiście że nie — powiedziała z gorzkim sarkazmem w głosie. — A jeżeli nie ty, Paulu Sheldon, to kto?

— Nikt — odparł ciszej. — Ona po prostu umarła.

Ostatecznie to przecież była prawda. Gdyby Misery Chastain była konkretną osobą, wiedział, że mógłby równie dobrze zostać wezwany w celu udzielenia “pomocy policji w ich śledztwie” — jak zwykle brzmiał tego typu eufemizm. W gruncie rzeczy miał motyw — nienawidził jej. Nienawidził jej od trzeciej książki. Na *prima aprilis* przed czterema laty wykonał własnoręcznie kilkanaście egzemplarzy okazijnego dziełka, które wysłał tuzinowi swoich najbliższych znajomych. Było zatytułowane *Hobby Misery*. W książeczce tej Misery spędziła cudowny weekend na wsi, zabawiając się z Growlerem, seterem Iana. Mógłby ją zamordować, ale nie zrobił tego. W końcu pomimo niechęci, jaką do niej żywił, śmierć Misery była dlań czymś w rodzaju zaskoczenia. Pozostał sobie wierny w sztuce imitowania życia — jakkolwiek chwiejnie — aż do samego końca banalnych przygód Misery. Zmarła najbardziej nieoczekiwaną śmiercią. Jego rozkoszna porywaczka nie była w stanie zmienić tego faktu.

— Kłamiesz — wyszeptała Annie. — Myślałam, że byłeś dobry, ale nie jesteś dobry. Jesteś kłamliwym, starym, przebrzydłym ptaszyskiem.

Wyłączyła się. To wszystko. Czasami tak bywa. Jak w życiu, kiedy ktoś...

Przewróciła stolik przy łóżku. Jedna wąska szuflada wypadła na podłogę. Wysypały się z niej jego zegarek i drobniaki. Nawet nie wiedział, że tam były. Cofnął się przed nią.

— Chyba musiałeś pomyśleć, że urodziłam się wczoraj — powiedziała, a jej usta rozchyliły się ukazując zęby. — W mojej pracy widziałam tuziny umierających ludzi — setki, jak teraz o tym myślę. Czasami odchodzą krzycząc, a czasami umierają we śnie — po prostu odchodzą, nie budzą się więcej i tyle — jakbyś to zapewne określił.

Ale postacie w powieściach nie odchodzą ot tak sobie. Bóg zabiera je do siebie, kiedy uzna, że nadszedł ich czas, a pisarz jest Bogiem dla postaci w swojej powieści — tworzy je tak, jak Bóg stworzył nas i nikt nie może żądać od Boga wyjaśnień, w porządku, dobra, ale skoro Misery ma odejść na zawsze, to powiem ci tylko jedno, ty paskudny ptaku. Powiem ci, że ten twój Bóg, tak się dziwnie złożyło, ma połamane obie nogi i dziwnym trafem znajduje się w moim domu, je moje jedzenie i...

Znów zgasła. Wyprostowała się z rękoma zwisającymi luźno po bokach, patrząc na ścianę, gdzie wisiało stare zdjęcie Łuku Triumfalnego. Stała tam, a Paul leżał w łóżku z okrągłymi śladami na poduszce obok jego uszu i spoglądał na nią. Słyszał, jak woda, która znajdowała się w dzbanku, ścieka na podłogę i przyszło mu nagle na myśl, czy byłby w stanie popełnić morderstwo. Było to pytanie, które przychodziło mu do głowy od czasu od czasu, rzecz jasna czysto akademickie, ale teraz wcale takie nie było i znał już odpowiedź. Gdyby nie rzuciła dzbankiem o drzwi, on sam roztrzaskałby go o podłogę, a potem spróbowałby wbić jej jeden z odłamków szkła w gardło, kiedy tak stała wyprostowana, sztywna i nieruchoma jak stojak na parasole.

Spojrzał w dół na przedmioty, które wysypały się z szuflady, ale były tam tylko drobniki, pióro, grzebień i jego zegarek. Portfela nie było. I co ważniejsze, brakowało też wojskowego szwajcarskiego noża. Wróciła trochę do siebie i najwyraźniej nie była już tak rozwścieczona jak przed chwilą. Przyglądała mu się ze smutkiem.

— Myślę, że będzie lepiej, jak już sobie pójdę. Nie powinnam teraz kręcić się tu koło ciebie. Nie uważam, aby to było... mądre.

— Wybierasz się gdzieś? Dokąd?

— Nieważne. Do miejsca, które znam. Gdybym tu została, zrobiłabym coś niemądrego. Muszę to i owo przemyśleć. Do zobaczenia, Paul.

Przeszła przez pokój.

— Wrócisz, żeby mi dać lekarstwo? — spytał zaniepokojony.

Ujęła dłońią klamkę i zamknęła drzwi, nie odpowiadając. Po raz pierwszy usłyszał szczęk klucza w zamku.

Usłyszał jej kroki w hallu, jak schodziła na dół. Skrzywił się, gdy wrzasnęła wściekle — nie mógł zrozumieć słów — a potem coś spadło i rozbiło się. Trzasnęły drzwi. Silnik zakaszłał głucho, po chwili zapalił. Dało się słyszeć ciche skrzypnięcie opon na ubitym śniegu. Teraz odgłos motoru zaczął się oddalać. Ucichł zmieniając się w delikatne chrapanie, następnie w brzęczenie, aż w końcu umilkł zupełnie.

Był sam.

Sam jeden w domu Annie Wilkes, zamknięty w tym pokoju. Przykuty do łóżka. Dystans między tym miejscem a Denver był jak... jak odległość pomiędzy zoo w Bostonie a Afryką. Leżał w łóżku patrząc w sufit, z wyschniętym gardłem i sercem bijącym mu szybko w piersiach. Po chwili zegar w salonie wybił południe i rozpoczął się odpływ.

Pięćdziesiąt jeden godzin.

Wiedział dokładnie, ile to trwało, za sprawą pióra typu Flair Fine Liner, które miał w kieszeni w chwili wypadku. Zdołał po nie sięgnąć i podnieść. Z każdym wybiciem zegara robił kreskę na przedramieniu — cztery pionowe kreski, a potem jedna poprzeczna, żeby zamknąć kwintet. Kiedy wróciła, było dziesięć grupiek po pięć kresek i jedna dodatkowa. Odległości pomiędzy rzędami kresek z początku niewielkie, w miarę jak ręce zaczęły drgać nerwowo, stały się dużo większe. Nie wierzył, by udało mu się przeoczyć choćby jedną godzinę. Drzemał, ale nie spał naprawdę ani przez chwilę. Wydzwanianie zegara budziło go za każdym razem. Po jakimś czasie zaczął odczuwać głód i pragnienie — nawet mimo bólu. To stało się czymś w rodzaju wyścigów konnych. Z początku na czoło wysforował się Król Ból. Jestem Głodny pozostał o 12 furlongów w tyle. Nieco Spragniony początkowo kompletnie zagubił się na torze. Potem, około świtu następnego dnia po tym, jak wyjechała, Jestem Głodny zaczął ścigać lidera i obecnie szedł z nim łeb w łeb. Raz jeden, raz drugi przejmowały prowadzenie.

Większą część nocy spędził na przemian to drzemiąc, to znów budząc się zlany zimnym potem, w przekonaniu, że umrze. Po jakimś czasie zaczął mieć nadzieję, że umiera. Wszystko, aby tylko się z tego wydostać. Aby to się już skończyło. Nigdy nie sądził, że ból może być tak potworny. Pale rosły i rosły. Widział oblepiający je szlam i wodorosty, widział blade, utopione maleńkie żyjątka spoczywające w szczelinach drewna.

Szczęśliwcy — pomyślał. Dla nich ból już się zakończył. Około trzeciej przeżył okres bezcelowych wrzasków. Około południa drugiego dnia — Godzina 24, jak wynikało z jego obliczeń — oprócz bólu w nogach i miednicy było coś jeszcze — coś, co raniło go równie dotkliwie. To było WYCOFYWANIE. Nazwij tego konia Ćpunowa Zemsta, jeżeli chcesz. Potrzebował tych kapsułek z kilku powodów. Myślał o wydostaniu się z łóżka, ale myśl o upadku, uderzeniu i towarzyszącej im eskalacji bólu pohamowała go momentalnie przed podjęciem tego ryzykownego kroku.

Był w stanie sobie wyobrazić

(tak żywo)

co by wówczas czuł. Mógł mimo to spróbować, ale przecież ona zamknęła drzwi. Co mógłby zrobić oprócz doczołgania się do drzwi jak wąż i leżenia przed nimi w oczekiwaniu? W

rozpaczy po raz pierwszy odsunął ręką pościel — mając złudną nadzieję, że nie jest aż tak źle, jakby można przypuszczać i jakby sugerowały kształty tworzone przez pomiętą narzutę. Nie było aż tak źle. Było gorzej. Patrzył z przerażeniem na to, czym się stał poniżej kolan.

Pod czaszką słyszał głos Ronalda Reagana z “Kings' Row” krzyczącego: “Gdzie jest reszta mnie!”

Reszta jego ciała była nienaruszona i być może miał szansę na wyjście z tego. Perspektywa, że wydobrzeje, była co prawda niepewna i odległa, ale, jak przypuszczał, teoretycznie możliwa...

Być może nigdy nie będzie w stanie chodzić, a na pewno nie wcześniej, zanim każda z jego nóg nie zostanie ponownie złamana, być może nawet w kilku miejscach, potem połączona za pomocą stali i bezlitośnie naciągnięta, a on sam stanie się obiektem nowej fali bólu i potwornej udręki. Wzięła je w łubki — oczywiście wiedział o tym — czuł sztywne, twarde kształty, ale aż do teraz nie wiedział, co z nim zrobiła. Na dolnych partiach obu jego nóg znajdowały się wąskie stalowe pręty, które wyglądały jak odcięte pozostałości aluminiowych kul. Pręty zostały pracowicie pooklejane tak, że od kolan w dół wyglądał trochę jak Imhotep, kiedy odnaleziono go w jego sarkofagu. Same nogi, od stóp do kolan, wyglądały co najmniej dziwnie — tu jakby wypchnięte na zewnątrz, tam zapadnięte do wewnątrz. Jego lewe kolano, pulsujące ognisko bólu, zdawało się w ogóle nie istnieć. Do tego była jeszcze łydka, uda, a pomiędzy nimi olbrzymie nabrzmienie — jedno wielkie siedlisko bólu. Górna część nóg była potwornie napuchnięta i jakby wykrzywiona co nieco na zewnątrz. Jego uda, krocze, nawet penis wciąż jeszcze były pokryte blednącymi siniakami. Do tej pory sądził, że dolne części nóg miał połamane. Jak się okazało, prawda przedstawiała się nieco inaczej. Zostały zmiażdżone.

Jęcząc i płacząc naciągnął narzutę. Nie będzie próbował wydostać się z łóżka. Lepiej tu leżeć i tu umrzeć — lepiej pogodzić się z tym poziomem bólu i tak już przerażającym, dopóki sam nie odejdzie. Na dobre.

Około czwartej drugiego dnia Nieco Spragniony zrobił swój ruch. Był świadomy suchości w ustach i gardle już od dawna, ale teraz problem ów stał się bardziej palący. Jego język zrobił się większy — jakby trochę za duży. Z trudem przetykał. Zaczął rozmyślać o dzbanku z wodą, który rozwaliła poprzedniego dnia.

Drzemał, budził się i znów zapadał w drzemkę.

Minął dzień. Nadeszła noc.

Musiał oddać mocz. Owinął penis prześcieradłem, mając nadzieję, że stworzy w miarę dobry, choć prowizoryczny filtr, i oddał przezeń mocz prosto w złożone w miseczkę, drżące

jak liście osiki ręce. Próbował myśleć o tym jako o jeszcze jednym cyklu krążenia płynów, wypił tyle, ile zdołał utrzymać w dłoniach, a potem wylizał dokładnie mokre ręce.

To był jeszcze jeden szczegół, o którym — jak zdecydował — nie opowie nikomu, jeżeli będzie żył na tyle długo, by móc opowiadać komukolwiek o czymkolwiek.

Zaczął wierzyć, że ona po prostu umarła. Była zdrowo kopnięta, a kopnięci często odbierają sobie życie.

Zobaczył ją

(tak żywo)

zatrzymującą Starą Bessie na poboczu, wyjmującą spod siedzenia 44, wkładającą lufę do ust i popełniającą samobójstwo.

“Skoro Misery nie żyje, to i ja nie mam po co żyć. Żegnaj, okrutny Świecie!” — krzyknęła Annie poprzez łzy i pociągnęła za spust.

Zachichotał, potem jęknął, a wreszcie krzyknął. Wiatr wył razem z nim... ale w ogóle tego nie zauważył.

A może to był wypadek? Czy to możliwe? O, tak, tak... Zobaczył ją, prowadzącą ponuro, jadącą zbyt szybko, a potem

(“On nie odziedziczył tego po mojej stronie rodziny”)

gasnącą i zjeżdżającą z szosy.

W dół, w dół i jeszcze bardziej w dół. Potem uderza w coś, wóz staje w płomieniach, a ona umiera, nie zdając sobie nawet z tego sprawy.

Gdyby umarła, on również by tu umarł — jak szczur schwyty w pułapkę.

Myślał, że stracił przytomność i w ten sposób uwolni się od cierpień, ale tak się nie stało — zamiast tego nadeszła Godzina 30 i Godzina 40 — teraz Król Ból i Nieco Spragniony szły łeb w łeb (Jestem Głodny został daleko w tyle) — czuł się jak drobniutki kawałek żywej tkanki włożonej pod szkiełko mikroskopu albo robak nadziewany na haczyk — w każdym razie coś, co się bez przerwy wiło i tylko czekało, by umrzeć.

Kiedy wróciła, z początku myślał, że to sen, ale niemal natychmiast rzeczywistość — lub mówiąc bardziej brutalnie — wola przeżycia wzięła górę i zaczął jęczeć, prosić, błagać, zaczął tracić świadomość tego, co robi — wszystko to dochodziło doń z za zapadającej przed

jego oczyma kurtyny rzeczywistości. Jedyną rzecz, jaką zobaczył wyraźnie, to ciemnoniebieska sukienka i słomkowy kapelusz, jakie miała na sobie — wyobrażał sobie, że w tym właśnie stroju występowała przed sądem w Denver. Była różowa na twarzy, a jej oczy błyszczały radością i ożywieniem. W tej szczególnej chwili Annie Wilkes, jak rzadko, wyglądała naprawdę nieźle — i kiedy próbował sobie przypomnieć tę scenę później, przychodziły mu na myśl tylko jej poczerwieniałe policzki i słomkowy kapelusz. Resztką zdrowego rozsądku i zdolności szacowania rzeczywistości racjonalny Paul Sheldon pomyślał: wygląda jak wdowa, która właśnie się pieprzyła po dziesięcioletnim okresie posuchy...

W ręce trzymała szklanę wody — dużą szklanę wody.

— Weź to — powiedziała i położyła wciąż jeszcze zimną po podróży rękę na jego karku, żeby mógł usiąść i wypić wodę bez dławienia się. Wypił trzy szybkie łyki, pory na jego spieczonym języku rozszerzyły się i zaczęły krzyczeć na skutek szoku spowodowanego wodą — parę kropel wylało mu się na brodę, trochę spłynęło po podbródku na podkoszulek, jaki miał na sobie, a potem zabrała mu szklanę. Błagał, by mu ją oddała, wyciągając przed siebie trzęsące się ręce.

— Nie — powiedziała. — Nie, Paul. Po trochu, bo zwymiotujesz. Po chwili dała mu ją ponownie i wypił kolejne dwa łyki.

— Towar — powiedział, kaszląc. Obliznął usta, przejechał po nich językiem, a potem przełknął ślinę. Obliznął język. Przypominał sobie mgliście, jak pił własny mocz, jak bardzo był on ciepły i słony.

— Kapsułki — ból — proszę, Annie, proszę — na miłość boską, pomóż mi, ten ból jest taki okropny.

— Wiem o tym, ale musisz mnie wysłuchać — powiedziała patrząc na niego z natarczywą troskliwością. — Musiałam wyjechać i przemyśleć to i owo. Musiałam się poważnie zastanowić i mam nadzieję, że przemyślałam wszystko jak należy. Nie byłam całkiem pewna — moje myśli są często mętne — wiem o tym. Akceptuję to. To dlatego nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie wówczas byłam, za każdym razem, a oni mnie o to pytali. Więc się modliłam. Przecież Bóg istnieje. On odpowiada na nasze modlitwy. Zawsze. Więc się modliłam. Powiedziałam: Drogi Boże, Paul Sheldon może już nie żyć, kiedy wrócę. Ale Bóg odpowiedział: Nie umrze. Oszczędziłem go, a teraz ty możesz wskazać mu jego drogę.

Powiedziała “fskasać”, ale Paul i tak prawie jej nie słyszał, jego wzrok był przez cały czas utkwiony w szklance z wodą. Pozwoliła mu na trzy kolejne łyki. Siorbał jak koń, czknał, a potem krzyknął, kiedy fala zimnych dreszczy przeszła całe jego ciało. Przez cały czas patrzyła na niego z życzliwością.

— Dam ci lekarstwo, uwolnię cię od tego bólu — powiedziała — ale najpierw musisz jeszcze coś zrobić. Zaraz wracam. Wstała i ruszyła w stronę drzwi.

— Nie! — krzyknął.

W ogóle nie zwróciła na niego uwagi. Leżał w łóżku spowity kokonem cierpienia, próbując nie jęczeć z bólu, ale ów jęk mimowolnie dobywał się z jego ust.

16

Z początku myślał, że wpadł w delirium. To, co widział, było zbyt potworne, aby mogło być normalne. Kiedy Annie wróciła, pchała przed sobą węglowy grill.

— Annie, tak bardzo mnie boli — łzy spływały mu po policzkach.

— Wiem, mój kochany — pocałowała go w policzek, a dotyk jej ust był tak delikatny jak muśnięcie spadającego piórka. — Wkrótce.

Wyszła, a on spoglądał z osłupieniem na węglowy grill (coś co mogło pasować do zewnętrznego wystroju letniego patio), który stał teraz w jego pokoju przywołując niespokojne obrazy posągów i składanych im ofiar.

I rzeczywiście — chodziło jej o ofiarę... kiedy wróciła, trzymała w ręce maszynopis *Szybkich samochodów* — jedyny istniejący rezultat jego dwuletniej pracy. W drugiej ścisnęła mocno pudełko drewnianych zapalek marki Diamond Blue Tips.

17

— Nie — powiedział płacząc i trzęsąc się. Jedna myśl tkwiła uparcie pod jego czaszką, paląc niczym kwas — za mniej niż sto dolarów mógł odbić na ksero ten maszynopis w Boulder. Ludzie — Bryce, obie jego były żony, do cholery, nawet jego matka mówili mu zawsze, że był szalony, nie robiąc choćby jednej kopii swojej pracy i nie przechowując jej w jakimś bezpiecznym miejscu; przecież Boulderado mogło się spalić, podobnie jak willa w Nowym Jorku. Mogło nadejść tornado albo powódź, albo jakiś inny naturalny kataklizm. Zawsze odmawiał stanowczo — bez jakiegokolwiek racjonalnego powodu — po prostu uważał to za głupie i niepotrzebne. Aż tu nagle to, co głupie i niepotrzebne, wraz ze wszystkimi kataklizmami naturalnymi, stało się jednym, zmieniając się w huragan imieniem

Annie. Po jej zachowaniu można się było domyślić, że nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, iż gdzieś może znajdować się kopia *Szybkich samochodów*, a przecież gdyby on po prostu usłuchał, gdyby zdecydował się wydać tę marną setkę...

— Tak — powiedziała, podając mu zapalki. Maszynopis, czysty, biały Hammermill Bond z tytułową stronicą na szczycie, leżał na jej udzie. Jej twarz nadal była czysta i spokojna.

— Nie — powtórzył, odwracając od niej swe rozpłomienione oblicze.

— Tak. To obrzydliwe. Pomijając ten fakt, jest po prostu kiepskie.

— Nie wiedziałabyś, że to naprawdę dobre, nawet gdyby to ożyło i odgryzło ci nos!
— wrzasnął, nie licząc się ze słowami.

Roześmiała się łagodnie. Jej wściekłość widocznie wzięła sobie dłuższy urlop. Jednak, pomyślał Paul, znając Annie Wilkes, mogła wrócić nieoczekiwanie, praktycznie lada chwila, z walizkami w dłoni: *Nudziło mi się, ejże, jak się masz?*

— Przede wszystkim — powiedziała — gdyby to było dobre, nie odgryzłoby mi nosa. Złe może tak, ale nie dobre — ty jesteś dobry, Paul. Wszystko, czego potrzebujesz, to odrobina pomocy. A teraz weź te zapalki.

Pokręcił przecząco głową.

— Nie.

— Tak.

— Nie!

— Tak.

— Nie, do cholery!

— Możesz sobie używać tych wulgaryzmów, jeżeli chcesz. Słyszałam je już wcześniej.

— Nie zrobię tego. — Zamknął oczy.

Kiedy je otworzył, pokazała mu niewielki kartonowy prostokąt z napisem NOVRIL przez środek. Litery były jasnoniebieskie. Pod spodem widniały czerwone litery — WERSJA PRÓBNA i adnotacja: NIE PODAWAĆ BEZ PRZEPISU LEKARZA. Poniżej ostrzeżenia znajdowały się cztery kapsułki w plastikowym opakowaniu. Wyciągnął rękę. Przesunęła kartonik tak, że znalazł się poza zasięgiem jego dłoni.

— Jeśli to spalisz — powiedziała — dam ci kapsułki — wszystkie cztery, jak sądzę — i ból zniknie. Znów będziesz się czuł pogodnie, a potem, jak już trochę okrzepniesz, zmienię ci pościel — widzę, że ją zmoczyłeś i to musi być nieprzyjemne — no i rzecz jasna przebiorę też CIEBIE. Do tej pory na pewno zgłodniejesz, więc przyniosę ci trochę zupy. Może tosta

bez masła. Ale dopóki tego nie spalisz, Paul, obawiam się, że nic nie mogę dla ciebie zrobić. Przykro mi.

Jego język chciał powiedzieć: Tak! Tak! Dobrze! — więc go sobie przygryzł. Znów się od niej odsunął, z dala od kuszącego go do szaleństwa kartonika i białych kapsułek wewnątrz ich wypukłych przezroczystych pojemniczków.

— Jesteś diabłem — powiedział.

Ponownie spodziewał się wybuchu wściekłości, ale ona tylko roześmiała się, a w tonie jej głosu pobrzmiwała żałosna nuta.

— O tak! tak! To jest to, o czym myśli dziecko, kiedy mama wchodzi do kuchni i widząc je bawiące się butelką z płynem do mycia naczyń wyjętą spod zlewozmywaka odbiera mu ją. Rzecz jasna nie mówi tego w ten sposób, bo nie posiada twojego wykształcenia. Po prostu mówi: Ale jesteś okropna, mamo!

Jej dłoń odsunęła włosy z rozpalonego czoła. Palce zjechały w dół jego policzka, wzdłuż boku szyi, a potem na chwilę zacisnęły się na jego ramieniu w geście współczucia, zanim odsunęła rękę.

— Matce jest przykro, kiedy dziecko mówi jej, że jest okropna, albo płacze za tym, co mu zostało zabrane, tak jak ty teraz. Ale ona wie, że postępuje właściwie i że po prostu wypełnia swój obowiązek. Tak jak ja teraz wypełniam swój.

Rozległy się trzy głuche odgłosy uderzeń, kiedy Annie stuknęła końcami palców w maszynopis.

— Sto dziewięćdziesiąt tysięcy słów i życie pięciu osób, które tak bardzo obchodziło naszego dobrego, wolnego od cierpień Paula Sheldona. Sto dziewięćdziesiąt tysięcy słów i życie pięciu osób, które tak go interesowało, że ubarwiał je z każdym dniem swojej pracy.

Pigułki. Pigułki. Pigułki. Musiał dostać te cholerne pigułki. Żywoty były cieniami — pigułki nie. ONE były prawdziwe.

— Paul?

— NIE! — zaszlochał.

Słabiotki grzechot kapsułek w ich pojemniczkach — cisza — potem drewniany grzechot zapalek w pudełku.

— Paul?

— NIE!

— Czekam, Paul.

Dlaczego, na miłość boską, odgrywasz scenę Horacego na moście i na kim, na Boga, próbujesz zrobić wrażenie? Czy myślisz, że to jakiś film czy show telewizyjny i ktoś doceni

twoją nieustępliwość? Możesz zrobić to, czego ona chce, albo odmówić. Jeżeli odmówisz, umrzesz, a ona tak czy inaczej spali maszynopis. No to co zrobisz — czy będziesz tu tak leżał i cierpieć za powieść, która sprzedałaby się o połowę gorzej niż którakolwiek z napisanych przez ciebie powieści o Misery i którą Peter Prescott zmieszałby z błotem w najbardziej dlań charakterystyczny — wielce wytworny, dystygowany i lekceważący sposób, gdyby miał ją zrecenzować dla tej olbrzymiej wyroczni literackiej, “Newsweeka”? No dalej, dalej, zmyśl w końcu! Nawet Galileusz wyparł się swoich przekonań, kiedy zrozumiał, że mają zamiar z nim skończyć.

— Paul? Czekam. Mogę czekać cały dzień; chociaż, jak sędzę, jeszcze dziś przed wieczorem zapadniesz w śpiączkę. Wydaje mi się, że już teraz jesteś bliski przejścia w stan komatozy, a mnie się nie...

Jej głos zaczął odpływać.

Tak. Daj mi zapalki. Dajcie mi palnik. Dajcie mi miotacz płomieni albo helikopter bojowy z pociskami wypełnionymi napalmem. Zrzucę na to taktyczną bombę atomową, jeżeli to jest właśnie to, czego chcesz, ty pieprzona dziwko.

Tak właśnie przemówił oportunistą — człowiek, który pragnie przeżyć. Jeszcze inna jego część zaczęła zanikać, zapadając w stan bliski śpiączce, pograżyła się z rykiem w ciemności.

Sto dziewięćdziesiąt tysięcy słów i życie pięciu ludzi. Dwa lata pracy. I najważniejsze: Prawda. Co ty wiesz na temat PIEPRZONEJ PRAWDY?

Rozległo się skrzypnięcie sprężyn, kiedy wstała.

— Dobrze. A więc jesteś krnąbrnym małym chłopczykiem. No cóż, nie mogę siedzieć przy twoim łóżku przez całą noc tak, jakbym tego chciała. Poza tym prowadziłam prawie godzinę, spieszyłam się, żeby wrócić tu możliwie jak najszybciej. Wpadnę za jakiś czas, żeby zobaczyć, czy zmieniłeś zdanie.

— No to ty to spal! — ryknął na nią.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

— Nie — powiedziała. — Nie mogę, nawet gdybym bardzo chciała to zrobić i oszczędzić ci związanych z tym cierpień.

— Dlaczego nie?

— Bo — odparła dumnie — ty sam musisz to zrobić, z własnej woli.

Wybuchnął śmiechem, a jej twarz, po raz pierwszy od momentu powrotu, spowiła mroczna chmura. Wysła z pokoju z maszynopisem pod pachą.

Kiedy wróciła w godzinę później, wziął zapałki.

Położyła na prętach grilla tytułową stronę. Próbował zapalić zapałkę, ale nie mógł, bo nie trafił w draskę, a może po prostu niewielkie pudełeczko wypadło mu z rąk. Annie zatem wzięła do ręki pudełko, zapaliła zapałkę i wsunęła mu ją do ręki, on zaś dotknął nią do rogu kartki, a potem wypuścił zapałkę z ręki. Spadła pomiędzy pręty grilla. Patrzył z fascynacją, jak płomień zaczyna swoją ucztę i powoli przełyka podarowaną mu kartkę. Tym razem miała przy sobie widelec do barbecue i kiedy stronica zaczęła się zwijać, wepchnęła ją przez szczeliny do wnętrza grilla.

— To będzie trwało wieki — powiedział. — Nie mogę...

— Nie, załatwimy to szybko — powiedziała. — Ale ty sam, Paul, musisz osobiście spalić część swojej pracy, aby dać dowód, że pojąłeś w końcu swój błąd.

Położyła teraz na grillu pierwszą stronę *Szybkich samochodów* — słowa, które — jak sobie przypominał — napisał jakieś dwa lata temu w nowojorskiej willi.

— *Nie mam czterech kótek — rzekł Tony Bonasaro podchodząc do dziewczyny schodzącej po schodach — i raczej wolno przyswajam sobie różne rzeczy, ale potrafię szybko prowadzić.*

Przypomniawszy sobie ten dzień jak dobry, znany standard puszczonego przez radio. Przypomniawszy sobie, jak spacerował z kąta w kąt, z pokoju do pokoju, przepelniony wagą powieści — więcej — CIEŻARNY, a to były typowe bóle porodowe. Przypomniawszy sobie, jak wcześniej tego dnia znalazł pod poduszką na sofie jeden ze staników Joan, choć minęły już wówczas trzy miesiące od dnia, kiedy odeszła — widać, jak pracowały sprzątaczkę; przypomniał sobie dochodzące do jego uszu odgłosy ruchu ulicznego Nowego Jorku i stałe, monotonne bicie dzwonów na wieży kościelnej, zwołujące wiernych na mszę.

Przypomniawszy sobie, jak usiadł.

Jak zwykle ogarnęło go błogosławione uczucie ulgi w chwili rozpoczęcia pracy — uczucie, które przypominało wpadanie w dziurę wypełnioną oślepiąco jasnym światłem.

Jak zwykle w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że nie napisze rzeczy tak dobrej, jaką chciałby napisać.

Jak zawsze ogarnęło go przerażenie, że nie będzie w stanie skończyć powieści, że zapędza się w ślepy zaułek, że opuści go natchnienie.

Jak zawsze pojawiło się radosne, przepelniające całe jego ciało cudowne uczucie uświadamiające mu, że *rozpoczęła się kolejna podróż*.

Spojrzał na Annie Wilkes i powiedział wyraźnie, ale niegłośno:

— Annie, proszę, nie każ mi tego robić.

Trzymała paczkę zapalek nieruchomo tuż przed nim i powiedziała:

— Zrobisz, co zechcesz.

I spalił swoją książkę.

19

Kazała mu spalić stronę pierwszą, ostatnią i dziewięć par stron z różnych części maszynopisu, bo dziewięć, jak powiedziała, to cyfra siły, a podwójna dziewiątka oznaczała szczęście. Zauważył, że użyła flamastra, żeby zamalować wszystkie wulgaryzmy, przynajmniej do miejsca, do którego doczytała.

— A teraz — powiedziała, kiedy dziewiąta para została spalona — byłeś dobrym chłopcem i prawdziwym sportowcem i wiem, że to rani cię prawie tak samo dotkliwie jak twoje nogi, więc nie będę cię już dłużej dręczyć.

Zdjęła pręty grilla i włożyła do środka resztę maszynopisu, miażdżąc kruche czarne zwoje stron, które już się spaliły. W pokoju unosiła się woń zapalek i palonego papieru.

Śmierdzi jak w kiblu u samego diabła — pomyślał delirycznie — i gdyby wewnątrz pomarszczonej skorupy włoskiego orzecha, która niegdyś była jego żołądkiem, znajdowało się cokolwiek, przypuszczał, że zwymiotowałby to natychmiast. Zapaliła kolejną zapalną i włożyła mu do ręki. W jakiś sposób zdołał się przechylić i wrzucić zapalną do piecyka. To się już nie liczyło. Już nie.

Trąciła go łokciem.

Otworzył ze znużeniem oczy.

— Zgasła — potarła następną zapalną o draskę i włożyła mu do ręki.

Jakimś sposobem zdołał przechylić się ponownie, budząc przy tym przerdzewiałą piłę taśmową w nogach, i dotknął zapalną do pliku kart maszynopisu. Tym razem ogieniek wokół drewnienka zamiast skurczyć się i zgasnąć, rozpałił się na dobre.

Położył się z powrotem, z zamkniętymi oczyma, nasłuchując trzaskających odgłosów, czując pełne, palące ciepło.

— O Boże! — krzyknęła alarmująco.

Otworzył oczy i zobaczył, że zwęglone kawałki papieru ulatywały z wnętrza piecyka pod wpływem ciepłego powietrza. Annie wypadła z pokoju. Słyszał, jak odkręca kurek i woda zaczyna napełniać kubek. Patrzył leniwie, jak część maszynopisu przelatuje przez pokój i ląduje na jednej z firanek. Błysnęła iskierka — zaczął się zastanawiać, czy pokój już niebawem stanie w płomieniach — a potem zgasła pozostawiając maleńką dziurkę, jakby wypaloną papierosem.

Popiół osiadł na łóżku. Parę płatków wylądowało na jego ramionach. Nie zwracał na nie uwagi. Nieważne — w ten czy inny sposób...

Annie wróciła, jej oczy próbowały zlustrować naraz sytuację w całym pokoju; wysłedzić trasę lotu każdej zwęglonej stroniczki, która unosiła się w powietrze i ulatywała w przestrzeń.

Nad krawędzią piecyka rażno buzowały płomienie.

— O Boże — powtórzyła, trzymając wiadro z wodą i rozglądając się wokoło, próbując zdecydować, gdzie ma je wylać — i czy w ogóle powinna to zrobić. Jej wargi drżały i były mokre od śliny. Kiedy Paul przyglądał się jej przez chwilę, wysunęła język i powiodła nim po wargach.

— O Boże, Boże — to było chyba wszystko, na co mogła się zdobyć w obecnej chwili.

Nawet schwyty w zaciskające się przez cały czas szczęki Imadła Bólu Paul poczuł nagły przyływ radości — radości z możliwości oglądania Annie Wilkes przerażonej.

Uwielbiał ten widok.

Kolejna strona unosiła się w powietrze — kartka wciąż jeszcze płonęła drobnym, błękitnym ogniem i to sprawiło, że w końcu podjęła decyzję. Z jeszcze jednym — o Boże — wylała cały kubek wody na piecyk do barbecue. Rozległ się głośny syk i chmura pary uniosła się w powietrze. Dominował zapach wilgoci, drażniąca woń spalenizny i czegoś, co mogło się kojarzyć ze śmietanką.

Kiedy wyszła, zdołał w końcu unieść się na łokciu. Spojrzał na piecyk i zobaczył coś, co wyglądało jak zwęglony kawałek drewna unoszący się na powierzchni słonego stawu.

Po chwili Annie Wilkes wróciła.

To nieprawdopodobne, ale nuciła coś pod nosem.

Posadziła go i włożyła mu do ust kapsułki.

Przełknął je i położył się myśląc — ZABIJĘ JĄ.

— Jedz — powiedziała z oddali, co wywołało kłujący ból.

Otworzył oczy i zobaczył ją siedzącą obok — po raz pierwszy znajdował się na równym z nią poziomie, twarzą w twarz. Z nie ukrywanym zdziwieniem zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy od niepamiętnych czasów siedział wyprostowany.

Kto tu kogo buja — pomyślał i znów zamknął oczy.

Trwał przypiływ. Pale były przykryte falami. Przypiływ wreszcie nadszedł, a kiedy przyjdzie czas odpływu — być może będzie trwał wiecznie, więc zamierzał wykorzystać ten czas jak należy — będzie unosił się na falach, dopóki się tylko da. O siadaniu prosto mógł pomyśleć potem.

— JEDZ! — powtórzyła, i tym razem jej słowa zwiastowały powrót bólu.

Wibrował z lewej strony jego głowy, sprawiając, że zawył i próbował się odsunąć.

— JEDZ, Paul. Musisz otrząsnąć się na tyle, żeby coś przełknąć, bo w przeciwnym razie...

Zzzzing. Jego ucho. Ciągnęła go za ucho.

— ...bra — mruknął — ...bra. Tylko mnie nie ciągnij, na litość boską.

Zmusił się do otwarcia oczu. Obydwie powieki opadały, jakby przyczepiono do nich potężne bloki cementu. Nagle poczuł w ustach łyżkę, gorąca zupa spłynęła mu do gardła. Przełknął, aby się nie zakrztusić.

Naraz, znikąd — *najbardziej zadziwiający powrót, jaki kiedykolwiek widział wasz komentator, panowie i panie* — Jestem Głodny wysforował się na czoło stawki. Tak jakby pierwsza łyżka zupy obudziła jego żołądek z hipnotycznego transu. Zjadł resztę tak szybko, jak tylko była w stanie go nakarmić i kiedy przełknął ostatnią porcję, poczuł się jeszcze bardziej głodny niż przedtem. Jak przez mgłę pamiętał, że wytaczała z pokoju złowieszczy, dymiący piecyk do barbecue, a potem wtoczyła do środka coś, w czym jego zamroczony narkotykami, na wpół przytomny umysł rozpoznał wózek sklepowy. Pomysł ten nie wydał mu się ani zaskakujący, ani tym bardziej dziwny; był przecież z wizytą u Annie Wilkes. Barbecue, wózki sklepowe; jutro być może licznik parkingowy albo głowica nuklearna.

Jak się żyje w wesołym miasteczku, nie sposób powstrzymać się od śmiechu. Wtedy odpłynął, ale teraz zdał sobie sprawę, że ów domniemany wózek sklepowy był w rzeczywistości przykrytym wózkiem inwalidzkim. Siedział na nim — jego połamane nogi

sterczały sztywno na wprost niego, a okolice miednicy były opuchnięte i najwyraźniej niezbyt zadowolone z nowo obranej pozycji.

Wsadziła mnie tu, jak byłem nieprzytomny — pomyślał. Podniosła mnie, niezły ciężar. Chryste, ależ musi być silna.

— Skończone! — powiedziała. — Jestem zadowolona widząc, jak ładnie przełknąłeś tę zupkę, Paul. Wygląda na to, że zaczynasz zdrowieć. Twoje nogi nie będą chyba jak nowe, ale, no cóż — gdybyśmy nie mieli już więcej tych... contretemps... Wierzę, że wydobrejesz. Po prostu. Teraz mam zamiar zmienić obrzydliwą brudną pościel na twoim starym łóżku, a jak już się z tym uporam, zamierzam zmienić tego obrzydliwego brudnego ciebie, a potem, jak nie będzie cię za bardzo bolało i nadal będziesz głodny, zamierzam dać ci parę grzanek.

— Dziękuję, Annie — rzekł pokornie i pomyślał: Twoje gardło. Gdybym mógł, dałbym ci szansę, żebyś oblizała usta i powiedziała — o Boże! Ale tylko raz, Annie.

Tylko raz.

21

Cztery godziny później znów był w łóżku i spaliłby wszystkie swoje książki za jeden novril. Siedzenie nie było dla niego udręką, zwłaszcza iż miał wtedy w żyłach taką dawkę narkotyków, że można by uśpić dzięki niej połowę pruskiej armii — teraz jednak czuł, jakby dolną część jego ciała obsiadł rój pszczół.

Krzyczał bardzo głośno — jedzenie wyraźnie musiało podziałać, bo nie pamiętał, aby krzyczał tak głośno, odkąd wynurzył się z Chmury Mroku. Wyczuł, że nim weszła do środka, przez dłuższy czas stała tuż za drzwiami, w hallu, nieruchoma, w spowitym ciemnością pokoju, wyłączona, wpatrzona nie widzącymi oczyma w klamkę albo plątaninę linii papilarnych jej własnych dłoni.

— Masz — dała mu lekarstwo, tym razem dwie kapsułki. Połknął je, trzymając ją za nadgarstek, aby unieruchomić szklanekę.

— Kupiłam ci w mieście dwa prezenty — powiedziała wstając.

— Naprawdę? — skrzeknął.

Wskazała na fotel na kółkach, stojący w kącie ze sterczącymi sztywno metalowymi oparciami pod nogi.

— Drugi pokażę ci jutro. A teraz prześpij się trochę, Paul.

Ale sen przez długi czas nie przychodził. Pod wpływem narkotyku unosił się na fali i myślał o sytuacji, w jakiej się znalazł. Teraz to wydawało mu się łatwiejsze. Łatwiej było myśleć o tym niż o książce, którą stworzył, a potem osobiście zniszczył.

Rzeczy — różne rzeczy, jak kawałki materiału, które można zszyć razem i zrobić z nich pikowaną kołdrę. Znajdowali się o wiele mil od sąsiadów, którzy, jak powiedziała Annie, nie lubili jej. Boyntonowie. Nie. Roydmanowie. Właśnie tak. Roydmanowie. A jak daleko stąd do miasta? Z pewnością niezbyt daleko. Znajdował się w kręgu, którego średnica mogła mieć minimalnie 15 mil, a maksymalnie — 45. Gdzieś wewnątrz tego kręgu znajdował się dom Annie Wilkes, dom Roydmanów i przedmieście Sidewinder, jakkolwiek małe mogłoby ono być...

I mój samochód. Gdzieś w tym kręgu stoi też mój camaro. Czy policja go znalazła?

Uznał, że nie. Był dobrze znaną osobistością, więc gdyby znaleziono samochód zarejestrowany na jego nazwisko, wystarczyłoby drobne sprawdzenie i gliniarze dowiedzieliby się, że przejeżdżał przez Boulder, a potem gdzieś zniknął. Znalezienie jego zniszczonego i pustego wozu spowodowałoby wszczęcie poszukiwań, w prasie zariłoby się od artykułów...

Ona nigdy nie ogląda telewizji, nigdy nie słucha radia — chyba że używa słuchawek...

Cała ta sytuacja przypominała po trosze psa z jednej z przygód Sherlocka Holmesa — tego, który nie zaszczekał.

Jego wóz nie został odnaleziony, bo nie przyjechali gliniarze. Gdyby go odnaleźli, sprawdziliby wszystkich w tym hipotetycznym rejonie, prawda? A ilu ludzi mogło zamieszkiwać na tym terenie — tu, w okolicy West Slope? Roydmanowie, Annie Wilkes i może dziesięciu, dwunastu innych?

Ale tylko dlatego, że nie odnaleziono go do tej pory, nie oznaczało, że nigdy go nie odnajdą.

Jego żywa wyobraźnia (której nie odziedziczył po nikim ze strony matki) wzięła teraz górę. Gliniarz był wysoki, przystojny, na chłodny sposób, o baczkach nieco dłuższych, niż to przewiduje regulamin. Nosił ciemne okulary, w których przesłuchiwanie mogą widzieć własną twarz. W jego głosie słychać było typowy akcent ze środkowego zachodu.

Znaleźliśmy przewrócony samochód w połowie Humbuggy Mountain, który należy do słynnego pisarza nazwiskiem Paul Sheldon. Na siedzeniach i desce rozdzielczej jest trochę krwi, ale po facecie ani śladu. Musiał się wyczołgać, może w szoku przebył nawet dość spory dystans...

To było śmieszne, zważywszy na stan jego nóg, ale rzecz jasna tamci nie mogli wiedzieć, jakie odniósł obrażenia. Mogli co najwyżej przypuszczać, że skoro nie było go w wozie, to musiał być na tyle silny, iż wyczołgał się zeń i przebył jakąś odległość. Tok ich dedukcji z pewnością nie brał pod uwagę czegoś tak nieprawdopodobnego jak porwanie — przynajmniej w początkowej fazie śledztwa — a najprawdopodobniej nigdy.

Czy nie zauważyła pani nikogo na drodze w dniu, kiedy była ta śnieżycą? Wysoki mężczyzna, 42 lata, jasne włosy? Ubrany prawdopodobnie w dżinsy, flanelową koszulę i ciepłą kurtkę? Mógł sprawiać wrażenie zalanego? Do cholery, może nawet nie pamiętał, kim jest?

Annie poczęstowałyby gliniarza kawą w kuchni; upewniłaby się też, że wszystkie drzwi pomiędzy tym miejscem a gościnną sypialnią będą pozamykane, w razie gdyby jęknął.

Dlaczego? Nie, oficerze — nie widziałam żywej duszy. Prawdę mówiąc wróciłam tu z miasta tak szybko, jak to tylko możliwe, kiedy Tony Roberts powiedział mi, że zbliża się straszna burza.

Gliniarz, odstawiając filiżankę i wstając:

No cóż, jeżeli zobaczy pani kogoś odpowiadającego temu rysopisowi, to mam nadzieję, że się pani z nami skontaktuje. To dość znana osoba. Był w magazynie “People” i w paru innych.

Z pewnością, panie oficerze.

A potem gliniarz sobie pójdzie.

Być może coś takiego już się wydarzyło, a on po prostu o tym nie wiedział. Może jego wyimaginowany glina był wspomnieniem prawdziwego, który złożył Annie wizytę, podczas gdy on znajdował się pod działaniem narkotyków. Bóg jeden wie, ile czasu spędził w odurzeniu. Jednak po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że to raczej nieprawdopodobne. Nie był Joe Blowem z Kokomo.

Był w “People” (pierwszy bestseller) i “US” (pierwszy rozwód), pewnej niedzieli pojawił się też w “Personality Parade” Waltera Scotta.

Będą sprawdzać, być może telefonicznie, gliniarze na pewno się tym zajmą. Kiedy osobistość — nawet taka quasi-osobistość jak pisarz — znika w nie wyjaśnionych okolicznościach, rozpoczynają się poszukiwania na szeroką skalę.

To tylko twoje przypuszczenia, człowieku.

Może przypuszczenia, a może dedukcja. Tak czy inaczej lepsze to niż bezczynne leżenie.

A co z ochronną balustradą?

Próbował sobie przypomnieć, ale nie mógł.

Pamiętał jedynie, jak sięgał po papierosy, a potem jak w zadziwiający sposób ziemia i niebo zamieniły się miejscami. Później była już tylko ciemność.

Ale znów dedukcja (albo wyćwiczone przypuszczenia — jeżeli tamto określenie cię wściekało) pozwoliła mu ustalić, że takowej po prostu nie było. Roztrzaskana balustrada i zerwane poręcze zaalarmowałyby służbę miejską. A więc co dokładnie się wydarzyło?

Stracił panowanie nad wozem w miejscu, które nie było dość strome — w przeciwnym razie pobocze zostałoby okolone balustradą. Gdyby było bardziej stromo, Annie Wilkes nie zdołałaby się do niego dostać i w pojedynkę nie zaciągnęłaby go do swojego wozu.

A więc gdzie był jego samochód? Pogrzebany w śniegu — to oczywiste.

Paul zakrył oczy ręką i zobaczył pług śnieżny jadący w górę drogi, w stronę miejsca, w którym miał wypadek przed dwoma godzinami. Pług jest ciemnopomarańczową plamą w tumanach śniegu. Dzień zbliża się ku końcowi. Kierowca jest okutany aż po linię oczu. Na głowie ma starą kolejarską czapkę z niebiesko-białego materiału. Po jego prawej, na dnie płytkiej stromizny, która nie opodal przeradza się w bardziej typową górską szczelinę, leży camaro Paula Sheldona z wyblakłą niebieską naklejką opatrzoną napisem: HART NA PREZYDENTA na tylnym zderzaku. To najjaśniejsza rzecz, jaką teraz widać. Facet prowadzący pług nie widzi samochodu. Skrzydło pługa zasłania mu niemal całą widoczność z boku, poza tym jest już prawie ciemno, a facet jest zmordowany. Chce po prostu skończyć tę ostatnią rundkę, odstawić pług i z uczuciem ulgi wypić coś rozgrzewającego. Przejeżdża obok, pług wzbija w powietrze chmurę śniegu. Fontanna śniegu tryska prosto do wąwozu. Camaro, już zasypany do okien, pogrąża się w śniegu aż po dach. Później, o zmierzchu, tego burzowego wieczora, kiedy nawet rzeczy znajdujące się na wprost Ciebie wyglądają nierealnie, będzie tędy przejeżdżał facet z drugiej zmiany i jadąc w przeciwnym kierunku, zasypie wóz dokumentnie.

Paul otworzył oczy i spojrzał w sufit. Widoczna na nim siateczka spękań tworzyła coś na wzór trzech W. Zżył się z nimi przez tyle dni, które tu spędził, odkąd wyszedł z chmury, a teraz znów się im przyglądał — rozmyślając leniwie o słowach na W, takich jak Występny, Wredny, Wiedźmowaty i Wijący. Tak.

To mogło tak być. Właśnie tak.

Czy pomyślała o tym, co by się mogło stać, gdyby jego wóz został odnaleziony?

Być może. Była wariatką, ale to nie oznaczało, że była głupia. A mimo to nigdy nie przyszło jej na myśl, że mógł mieć duplikat *Szybkich samochodów*.

Tak. I miała rację. Ta dziwka miała rację. Nie miałem.

Przed jego oczyma pojawiły się obrazy poczerńiałych stronic unoszonych w górę, nad linią płomieni, odgłosy, woń zniszczenia — zacisnął zęby, aby wymazać je z pamięci, aby znikły na zawsze z głębin jego umysłu — żywy nie zawsze znaczy dobry.

Nie. Ty nie, ale dziewięciu na dziesięciu pisarzy miałoby. Mieliby, gdyby im płacono tak jak tobie za każdą powieść nie należącą do cyklu o Misery. Ona nawet o tym nie pomyślała.

Ona nie jest pisarką.

Annie nie jest głupia, co obaj zgodnie stwierdziliśmy. Myślę, że jest zaślepią własnym „Ja” — ma nie tylko wyolbrzymione „ego”, ale również manię wielkości. Uważa pewnie, że jest nieomylna. Spalenie wydawało się jej rzeczą właściwą. A ta decyzja mogła być spowodowana drobnym, nieuchwytnym impulsem na wzór tych, które włączają i wyłączają bankowe automaty Xeroxa z bilonem — automat robi swoje, ale światelko uruchamiające mechanizm nie pojawia się na ekranie, przyjacielu.

Reszta jego rozmyślań nie była niczym więcej jak tylko zwyczajnymi zamkami na piasku, ale Annie Wilkes niezmiennie kojarzyła mu się z czymś tak nieustępliwym jak Skała Gibraltarska. Ze względu na swoje poszukiwania do *Misery* wiedział trochę więcej niż zwykły laik na temat neuroz i psychoz i zdawał sobie sprawę, że granica psychozy może być zmienna — składać się z okresów głębokiej depresji i prawie agresywnej wesołości i rozradowania, pod czym skrywa się wyolbrzymione i skażone *ego* — przekonane, że wzrok wszystkich spoczywa na nim czy na niej — przekonane, że ona czy on bierze udział w wielkim dramacie, a epilog jest rzeczą, na którą, wstrzymując oddech, czekają ze zniecierpliwieniem miliony osób. Tego typu *ego* po prostu nie może myśleć w normalny sposób. Te sposoby myślenia były łatwe do przewidzenia, ponieważ one wszystkie zmierzały w tym samym kierunku — od osoby psychicznie chorej do konkretnych obiektów, sytuacji czy innych osób znajdujących się na zewnątrz pola zasięgu obiektu (albo w sferze fikcji; jeżeli chodzi o neurotyków, mogły być pewne różnice, ale w przypadku psychotyków sprawa przedstawiała się zazwyczaj jednakowo).

Annie Wilkes chciała zniszczyć *Szybkie samochody* i dlatego w jej mniemaniu był tylko jeden egzemplarz tej powieści.

Może mógłbym uratować tę cholerną powieść, mówiąc jej, że zrobiłem parę kopii... Zrozumiałaby, że zniszczenie maszynopisu nic by jej nie dało, ona...

Oddech, który stawał się coraz wolniejszy, jakby miał zapaść w sen, zamarł mu nagle w gardle — jego oczy rozszerzyły się. Tak. Zrozumiałaby, że to bezcelowe. Przekonałaby się, że jedna z tych linii prowadzi do miejsca, które znajduje się poza jej zasięgiem. Jej *ego* zostałyby zranione, boleśnie ugodzone...

“Taki ze mnie nerwus!”

Gdyby stanęła w obliczu faktu, że nie może zniszczyć jego obrzydliwej książki, to czy nie zdecydowałaby się na zniszczenie w zamian twórcy owej książki?

Przecież Paul Sheldon był tylko jeden i nie miał żadnej kopii. Jego serce biło szybciej. W drugim pokoju rozległo się bicie zegara — słyszał jej kroki — znajdowała się w pokoju nad nim. Słaby odgłos odlewania się. Szum wody w klozecie. Ciężki tupot jej stóp, kiedy wracała do łóżka. Jęk sprężyn.

“Nie zdenerwujesz mnie już nigdy więcej, prawda?”

Jego umysł próbował nagle poderwać się do galopu — nerwowy kłusak starał się zwiększyć tempo. Co — jeżeli cokolwiek miały wspólnego z jego wozem te tanie próbki psychoanalizy — co miały wspólnego z nim?

— Poczekaj no chwilę — wyszeptał w ciemności. — Poczekaj no chwilę, poczekaj no, wstrzymaj się z tym telefonem... Zwolnij. Znow położył rękę na oczach i znow stanęła mu przed oczami postać policjanta w ciemnych okularach i z przydługimi baczkami.

Znaleźliśmy przewrócony samochód w połowie Humbuggy Mountatn — mówił gliniarz, a potem następowała cała seria zwyczajnego bełkotu.

Tyle że tym razem Annie nie zaprosi go na kawę. Nie będzie się czuła bezpieczna, dopóki nie wyjdzie wraz z gliną na drogę. Nawet w kuchni, nawet przy dwojgu zamkniętych drzwiach, pomiędzy nimi a sypialnią, nawet kiedy jej gość był naćpany aż po uszy novrilem, gliniarz, mógł usłyszeć jęk.

Gdyby znaleziono jego wóz, Annie Wilkes wiedziałaby, że jest w kłopotach, prawda?

— Tak — wyszeptał Paul. Nogi znow zaczęły go boleć, ale zdając sobie sprawę z przerażającego odkrycia, nawet tego nie zauważył. Będzie w kłopotach nie dlatego, że zabrała go do swego domu, zwłaszcza gdyby znajdował się on bliżej niż w Sidewinder (a Paul był o tym przekonany), bo za to daliby jej pewno medal i dożywotnie członkostwo w Klubie Miłośników Misery Chastain (ku rozpaczy Paula istniało coś takiego). Problem w tym, że zabrała go do swego domu, umieściła w gościnnym pokoju i nie wspomniała o tym nikomu ani słowem. Żadnego telefonu do pogotowia: Mówi Annie — przy Humbuggy Mountain

Road znalazłam faceta, wygląda trochę tak, jakby King Kong używał go w charakterze trampoliny. — Problem w tym, że naszpikowała go prochami, do których, jak sądził, nie powinna była mieć dostępu — nie, jeżeli była choć w połowie tak stuknięta, jak przypuszczał. Problem w tym, że dozowała mu narkotyki, karmiła przy użyciu kroplówki i złożyła nogi w łubki zrobione z pomiętych piłą kawałków aluminiowych prętów. Problem w tym, że Annie Wilkes stanęła kiedyś przed sądem w Denver i najprawdopodobniej nie w charakterze świadka — pomyślał Paul. Założyłbym się o swój dom i jeszcze parę innych rzeczy.

A ona patrzy, jak gliniarz zjeżdża w dół szosy swoim czyściutkim wozem (czyściutkim, z wyjątkiem stwardniałych bryłek śniegu i soli znajdujących się między rowkami opon i pod zderzakami — ma się rozumieć) i znów czuje się bezpieczna... ale nie nazbyt bezpieczna, bo teraz czuje się jak zwietrzzone zwierzę. A pogoń jest tuż...

Gliniarze będą szukać bez końca, bo on nie jest kimś takim jak dobry, stary Joe Blow z Kokomo, jest czymś więcej — Paulem Sheldonem, literackim Zeusem, z którego czaszki wyskoczyła Misery Chastain, ulubienica śmietników i kochanica supermarketów. Może jak go nie znajdą, przestaną szukać albo będą szukać gdzieś indziej — ale może ktoś od Roydmanów zauważył ją, jadącą tej nocy samochodem i może zobaczył coś dziwnego na tylnym siedzeniu jej Starej Bessie, coś co było owinięte kocem, coś co przypominało człowieka.

Nawet gdyby mieli tego nie zauważyć, nie przejechałaby w pobliżu domu Roydmanów, aby nie dać im powodu do sklecenia opowieści, która miałaby napisać jej biedy, bo oni jej nie lubili.

Gliniarze mogli wrócić, a następnym razem jej gość mógłby nie być taki spokojny.

Pamiętał jej oczy rozglądające się na wszystkie strony, kiedy o mały włos ogień z piecyka nie wymknął się spod jej kontroli. Widział, jak przesuwając język po wargach. Widział, jak chodzi w tę i z powrotem, to zaciskając, to znów rozluźniając ręce — zerkając na prawo i lewo, a potem wchodzi do pokoju gościnnego, gdzie leżał on — zagubiony w swojej chmurze. Co jakiś czas rzuci "O Boże!" — zwracając się do pustych pokoiów.

Ukradła rzadkiego ptaka o prześlicznym upierzeniu — rzadkiego ptaka pochodzącego z Afryki.

Co by z nią zrobili, gdyby się dowiedzieli?

To jasne — znów stanęłaby przed sądem. Znów postawiono by ją przed sądem w Denver. I tym razem może by ją zamknęli.

Może nie udałoby się jej wymknąć.

Odsunął rękę od oczu. Spojrzał na zachodzące na siebie W na suficie. Nie potrzebował zasłaniać oczu łokciem, aby zobaczyć resztę. Mogła go tak przetrzymywać przez dzień albo tydzień. Być może dopiero telefon z posterunku albo wizyta policji mogłaby skłonić ją do pozbycia się swego *Rara avis*. Ale w końcu zrobi to — tak jak dzikie psy zaczynają grzebać swoją dopiero co upolowaną zdobycz. Da mu pięć pigułek zamiast dwóch albo być może poddusi go poduszką, a może po prostu go zastrzeli. Na pewno jest tu gdzieś strzelba — prawie wszyscy ludzie mieszkający w górach mają strzelby — to rozwiązałoby problem.

Nie — nie broń palna.

Zbyt niechlujne.

Mogłoby zostawić ślady.

Nic się nie działo, bo nikt jak dotąd nie znalazł jego wozu. Mogą go szukać w Nowym Jorku, w Los Angeles, ale nikt nie będzie go szukał w Sidewinder, Colorado.

Ale wiosną?

W rozsiane po suficie. *Wymyte. Wytarte. Wyrzucone.*

Ból w nogach stał się bardziej natarczywy. Za następnym wybiciem zegara ona przyjdzie, ale bał się, że zdoła odczytać z jego twarzy wszystkie myśli niczym nagi konspekt powieści zbyt okrutnej, aby można ją było napisać.

Jego wzrok przesunął się na lewo. Na ścianie wisiał kalendarz z rysunkiem chłopca zjeżdżającego na sankach ze wzgórza. Zgodnie z kalendarzem był luty — ale jeżeli jego przypuszczenia były trafne, to już zaczął się marzec. Annie Wilkes po prostu zapomniała przełożyć kartkę.

Ile czasu upłynie, zanim stopnieje śnieg, pod którym spoczywa jego camaro z nowojorskimi numerami i kartą wozu znajdującą się w schowku na rękawiczki? Kartą wozu na nazwisko Paula Sheldona?

Ile czasu upłynie, zanim zadzwoni do niej policja albo zanim przeczyta o tym w gazecie? Ile czasu upłynie od wiosennej odwilży?

Pięć — sześć tygodni?

Być może tyle właśnie życia mi zostało — pomyślał Paul i jego ciałem wstrząsnęły gwałtowne dreszcze. Do tego czasu jego nogi na dobre się obudziły i zdołał usnąć dopiero wtedy, kiedy Ona zeszła na dół i dała mu kolejną porcję lekarstwa.

Następnego wieczora przyniosła mu royala — był to biurowy model z ery, kiedy takie rzeczy, jak elektryczna maszyna do pisania, kolorowy telewizor i dotykowe telefony znajdowały się w sferze fikcji. Był czarny i tak dobrany jak para staromodnych kaloszy. Po bokach znajdowały się szklane wstawki odsłaniające dźwigienki, sprężyny, zapadki i pręty mechanizmu. Stalowa dźwigienka powrotna, matowa od częstego używania, była przekrzywiona na jeden bok jak palec autostopowicza. Rolka była zakurzona, jej twarda guma pokryta rysami i dołkami. Litery ROYAL biegły wzdłuż przedniej części maszyny półkołem. Chrząknąwszy postawiła maszynę na łóżku, pomiędzy jego nogami, pozwoliwszy mu uprzednio przyjrzeć się jej przez chwilę.

Patrzył na to.

Czy to się uśmiechało?

Chryste, miał wrażenie, że tak.

W każdym razie czuł, że wpakował się w nieliczne kłopoty. Taśma była wyblakła — dwukolorowa — czerwona nad czarnym. Zapomniał już, że kiedyś istniały takie taśmy. Widok ten wywołał w nim niemiłe uczucie nostalgii.

— No i? — uśmiechnęła się radośnie. — Co o tym myślisz?

— Ładne to — powiedział natychmiast — prawdziwy antyk!

Jej uśmiech zgasł.

— Nie kupiłam tego jako antyku, kupiłam to w sklepie z artykułami używanymi. W dobrym sklepie.

Wykręcił się błyskawiczną wymówką.

— Oczywiście, że nie ma czegoś takiego jak antyczna maszyna do pisania — nie, jeżeli dobrze się nią opiekujesz. Dobra maszyna do pisania może działać prawie wiecznie. Te biurowe staruszki są niezniszczalne jak czołgi!

Gdyby mógł jej dosięgnąć, pewno by ją poklepał. Gdyby mógł, najprawdopodobniej by ją pocałował.

Jej uśmiech powrócił. Jego serce zwolniło nieco biegu.

— Kupiłam ją w Używanych Nowościach. Czy to nie głupia nazwa jak dla sklepu? Ale Nancy Dartmonger, kobieta, która go prowadzi, to głupia gęś. — Annie spochmurniała nieco, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że nie wzbierał w niej gniew przeciwko niemu —

instykt przetrwania, który w sobie odkrył, może być tylko zwykłym instynktem, ale wytworzył w nim coś, co potrafiło odbierać fale sympatii. Potrafił odczytywać jej nastroje, odbierać jej cykle, wsłuchiwał się w jej tykanie, jakby była rannym zegarem. — I jest tak samo zła jak głupia. Dartmonger. Powinna się nazywać KURWAMONGER. Dwa razy rozwiedziona, a teraz żyje z barmanem. I dlatego, kiedy powiedziałeś, że to antyk...

— Wygląda wspaniale — powiedział.

Przerwała na dłuższą chwilę, a potem, cicho, jakby się spowiadała, dorzuciła: — Nie ma “n”.

— Naprawdę?

— Tak. Widzisz?

Podniosła maszynę do góry, żeby mógł zajrzeć pomiędzy zbite półkole czcionek i zobaczyć, że brakuje w nich jednej dźwigienki — niczym brakującego zęba trzonowego w dolnej szczęce — ale wszystkie pozostałe były nienaruszone.

— Widzę.

Odstawiła maszynę. Łóżko zatrzęsło się nieznacznie. Paul przypuszczał, że maszyna mogła ważyć ze 25 kilo. Pochodziła z czasów, kiedy nie było jeszcze stopów ani tworzyw sztucznych... jak również zamówień książkowych, książek na podstawie scenariuszy filmowych, USA Today, Entertainment Tonight, znakomitości posługujących się kartami kredytowymi ani wódki.

Royal uśmiechnął się do niego, zapowiadając niechybne kłopoty.

— Chciała czterdzieści pięć dolarów, ale opuściła piątaka. Bo brakuje “n”.

Uśmiechnęła się do niego chytrze. Ona nie jest głupia — mówił uśmiech. Odwzajemnił się jej tym samym. Trwał przypiływ. Dzięki temu zarówno uśmiechać się, jak i kłamać było mu o wiele łatwiej.

— I nie musiałaś się targować?

Annie wyprężyła się nieznacznie.

— Powiedziałam jej, że “n” jest ważną literą.

— Nieźle! Cholera! — Dokonał nowego odkrycia. Pochlebianie komuś jest łatwe, trzeba tylko dobrze zacząć.

Jej uśmiech stał się jeszcze bardziej chytry — zapraszał go, by dzielił wraz z nią wyborną tajemnicę.

— Powiedziałam jej, że “n” to jedna z liter nazwiska mojego ulubionego pisarza.

— W imieniu mojej ulubionej pielęgniarce występuje ono aż dwukrotnie.

Jej uśmiech zmienił się w poświatę. Co niesamowite — na jej twarde jak skała policzki wystąpił purpurowy rumieniec.

Wyglądałoby tak samo — pomyślał — gdybym zbudował palenisko wewnątrz paszczy jednego z tych posągów z powieści H. Ridera Haggarda. Właśnie tak by to wyglądało nocą.

— Oszukujesz! — uśmiechnęła się sztucznie.

— Nie — powiedział. — Wcale nie.

— No dobrze! — Wyłączyła się na chwilę, nie tak jak zwykle do tej pory, pusta, ale zadowolona, uśmiechnięta, trochę podniecona — potrzebując tej chwili, aby zebrać myśli. Paulowi to odpowiadało, choć ciężka maszyna — równie solidna, jak ta kobieta i równie jak ona uszkodzona — przez cały czas złowieszczo uśmiechała się do niego szczeliną brakującego zęba, obiecując kłopoty.

— Fotel na kółkach był droższy — powiedziała. — Nie mam dostępu do sprzętu medycznego, odkąd...

Przerwała, zasepiła się i chrząknęła. Spojrzała na niego z uśmiechem.

— Ale już czas, żebyś zaczął siadać. Nie po to wydałam tyle pieniędzy... Bo przecież nie potrafisz pisać na leżąco — prawda?

— Nie.

— Mam deskę. Przycięłam ją odpowiednio do rozmiaru... i papier... poczekaj!...

Wybiegła jak mała dziewczynka z pokoju, zostawiając Paula i maszynę wpatrujących się w siebie nawzajem.

Uśmiech znikł z jego ust, kiedy tylko odwróciła się do niego plecami. Royal nie przestał się uśmiechać. Później doszedł do wniosku, że dobrze wiedział, o co w tym wszystkim chodziło i jak będzie brzmiał stukot maszyny — jak będzie klekotać pomiędzy szczerbatym uśmieszkiem niczym stary komiksowy bohater Ducky Daddles.

Wróciła z paczką papieru maszynowego typu Corrasable Bond w opakowaniu oraz deską mającą jakieś trzy stopy szerokości i niecałą stopę długości.

— Spójrz — położyła deskę na oparciach fotela, który stał przy jego łóżku jak upiorny, kościsty gość. Oczyma duszy widział już ducha samego siebie za tą deską, uwięzionego tam niczym skazaniec.

Postawiła na desce maszynę, stojąc przodem do ducha i położyła obok paczkę Corrasable Bond — papieru, którego nie cierpiał najbardziej na świecie ze względu na to, że kiedy kartki składało się razem, napisany na nich tekst często się zamazywał. W ten sposób stworzyła w tym pokoju coś na kształt pracowni kaleki.

— Co o tym myślisz?

— Wygląda świetnie — powiedział to największe w swoim życiu kłamstwo z niebywałą łatwością, a potem zadał pytanie, na które podświadomie znał już odpowiedź.

— Jak myślisz, co będę tutaj pisał?

— Och, Paul! — powiedziała, odwracając się do niego, a jej oczy ożywiły się tańcząc obłądny taniec na poczerwieniałej twarzy. — Ja nie MYŚLĘ, ja WIEM. Użyjesz tej maszyny do napisania twojej nowej powieści! Twojej najlepszej powieści! *Powrotu Miseryl*

24

Powrót Misery. Nie czuł kompletnie nic. Przypuszczał, że człowiek, któremu piła tarczowa obciąła obie ręce, mógł czuć to samo co on, patrząc z otępieniem na bryzgające krwią kikuty nadgarstków.

— Tak! — Jej twarz błyszczała jak reflektor, a silne dłonie zacisnęły się pomiędzy piersiami. — To będzie książka tylko dla mnie, Paul! Moja zapłata za opiekę nad tobą. Za to, że się tobą zajęłam i zatroszczyłam się, abys powrócił do zdrowia. Jeden jedyny egzemplarz najnowszej powieści o Misery. Będę miała coś, czego nie ma nikt inny na całym świecie niezależnie od tego, jak bardzo ktoś mógłby tego pragnąć! Pomyśl o tym!

— Annie. Misery nie żyje.

Ale w głębi duszy pomyślał: — Przecież mógłbym ją ożywić. Myśl ta napawała go nie ukrywanym obrzydzeniem, nie była jednak dla niego zaskoczeniem. W gruncie rzeczy człowiek, który potrafił pić wodę z kubła, mógł być zdolny do pisania różnych rzeczy pod dyktando.

— Nie. Wcale nie — odparła z rozmarzeniem Annie. — Nawet kiedy... kiedy tak bardzo się na ciebie wściekłam, wiedziałam, że ona tak naprawdę wcale nie umarła. Wiedziałam, że nie mógłbyś jej zabić. Bo jesteś dobry.

— Naprawdę? — spytał i spojrzał na maszynę.

Uśmiechnęła się do niego.

— Zobaczmy, jak jesteś dobry, koleś! — wyszeptała.

— Tak!

— Annie — nie wiem, czy mogę siedzieć w tym fotelu. Ostatnim razem...

— Ostatnim razem, mogę się założyć, bolało. I następnym razem też będzie bolało. Może nawet trochę bardziej. Ale przyjdzie taki dzień, i to już niebawem, choć dla ciebie ten okres będzie się zapewne ciągnął w nieskończoność — kiedy ból zacznie zanikać. Coraz bardziej i bardziej.

— Annie, czy odpowiesz mi na jedno pytanie?

— Oczywiście, kochany.

— Czy jak napiszę dla ciebie tę historyjkę...

— Powieść. Tak samo obszerną jak poprzednie, a może nawet grubszą.

Zamknął na chwilę oczy, po czym otworzył je.

— Dobrze. Jak już napiszę dla ciebie tę powieść, to czy pozwolisz mi odejść?

Przez chwilę na jej twarzy pojawił się wyraz niepewności, po czym przyjrzała mu się z uwagą, dokładnie.

— Mówisz tak, jakbym cię tu więziła, Paul.

Nie odpowiedział, tylko na nią patrzył.

— Myślę, że zanim skończysz, będziesz już w stanie... znieść stres związany z ponownym spotkaniem z ludźmi... — powiedziała. — Czy właśnie to chciałeś usłyszeć?

— Tak. To właśnie jest to, co chciałem usłyszeć.

— No, co za szczerść! Wiedziałaś, że pisarze mają zwykle wysokie mniemanie o sobie, ale nigdy nie przypuszczałam, że mogą być przy tym tak niewdzięczni!

Patrzył na nią bez przerwy i po chwili odwróciła wzrok, zniecierpliwiona i odrobinę wzburzona.

W końcu odezwał się.

— Będę potrzebował wszystkich książek o Misery, jeżeli je masz, bo nie mam swego skorowidza.

— Oczywiście, że je mam! — powiedziała, a potem spytała: — Jakiego skorowidza?

— Takiego tam notatnika, gdzie zapisuję wszystko, co się wiąże z Misery — odparł. — Główne postacie i miejsca, ale podzielone na trzy czy cztery różne sposoby. Związki czasowe. Kwestie natury historycznej.

Zobaczył, że prawie go nie słuchała. To już drugi raz, kiedy nie przejawiała najmniejszego zainteresowania szczegółami jego zawodu, które wywołałyby furorę u większości początkujących pisarzy. Powodem była, jak sądził, prostota. Annie Wilkes była wspaniałą słuchaczką, kobietą, która uwielbiała powieści, ale nie interesowały jej mechanizmy ich tworzenia. Była ucieleśnieniem wiktoriańskiego archetypu wiernego słuchacza. Nie chciała słuchać o jego skorowidzu, zgodnościach i indeksach, bo dla niej

Misery i osoby, które ją otaczały, były rzeczywistością. Indeksy nic dla niej nie znaczyły. Gdyby opowiadał o spisie ludności w Little Dunthorpe, prawdopodobnie okazałaby mu minimum zainteresowania.

— Dostaniesz te książki. Są trochę podniszczone, ale to oznacza, że były często i chętnie czytane, prawda?

— Tak — odpowiedział. Tym razem nie musiał kłamać. — To prawda.

— Sama oprawię *Powrót Misery*. Z wyjątkiem Biblii mojej matki to będzie moja jedyna prawdziwa książka.

— To dobrze — powiedział, aby cokolwiek powiedzieć. Czuł lekkie gniewienie w żołądku.

— Teraz już pójde, a ty będziesz mógł się zdrzemnąć i ewentualnie przemyśleć to i owo — powiedziała. — To ekscytujące! Nie uważasz?

— Tak, Annie. Niewątpliwie.

— Za jakieś pół godziny przyniosę ci kawałek piersi kurczaka z tłuczonymi kartoflami i groszkiem. A na deser galaretkę, bo byłeś dziś bardzo grzeczny. I dopilnuję, żebyś dostał na czas swoje lekarstwa. Kto wie, może dostaniesz dziś na noc jedną pigułkę więcej, jeżeli mnie poprosisz. Chcę, żebyś się wyspał, bo od jutra musisz zabrać się do pracy. Pracując na pewno szybciej wyzdrowiejesz. Mogę się założyć.

Podeszła do drzwi, przystanęła tam na chwilę, a potem groteskowo przesłała mu całusa.

Drzwi zamknęły się za nią. Nie chciał patrzeć na maszynę do pisania i przez chwilę opierał się pokusie, ale w końcu jego wzrok przesunął się bezradnie w tę stronę. Stała na biurku, uśmiechając się. Patrzenie na nią było jak patrzenie na narzędzie tortur — hiszpańskie buty, dyby albo koło, które jest unieruchomione, ale tylko na chwilę.

“Myślę, że zanim skończysz, będziesz już w stanie... znieść stres związany z ponownym spotkaniem z ludźmi”...

Ach, Annie, okłamywałaś nas oboje. Wiedziałem o tym i ty też. Widziałem to w twoich oczach.

Okres, który właśnie się przed nim otwierał, zapowiadał się wyjątkowo nieprzyjemnie: sześć tygodni życia, które miał spędzić, cierpiąc katusze ze strony swoich potrzaskanych kości i odnawiając swoją znajomość z Misery Chastain née Carmichael, aby zakończyć swój żywot pogrzebany na tyłach domu Annie Wilkes. A może nakarmi jego szczątkami Misery, swoją świnię. To mógłby być swego rodzaju sprawiedliwy koniec, choć nie da się ukryć, że wyjątkowo mroczny i ponury.

No to nie rób tego. Rozwściecz ją. Wtedy staje się równie niebezpieczna jak chodząca butelka nitrogliceryny. Zbij ją. Spraw, by eksplodowała. To lepsze niż leżenie tu i nieustanne cierpienie.

Próbował patrzeć w górę na połączone rysy W, ale już w parę chwil potem znowu spoglądał na maszynę do pisania. Stała na blacie biurka niema, opasła i pełna słów, których nie chciał napisać, uśmiechając się szczeliną brakującego zęba.

Nie sądzę, abys w to wierzył, koleś — myślę, że chcesz zostać przy życiu, nawet gdybyś miał przy tym wskrzesić Misery. Zrobisz to. Przynajmniej spróbujesz, ale najpierw będziesz musiał wejść w układ ze mną... A muszę przyznać, że twoja facjata nie przypadła mi do gustu.

— I wzajemnie — warknął Paul.

Tym razem próbował wyjrzeć przez okno, za którym sypał świeży śnieg. Jednak już wkrótce znów patrzył na maszynę, a w jego wnętrzu rozgorzał płomień zmieszanej ze wstrętem fascynacji. Nawet nie zdawał sobie sprawy, kiedy odwrócił wzrok.

25

Siedzenie w fotelu nie okazało się tak bolesne, jak się tego obawiał, no i dobrze, bo poprzednie doświadczenie uświadomiło mu, że prawdziwy ból pojawi się dopiero po jakimś czasie.

Postawiła na biurku tacę z jedzeniem, a potem przesunęła wózek w stronę łóżka. Pomogła mu usiąść — w okolicy miednicy poczuł tępy, pulsujący ból, który jednak po chwili ustał — a potem pochyliła się — bok jej szyi przyłgął do jego ramienia niczym szyja konia. Przez ułamek sekundy mógł czuć jej puls, a jego twarz wykrzywił grymas obrzydzenia. Potem jej prawa ręka objęła go łagodnie od tyłu, a lewa podsunęła się pod pośladki.

— Spróbuj nie poruszać nogami od kolan w dół, jak cię będę przenosić — powiedziała, a potem leciutko posadziła go na fotelu. Zrobiła to z łatwością kobiety wkładającej na półkę przeczytaną książkę. Tak — była silna. Nawet gdyby był w dobrej formie, nie był pewny, czy dałby radę stawić czoło Annie. W gruncie rzeczy wątpił w swoją wygraną. W obecnej sytuacji wyglądał, jak Wally Cox porywający się na bombardiera Manciniego.

Położyła przed nim deskę.

— Widzisz, jak pasuje? — spytała i podeszła do biurka po tacę z jedzeniem.

— Annie?

— Tak.

— Zastanawiam się, czy nie mogłabyś przestawić tej maszyny tak, żeby była odwrócona do ściany.

Zmarszczyła brwi.

— A niby dlaczego miałabym to zrobić?

Bo nie chcę, żeby uśmiechała się tak do mnie całą noc.

— Stary przesąd — powiedział. — Zawsze odwracam maszynę do ściany, zanim zacznę pisać.

Przerwał, po czym dodał:

— W gruncie rzeczy robię to każdej nocy, nawet gdy już zabiorę się do pisania.

— Jesteś przesądny, to trudno — powiedziała. — Nic na to nie poradzę.

Odwróciła maszynę tak, że teraz mogła się uśmiechać jedynie do gołej ściany.

— Lepiej?

— O wiele.

— Taki z ciebie głuptas — powiedziała i zaczęła go karmić.

26

Śnił o Annie Wilkes znajdującej się w sądzie u jakiegoś bajkowego arabskiego kalifa, wyczarowującej z butelek dziny i duszki, a potem przelatującej naokoło sali na czarodziejskim dywanie. Kiedy dywan przemknął obok niego (jej włosy płynęły za nią niczym rzeka, jej oczy były jasne i krzemieniste jak oczy kapitana statku dowodzącego żeglugą pośród gór lodowych), zauważył, że jest zielono-biały. Jak tablica rejestracyjna stanu Colorado.

Pewnego razu — mówiła Annie podniesionym głosem — pewnego razu miało miejsce pewne zdarzenie, zdarzyło się to wtedy, kiedy dziadek mojego dziadka był jeszcze chłopcem. Jest to opowieść o tym, co się przydarzyło pewnemu chłopcu. Ustyszałam ją od pewnego człowieka. Pewnego razu. Pewnego razu.

Kiedy się obudził, Annie potrzęsała nim, a przez okno widać było jasną tarczę słońca — śnieżyca ustała.

— Obudź się, śpiochu — dobiegł go tryl Annie. — Mam jogurt i wspaniale ugotowane jajka dla ciebie. No i już najwyższy czas, żebyś zaczął.

Spojrzał na jej rozpaloną twarz i poczuł jakieś dziwne uczucie — nadzieję. Śnił, że Annie Wilkes była Szeherezadą, jej kamienne ciało odziane było w przeźroczyste szaty, olbrzymie stopy obute w różowe błyszczące od cekinów pantofle z zawiniętymi noskami — śnił, że leciała na czarodziejskim dywanie i śpiewnym głosem wypowiadała zaklęcia otwierające bramy najwspanialszych opowieści. Ale, oczywiście, to nie Annie była Szeherezadą. To on nią był. A jeżeli to, co napisze, będzie dostatecznie dobre, jeżeli nie zdecyduje się go zabić, dopóki nie odkryje, jak to się wszystko skończy, niezależnie od tego, jak mocno jej zwierzęce instynkty będą ją do tego nakłaniać, wmawiać jej, że musi to zrobić...

Czy jego szanse mogły się równać zeru?

Przesunął wzrokiem obok niej i zobaczył, że nim go obudziła, odwróciła maszynę do pisania. Uśmiechała się do niego świetliście, błyskając dziurą po zębie, mówiąc mu, że ma prawo mieć nadzieję i powinien się starać, ale musi zdawać sobie sprawę z tego, co go czeka, kiedy już ukończy swoje dzieło. Jego los był z góry przesądzony.

Przetoczyła go pod okno i po raz pierwszy od tygodni padły na niego promienie słońca; miał wrażenie, że czuje swoją bladobiałą skórę upstrzoną tu i tam drobnymi plamami odleżyn, mrużąc z zadowolenia i dziękującą za tę ulgę. Szyba okienna była okolona wewnątrz maswerkiem mrozu i kiedy wyciągnął rękę, poczuł pulsujący chłód, który jak kopuła otaczał okno. Uczucie to było tyleż odświeżające co nostalgiczne, jak kartka od starego przyjaciela.

Po raz pierwszy od tygodni — a wydawało mu się, że lat — mógł spojrzeć na geografie inną niż ta w jego pokoju, ze swymi niezmiennymi prawdami — niebieską tapetą, obrazem przedstawiającym Łuk Triumfalny i długi, bardzo długi miesiąc luty, symbolem

którego był mały chłopiec zjeżdżający na sankach ze wzgórza (miał wrażenie, że za każdym razem, kiedy będzie się kończył styczeń i zaczynał luty, przed jego oczyma pojawi się wizerunek tego chłopca — jego twarz i elastyczna czapka na głowie — nawet gdyby żył na tyle długo, żeby doczekać jeszcze co najmniej pięćdziesięciu przewracań stron kalendarza). Spoglądał na ten nowy świat tak łapczywie, jak na swój pierwszy, w dzieciństwie oglądany film “Jelonek Bambi”. Horyzont był blisko — jak zawsze w Górach Skalistych, gdzie perspektywiczną obserwację świata raz po raz przesłaniał kolejny z górskich masywów. Niebo tego ranka było czysto niebieskie, nie skażone białą chmur. Po zboczu najbliższej góry wspinał się kobierzec ciemnozielonego lasu. Pomiędzy domem a skrajem puszczy leżało co najmniej 70 akrów otwartej przestrzeni — skrywająca je szczelnie śnieżna pokrywa lśniła oślepiająco czystą bielą. Nie sposób było powiedzieć, czy znajdująca się pod nią ziemia była polem czy łąką. Widok na tę otwartą przestrzeń przesłaniał tylko jeden budynek — schludna czerwona stodoła. Kiedy opowiadała o swoich zwierzętach czy kiedy widział ją przechodzącą z ponurą miną pod oknem, z trudem łapiącą oddech, w podmuchach wiatru chłuszczącego jej twarz, wyobrażał sobie ów budynek jako ruderę niemal żywcem wyjętą z dziecinnych opowiadań o duchach — przygięty dach, wykoślawiony i powykrzywiany na skutek wieloletniego noszenia na swoich barkach śnieżnych ciężarów, matowe, zakurzone okna, niektóre z szyb powybijane, a w ich miejsce powkładane kawałki kartonu, długie podwójne drzwi, być może rozchwierutane w zawiasach i otwarte na oścież. Ta schludna i czysta budowla, pomalowana na ciemnoczerwono, ze zgrabną kremową obramówką, wyglądała jak garaż na pięć samochodów dobrze sytuowanego właściciela ziemskiego, dla niepoznaki ukształtowany na stodołę. Z przodu stał jeep cherokee — może pięcioletni, ale najwyraźniej dobrze utrzymany. Z jednej strony stał pług Fishera z domowej roboty drewnianym rozwidleniem. Aby przymocować pług do jeepa, wystarczyło tylko wprowadzić wóz pomiędzy zęby widełek, tak żeby haki na obudowie wozu zahaczyły o zaczepy na pługu, i przekręcić dźwigienkę blokady umieszczoną na desce rozdzielczej. Wspaniały wóz dla kobiety, która mieszka samotnie i nie ma w pobliżu sąsiadów, do których w razie czego mogłaby zwrócić się po pomoc (z wyjątkiem tych przebrzydłych Roydmanów, a Annie najprawdopodobniej nie wzięłaby od nich nawet talerza kotletów, choćby umierała z głodu). Podjazd był starannie odśnieżony — świadectwo faktu, że rzeczywiście korzystała z lemiesza, ale nie widział drogi — budynek przesłaniał mu widok.

— Widzę, że podziwiasz moją stodołę, Paul.

Obejrzał się, zaskoczony. Szybki i nieuchronny ruch obudził jego ból z chwilowej drzemki. Ryknął pośpiesznie wewnątrz tego, co pozostało z jego goleni i nabrzmiałej kopuły,

która zastąpiła lewe kolano. Ból przewrócił się z jednego boku na drugi kłując go z miejsca, gdzie był uwiązany w jaskiniach kości, a potem ponownie zapadł w drzemkę.

Przyniosła jedzenie na tacy. Delikatne jedzenie — posiłek inwalidy, ale jego żołądek zawył na ten widok. Kiedy do niego podeszła, zobaczył, że nosiła białe buty na gumowej podeszwie.

— Tak — powiedział. — Bardzo ładna.

Położyła deskę na oparciach jego fotela, a na niej postawiła tacę. Potem przysunęła krzesło i usiadła patrząc, jak zaczął jeść.

— Trele-morele! Jest ładna, jak się ładnie robi. Moja matka zawsze tak mówiła. Utrzymuję ją w czystości, bo jakbym tego nie robiła, sąsiedzi zaraz zaczęliby gadać. Zawsze tylko szukają pretekstu, żeby się do mnie dobrać, albo sposobności do plotek. No to robię, co się da, aby to miejsce w miarę przyzwoicie wyglądało. Zachowywanie estetyki wyglądu jest bardzo, ale to bardzo ważne. Jeżeli chodzi o stodołę, to wcale nie taka duża sztuka — dopóki nie dopuścisz do spiętrzenia obowiązków. Najgorzej złą rzeczą jest uprzążanie dachu, żeby nie pękł pod ciężarem śniegu.

“Najgorzej złą” — pomyślał. Zachowaj ten kwiatek z leksykonu Annie Wilkes i zasadź go pośród swoich wspomnień, jeżeli, rzecz jasna, kiedykolwiek będziesz miał okazję je spisać. Razem z “przebrzydłym ptaszyskiem”, “trele-morele” i całą resztą, która — jestem pewien — pojawi się w swoim czasie.

— Przed dwoma laty kazałam Billy'emu Havershamowi założyć na dachu taśmy ogrzewcze. Włączasz przycisk, a one rozgrzewają się i topią lód. Tej zimy nie będą mi chyba zbytnio potrzebne — widzisz? Śnieg sam zaczyna się topić.

Kawałek jajka, jaki miał na widelcu, zatrzymał się w połowie drogi do ust. Zatrzymał się w powietrzu, a on spojrzął w stronę stodoły. Wzdłuż okapu zwisał rząd sopli. Koniuszki tych sopli topiły się, i to dosyć szybko. Każda kropla iskrzyła się, spadając w wąski kanał lodu ciągnący się u podnóża ściany stodoły.

— Jeszcze nie ma dziewiątej, a już mamy ponad czterdzieści pięć stopni — ciągnęła radośnie Annie, podczas gdy Paul zaczął sobie wyobrażać tylny zderzak camaro wystający spod topniejącej pokrywy śniegu, w którego metalicznej powierzchni odbijały się promyki słońca. — Oczywiście na wiosnę trzeba jeszcze trochę poczekać. Mamy przed sobą co najmniej ze trzy poważne ochłodzenia i najprawdopodobniej także jedną silną śnieżycę, ale wiosna się zbliża, Paul, a moja matka zawsze mawiała, że nadzieja wiosny jest jak nadzieja niebios.

Odłożył na talerz widelec z wciąż nadzianym nań kawałkiem jajka.

— Już nie chcesz? Najadłeś się?

— Tak. Najadłem się — przyznał, a w głębi duszy zobaczył Roydmanów nadjeżdżających z Sidewinder — zobaczył jasną strzałę światła trafiającą Roydmana w twarz, mężczyzna krzywi się i unosi rękę, aby osłonić oczy.

Co tam jest na dole?... Nie mów mi, że zwariowałem... Tam na dole coś jest! Błysk światła omal nie wypalił mi oczu! Zawracaj, chcę na to rzucić okiem!

— No to zabiorę tacę — powiedziała — a ty możesz wreszcie zacząć.

Obdarzyła go wyjątkowo ciepłym spojrzeniem. — Nie potrafię wyrazić, jak bardzo jestem podniecona, Paul.

Wyszła, zostawiając go siedzącego w fotelu i patrzącego na wodę ściekającą z lodowych sopli, zwisających wzdłuż krawędzi dachu stodoły.

29

— Chciałbym jakiś inny papier, jeżeli możesz to załatwić — powiedział, kiedy wróciła, żeby położyć na desce papier i maszynę.

— Inny niż ten? — spytała koląc palcem w opakowany w celofan plik Corrasable Bond. — Ale to najdroższy ze wszystkich! Prosiłam o ten, kiedy weszłam do sklepu!

— Czy twoja matka nigdy ci nie mówiła, że to, co najdroższe, nie zawsze jest najlepsze?

Czoło Annie spochmurniało. Początkowa postawa defensywna zmieniała się w oburzenie. Paul spodziewał się, że już wkrótce Annie się wścieknie.

— Nie, nie mówiła. Ale powiedziała mi, panie cwaniaczkę, że kiedy kupujesz tani, dostajesz tani.

Klimat wewnątrz niej — jak powoli odkrywał — był niczym wiosna na środkowym zachodzie. Była kobietą przepełnioną gwałtownymi burzami i gdyby był farmerem obserwującym niebo, które wyglądałoby tak jak teraz twarz Annie, od razu poszedłby po swoją rodzinę i wraz z nią schronił się w przeciwburzowej piwnicy. Jej ciało było nazbyt białe. Jej nozdrza rozdymały się regularnie, jak nozdrza zwierzęcia czującego ogień. Dłonie to otwierały się, to znów zamykały gwałtownie, chwytając powietrze i miażdżąc je w uścisku.

Potrzebował jej i jego uległość względem niej krzyczała, aby już przestał, aby skończył z drażnieniem jej, póki jeszcze czas — jeżeli rzeczywiście był jeszcze czas — jak

szczep w jednej z książek H. Ridera Haggarda próbowałby udobruchać rozgniewaną boginię, składając ofiary jej wizerunkowi.

Ale była też inna część jego samego — bardziej rozsądna i mniej tchórzliwa, która przypominała mu, że nie mógł grać roli Szeherazady, jeżeli zaczynał się trząść ze strachu i próbował ją przeproszać za każdym razem, kiedy się wściekała. Gdyby tak się działo — jej gniew tylko przybierałby na sile.

Gdybyś nie miał czegoś, czego ona bardzo pragnie — stwierdziła rozsądnie jakaś jego część — od razu zabrałaby cię do szpitala albo zabiłaby cię później z obawy przed Roydmanami, bo dla Annie świat jest pełen Roydmanów — jej zdaniem obserwują ją przez cały czas zza każdego krzaczka i drzewa. I jeżeli nie przyszpilisz tej dziwki już teraz, mój drogi Paul, to być może już nigdy ci się to nie uda.

Zaczęła oddychać szybciej, jakby próbowała przefiltrować całe ciało — rytm jej rozwierających się i zaciskających pięści również nabrał tempa — wiedział, że w tej właśnie chwili była nieobecna. Zbierając resztki odwagi, próbując robić dobrą minę do złej gry i uspokoić się wbrew przepełniającej go wściekłości, powiedział:

— Daj sobie spokój. Wściekanie się nic tu nie pomoże.

Zamarła, jakby wymierzył jej policzek i spojrzała na niego zraniona.

— Annie — powiedział spokojnie. — Przecież to nic takiego.

— To sztuczka — stwierdziła. — Nie chcesz pisać mojej książki i robisz różne sztuczki, żeby tylko nie zacząć. Wiedziałam, że tak będzie. Och, chłopcze. Ale to ci się nie uda. To...

— To głupie — powiedział. — Czy powiedziałem, że nie zacznę?

— Nie... nie, ale...

— No właśnie. Bo zacznę. A jak tu podejdziesz i popatrzysz przez chwilę, pokażę ci, o co chodzi. Weź ze sobą Pojemnik Webstera.

— Co?

— Ten pojemniczek z długopisami i ołówkami — rzekł. — Popularnie dziennikarze nazywają to Pojemnikiem Webstera. Od Daniela Webstera.

Było to kłamstwo spłodzone na użytek chwili, ale efekt okazał się zadowalający — była bardziej zakłopotana niż zazwyczaj, zagubiona w świecie specjalistów, o którym nie miała zielonego pojęcia. Zakłopotanie rozproszyło (albo ogłupiło) jej wściekłość jeszcze bardziej, wiedział, że ona teraz tak naprawdę nie wie, czy powinna się złościć.

Przyniosła pojemnik z ołówkami i długopisami, a potem z trzaskiem postawiła go na desce. O cholera! — pomyślał. Wygrałem! Nie — to nie było tak. Misery wygrała!

Ale to również nie było prawdą. To Szeherezada. To ona wygrała.

— Co? — powiedziała ze złością.

— Patrz.

Otworzył paczkę Corrasable i wyjął jedną z kartek. Wziął świeżo zatemperowany ołówek i nakreślił na papierze linię. Potem długopisem nakreślił drugą, równoległą do pierwszej. Później przejechał palcem po dość gładkiej powierzchni papieru. Obie linie rozmazywały się, a smugi wiodły w stronę, w którą wędrował palec — z tym że bardziej rozmazana była kreska wyrysowana ołówkiem.

— Widzisz?

— Co?

— Tusz taśmowy też się będzie rozmazywał — powiedział. — Nie tak jak ta wyrysowana ołówkiem kreska, ale gorzej niż ta zrobiona długopisem.

— I będziesz tak siedział i gmerał paluchem w każdą stronę?

— Wystarczyłoby parę tygodni tarcia jednej kartki o drugą, może nawet parę dni, a kiedy pracuje się z maszynopisem, kartki często się przekłada. Zawsze trzeba po coś zerknąć, żeby odnaleźć jakąś datę czy nazwisko. Mój Boże, Annie — jedną z pierwszych rzeczy, jaką powinnaś wiedzieć o tym biznesie, jest to, że wydawcy nie cierpią czytania maszynopisów napisanych na Corrasable Bond prawie tak bardzo, jak nie cierpią rękopisów.

— Nie mów tak. Nie znoszę, jak tak mówisz.

Spojrzał na nią, szczerze zdziwiony.

— Jak?

— Kiedy kalasz talent dany ci przez Boga, mówiąc o nim jak o biznesie. Nie cierpię tego.

— Przykro mi.

— I słusznie — stwierdziła stanowczo. — Równie dobrze mógłbyś nazwać siebie kurwą.

Nie, Annie — pomyślał nagle ogarnięty furją. Nie jestem kurwą. *Szybkie samochody* opowiadały o tym, jak nie być kurwą. Teraz, jak o tym myślę, to wydaje mi się, że to Misery pasuje do tego określenia. Jechałem na Zachodnie Wybrzeże, żeby świętować moje wyzwolenie od świata kurestwa. A ty wyciągnęłaś mnie z rozbitego wozu, kiedy się rozwalilem, i wsadziłaś mnie na powrót do koryta. Dwa dolary za zwyczajny, a za cztery przewiozę cię dookoła świata. Co jakiś czas widzę ten błysk w twoich oczach. Mówi mi, że część ciebie, zamknięta w ciasnych ścianach wnętrza, też o tym wie, sąd mógł cię uniewinnić ze względu na twoją niepoczytalność, ale nie ja, Annie. Nie ja.

— Trafna uwaga — powiedział. — A teraz wróćmy do sprawy papieru...

— Załatwię ci ten twój zafajdany papier — powiedziała pośpiesznie. — Tylko powiedz jaki, a ja to załatwię.

— Jeżeli mnie rozumiesz — jestem po twojej stronie...

— Nie rozśmieszaj mnie. Nikt nie był po mojej stronie, odkąd umarła moja matka, a to było przed dwudziestu laty.

— No to myśl sobie, co chcesz — rzucił. — Jeżeli jesteś tak niepewna, że nie potrafisz uwierzyć w moją wdzięczność za uratowanie mi życia, to twoja sprawa.

Obdarzył ją przenikliwym spojrzeniem i ponownie zobaczył w jej oczach błysk niepewności — chęć uwierzenia.

Dobrze. Bardzo dobrze. Spojrzał na nią z całą szczerością, na jaką mógł się zdobyć w owej chwili, a w głębi duszy znów wyobraził sobie, jak wbija odłamek szkła w jej gardło, raz na zawsze spuszczać krew, która służyła jej oszalałemu mózgowi.

— Przynajmniej powinnaś uwierzyć, że jestem po stronie KSIĄŻKI. Mówiłaś, że ją poprawisz. Przypuszczam, że miałaś na myśli maszynopis? Strony maszynopisu?

— Oczywiście.

Tak. Mogłaś się tego spodziewać. Bo gdybyś zabrała maszynopis do drukarza, to mogłoby wzbudzić podejrzenia. Możesz być naiwna, jeżeli chodzi o świat książek i wydawnictw, ale nie aż tak naiwna. Paul Sheldon zaginął, a twój drukarz mógłby zapamiętać, że w otrzymanym od ciebie maszynopisie pojawiła się najbardziej znana postać z powieści Paula Sheldona — i to w okresie, kiedy sam autor zniknął... I z całą pewnością zapamiętałby instrukcje — instrukcje tak dziwaczne, że każdy drukarz by je zapamiętał.

Jeden egzemplarz z maszynopisu powieści.

Tylko jeden.

“Jak ona wyglądała, oficerze? — No cóż, była potężną kobietą, wyglądała trochę jak kamienne bóstwo z powieści Haggarda. Jeszcze moment. Mam jej nazwisko i adres w aktach. Tylko przejrzyj rejestr faktur”.

— To niezły pomysł — stwierdził. — Dobrze oprawiony maszynopis może wyglądać całkiem przyzwoicie. Jak dobra edycja folio. Ale książka powinna przetrwać wiele lat, Annie, a jeżeli napiszę tę na Corrasable, to za dziesięć lat nie zostanie ci po niej nic prócz czystych kartek. Chyba, rzecz jasna, że włożysz ją z miejsca do szuflady.

Ale ona nie chciałaby tego, prawda? Chryste, nie. Będzie chciała mieć ją przy sobie. Każdego dnia. Może nie będzie się chciała z nią rozstać. Będzie pożerać ją oczami, chłonać każde jej słowo.

Na jej twarz powróciło dziwne, kamienne spojrzenie. Nie lubił tego jej uporu, tego niemal ostentacyjnego spojrzenia nieustępliwości. To wprawiało go we wściekłość. Był w stanie kalkulować jej gniew, ale w tym nowym wyrazie było coś nieprzeniknionego, jakby dzieciennego.

— Nie musisz mówić więcej — stwierdziła. — Już ci powiedziałam, że załatwię papier. Jaki rodzaj?

— Pójdiesz do sklepu...

— Nazywa się Paper Patch.

— Tak. Paper Patch. Powiedz im, że chciałybyś dwie ryzy — ryza to paczka zawierająca pięćset kart.

— Wiem. Nie jestem głupia, Paul.

— Wiem, że nie jesteś — powiedział czując, że coraz bardziej się denerwuje. Ból zaczął coś mamrotać w dole nóg, ale jego głos odezwał się silniej z okolic miednicy — siedział już od prawie godziny i obszar ten wyraźnie skarżył się na zbyt długą zmianę pozycji.

Zachowaj spokój, na litość boską! Nie strać wszystkiego, co udało ci się osiągnąć.

Ale czy w ogóle coś osiągnęłam? A może to tylko pobożne życzenia?

— Poproś o dwie ryzy białego, długowłóknistego mimeo. Dobry jest Hammermill Bond albo Triad Modern. Dwie ryzy mimeo będą kosztować mniej niż jedna paczka Corrasable i tyle powinno wystarczyć na całość, z przepisywaniem włącznie.

— No to pójde natychmiast — powiedziała wstając gwałtownie.

Spojrzał na nią zaniepokojony, zdając sobie sprawę, że znów ma zamiar go opuścić, nie dając mu kolejnej porcji lekarstw. Tym razem na siedząco. Już samo siedzenie było bolesne — zanim wróci, ból będzie potworny, nawet gdyby zechciała się pospieszyć.

— Nie musisz tego robić od razu — powiedział szybko. — Na początek może mi wystarczyć Corrasable. I tak będę musiał to przepisać.

— Tylko głupiec mógłby próbować tworzyć dzieło za pomocą złych narzędzi.

Zabrała paczkę Corrasable, po czym wzięła kartkę z dwoma rozmazanymi kreskami i zmięta ją w kulkę. Wrzuciła jedno i drugie do koszyka, a potem odwróciła się do niego. To kamienne, nieubłagane spojrzenie spowiło całe jej oblicze jak maska. Jej oczy błyszczały niczym zaśniedziałe dziesięciocentówki.

— Pojadę teraz do miasta — powiedziała. — Wiem, że chciałbyś zacząć tak szybko, jak tylko możesz, odkąd “jesteś po mojej stronie” — wypowiedziała te ostatnie słowa z naciskiem i wyraźnym sarkazmem (i — w co wierzył Paul — bardziej z nienawiścią do siebie

niż kiedykolwiek dotąd) — tak że nie będę nawet miała czasu, aby cię przenieść z powrotem do łóżka.

Uśmiechnęła się naciągając usta, które groteskowo przypominały usta lalki, i prześlizgnęła się obok niego w swych cichych, białych pantoflach pielęgniarki. Jej palce dotknęły jego włosów. Wzdrygnął się. Próbował się powstrzymać, ale nie mógł. Jej martwożywy uśmiech poszerzył się.

— Prawdę mówiąc podejrzewałam, że będziemy musieli przesunąć rozpoczęcie *Powrotu Misery* o dzień... czy dwa..., a może nawet trzy... Tak... może minąć ze trzy dni, nim znów będziesz mógł usiąść. Z powodu bólu. Straszego bólu. Miałam w lodówce szampana. Mroził się. W sumie szkoda, że się zmarnuje.

— Annie, naprawdę mogę zacząć, jak tylko...

— Nie, Paul. — Podeszła do drzwi, a potem odwróciła się, ukazując jego oczom swe kamienne oblicze. Tylko jej oczy, te na wpół zmartwiałe monety były żywe poniżej klifu jej brwi. — Jest jedno, co chciałabym ci powiedzieć na odchodne. Możesz sobie myśleć, że zdołasz mnie omamić lub oszukać. Wiem, że wyglądam na głupią albo opóźnioną. Ale nie jestem głupia, Paul. I nie jestem opóźniona.

Nagle jej twarz przełamała się. Kamienna otoczka pękła i to, co zaczęło przez nią prześwitywać, było obliczem szaleńczo rozsierzonego dziecka. Paul przez chwilę miał wrażenie, że bezgraniczne przerażenie, jakie go ogarnęło, może go zabić. Czy naprawdę mu się wydawało, że może z nią wygrać? Naprawdę? Czy mógł grać Szeherezadę, kiedy jego strażniczka była niespełna rozumu? Szła do niego, jej grube nogi pracowały zajadle, kolana gięły się elastycznie, łokcie przesuwwały się jak tłoki w przód i w tył w zatęchłym powietrzu ciasnego pokoiku. Włosy omiały jej twarz, kiedy wypadły z nich przytrzymujące je spinki. Tym razem nie szła cicho. Przypominała chodem Goliata, schodzącego w Dolinę Kości. Obraz przedstawiający Łuk Triumfalny stuknął trwożliwie o ścianę.

— Gee — aaaach! — krzyknęła i rąbnęła pięścią w nabrzmiałą kopułę bólu, która była lewym kolanem Paula Sheldona. Odrzucił głowę do tyłu i zawył, żyły wystąpiły mu na czole i szyi. Z jego kolana wytrysnął strumień bólu zalewając całe ciało. Biały, promieniujący ból, którego centrum była eksplozja supernowej.

Zerwała z deski maszynę do pisania i postawiła ją na obramowaniu kominka unosząc ciężki przedmiot z taką łatwością, jakby to było puste kartonowe pudło.

— No to posiedź tu sobie — powiedziała i ściągnęła wargi w złowieszczym uśmiechu. — I pomyśl o tym, kto tu rządzi, i o tym, co mogę z tobą zrobić, jak staniesz się zły albo będziesz próbował mnie oszukać. Posiedź tu sobie i krzycz, jeżeli chcesz, bo i tak nikt cię tu

nie usłyszcy. Nikt się tu nie zatrzymuje, bo wszyscy wiedzą, że Annie Wilkes jest szalona i wszyscy wiedzą, co zrobiła, nawet jeżeli uznali, że jest niewinna.

Podeszła do drzwi i znów się odwróciła. Oczekując kolejnej szarży z jej strony krzyknął ponownie, co sprawiło, że uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

— Jeszcze ci coś powiem — rzuciła łagodnym tonem. — Oni uważają, że mi się upiekło — i mają rację. Pomyśl o tym, Paul, podczas gdy ja będę w mieście, aby kupić ci ten twój zafajdany papier.

Wyszła trzaskając drzwiami tak mocno, że dom prawie zatrzęsł się w posadach. Potem dał się słyszeć szcęk zamka.

Osunął się w fotelu drżąc na całym ciele — próbował powstrzymać dreszcze, bo one wzmagaly ból, ale nie mógł. Łzy płynęły mu strumieniami po policzkach. Raz po raz przypominał sobie, jak sunęła przez pokój, i raz po raz widział, jak wali pięścią w to, co zostało z jego kolana — jak uderza w nie z całą siłą i wściekłością pijaka wyzywającego się na blacie baru — raz po raz przełykał ślinę, w tym potwornym białobłękitnym wybuchu supernowej bólu.

— Proszę, Boże, proszę — jęknął, kiedy na zewnątrz dał się słyszeć huk i ryk zapuszczanego silnika cherokee... — Proszę, wyciągnij mnie z tego albo zabij mnie. — Ryk silnika ucichł w dole drogi, a Bóg nie zdecydował się na żadne z proponowanych przez niego rozwiązań — siedział więc w bezruchu, z twarzą we łzach, przepełniony bólem, który obudził się już na dobre, a teraz jak oszalały przenikał całe jego ciało.

30

Potem pomyślał, że świat w swojej niezachwianej perwersji uzna te rzeczy, które zrobił później, za akt heroizmu. I prawdopodobnie przyznałby im rację, gdyby w rzeczywistości to, co robił, nie było niczym więcej jak tylko ostatnim podrygiem w walce o przetrwanie. Jak przez sen zdawał się słyszeć entuzjastyczny głos komentatora sportowego — Howarda Cosella, Warnera Wolfa lub być może zwariowanego Johnny'ego Mosta opisującego tę scenerię, jakby jego próby dostania się do jej zapasów medycznych, zanim zabije go ból, były czymś na wzór sportowych zawodów — substytutem sobotniego meczu nadawanego w telewizji. A w sumie jak można by nazwać konkurencję, w której brał udział? Bieg po prochy?

“Po prostu nie mogę uwierzyć w formę, jaką prezentuje nam dziś zawodnik Sheldon!”
— wrzeszczał entuzjastycznie komentator sportowy usadowiony pod czaszką Sheldona.

“Nie wierzę, by ktokolwiek na Stadionie Annie Wilkes, czy też raczej w tym wypadku w domowym zaciszu, mógł w ogóle myśleć, że ma jakąkolwiek, choćby nawet najmniejszą szansę wprawienia w ruch tego fotela na kółkach — zwłaszcza po ciosie, jaki mu zaaplikowano, ale ja wierzę...

...tak, właśnie! Poruszył się! Spójrzmy na powtórkę!” Pot ściekał mu po czole i zalewał oczy. Zlizał mieszankę soli i łez z warg. Dreszcze nie ustawały. Ból kojarzył się z końcem świata. Pomyślał: oto punkt, w którym jakąkolwiek dyskusja na temat bólu staje się zbędna. Nikt na świecie nie wie, że istnieje aż taki ból. Nikt. To tak jak z opętaniem przez demony.

To tylko myśl o pigułkach, novrilu, który jest przechowywany gdzieś w tym domu, sprawiła, że poruszył wózkiem. Zamknięte drzwi sypialni... możliwe, że prochów nie ma w łazience na dole, tak jak przypuszczał, ale że są ukryte gdzieś indziej... prawdopodobieństwo, że może wrócić i przyłapać go... te rzeczy w ogóle się nie liczyły, były jedynie cieniami przesłoniętymi bólem. Rozprawi się z każdym z problemów z osobna, gdyby przyszło co do czego... albo umrze. To wszystko.

Poruszanie uaktywniło taśmę płomieni poniżej jego klatki piersiowej, zagłębiała się w jego nogach coraz bardziej i bardziej, jakby zaciskały się na nich skórzane pasy, ponabijane stalowymi kolcami, skierowanymi do wewnątrz.

Ale wózek inwalidzki poruszył się. Powoli, bo powoli, ale ruszył z miejsca.

Przejechał jakieś cztery stopy, gdy zdał sobie sprawę, że jeżeli nie skręci fotela w bok, to jego wysiłki spełzną na niczym, bo minie drzwi o dobre parę stóp i trafi prosto w ścianę. Schwycił za prawe koło i zadrzał.

(Myśl o pigułkach, o uldze, o pigułkach...)

Docisnął je do dołu, jak tylko potrafił. Guma zapiszczała nieznacznie na drewnianej podłodze — jak mała mysz.

Nacisnął jeszcze raz mocno, a jego sflaczałe mięśnie zatrzęsty się jak galareta, wargi rozchyliły się ukazując zaciśnięte zęby, a wózek zaczął się powoli obracać. Złapał za oba koła i znów wprawił wózek w ruch. Tym razem przejechał pięć stóp, zanim się zatrzymał i wyprostował. Kiedy to się stało, zemdlął.

Powrócił z szarości omdlenia do smutnej rzeczywistości w pięć minut później słysząc pod czaszką przyciszony, poganiający go głos komentatora:

“I kolejna próba, proszę państwa! Nasz Paul Sheldon jest dziś doprawdy w

niecesamowitej formie!”

Front jego umysłu reagował jedynie na ból, to tylna część kierowała oczyma. Zobaczył, że jest już blisko drzwi i podjechał do nich. Pochylił się, ale brakowało mu trzech cali, by podnieść z podłogi jedną z dwóch czy trzech spinek, które wypadły jej z włosów, kiedy go zaatakowała. Przygryzł wargę, nieświadomy, że pot zalewa mu twarz, kark i ciemnieje na jego bluzie od piżamy.

“Nie sądzę, chłopcy, aby udało mu się dosięgnąć tej spinki — to była doprawdy faaaaaantastyczna próba, ale myślę, że tylko na tym się to skończy. No cóż — może nie”.

Przechylił się na prawo w swoim fotelu, z początku ignorując ból w prawym boku — ból, który wzbierał jak wzrastający pęcherz, co przypominało ból zęba, a potem poddało się — pękło i zaczęło krzyczeć. Miała rację. I tak nikt nie mógł go usłyszeć.

Czubki jego palców nadal wisały cal nad podłogą, międląc powietrze w tę i z powrotem tuż nad spinką, a jego prawe biodro sprawiało wrażenie, jakby lada chwila miało eksplodować bryzgiem jakiejś obrzydliwej kościstobiałej galarety.

O Boże... Boże, proszę, proszę. Pomóż mi.

Pomimo bólu przechylił się mocniej. Jego palce dotknęły spinki, ale tylko przesunęły ją o ćwierć cala w bok. Paul osunął się na fotelu, nadal przechylony na prawy bok, i znów zaczął krzyczeć, bo ból promieniujący z dolnych partii nóg był po prostu potworny. Oczy wychodziły mu z orbit, usta miał szeroko otwarte, język zwisał na brodzie jak sznurek do zaciągania rolet. Drobne kropelki śliny spływały z jego czubka i skapywały na podłogę. Uchwycił spinkę między palce... złapał jak w szczypce... prawie zgubił... a potem zamknął mocno w zaciśniętej pięści.

Wyprostowanie się sprawiło, że kolejna fala bólu przeszła jego ciało, a kiedy ból nieco minął, przez dłuższą chwilę nie był w stanie zrobić nic więcej, jak tylko siedzieć i oddychać ciężko z głową odchyloną do tyłu tak mocno, jak na to pozwalało oparcie fotela, i spinką leżącą na desce spoczywającej na oparciach wózka. Przez chwilę nie był pewny, czy nie zwymiotuje, ale nudności minęły.

Co ty robisz? — ostrzegła go część jego umysłu. — Czekasz, aby ból minął? Nie minie. Ona zawsze powołuje się na swoją matkę, ale twoja matka też miała parę powiedzonek. Tak. Miała.

Siedząc tak z głową odchyloną do tyłu, twarzą lśniąca od potu, włosami przyklejonymi do ciała, Paul wypowiedział jedno z nich na głos, prawie jak jakieś zaklęcie: “Może i są gnomy, może i są elfy, ale Bóg pomaga tym, którzy potrafią sobie radzić”. Znów ruszył z miejsca, przetaczając wolno wózek w stronę drzwi. Wierzył, że jest w stanie je

otworzyć. Tony Bonasaro, który był teraz jedynie niewielką kupką popiołu, trudnił się dawniej kradzieżą samochodów. W ramach przygotowania do *Szybkich samochodów* Paul poznawał złodziejskie abecadło. Pewien twardy stary gliniarz nazwiskiem Tom Twyford pokazał mu, jak zapalać wóz “na krótko”, jak używać cienkiego metalowego paska, nazywanego przez złodziei “Chudym Jimem”, do otwierania zamków w drzwiczkach wozu i w jaki sposób radzić sobie z instalacją alarmową.

“Albo — powiedział Tom pewnego wiosennego dnia w Nowym Jorku jakieś dwa i pół roku temu — powiedzmy, że nie chcesz ukraść wozu w ogóle. Masz wóz, ale nie masz benzyny. Masz rurkę, ale wóz, z którego upatrzyłeś sobie spuścić trochę paliwa, ma zamknięty zbiornik. Czy mamy tu do czynienia z poważnym problemem? Nie — jeżeli wiesz, co masz zrobić, bo większość zamków stosowanych przy zbiornikach paliwa to zwyczajna Myszka Miki. Wszystko, czego potrzebujesz, to zwyczajna spinka”.

Ustawienie fotela w dogodnej pozycji — dokładnie tak, jak tego chciał — z lewym kołem niemal dotykającym drzwi, zajęło Paulowi pięć ciągnących się w nieskończoność minut. Dziurka od klucza była starego typu, przypominała Paulowi rysunki Alana Tenniela do *Alicji w krainie czarów* — umieszczona pośrodku matowego zamka. Zsunął się trochę niżej w fotelu, wydał z siebie jedno zduszone burknięcie i spojrzął przez nią. Widział krótki korytarz prowadzący w dół do saloniku — ciemnoczerwony dywan na podłodze, staromodną otomanę pokrytą narzutą z podobnego materiału i lampę z ozdobnymi kitkami zwieszającą się z sufitu, ledwo zauważalną w półmroku.

Po lewej, w połowie korytarza znajdowały się uchylone drzwi. Puls Paula przyspieszył tempo. To była najprawdopodobniej łazienka — często słyszał dochodzący stamtąd odgłos puszczanej wody (nawet wtedy, kiedy nalewała tam wody do kubła, z którego tak entuzjastycznie wypił) i czy to nie tam stale zachodziła przed podaniem lekarstwa?

Uznał, że najprawdopodobniej tak.

Ujął spinkę. Wyślizgnęła mu się z palców na deskę i potoczyła w stronę jej krawędzi.

— NIE! — wrzasnął ochryple i przycisnął ją ręką, zanim zdążyła spaść. Zacisnął ją w pięści, a potem znów zapadł się w otchłań nieświadomości.

Choć nie mógł tego powiedzieć na pewno, wydawało mu się, że za drugim razem jego omdlenie trwało dłużej. Ból — z wyjątkiem rozdzierającej agonii jego lewego kolana — zdawał się stracić trochę na sile. Spinka spoczywała wciąż na desce leżącej na oparciach jego fotela. Tym razem rozłożył i zacisnął parę razy palce prawej dłoni, zanim ją podniósł.

A teraz — pomyślał rozginając ją i trzymając w prawej dłoni — nie zadrzysz. Trzymaj się tej myśli. Nie zadrzysz.

Przechylił się i włożył spinkę w otwór, trzymając ją prawą ręką i nasłuchując, jak komentator w jego mózgu

(tak żywym!)

opisuje jego wysiłki.

Pot ściekał mu po twarzy jak oliwa. Nasłuchiwał... ale jeszcze bardziej czuł.

“Zapadka w tanich zamkach nie jest niczym więcej, jak tylko zwyczajnym biegunem — rzekł Tom Twyford pokazując mu sposób działania mechanizmu ruchem ręki. — Chcesz przewrócić fotel na biegunach? Najłatwiejsza rzecz na świecie, prawda? Wystarczy złapać za bieguny, pociągnąć — i mamuska leży jak długa — nic prostszego, i to wszystko, co możesz zrobić z tego typu zamkiem. Przesunąć zapadkę w górę, a potem szybko otworzyć klapkę zamykającą wieko paliwa, zanim zdąży wrócić na swoje miejsce”.

Dwukrotnie udało mu się złapać zapadkę, ale oba razy spinka obsuwała się i zapadka wracała na swoje miejsce, zanim zdążył zrobić cokolwiek więcej, niż tylko złapać za klamkę.

Spinka zaczęła się giąć. Uznał, że jeszcze dwie, trzy próby i się złamie.

— Proszę, Boże — powiedział, wkładając ją ponownie w otwór. — Proszę cię, Boże, co ty na to? Pozwól mi tego dokonać, ulituj się nad dzieciakiem — to wszystko, o co cię proszę.

(“Panie i panowie, Sheldon dokonuje dziś heroiczych wysiłków, ale to już chyba jego ostatnie podrygi”. Tłum zamilkł...)

Zamknął oczy, głos komentatora ucichł, podczas gdy on nasłuchiwał szczękę spinki w zamku. Teraz! Był opór! Zapadka! Widział ją, jak zakrzywioną nogę bujanego fotela, naciskającą na język zamka, utrzymującą go w pozycji zamkniętej, nie wypuszczającą go z tego pokoju.

„To zwyczajna Myszka Miki, Paul. Tylko spokojnie”.

Kiedy czujesz tak potworny ból, raczej trudno jest ci zachować spokój. Złapał lewą dłońią za klamkę — aby to zrobić, musiał przełożyć lewą rękę pod prawą — i zaczął z lekka naciskać na spinkę. Jeszcze trochę... jeszcze trochę...

Oczyma wyobraźni widział fotel na biegunach, stojący w pustej alkowie, który zaczyna się poruszać. Widział, jak język zamka zaczyna się cofać. Nie musi go odciągnąć do końca — dobry Boże — nie, nie musi przewracać fotela na biegunach, jeżeli już miał użyć metafory Toma Twyforda. Tylko trochę, aby wyszło poza obręb framugi — pchnięcie...

Spinka momentalnie zaczęła się giąć i wyslizgiwać. Czuł, że to się dzieje, i w rozpaczy pchał z całej siły ku górze; przekreślił klamkę i naparł na drzwi.

Rozległo się stłumione trzask, spinka pękła na pół i jeden kawałek spadł do wnętrza

zamka. Przez chwilę wydawało się już, że przegrał, kiedy nagle drzwi stanęły przed nim otworem, a język zamka wystawał z płytki niczym stalowy palec.

— Jezu — wyszeptał. — Jezu, dziękuję.

“Obejrzyjmy to jeszcze raz na wideo” — zawył w głębinach jego mózgu Warner Wolf, a jego głos, jak głos tysięcy na Stadionie Annie Wilkes, nie wspominając o nieprzebranych milionach obserwujących to w domach, zmienił się w radosny ryk.

— Nie teraz, Warnerze — warknął i rozpoczął długi, wyczerpujący manewr wycofywania i ustawiania fotela tak, żeby mógł nim przejechać na wprost, przez otwarte drzwi.

31

Przeżył złą — nie, nie tylko złą — okropną chwilę, kiedy wydawało mu się, że wózek nie przejedzie, że nie będzie pasował. Był nie więcej niż dwa cale za szeroki, ale mimo to aż o dwa cale.

Wprowadziła go tu złożony i dlatego z początku myślałeś, że to wózek sklepowy — poinformował go sennie jego umysł.

W końcu zdołał się jakoś precyzyjnie — ledwo, ledwo, ustawiając wózek równo w drzwiach, a potem przechylając się do przodu, aby móc oburącz uchwycić z całych sił za framugę drzwi. Dekle na kołach zaszorowały po drewnie, ale udało mu się przejechać.

Potem znów stracił przytomność.

32

Głos Annie wyrwał go z drzemki. Otworzył oczy i zobaczył, że celuje do niego z dubeltówki. Jej oczy błyszczały z wściekłości. Na zębach migotała ślina.

— Jeżeli tak bardzo pragniesz wolności, Paul — powiedziała Annie — to będę naprawdę szczęśliwa, jeżeli zdołam spełnić twoje życzenie.

Odciągnęła oba kurki.

Zadrzał, oczekując na wystrzał. Ale oczywiście jej tam nie było — jego umysł zdołał już rozpoznać, że to był zwykły sen.

Nie sen — ostrzeżenie. Może wrócić w każdej chwili. Kiedykolwiek.

Jakość światła wpadającego przez wpół otwarte drzwi do łazienki zmieniała się — zrobiło się jaśniej. Było jasno jak w południe. Chciał, żeby zegar zaczął wybijać godzinę i upewnił go, jak bardzo jest bliski prawdy, ale zegar uparcie milczał.

Poprzednim razem nie było jej pięćdziesiąt godzin. Poprzednio. Tym razem mogło jej nie być osiemdziesiąt. Albo kto wie, może już za parę sekund usłyszysz na podjeździe odgłos silnika cherokee. W razie gdybyś o tym nie wiedział, przyjacielu, instytut meteorologii może zapowiedzieć ostrzeżenie burzowe, ale kiedy przychodzi do określenia, kiedy i gdzie nadejdzie burza, nie wiedzą kompletnie nic.

— To fakt — powiedział i przejechał na wózku do łazienki. Zaglądając do środka, zobaczył surowe pomieszczenie o podłodze wyłożonej białymi kafelkami. Kulawa wanna z wachlarzami rdzy rozpościerającymi się poniżej kurków. Obok niej szafka na bieliznę, a dalej umywalka. Nad umywalką — szafka z lekarstwami.

W wannie stał kubeł — widział górę jego plastikowej obudowy — korytarz był dostatecznie szeroki, aby mógł w nim wykręcić wózek i stanąć na wprost drzwi, ale w obecnej chwili jego ramiona dygotały z wyczerpania. Jako chłopiec był słabowity i dlatego próbował zadbać o siebie jako dorosły, ale jego mięśnie były teraz mięśniami inwalidy — słabowity dzieciak wrócił i cały ten czas, jaki spędził robiąc pompki, biegając i trenując na maszynie Nautiliusa, wydawał się snem.

Przynajmniej te drzwi były szersze — nie bardzo, ale dość, by przejazd nie był tak dramatyczny.

Paul przejechał przez nadproże, a potem gumowe koła wózka gładko przetoczyły się po kafelkach. Czuł coś gorzkiego, coś co automatycznie kojarzyło mu się ze szpitalem — może lizol. Nie było tu toalety, co już wcześniej podejrzewał, jedyny odgłos spuszczonej wody dochodził z góry, a jak to teraz zauważył, każde spuszczenie wody na górze poprzedzało jego skorzystanie z kaczki. Tu, na dole była tylko wanna, umywalka i szafka na bieliznę, której drzwiczki stały otworem.

Rzucił krótkie spojrzenie na schludny stosik niebieskich ręczników i świeżej bielizny

— zapoznał się z nimi po gąbczanych kąpielach, których mu nie szczędziła — a potem zwrócił swoją uwagę ku szafce z lekarstwami nad umywalką.

Była poza jego zasięgiem.

Obojętnie, jak by się wyteżał, znajdowała się dobre dziewięć cali ponad czubkami jego palców. Zdawał sobie z tego sprawę, a mimo to sięgał dalej, niezdolny uwierzyć, że los, Bóg czy ktoś tam jeszcze może być tak okrutny. Wyglądał jak zawodnik poza polem, próbujący desperacko złapać piłkę zawodników swojej drużyny, choć jego akcja była z góry skazana na niepowodzenie.

Paul dobył z siebie ranny, stłumiony głos, opuścił rękę, a potem rozparł się w fotelu, dysząc ciężko. Szara chmura zniżyła się. Zdołał ją odegnać i rozejrzał się wokoło w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby otworzyć drzwiczki szafki. Zobaczył szczotkę o długim niebieskim kiju, stojącą w kącie.

Chcesz tego użyć? Naprawdę? No cóż, myślę, że mógłbyś odchylić, a później otworzyć drzwiczki szafki z lekarstwami, potem zaś po prostu wygarnąć zawartość do umywalki. Ale butelki potłuką się, a nawet jeżeli tam nie ma butelek (co raczej wątpliwe) — bo każdy ma w takiej szafce jedną czy dwie buteleczki listeriny czy scope'a — to nie będziesz miał jak postawić tego z powrotem. A zatem kiedy ona wróci i zobaczy ten bałagan... co się wtedy stanie?

— Powiem jej, że to była Misery — burknął. — Powiem, że wpadła przelotnie, bo szukała jakiegoś specyfiku, który mógłby ją wskrzesić z martwych.

Potem zapłakał, ale nawet przez łzy jego oczy lustrowały pomieszczenie — szukały czegoś, inspiracji, pomysłu, jakiegoś cholernego pomysłu...

Znowu patrzył na szafkę z ręcznikami, a jego przyspieszony oddech zamarł nagle. Oczy rozszerzyły się.

Kiedy po raz pierwszy zaglądał do szafki, ograniczył się do przejrzenia półek ze stosikami poszewek, bielizny i ręczników. Teraz patrzył na podłogę, a na podłodze stało parę kwadratowych kartonowych pudeł. Kilka z nich było oznaczone napisem UPJOHN. Niektóre napisem LILLY. Niektóre — CAM.WYROBY FARMACEUTYCZNE. Wykręcił ostro wózek i choć czuł przy tym potworny ból, nie zwracał na to uwagi.

Proszę cię, Boże. Niech to nie będą zachomikowane pudła szamponu, tamponów czy zdjęć jej ukochanej, starej, nieomal świętej mamuśki lub...

Sięgnął po jedno z pudeł, wyciągnął je i otworzył klapy pudła. Żadnego szamponu, żadnych avonów. Co to, to nie. Wewnątrz znajdowały się porozrzucane pudełka z lekarstwami — większość z nich opatrzona była napisem: SERIA PRÓBNA.

Na dnie parę pigułek i kapsułek różnych kolorów, leżących luzem. Niektóre znał, takie jak mitrim i lopressor — lekarstwo na nadciśnienie, które jego ojciec zażywał przez trzy ostatnie lata swego życia. O innych nigdy nie słyszał.

— Novril — wymamrotał przeszukując wściekle wnętrze pudełka, podczas gdy pot ściekał mu po twarzy, w nogach dudniło, a pulsujący ból targał całym ciałem.

— Novril — gdzie jest ten pieprzony novril?

Nie było. Zamknął klapy pudła i wsunął je na powrót do szafki na bieliznę, starając się, o ile to możliwe, ustawić je na tym samym miejscu co poprzednio. Powinno być dobrze — tu i tak panował cholerny bałagan.

Przechylając się mocno w lewo zdołał przyciągnąć do siebie drugie pudło. Otworzył je i nie wierzył własnym oczom.

Darvon. Darvocet. Mieszanina darvonu, morphose i morphose complex. Librium. Valium. I novril. Tuziny i tuziny tuzinów niewielkich pudełek z próbnym specyfikiem. Drogie pudełka. Ukochane pudełka. O ukochane, drogie, święte pudełka. Otworzył jedno siłą i zobaczył kapsułki, które wydzielala mu co sześć godzin, opakowane w przezroczysty cienki plastik.

NIE WYDAWAĆ BEZ PRZEPISU LEKARZA — brzmiał napis na pudełku.

— Och, drogi Boże, lekarz jest wewnątrz — zaszlochał Paul.

Rozerwał celofan zębami i zjadł trzy kapsułki, prawie nie zwracając uwagi na ich gorzki, nieprzyjemny smak. Zatrzymał się, spojrzął na pięć pozostałych tabletek w porwanej celofanowej osłonie i połknął czwartą.

Rozejrzał się szybko, opuściwszy brodę na piersi — jego oczy były czujne i przerażone. Chociaż wiedział, że jeszcze za wcześnie na jakąkolwiek ulgę — czuł ją, miał pigułki, a to było ważniejsze niż branie ich. To było tak, jakby posiadał władzę nad księżycem i przyptywami albo jakby mu się udało sięgnąć w górę i wziąć co nieosiągalne. To była okropna myśl — straszna... przerażająca, kryjąca w sobie poczucie winy i bluźnierczego czynu.

Gdyby tak teraz wróciła...

— W porządku, dobrze. Załapałem.

Spojrzął na pudło, próbując dociec, ile pudełek novrilu mógłby przeszmygłować, aby nie zdołała domyślić się, że pewna mała myszka nazwiskiem Paul Sheldon uszczupliła nieznacznie zapas jej medykamentów.

Zachichotał cienkim, piskliwym głosikiem i zdał sobie sprawę, że lekarstwo działało nie tylko na jego nogi. Mówiąc całkiem bezpośrednio, dostał to, czego chciał, i było mu

dobrze.

Ruszaj się, idioto. Nie masz czasu na zabawianie się w posąg. Wziął pięć pudełek — w sumie trzydzieści kapsulek. Powstrzymał się przed wzięciem więcej. Poprzewracał pozostałe pudełka i buteleczki w pudle, mając nadzieję, że rezultat będzie mniej więcej taki sam jak na początku jego poszukiwań. Zamknął klapy i wsunął pudło do szafki.

Nadjeżdżał samochód.

Wyprostował się, jego oczy rozszerzyły się. Dłonie opadły na oparcia fotela i zacisnęły się na nich z potworną, wzmożoną przerażeniem siłą. Jeżeli to Annie, to jest w pułapce, i to już koniec. Nie zdoła na czas wprowadzić tego narowistego, przydużego fotela z powrotem do sypialni. Może zdołałby przyłożyć jej raz czy dwa kijem od szczotki, zanim ukręciłaby mu łeb jak kurczakowi.

Siedział w fotelu z pudełkami novrilu na podolku, z połamanyimi nogami sterczącymi sztywno przed nim i czekał, czy samochód przejedzie, czy też zakręci.

Dźwięk zdawał się ciągnąć w nieskończoność... potem zaczął cichnąć.

W porządku. Potrzebujesz bardziej przekonującego ostrzeżenia — Paul, dziecino?

W samej rzeczy nie potrzebował. Po raz ostatni spojrzał na pudełka. Jego zdaniem wyglądały tak samo jak wtedy, kiedy zobaczył je po raz pierwszy, chociaż patrzył na nie przez mgiełkę bólu i nie mógł być całkiem pewny, ale wiedział, że pudełka wewnątrz mogą być ułożone inaczej niż dotychczas — w gruncie rzeczy poprzewalał je, i to dość solidnie. Miała powiększoną świadomość człowieka w stanie głębokiej neurozy i być może potrafiła zapamiętać dokładnie ułożenie pudełek. Być może wystarczy jej jedno spojrzenie do wnętrza pudła, aby domyślić się, co się zdarzyło. To przeświadczenie nie wzbudziło w nim strachu, ale uczucie rezygnacji — potrzebował lekarstw i w jakiś sposób udało mu się wymknąć z pokoju i zdobyć je. Jeżeli miał ponieść jakieś konsekwencje swego czynu, jakąś karę, stawia im czoło z przekonaniem, że nie mógł zrobić nic innego, prócz tego, co zrobił. A z tego, co ona z nim zrobiła, rezygnacja była z całą pewnością symptomem najgorszego — zmieniła go w cierpiące zwierzę pozbawione jakichkolwiek opcji moralnych.

Powoli wyprowadził wózek z łazienki, raz po raz oglądając się za siebie, aby sprawdzić, czy nie zjechał z kursu. Przedtem po takim ruchu krzyczałby z bólu, teraz ból zniknął pod wspianą pokrywą ze szkła.

Wjechał do korytarza, a potem zatrzymał się, kiedy w jego mózgu pojawiła się straszliwa myśl; jeżeli podłoga w łazience była choć trochę mokra albo po prostu brudna...

Spojrzał na nią i przez chwilę przekonanie, że zostawił ślady na tych czystych białych kafelkach, było tak przekonujące, że po prostu je zobaczył. Pokręcił głową i spojrzał

ponownie. Żadnych śladów. Ale drzwi były otwarte szerzej niż poprzednio. Podjechał bliżej, skręcił koło bardziej w prawo, żeby móc się przechylić i złapać za klamkę, a potem przymknął drzwi. Przyjrzał się im i przymknął jeszcze bardziej, zostawiając jedynie wąską szparę. Tak. Tak wyglądało nieźle.

Sięgnął w stronę kół zamierzając wykręcić fotel tak, by móc zawrócić do swego pokoju, kiedy nagle zdał sobie sprawę, że jest skierowany mniej więcej w stronę living roomu, a living room to miejsce w domu, gdzie u większości ludzi znajduje się telefon i...

Światło rozbłysło w jego mózgu jak flara nad spowitą we mgle łaką.

— *Halo. Posterunek policji w Sidewinder. Mówi oficer Humbuggy.*

— *Proszę mnie posłuchać, oficerze. Proszę słuchać uważnie i nie przerywać, bo nie wiem, ile mam czasu. Nazywam się Paul Sheldon. Dzwonię z domu Annie Wilkes. Byłem jej więźniem od co najmniej dwóch tygodni, a może nawet od miesiąca. Ja...*

— *Annie Wilkes!*

— *Wyruszajcie natychmiast. Przyślijcie karetkę. I na miłość boską przyjedźcie tu, zanim ona wróci...*

— *Zanim ona wróci* — jęknął Paul. — *O tak. Z daleka.*

A dlaczego w ogóle sądzisz, że ona ma telefon? Czy słyszałeś, żeby w ogóle gdzieś dzwoniła? Do kogo miałyby dzwonić? Do jej dobrych przyjaciół — Roydmanów?

To, że nie ma nikogo, z kim mogłaby pogadać przez cały dzień, nie znaczy, że nie potrafi zrozumieć, że wypadki chodzą po ludziach. Mogłaby spaść i złamać sobie rękę czy nogę, stodoła mogłaby się zapalić...

Ile razy słyszałeś ten twój wymaginowany telefon? Co to znowu za wymagania? Czy twój telefon też musi dzwonić co najmniej raz dziennie, bo w przeciwnym razie ci go wyłączą? Poza tym przez większość czasu byłem nieprzytomny.

Nadużywasz swego szczęścia. Nadużywasz swego szczęścia i wiesz o tym.

Tak. Wiedział o tym, ale myśl o tym telefonie, wymaginowane uczucie chłodnego, czarnego plastyku pod jego palcami, szcęk obrotowej tarczy albo pojedynczy bucący dźwięk, kiedy wykręci 0 — były to pokusy zbyt wielkie, by mógł się im oprzeć.

Wykręcił fotel tak, że znalazł się dokładnie naprzeciw saloniku, a potem pojechał w tamtą stronę.

To miejsce pachniało pleśnią, stęchlizną, nieokreślonym znużeniem. Choć zasłony strzegące łukowych okien były tylko na wpół zaciągnięte, pozwalając dostrzec wspaniałą panoramę gór, pokój zdawał się zbyt ciemny — bo jego kolory były zbyt mroczne — pomyślał. Dominowała ciemna czerwień, jakby ktoś rozlał tu sporą ilość żyłnej krwi. Nad

obramówką kominka wisiał kolorowy portret poważnej kobiety z niewielkimi oczyma pograżonymi w cielistej twarzy. Różane usta były ściągnięte. Zdjęcie, w pozłacanej rokokowej ramce, było wielkości fotografii prezydenta, znajdującej się w lobby biura pocztowego jakiegoś wielkiego miasta. Paul nie potrzebował potwierdzonego oświadczenia, aby wiedzieć, że była to ukochana i niemal święta mamuśka Annie.

Wtoczył się trochę dalej do pokoju. Lewy bok wózka rąbnął w mały stoliczek, na blacie którego stały ceramiczne błyskotki. Stuknęły o siebie, a jedna z nich — porcelanowy pingwin stojący na porcelanowej górze lodowej — spadła ze stołu. Bez namysłu wyciągnął rękę i złapał go. Akcja była prawie mimowolna — reakcja pojawiła się w chwilę później. Trzymał pingwina mocno w zaciśniętej dłoni, próbując przewyciężyć dreszcze. Złapałeś to, nic się nie stało. Ponadto na podłodze leży dywan. Prawdopodobnie i tak by się nie potłukło...

Ale gdyby się potłukło! — krzyknął jego umysł. Gdyby się potłukło! Proszę, musisz wrócić do swojego pokoju, zanim coś po sobie zostawisz... jakiś ślad...

Nie. Jeszcze nie. Niezależnie od tego, jak bardzo był przerażony. Za dużo go to kosztowało. Jeżeli miał za to zapłacić, musiał to zrobić. Rozejrzał się po pokoju, pełnym ciężkich, pozbawionych wdzięku mebli. Powinien być zdominowany przez łukowe okna i przepiękną panoramę Gór Skalistych za nimi, ale miast tego w pokoju dominowała fotografia pulchnej kobiety zamkniętej w klatce upiornie błyszczącej ramki ze swymi ozdobnymi zakrętami i kędziorami lodowatego, pozłacanego metalu.

Na stole przy drugim końcu tapczanu, gdzie mogłaby przesiadywać, żeby oglądać telewizję, znajdował się zwyczajny aparat telefoniczny. Łagodnie, prawie nie odważając się oddychać, postawił porcelanowego pingwina (TO JUŻ KONIEC MOJEJ OPOWIEŚCI — brzmiał podpis na lodowej skale) na stoliku i przejechał przez pokój w stronę telefonu.

Przed sofą stał jeszcze jeden stolik, objechał go szerokim łukiem. Stała na nim brzydka zielona waza, z wetkniętym w nią bukietem uwiedłych kwiatów — całość wyglądała wyjątkowo topornie i ciężko — miał wrażenie, że gdyby tego dotknął, przewróciłoby się natychmiast.

Żadnych odgłosów samochodów na zewnątrz — tylko szum wiatru. Wziął do ręki słuchawkę telefonu i podniósł ją delikatnie. Dziwne, spodziewane uczucie porażki ogarnęło jego umysł, jeszcze zanim przyłożył słuchawkę do ucha i nic nie usłyszał.

Odłożył słuchawkę powoli i przyszła mu na myśl zwrotka ze starej piosenki Rogera Millera i choć bezsensowna, dla niego w obecnej chwili była wyjątkowo znacząca: “Bez telefonu, bez basenu, bez zwierzaków... Nie mam ani jednego papierosa...”

Spojrzał na przewód telefonu, zobaczył mały kwadratowy moduł gniazdka nisko na

ścianie i włożoną weń wtyczkę. Wszystko wydawało się w należyтым porządku.

“*Zachowanie estetyki wyglądu jest bardzo ważne*”. Jak stodoła z taśmami ogrzewczymi.

Zamknął oczy i zobaczył Annie Wilkes wyjmującą wtyczkę i zalewającą otwory gniazdka szybko schnącym klejem. Zobaczył ją wkładającą wtyczkę w ociekające klejem otwory, gdzie wkrótce stwardnieje i zastygnie na zawsze. Kompania telefoniczna nie będzie miała pojęcia, że coś jest nie w porządku, dopóki ktoś nie będzie próbował się do niej dodzwonić i doniesie, że linia jest uszkodzona. Ale kto będzie próbował dodzwonić się do Annie Wilkes? Nikt. Będzie otrzymywał comiesięczne rachunki za telefon i uiszczać je regularnie, ale głuchy telefon pozostanie jedynie częścią wystroju mieszkania, częścią jej nie kończącej się walki o “zachowanie estetyki wyglądu”, jak ta schludna stodoła świeżo pomalowana na czerwono z kremową obramówką i taśmy ciepłne, mające stopić gromadzący się na dachu lód.

Czy dokonała kastracji telefonu na wypadek jego ewentualnej eskapady? Takiej jak ta? Czy przewidziała możliwość, że zdoła wydostać się z pokoju?? Wątpił w to. Telefon — czynny telefon musiał działać jej na nerwy na długo przed jego przybyciem. Może leżała nocami, nie mogąc zasnąć, patrząc w sufit, nasłuchując niepokojącego wycia wiatru, wyobrażając sobie ludzi, którzy musieli myśleć o niej z niechęcią lub otwartą wrogością — o całym tym świecie Roydmanów — o ludziach, którzy mogli zadzwonić do niej któregoś dnia i krzyknąć: Ty to zrobiłaś, Annie! Zabrali cię aż do Denver i wiemy, że to ty zrobiłaś! Nie zabraliby cię do Denver, gdybyś była niewinna!

Rzecz jasna mogła poprosić i dostać zastrzeżony numer, każdy, kto był sądzony za jakąś poważną zbrodnię i został uniewinniony (to musiała być jakaś poważna zbrodnia, skoro proces toczył się w Denver), tak by zrobił, ale nawet zastrzeżony numer nie mógłby zadowolić na długo tak neurotycznego umysłu, jaki tkwi pod czaszką Annie Wilkes. ONI wszyscy byli związani spiskiem przeciwko niej i gdyby chcieli, zdobyliby jej numer bez problemu — adwokaci, którzy byli przeciwko niej, na pewno cieszyliby się, gdyby mogli podawać jej numer telefonu wszystkim, którzy by o niego poprosili — a ludzie prosiliby, o tak — bo ona rozumiała świat jako mroczne miejsce pełne poruszających się ludzkich tłumów — jak morze — wrogi wszechświat otaczający niewielką pojedynczą scenę, na której, oświetlona jasnym światłem jedyne reflektora... stoi ona. Tylko ona. Dlatego też najlepszym wyjściem było dla niej pozbycie się telefonu, uciszenie go i tak samo uciszyłaby jego, gdyby wiedziała, że posunął się aż tak daleko. Ogarnął go paniczny strach, mówiący mu, że musi się stąd wydostać i wrócić do swego pokoju — ukryć gdzieś pigułki — wrócić

do swego pokoju, choćby i przez okno, tak żeby nie zauważyła żadnych zmian, absolutnie żadnych różnic — i tym razem zgodził się ze zdaniem swego wewnętrznego głosu. Zgodził się z nim z całego serca. Oddalił się ostrożnie od telefonu i kiedy wyjechał na względnie pusty obszar, rozpoczął żmudną pracę związaną z wykręceniem wózka w drugą stronę — i to tak ostrożnie, by nie rąbnąć przy tym w jakiś znajdujący się przypadkiem na jego drodze stolik. Prawie skończył obrót, kiedy usłyszał odgłos zbliżającego się samochodu i wiedział — po prostu wiedział, że to właśnie ona powraca z miasta.

34

Prawie zemdłał, ogarnięty nie znanym do tej pory przerażeniem, grozą przepelnioną w znacznym stopniu poczuciem winy. Nagle przypomniał sobie jeden jedyny epizod ze swego życia, zbliżony do obecnego pod względem jakości natury emocjonalnej. Miał 12 lat. Było to podczas wakacji, jego ojciec był w pracy, a matka pojechała tego dnia do Bostonu wraz z p. Kaspbrak z naprzeciwka. Znalazł paczkę jej papierosów i zapalił jednego. Palił go entuzjastycznie, czując jednocześnie mdłości i bezbrzeżną radość, miał wrażenie, że właśnie tak czują się złodzieje podczas napadu na bank. Kiedy wypalił pół papierosa, a pokój wypełnił się dymem, usłyszał, jak otwiera frontowe drzwi. — Paulie? To ja, zapomniałam torebki! — Zaczął gwałtownie wymachiwać rękami, żeby rozwiać dym, wiedząc, że to i tak nic nie pomoże, że został przyłapany i będzie musiał ponieść karę.

Tym razem to będzie coś więcej niż tylko zwykła kara. Przypomniał sobie sen, który miał podczas jednego z zasłabnięć: Annie naciągającą kurki dubeltówki i mówiącą: “Jeżeli tak bardzo pragniesz wolności, Paul, to będę szczęśliwa mogąc spełnić twoje życzenie”.

Odgłos silnika zaczął cichnąć, jakby nadjeżdżający samochód zwalniał. To była ona.

Paul położył na kołach ręce, których prawie nie czuł, i zaczął toczyć fotel w kierunku korytarza, ale wcześniej jeszcze raz spojrzął na porcelanowego pingwina na lodowej skale. Czy stał w tym samym miejscu? Trudno powiedzieć. Miał nadzieję, że tak.

Przejechał przez korytarz w stronę drzwi sypialni, nabierając szybkości. Miał nadzieję, że przejedzie prosto i czysto, ale jak się okazało, odrobinę zjechał z drogi. Odrobinę — ale to wystarczyło. Fotel rąbnął w prawą framugę drzwi i cofnął się nieznacznie.

Czy zdrapałeś farbę? — ryknął na niego jego umysł. — O Chryste! Czy zdrapałeś farbę? Czy zostawiłeś ślad?

Żadnego zadrapania. Małe wgięcie, ale żadnego zadrapania. Dzięki Bogu. Cofnął się i pracował opętańczo, próbując ustawić wózek w pozycji dogodnej do przeciśnięcia się przez wąskie drzwi.

Odgłos silnika zbliżał się, ale wóz ciągle zwalniał. Nawet teraz słyszał na śniegu chrzęst opon zaopatrzonych w łańcuchy.

Spokojnie. Tylko spokojnie to...

Ruszył do przodu i właśnie wtedy piasty kół zaklinowały się w drzwiach. Pchnął mocniej, wiedząc, że to i tak na nic, że był uwięziony w drzwiach jak korek w butelce — niezdolny do wyrwania się w którąkolwiek stronę.

Zmusił się do ostatniego wysiłku, mięśnie jego ramion zadrżały jak naciągnięte struny skrzypiec i fotel przejechał przez drzwi z tym samym piskliwym odgłosem.

Cherokee skręcił na podjazd.

Będzie miała paczki... pomyślał. Papier do maszyny, może też parę innych rzeczy — ze względu na lód przed domem będzie szła powoli, a ty jesteś już w środku. Najgorsze masz za sobą... Masz jeszcze czas... Nadal masz jeszcze czas.

Przejechał dalej do pokoju, po czym zatoczył wąski półokrąg. Kiedy podjechał wózkiem równoległe do drzwi, usłyszał, jak na zewnątrz gaśnie silnik jeepa.

Przechylił się, złapał za klamkę i próbował zatrzasnąć drzwi. Język zamka, wciąż jeszcze wystający jak sztywny, stalowy palec, uderzył we framugę. Popchnął go opuszką palca. Zaczął się przesuwac... a potem zatrzymał się. Znieruchomiał, uniemożliwiając zamknięcie drzwi.

Patrzył na to przez chwilę jak ogłupiały, myśląc o starej marynarskiej maksymie: Cokolwiek może się nie udać, nie uda się na pewno.

Proszę, Boże, już dość, czy nie wystarczy, że już zabiła telefon?

Puścił język. Znowu wysunął się na całą długość. Popchnął go jeszcze raz i znów natrafił na opór. W żołądku zamka usłyszał dziwny grzechot i zrozumiał. To była część spinki, która się złamała. To ona w jakiś sposób blokowała język zamka i nie pozwalała na całkowite cofnięcie go do pozycji wyjściowej. Usłyszał, jak drzwiczki cherokee otworzyły się. Słyszał nawet, jak chrząknęła, wysiadając. Słyszał szelest papierowych toreb, kiedy wyjmowała z wozu sprawunki.

— No, dalej — wyszeptał i zaczął przesuwac język zamka, gorączkowo, w tę i z powrotem. Za każdym razem przesunął się o 1/16 cala, a potem się zatrzymywał. Słyszał dochodzący z wnętrza zamka grzechot uwięzionego tam kawałka spinki. No dalej... dalej... dalej.

Znowu płakał i choć nie zdawał sobie z tego sprawy, pot i łzy mieszały się w jedno na jego policzkach. Miał mętne wrażenie, że nadal czuje potworny ból — pomimo wszystkich tych prochów, jakie ostatnio łyknął — i że płaci sporą cenę za to, co zrobił. A zrobił w sumie niewiele.

Nie tak wysoką, jaką ona każe ci zapłacić, jeżeli nie uda ci się zamknąć tych drzwi, Paulie.

Słyszał chrzęszczące, ostrożne kroki, kiedy szła po ścieżce. Szelest toreb..., a teraz brzęk jej kluczy, które wyjęła z torebki.

Dalej... dalej... dalej.

Tym razem, kiedy nacisnął na język, z wnętrza zamka dobiegł go słaby trzask i metalowy występ wsunął się na ćwierć cala do wnętrza drzwi. Nie dość, aby nie zahaczyć o framugę... ale prawie.

Proszę... dalej!

Mocował się z zamkiem szybciej i bardziej nerwowo — naciskał na niego i szarpał, nasłuchując, jak ona w tym czasie otwiera drzwi do kuchni. Potem, niczym okropne wspomnienie tego dnia, kiedy jego matka przyłapała go na paleniu, Annie krzyknęła wesoło:

— Paul? To ja. Mam dla ciebie papier!

Wpadłem! Wpadłem! Proszę, Boże, nie, Boże, nie pozwól jej mnie zranić, o Boże!

Jego palec naciskał konwulsyjnie, mocno na język zamka i nagle rozległ się stłumiony trzask, kiedy spinka pękła. Język wślizgnął się do wnętrza drzwi. Z kuchni usłyszał dźwięk rozsuwanego zamka błyskawicznego, kiedy zdejmowała swoją ciepłą kurtkę.

Zamknął drzwi do sypialni. Szczęk zamka

(Czy usłyszała to? Musiała to usłyszeć!)

niemal tak głośny jak wystrzał z pistoletu startowego. Wycofał fotel w stronę okna. Wciąż jeszcze jechał do tyłu i nakierowywał wózek, kiedy w korytarzu rozległ się tupot jej stóp.

— Mam dla ciebie papier, Paul. Śpisz?

Nie. Nie zdążysz. Ona usłyszy.

Po raz ostatni nacisnął na dźwigenkę prowadzącą i wtoczył wózek na miejsce przy oknie, w chwili gdy jej klucz zagrzechotał w zamku.

To nie zadziała... Spinka... Zacznie coś podejrzewać...

Ale kawałek obcego metalu musiał spaść na dno zamka, bo klucz zadziałał wyśmienicie.

Siedział na fotelu z półprzymkniętymi oczyma, mając w głębi duszy nadzieję, że ustawił fotel tak, jak stał poprzednio (albo przynajmniej w pozycji na tyle zbliżonej do

poprzedniej, że tego nie zauważy), mając nadzieję, że weźmie jego ociekającą potem twarz i drżące ciało za rezultat długotrwałego braku lekarstw... przede wszystkim zaś mając nadzieję, że nie zostawił żadnego śladu... Kiedy drzwi się otworzyły i spuścił wzrok, szukając z uwagą śladów swojej potajemnej działalności, zobaczył nagle coś, co było tak oczywiste, że sam się sobie dziwił, jak w ogóle mógł o tym zapomnieć — pudełka novrilu nadal spoczywały na jego podolku.

35

Miała dwie paczki papieru. Trzymała je w obu uniesionych do góry dłoniach i uśmiechała się.

— To, o co prosisz — zgadza się? Triad modern. Dwie ryzy tu i dwie w kuchni — na wszelki wypadek. No więc widzisz... Urwała i zasepiła się, przyglądając mu się z uwagą.

— Ociekasz potem. I jesteś bardzo blady. — Przerwała. — Coś ty robił?

I choć przerażenie sprawiło, że jego głos brzmiał niczym zduszony pisk, choć w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że został przyłapany i że prawdę mówiąc powinien z własnej woli złożyć broń, opowiedzieć jej o wszystkim i błagać o litość, zdołał się przemóc, wytrzymać jej podejrzliwe spojrzenie i odpowiedzieć z ironicznym znużeniem:

— Myślę, że wiesz, co robiłem — stwierdził. — Cierpiałem.

Wyjęła chusteczkę z kieszeni spódnicy i otarła mu czoło. Chusteczka była cała mokra. Uśmiechnęła się do niego po matczynemu. Był to okropny uśmiech.

— Bardzo?

— Tak. Bardzo. A teraz, czy...

— Mówiłam ci coś na temat drażnienia mnie. Uczysz się przez całe życie — czyż nie tak zwykło się mówić? No cóż, skoro żyjesz, to mam nadzieję, że się czegoś nauczysz.

— Czy mogę dostać moje pigułki?

— Za chwilę — powiedziała. Nie spuszczała wzroku z jego spoconej twarzy. Była woskowo blada i usiana czerwonymi plamami jakby wysypką.

— Najpierw chcę się upewnić, że nie chcesz niczego więcej. Niczego, o czym stara, głupia Annie Wilkes mogłaby zapomnieć, bo nie wie, w jaki sposób Nasz Pan Spryciarz zwykł się zabierać do pisania książki. Chcę się upewnić, że nie każesz mi wrócić do miasta po magnetofon, parę specjalnych pisarskich papuci albo coś w tym rodzaju. Bo jeżeli tego

chcesz, pojedę. Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem. Nie zdążę nawet dać ci twoich pigułek. Po prostu znowu wskoczę do mojej Starej Bessie i pojedę. No więc, Panie Spryciarzu? Masz wszystko, czego ci potrzeba?

— Mam wszystko — powiedział. — Annie, proszę...

— I nie będziesz mnie już więcej denerwował?

— Nie. Nie będę cię już więcej denerwował.

— Bo jak się denerwuję, to po prostu przestaję być sobą. Spuściła wzrok. Patrzyła na jego splecione dłonie, którymi przykrywał pudełka novrilu. Patrzyła na nie bardzo długo.

— Paul? — spytała łagodnie. — Dlaczego tak trzymasz ręce?

Zaczął płakać. Płakał pod wpływem poczucia winy i nienawidził tego najbardziej. Płakał z powodu tego, co z nim zrobiła ta potworna kobieta. Płakał dlatego, że obudziła w nim kompleks winy. Dlatego płakał... ale było to również wynikiem zwykłego dziecięcego zmęczenia. Spojrzał na nią, łzy płynęły mu po policzkach i właśnie wtedy zagrał swoją ostatnią kartą.

— Chcę moje pigułki. I chcę basen. Wstrzymywałem się przez cały czas, jak cię nie było, Annie, ale już dłużej nie mogę, a nie chcę się zmoczyć ponownie.

Uśmiechnęła się łagodnie, promiennie i odgarnęła mu zmierzwione włosy z czoła.

— Mój ty biedaku, wszystko przez tę starą Annie. Do czego to doszło. Tego już za wiele. Wstrętna, stara Annie! Zaraz się tobą zajmę.

36

Nie ośmieliłby się włożyć pigułek pod dywan, nawet gdyby uważał, że ma dość czasu, aby to zrobić, zanim ona powróci — paczuszki były małe, ale nabrzmienia byłyby zbyt widoczne. Kiedy usłyszał, jak wchodzi do łazienki, wziął je do ręki, z bólem sięgnął za siebie i włożył za obrzeże spodenek. Ostre kartonowe rogi kłuły go w pośladki.

Wróciła z basenem, staromodnym blaszanym urządzeniem, wyglądającym wyjątkowo absurdalnie, trzymanym w prawej ręce. W drugiej miała dwie kapsułki novrilu i szklankę z wodą.

Jeszcze dwie do tych, które połknąłeś przed półgodziną. Mogą cię wprowadzić w stan śpiączki, a potem nawet zabić — pomyślał, ale drugi głos odparł natychmiast: No i dobrze.

Wziął pigułki i popił je wodą.

Wyciągnęła basen.

— Potrzebujesz pomocy?

— Poradzę sobie — powiedział.

Odwróciła się taktownie, podczas gdy on wsunął swój penis do zimnego pojemnika i oddał mocz. Tak się złożyło, że spojrzał na nią, kiedy rozległy się głucho pluskające odgłosy i zauważył, że się uśmiechnęła.

— Już? — spytała w parę chwil potem.

— Tak. — Naprawdę potrzebował się wysikać; w całym tym podnieceniu nie miał czasu, aby myśleć o takich rzeczach. Zabrała basen i postawiła go ostrożnie na podłodze.

— A teraz wrócisz do łóżeczka — powiedziała. — Musisz być wyczerpany... a twoje nogi muszą śpiewać arie operowe.

Skinął głową, choć prawdę mówiąc nie czuł niczego. Lekarstwa, które wziął przed chwilą oraz te połknięte z własnej inicjatywy, sprawiały, że w błyskawicznym tempie tracił świadomość; gdy rozglądał się po pokoju, widział jak przez mgłę. Ogarniała go szarość. Skoncentrował się na jednej myśli — przeniesie go do łóżka, a kiedy będzie to robić, musiałaby być ślepa i pozbawiona czucia w dłoniach, aby nie zauważyć, że z tyłu w jego spodniach znajduje się obecnie niewielki zapas małych kartonowych pudełek.

Przetoczyła go do krawędzi łóżka.

— Jeszcze minutkę, Paul, i będziesz się mógł zdrzemnąć.

— Annie, czy mogłabyś się z tym wstrzymać z pięć minut? — zapytał.

Spojrzała na niego — jej oczy zwięziły się w szparki.

— Myślałam, że bardzo cię boli, mój mały.

— Bo to prawda — powiedział. — Boli... za bardzo. Najbardziej kolano. Gdzie... ty... gdzie się zdenerwowałaś... Nie jestem przygotowany do podnoszenia. Czy mogłabyś dać mi pięć minut, żeby...

Wiedział, co chciał powiedzieć, ale to uleciało mu z pamięci. Uleciało i zmieniło się w szarą mgiełkę. Spojrzał na nią bezradnie, wiedząc, że wpadł i nic na to nie poradzi.

— Żeby lekarstwo zaczęło działać? — spytała, a on z wdzięcznością skinął głową. — Oczywiście. No to idę. Załatwię parę spraw i zaraz wracam do ciebie.

Kiedy tylko wyszła z pokoju, sięgnął za siebie, wyjął pudełka i jedno po drugim powtykał je pod materac. Mgiełka wokół niego zaczęła gęstnieć i ciemnieć, zmieniając się z szarości w czerni.

Włóż je tak daleko, jak tylko możesz — przyszło mu na myśl. Upewnij się, że tak, że jak będzie zmieniać pościel, nie wyciągnie ich razem z prześcieradłem. Włóż je tak daleko, jak... Jak tylko...

Włożył ostatnie z pudełek pod materac, po czym oparł się wygodnie i uniósł wzrok, spoglądając w sufit, gdzie przecinające się litery W tańczyły jak pijane po tynkowanej powierzchni.

Afryka — pomyślał.

Teraz muszę spłukać — pomyślał.

W niezłe tarapaty się wpakowałem — pomyślał.

Ślady — pomyślał. — Czy zostawiłem ślady? Czy...

Paul Sheldon stracił przytomność. Kiedy ją odzyskał, minęło czternaście godzin, a za oknem znów zaczął sypać śnieg.

Część druga

MISERY

*Pisanie nie jest przyczyną nieszczęścia,
to narodziny nieszczęścia.*

Montaigne

I

Paul Sheldon "POWRÓT MISERY"

Dla Annie Wilkes

ROZDZIAŁ I

Choć Ian Carmichael nie wyprowadziłby się z Little Dunthorpe za wszystkie klejnoty ze skarbca królowej, musiał w głębi duszy przyznać, że kiedy w Cornwalli lało, to lało bardziej niż gdziekolwiek indziej w Anglii. Na wieszaku przy wejściu wisiał stary ręcznik. Powiesiwszy swój ociekający płaszcz i zdjawszy buty, wytarł ręcznikiem do sucha swoje ciemnobłode włosy.

Z oddali z saloniku dobiegała szemrząca melodia Chopina; przerwał z ręcznikiem w lewej ręce, nasłuchując.

Strużki ściekające po jego policzkach nie były kropelkami deszczu, tylko łzami.

Przypomniał sobie Geoffreya mówiącego:

– Nie wolno ci płakać w jej obecności, stary – to jedyne, czego ci nie wolno! Nigdy!

Geoffrey miał rację, to jasne. Dobry stary Geoffrey rzadko się mylił. Ale czasami, kiedy był sam, przypominał sobie, jak Misery z trudem uciekła spod kosy uśmiechniętej żniwiarki.

I nie był w stanie powstrzymać łez.

Tak bardzo ją kochał. Bez niej umarłby, bez Misery życie nie miałyby sensu.

Jej poród miał być długi i ciężki, ale nie dłuższy i nie cięższy niż większości innych kobiet, jak powiedziała położna.

Jednak krótko po północy, w godzinę po tym, jak Geoffrey wyjechał w czasie deszczu po doktora, położna zaczęła się martwić stanem ciężarnej. To właśnie wtedy zaczęło się krwawienie.

– Drogi stary Geoffrey – powiedział to głośno, jak wtedy, gdy Geoffrey wszedł do olbrzymiej i wprawiającej w osłupienie panującym w niej gorącym kuchni w stylu West Country.

– Czy pan coś mówił, młody paniczku? – spytała go pani Ramage, dziwaczna, acz kochana stara gosposia Carmichaela, wchodząc ze spiżarni. Jak zwykle jej czepek był przekrzywiony i pachniała tabaką. Zażywała jej potajemnie, w co wciąż wierzyła, przez tyle lat.

– Nic takiego, pani Ramage – rzekł Ian.

– Sądząc po odgłosie ociekającego płaszcza przy wejściu, prawie żeś utonął między szopami i domem!

– O mały włos – rzekł Ian i pomyślał, że gdyby Geoffrey wrócił z lekarzem jakieś dziesięć minut później, nie przeżyłaby.

Próbował daremnie walczyć z tą myślą, ale perspektywa życia bez Misery była tak straszna, że czasami przyprawiała go o dreszcz i wprawiała w zaskoczenie. Teraz, przerywając jego ponure rozmyślenia, rozległ się głośny, zdrowy płacz dziecka – jego syna, który obudził się i nie mógł się doczekać swego popołudniowego posiłku. Słyszał słabo głos Annie Wilkes, pielęgniarki zajmującej się Thomasem, jak zaczyna go uspokajać, a potem zmienia mu pieluszkę.

– Nasz mały chłopczyk ma dziś dobry głos – zauważyła pani Ramage. Ian jeszcze przez chwilę mógł pograżyć się w

rozmyślaniach: oto zdarzył się cud – był ojcem i miał syna, ale w chwilę później jego żona odezwała się od progu:

– Cześć, kochanie.

Uniósł wzrok i spojrzał na swoją ukochaną Misery. Stała w drzwiach, lekko pochylona, jej kasztanowe włosy ze swym tajemniczym ciemnoczerwonym odcieniem przypominającym dogasające węgle opadały jej na ramiona przecudowną kaskadą. Wciąż jeszcze była zbyt blada, ale, jak zauważył Ian, na policzkach pojawiły się już pierwsze rumieńce. Jej oczy były ciemne i głębokie, a w świetle kuchennych lamp w każdym z nich migotały filuterne błyski, jak małe, drogocenne diamenty leżące na najciemniejszym filcu w gablocie jubilera.

– Moja kochana! – zawołał i podbiegł do niej, jak tego dnia w Liverpoolu, kiedy był niemal pewny, że porwali ją piraci, zgodnie z obietnicą złożoną przez szalonego Jacka Wickershama. Pani Ramage przypomniała sobie, że miała coś zrobić w saloniku i zostawiła ich samych, wyszedłszy z uśmiechem na twarzy. Pani Ramage też miała chwile, kiedy nie mogła zapobiec rozmyśleniom na temat, co by się stało, gdyby Geoffrey i doktor przybyli dwie godziny później w ową mroczną burzliwą noc, przed dwoma miesiącami, albo gdyby eksperymentalna transfuzja krwi, w której jej młody panicz tak ofiarnie przelał swoją życiodajną krew do opróżnionych żył Misery, okazała się nieskuteczna.

– Och, panienko – powiedziała do siebie, zbiegając do hallu – o niektórych rzeczach nie powinno się w ogóle myśleć. – Była to dobra rada i Ian zrobił z niej użytek. Jednak oboje zauważyli, że dobre rady było zwykle łatwiej dawać, niż otrzymywać.

W kuchni Ian objął mocno Misery, czując, jak jego dusza ożywa, umiera, a potem ożywa ponownie w słodkim zapachu jej cieplej skóry. Dotknął wypukłości jej piersi i poczuł silny i równy rytm jej serca.

— Gdybyś umarła, umarłbym razem z tobą — wyszeptał. Objęła go rękoma za szyję, jej krągła pierś przylgnęła mocniej do jego dłoni.

— Sza, kochanie — szepnęła Misery — i nie bądź głupi. Jestem tu... tutaj. A teraz pocałuj mnie. Jeżeli umrę, to obawiam się, że z pożądania. Tak bardzo cię pragnę...

Przycisnął swoje usta do jej ust, zanurzył dłonie w aureoli jej kasztanowych włosów i na parę chwil wszystko przestało istnieć — wszystko, z wyjątkiem ich dwojga.

2

Annie położyła trzy kartki maszynopisu na nocnym stoliku obok niego, a on czekał na jej opinię na ich temat. Był zaciekawiony, ale nie zdenerwowany — prawdę mówiąc sam się dziwił, jak łatwo zdołał ponownie wejść w świat Misery. Jej świat był cukierkowy i melodramatyczny, ale to nie zmieniało faktu, że powrót tam okazał się nie tak odrażający, jak się tego spodziewał — w gruncie rzeczy był on nawet zadowolający, jak nakładanie pary starych bamboszy. Paul otworzył więc usta ze zdziwienia, kiedy Annie powiedziała:

— To niedobre.

— Nie, nie podoba ci się? — nie mógł w to uwierzyć. Jak mogła lubić inne powieści o Misery i nie polubić tej? Była tak typowa, że niemal karykaturalna — z opiekuńczą starą panią Ramage, wachającą tabakę w spiżarni, Ianem i Misery obejmującymi się niczym para zakochanych dzieciaków, które dopiero co wróciły z wieczornej potańcówki i...

Teraz ona wyglądała na zdumioną.

— Czy mi się podoba? Podoba mi się. Jest wspaniałe. Kiedy Ian wziął ją w ramiona, zaczęłam płakać. Nic nie mogłam na to poradzić. — Jej oczy były teraz trochę

zaczzerwienione. — I nazwałeś pielęgniarkę opiekującą się małym Thomasem moim imieniem — to było bardzo słodkie.

I mam nadzieję, że sprytne — pomyślał. A, jeszcze coś — dziecko miało się nazywać Sean, gdyby cię to interesowało. Zmieniłem to, bo uznałem, że miałbym kupę roboty z wpisywaniem tego cholernego “n”.

— No to obawiam się, że nie rozumiem.

— Nie. Nie rozumiesz. Nie mówiłam, że mi się nie podoba. Powiedziałam, że to niedobre. Oszukane. Będziesz musiał to zmienić.

Czy on uznał ją kiedyś za wspaniałą słuchaczkę?

O, chłopie. Muszę przyznać, że jak już popełniasz błędy, to na całego. Wierny Czytelnik właśnie stał się Bezlitosnym Wydawcą.

Nie wiedząc nawet, że to się dzieje, na twarzy Paula pojawił się wyraz szczerego skupienia, jak zawsze podczas wysłuchiwania opinii wydawców. Pomyślał o tym jak o swoim “W czym mogę pani pomóc, proszę pani?” dlatego, ponieważ większość wydawców zachowywała się jak kobiety podjeżdżające do stacji obsługi i mówiące mechanikowi, żeby naprawił to, co wydaje taki głuchy dźwięk pod maską albo robi “wonk-wonk” w desce rozdzielczej — tylko proszę, żeby to było zrobione na wczoraj. Wyraz szczerego skupienia był dobry, bo zwykle ich zdumiewał, a kiedy wydawcy byli zdumieni, czasami rezygnowali ze swoich niektórych szalonych pomysłów.

— Co za oszustwo? — spytał.

— No, Geoffrey pojechał po doktora — powiedziała. — TO się zgadza. To się stało w 38 rozdziale *Dziecka Misery*. Ale doktor nie przybył i ty dobrze o tym wiesz, bo koń Geoffreya potknął się o wystającą krawędź tego przegniłego ogrodzenia p. Cranthorpe'a, kiedy Geoffrey próbował przez nie przeskoczyć (mam nadzieję, że ten przebrzydły ptak dostanie za swoje w *Powrocie Misery*) i Geoffrey złamał obojczyk i parę żeber, i przeleżał przez całą noc w deszczu, dopóki rano nie znalazł go przechodząc tamtędy chłopak pasący owce. A więc doktor nie przybył. Rozumiesz?

— Tak. — Nie był w stanie oderwać od niej wzroku.

Miał wrażenie, że nałożyła czapkę wydawcy, może nawet *chapeau* współpracownika, przygotowując się, aby mu powiedzieć, co i jak ma pisać. Ale to nie było tak — na przykład z p. Cranthorpe. “Miała nadzieję”, że pan Cranthorpe dostanie za swoje, ale tego nie żądała. Tok powstawania powieści był jakby poza jej zasięgiem w przeciwieństwie do oczywistej kontroli, jaką roztaczała nad nim. Ale niektórych rzeczy po prostu nie można było zrobić. Talent twórczy lub jego brak nie miały na nie żadnego wpływu. Robienie ich było równie

głupie, jak podjęcie próby obalenia prawa grawitacji albo usiłowanie rozegrania partyjki tenisa stołowego za pomocą cegły. Ona naprawdę była Wiernym Czytelnikiem, ale Wierny Czytelnik nie oznacza Wiernego i Bezkrytycznego Pochlebcy. Nie pozwoliła mu zabić Misery... i nie pozwoliła mu przywrócić Misery do życia za pomocą drobnego oszustwa. Ale Chryste, przecież ja ją zabiłem — pomyślał ze znużeniem. To co ja mam robić?

— Kiedy byłem dziewczynką — powiedziała — w kinach grali filmy w odcinkach. Jedna część na tydzień. "Mściciel w masce", "Flash Gordon", nawet "Frank Buck" — facet, który pojechał do Afryki, żeby łowić dzikie zwierzęta. Ten człowiek potrafił ujarzmić lwy i tygrysy samym wzrokiem. Pamiętasz filmy w odcinkach?

— Pamiętam, ale ty przecież nie możesz być tak stara, Annie, musiałaś je widzieć w telewizji albo mieć starszego brata czy siostrę, którzy ci o nich opowiedzieli.

W kącikach jej ust pojawiły się nagle dołeczki, a po chwili zniknęły.

— A niech cię, ty oszuście. Miałam starszego brata, ale co sobotę chodziliśmy razem do kina, na wieczorny seans. To było w Bakersfield, w Kalifornii, gdzie się wychowywałam. I choć zawsze lubiałam oglądać kronikę filmową, filmy animowane i fabularne, zawsze czekałam na zapowiedź kolejnego odcinka serialu. Myślałam o tym przez cały tydzień. Jeżeli lekcja była nudna albo gdy musiałam się zajmować czterema brzdącami p. Krenmitz. Nienawidziłam tych gnojzków.

Annie umilkła, patrząc w kąt pokoju. Znowu się wyłączyła. To zdarzyło się po raz pierwszy od kilku dni, a on zastanawiał się, czy to miało oznaczać, że schodziła do najniższych partii swojego cyklu. Jeżeli tak, to lepiej, żeby spuścił z tonu.

Kiedy w końcu z tego wyszła, jak zawsze z wyrazem lekkiego zaskoczenia, wyglądała, jakby w głębi duszy nie oczekiwała, że świat ciągle jeszcze istnieje.

— Moim ulubieńcem był Człowiek Rakietą. Pamiętam koniec odcinka szóstego "Śmierć na niebie", kiedy stracił przytomność, podczas gdy jego samolot zaczął spadać — albo jak na końcu odcinka dziewiątego "Ogniste przeznaczenie" został przywiązany do krzesła w płonącym magazynie. Czasami to był wóz bez hamulców, czasami trujący gaz, czasami prąd elektryczny.

Annie mówiła te rzeczy z uczuciem, jakby była przekonana, że to wszystko było szczerą prawdą.

— Nazywali to dramatyzmem fragmentarycznym — zaryzykował stwierdzenie. — Każdy z odcinków kończył się dramatyczną sceną.

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

— Wiem o tym, Panie Spryciarzu. Kurczę, czasami myślę, że uważasz mnie za wyjątkowo ograniczoną.

— Ależ skąd, Annie.

Machnęła ręką ze zniecierpliwieniem i zrozumiał, że byłoby lepiej — przynajmniej dziś — gdyby jej nie przerywał.

— To było zabawne zastanawiać się i wymyślać sposoby, w jaki się z tego wydostanie. Czasami mi się udawało, czasami nie. Nie obchodziło mnie to, dopóki grali uczciwie. Ludzie, którzy wymyślali te historie.

Spojrzała na niego z wściekłością, chcąc się upewnić, że zrozumiał aluzję. Paul pomyślał, że trudno byłoby mu jej nie zauważyć.

— Tak jak wtedy, gdy stracił przytomność w samolocie. Ocknął się i okazało się, że pod siedzeniem znajduje się spadochron. Nałożył go i wyskoczył z samolotu — i to było uczciwe rozwiązanie.

Tysiące nauczycieli nie zgodziłoby się z tobą, moja droga — pomyślał Paul. To, o czym mówisz, jest nazywane *deus ex machina* — Bóg z maszyny — i po raz pierwszy zostało wykorzystane w greckich amfiteatrach. Kiedy dramaturg osadzi swego bohatera w tarapatach, z których nie było wyjścia, z góry opuszczało się fotel przybrany kwiatami. Bohater siadał na nim i był unoszony do góry, a co za tym idzie, wychodził cało ze wszystkich kłopotów. Nawet najgłupszy wieśniak był w stanie pojąć symbolikę tego faktu. Bohater został uratowany przez Boga. Ale *deus ex machina* — czasami określane w żargonie technicznym jako "sztuczka ze spadochronem ukrytym pod siedzeniem" — wyszła z mody około 1700 roku. Z wyjątkiem, rzecz jasna, takich arkanów jak seriale o Człowieku Rakiecie i książki Nancy Drew. Jesteś chyba trochę zacofana, Annie.

Przez jedną okropną niezapomnianą chwilę Paul miał wrażenie, że dostanie ataku śmiechu. Zważywszy na jej dzisiejszy nastrój, rezultatem takiego zachowania byłaby dlań, z całą pewnością, nieprzyjemna i bolesna kara. Szybko uniósł dłoń do ust, zakrywając uśmiech, który zaczynał się na nich rodzić, i zmusił się do stłumionego kaszlnięcia.

Rąbnęła go w plecy tak mocno, że aż zabołało.

— Lepiej?

— Tak, dziękuję.

— Mogę mówić dalej, czy masz zamiar zacząć kichać? A może przynieść wiadro? Będziesz wymiotować?

— Nie, Annie, proszę, mów dalej. To, o czym opowiadasz, jest fascynujące.

Złagodniała nieco — nie za bardzo, ale trochę.

— Kiedy znalazł pod siedzeniem spadochron, to było uczciwe — może nie do końca realistyczne, ale uczciwe.

Pomyślał o tym zdumiony — jej przypadkowe, trafne spostrzeżenia nigdy dotąd go nie zastanawiały — i uznał, że to była prawda. “Uczciwe” i “realistyczne” mogły być synonimami w najlepszym ze wszystkich możliwych światów, ale jeżeli tak, to na pewno nie był to ten świat.

— Ale pomówmy o innym odcinku — powiedziała — i to właśnie uważam za niewłaściwe w tym, co napisałeś wczoraj. Posłuchaj, Paul.

— Zamieniam się w słuch.

Przyjrzała mu się z uwagą, żeby się przekonać, czy żartuje. Jego twarz, jakkolwiek blada i poważna, przypominała oblicze sumiennego studenta. Chęć do śmiechu opuściła go, kiedy doszedł do wniosku, że Annie mogła wiedzieć wszystko na temat *deus ex machina*, z wyjątkiem samej nazwy.

— W porządku — powiedziała. — To był odcinek o samochodzie bez hamulców. Żli faceci wsadzili Człowieka Rakietę (tylko że on był wtedy w przebraniu) do samochodu, który nie miał hamulców, a potem zaspawali wszystkie drzwiczki i spuścili wóz w dół krętej, wąskiej górskiej drogi. Mówię ci, tego dnia po prostu nie mogłam usiedzieć na fotelu.

Siedziała na skraju jego łóżka — Paul siedział pod ścianą w fotelu. Od jego wyprawy do łazienki i salonu minęło już pięć dni i zdołał dojść do siebie szybciej, niż mu się wydawało. Już sam fakt, że nie został przyłapany (jak się wydawało), był dla niego najlepszym lekarstwem.

Patrzyła mętnym wzrokiem na kalendarz, na którym uśmiechający się chłopiec zjeżdżał na sankach z góry w nie kończącym się lutym.

— No więc biedny Człowiek Rakietę znalazł się w tym samochodzie bez swojego rakietowego wyposażenia, a nawet specjalnego hełmu z jednostronnym wizjerem, próbując prowadzić i zatrzymać wóz, i rozwalić drzwiczki jednocześnie. Był bardziej zajęty niż jednoręki tapeciarski, mówię ci!

Tak, Paul wyobrażał sobie, jak absurdalnie melodramatyczna musiała być ta scena — wyreżyserowana głównie na emanację dramatyzmu i napięcia. Dekoracje ustawione pod kątem, mające przedstawiać strome wzgórza, przesuwały się z zawrotną prędkością. Zbliżenie, aby pokazać pedał hamulca, który zagłębiał się bez jakiegokolwiek oporu w podłodze, kiedy stopa mężczyzny (widział tę stopę wyraźnie, obutą w typowy but z lat czterdziestych) naciskała nań z całych sił. Zbliżenie, aby ukazać jego ramię, uderzające w drzwi. Zbliżenie, aby pokazać widok wozu z zewnątrz i nieregularne krople stopu, gdzie

drzwi zostały zaspawane. Głupie to, fakt, bez odrobiny literackości, ale wywierało swoisty efekt. Za pomocą takich środków można było przyspieszyć rytm pulsu. Nie było tu Chivas Regal. To był zupełnie inny typ rozrywki, kierujący się mniej skomplikowanymi prawami.

— A potem zobaczyłeś, że droga kończy się przepaścią — powiedziała. — I wszyscy w kinie wiedzieli, że jeżeli Człowiek Rakietą nie wysiądzie z tego starego hudsona, zanim wóz dotrze do krawędzi skały, to zginie. Och, chłopie! A samochód z Człowiekiem Rakietą przez cały czas zbliżał się do przepaści. Bohater wciąż jeszcze próbował walczyć z hamulcem i drzwiczkami, aż w końcu wóz runął w przepaść. Przeleciał kawałek w powietrzu, a potem runął w dół. Uderzył w locie o skałę i stanął w płomieniach, po czym wpadł do oceanu, a na ekranie pojawiła się zapowiedź, że za tydzień odcinek 11 pt. "Ważki".

Siedziała na brzegu łóżka ze splecionymi silnie dłońmi, jej olbrzymie piersi unosiły się i opadały gwałtownie.

— No więc! — powiedziała nie patrząc na niego, tylko w ścianę — nie mogłam się doczekać, kiedy zobaczę ten film. Przez cały następny tydzień nie myślałam o Człowieku Rakiecie raz na jakiś czas. Myślałam o nim STALE. Jak on się mógł z tego wydostać? Nie potrafiłam sobie tego w ogóle wyobrazić. W następną sobotę stałam pod kinem już od południa, choć kasę otwierano dopiero o pierwszej piętnaście, a pierwszy seans był o drugiej. Ale, Paul... co się stało... nigdy byś się nie domyślił!

Paul nie odpowiedział, ale domyślił się. Zrozumiał, w jaki sposób podchodziła do tego, co napisał, i wiedział, że to nie było dobre. Wiedział o tym i zgodził się z tym. Nie było to uczucie niepewnej, literackiej wyniosłości edytorskiej, ale płaska, przyziemna, niezaprzeczalna pewność Wiernego Czytelnika. Zrozumiał i był zaskoczony, że wstydzi się samego siebie. Miała rację. To było OSZUSTWO.

— Nowy epizod zawsze zaczynał się końcówką ostatniego. Pokazali go, jak zjeżdża w dół wzgórza, pokazali skałę, pokazali go, jak wali ramieniem w drzwi usiłując je otworzyć. Potem, tuż przed tym, jak samochód dotarł do krawędzi przepaści, drzwi otworzyły się z trzaskiem i Człowiek Rakietą wyskoczył na drogę! Samochód runął w przepaść, wszystkie dzieci w kinie zaczęły się cieszyć, bo ich ulubiony bohater zdołał się wydostać, ale ja się nie cieszyłam, Paul. Byłam wściekła! Zaczęłam krzyczeć: To się nie wydarzyło w zeszłym tygodniu! Tego nie było!

Annie zerwała się z miejsca i zaczęła chodzić gwałtownie w tę i z powrotem po pokoju, ze spuszczoną głową. Włosy opadały jej na twarz gęstymi kędziorami, uderzała zaciśniętą pięścią we wnętrze drugiej, otwartej dłoni — jej oczy błyszczały.

— Mój brat usiłował mnie uciszyć, a kiedy nie przestałam krzyżeć, próbował zatkać mi usta dłonią, ale ugryzłam go i wrzeszczałam dalej: Tego nie było w zeszłym tygodniu! Czy wy wszyscy jesteście tak głupi, że nie pamiętacie? Czy wy wszyscy macie amnezję? Mój brat powiedział: “Jesteś szalona, Annie”, ale ja wiedziałam, że to nieprawda. I wtedy przyszedł kierownik. Powiedział, że jak się nie zamknę, to będę musiała opuścić salę — a ja mu na to: Pewno, że stąd wyjdę, bo to jest obrzydliwe oszustwo, tego nie było w zeszłym tygodniu!

Spojrzała na niego, a Paul zobaczył w jej oczach żądzę mordu.

— On nie wysiadł z tego zafajdanego wozu! Spadł w przepaść razem z samochodem! Rozumiesz?

— Tak — powiedział Paul.

— ROZUMIESZ TO?

Nagle rzuciła się na niego z wściekłością i choć był pewny, że chciała go uderzyć, tak jak to zrobiła wcześniej, być może dlatego, że nie była w stanie dorwać tego Obrzydliwego Scenarzysty, który w podstępny sposób pozwolił wydostać się Człowiekowi Rakiecie z wnętrza hudsona staczającego się w przepaść — nie poruszył się ani odrobinę. Widział zarodki jej szaleństwa w oknie przeszłości, które właśnie przed nim otworzyła, ale — co go również przerażało — niesprawiedliwość, jaką odczuwała, była pomimo jej dziecinności całkowicie, bezsprzecznie realna. Nie uderzyła go. Złapała go za przód koszuli i przyciągnęła do siebie tak, że ich twarze niemal się stykały.

— ROZUMIESZ?

— Tak, Annie, tak.

Spojrzała na niego tym wściekłym, mrocznym spojrzeniem i musiała dostrzec prawdę w jego twarzy, bo w chwilę później pchnęła go pogardliwie na fotel.

Skrzywił się z bólu. Był to ostry, przejmujący ból, ale na szczęście nie trwał długo.

— A więc wiesz, w czym tkwi błąd? — spytała.

— Przypuszczam, że tak — choć, jak mi Bóg miły, nie mam pojęcia, jak mógłbym naprawić ten błąd; pomyślał. I w tej samej chwili powrócił ten drugi głos: Nie wiem, czy Bóg jest ci miły, czy nie, Paulie, ale wiem jedno — jeżeli nie znajdziesz sposobu na wskreszenie Misery, sposobu, w który będzie w stanie uwierzyć — ona cię zabije.

— No to zrób to — powiedziała lakonicznie i wyszła z pokoju.

Paul spojrział na maszynę do pisania. Była tam przez cały czas. N! — Nigdy nie zdawał sobie sprawy, ile razy ta litera powtarzała się w jednej linijce tekstu.

“Myślałam, że jesteś dobry” — powiedziała maszyna. Jego umysł przechwycił jej szyderczy, piskliwy głos, głos nastoletniego rewolwerowca z hollywoodzkiego westernu, dzieciaka, który chce zrobić szybką karierę tu, w Deadwood.

“Nie jesteś wcale taki dobry, do cholery. Nie potrafisz nawet zadowolić jednej szalonej, grubej eks-pielęgniarki. Może podczas tego wypadku złamałeś sobie także swoją kość pisarską?”

...Tyle tylko, że ta kość nie wyzdrowieje”.

Odchylił się w tył tak bardzo, jak pozwalał mu na to fotel, i zamknął oczy. Odrzucenie napisanego tekstu przyjdzie mu łatwiej, jeżeli zdoła złożyć to na karb bólu, ale prawda była taka, że ból z wolna zaczynał ustępować.

Skradzione pigułki spoczywały w bezpiecznym miejscu, powtykane pomiędzy materacem a sprężynami łóżka. Nie wziął jak dotąd ani jednej wiedząc, że musi je sobie zostawić jako ubezpieczenie na wypadek gniewu Annie. Mogła je znaleźć podczas zmiany pościeli — jak przypuszczał, ale była to ewentualność, z którą chcąc nie chcąc musiał się pogodzić.

Od chwili sprzeczki dotyczącej rodzaju papieru maszynowego nie doszło między nimi do scysji. Przynosiła mu lekarstwa regularnie, a on łykał je bez namysłu. Zastanawiał się, czy wiedziała, że jest uzależniony.

Hej, Paul, dajże spokój, zaczynasz niepotrzebnie dramatyzować!

Nie. Wcale nie. Trzy noce temu, kiedy był pewny, że była na górze, wyjął jedno z pudełek i odczytał to, co było na nim napisane. Dopiero teraz jednak zobaczył, co było głównym składnikiem novrilu. Gdybyś przeczytał: rolaid, poczułbyś ulgę — ale przeczytałeś: novril — kodeina.

Zaczynasz zdrowieć, Paul — twoje nogi poniżej kolan wyglądają jak nogi rysowane przez czterolatka, ale zdrowiejesz. Nie ulega wątpliwości. Już teraz mógłbyś się przerzucić na empiryję albo aspiryję. Nie chodzi o to, że potrzebujesz novrilu. Jesteś uzależniony, przywykłeś.

Musi z tym zerwać — rzucić branie pigułek. Dopóki tego nie zrobi, będzie go miała na łańcuchu, tak jak przykuła go do tego fotela na łańcuchu zrobionym z kapsułek novrilu.

Dobra, będę wypluwał jedną z dwóch kapsulek, które dostaję. Za każdym razem jedną, włożę ją pod język, podczas gdy będę połykał drugą, a potem wetknę ją pod materac do pozostałych, kiedy wyniesie szklanekę. Tylko nie dziś. Jeszcze nie jestem na to przygotowany, dziś nie. Zacznę od jutra.

Teraz w głębi mózgu usłyszał głos Czerwonej Królowej mówiącej do Alicji: "To właśnie tu planowaliśmy wczoraj zabrać się za sprzątanie i planujemy rozpocząć je jutro, ale nigdy nie rozpoczniemy naszego sprzątanania dziś".

"Ho, ho, Paulie, prawdziwy z ciebie buntownik" — powiedziała ostrym tonem maszyna do pisania, kiedy po nią sięgnął.

— My, obrzydliwe ptaszyska, nigdy nie jesteśmy aż tak zabawne, ale zawsze próbujemy, musisz przyznać — mruknął.

"No to lepiej zacznij myśleć o tych wszystkich prochach, które bierzesz, Paul — lepiej zacznij o tym myśleć, i to na serio".

Nagle — była to kwestia chwili — podjął decyzję, że zacznie rzucać prochy, kiedy tylko skończy pierwszy rozdział powieści i da go do przeczytania Annie — rozdział, który zdaniem Annie nie będzie oszukany.

Część niego samego — część, która wysłuchiwała nawet najlepszych i najszczerzych sugestii wydawcy z niesmakiem — zaprotestowała przeciwko takiemu rozwiązaniu — ta kobieta była szalona; nie sposób powiedzieć, co zaakceptuje, a co odrzuci — być może uzna wszystkie jego pomysły za pozbawioną jakiegokolwiek sensu szmirę. Ale inna jego część — ta bardziej rozsądna — nie zgodziła się z tym. Będzie wiedział, że to właśnie to rozwiązanie, kiedy już je znajdzie. Właściwe rozwiązanie sprawi, że to, co dał do przeczytania Annie poprzedniego wieczoru, zmieni się w prawdziwą szmirę — szmirę, która zabrała mu trzy dni i obudziła fałszywe przeświadczenie o słuszności jego pracy — szmirę, która będzie wyglądać jak psie odchody przy srebrnej dolarówce. Czy on sam nie zdawał sobie sprawy, że zabrnął w ślepy zaułek? Jeszcze nigdy nie pracował z takim trudem — nigdy dotąd nie wyrzucał do kosza tylu stron pokreślonych albo na wpół zapisanych, kończących się zdaniem "Misery odwróciła się od niego, jej oczy błyszczały, usta wypowiadały magiczne słowa".

Och, ty głupi kretynie. To jest kompletnie do niczego!

Pisał te słowa aż do bólu, dopóki nie uświadomił sobie, że pisze nie tylko dlatego, by dostać kolację, ale po to, żeby przeżyć. Było to zwyczajne kłamstwo, nic więcej. W rzeczywistości w jego mózgu panowała prawdziwa posucha. Praca szła mu kiepsko, bo oszukiwał i zdawał sobie z tego sprawę.

“No cóż, przejrzała cię, kurzy mózdzku — powiedziała maszyna do pisania swoim obrzydliwym, bezczelnym głosem. — Zgadza się? I co teraz zrobisz?”

Nie wiedział, ale zdawał sobie sprawę, że musi coś zrobić, i to szybko. Tego ranka w ogóle nie zwracał uwagi na jej humor. Przypuszczał, że mógłby mówić o szczęściu, gdyby nie zdecydowała się połamać mu na nowo nóg za pomocą kija baseballowego albo zrobić mu manicure'u używając w tym celu kwasu akumulatorowego czy czegoś w tym stylu, aby dać mu do zrozumienia, że sposób, w jaki rozpoczął przeznaczoną dla niej książkę, nie przypadł jej do gustu; zawsze należało się liczyć z krytycznymi reakcjami tego typu — Annie Wilkes miała dość specyficzne poglądy na otaczający ją świat. Gdyby udało mu się wyjść z tego z życiem, uznał, że powinien wysłać Christopherowi Hale'owi kartkę. Hale recenzował książki dla “New York Timesa”. Treść kartki byłaby następująca: “Kiedy tylko mój wydawca powiadamiał mnie, że ma pan zamiar zrecenzować jedną z moich książek na łamach »Timesa«, zawsze zaciskałem mocno kolana, bo choć zazwyczaj pańskie recenzje były dla mnie bardzo pochlebne, kilka z moich książek nie przypadło panu do gustu i nie omieszkał pan o tym napomknąć. W każdym razie chciałem panu tylko powiedzieć, że daję panu wolną rękę — niech pan pisze, co pan chce, nawet najgorsze rzeczy, bo, mój przyjacielu, odkryłem właśnie zupełnie nową metodę krytyki. Moglibyśmy to nazwać »Colorado Barbecue« albo »Szkoła Wiadra z Mydlinami«. Przy tego typu metodach krytyka, jaką wy, chłopcy, zwykliście uprawiać, jest mniej więcej tak samo straszna, jak przejażdżka na karuzeli w Central Parku”.

To bardzo zabawne, Paul — pisanie listów do krytyków jest zawsze bardzo śmieszne — ale jak na razie tkwisz po uszy w bagnie i musisz wymyślić jakiś sposób, żeby się z niego wydostać, nie uważasz? Musisz coś wymyślić.

Tak. Rzeczywiście.

Maszyna do pisania stała tam, uśmiechając się do niego ironicznie.

— Nienawidzę cię — rzucił ponuro Paul i spojrzał w okno.

4

Śnieżycą, która trwała, kiedy Paul obudził się następnego dnia po swojej wyprawie do łazienki, ucichła po dwóch dniach. Wysokość pokrywy śnieżnej wynosiła około osiemnastu cali, a śnieg padał dalej. Zanim w końcu słońce znów wyjrzało zza chmur, cherokee Annie nie

był niczym, jak tylko nieokreśloną bryłą ustawioną na podjeździe. Teraz jednak słońce znów się pokazało i niebo ponownie stało się jasnobłękitne i czyste. Słońce wysyłało gorące i jasne promienie — czuł ich dotyk na swojej twarzy i dłoniach, kiedy siedział przy oknie. Sople zwisające wzdłuż krawędzi dachu stodoły znów zaczęły się topić. Przypomniał mu się przez chwilę jego własny samochód, przysypany śniegiem, a potem wziął jedną z kartek papieru i wkręcił ją do royala. Wystukał słowa "POWRÓT MISERY" w lewym górnym rogu, a w prawym górnym jedynkę. Cztery czy pięć razy przesunął dźwigenką powrotną i na środku kartki napisał: ROZDZIAŁ 1. Uderzał w klawisze mocniej, niż to było konieczne, żeby upewnić się, że coś tam pisze — nieważne co.

Poniżej ROZDZIAŁU 1 rozciągała się pusta, biała przestrzeń wyglądająca jak ośnieżona zaspą, w którą mógł wpaść i umrzeć — zamarznąć, na śmierć.

Afryka

Dopóki grają ucziwie

Ten ptak pochodzi z Afryki

Pod siedzeniem był spadochron

Afryka

Teraz muszę sptukać.

Zapał w sen i wiedział, że nie może na to pozwolić — gdyby tu weszła i zastała go drzemiącego zamiast piszącego, wpadłaby we wściekłość — walczył, ale przegrał walkę. Usnął. To nie była zwykła drzemka — przez cały czas jakimś dziwnym sposobem rozmyślał.

Zastanawiał się. Szukał.

Czego ty szukasz, Paulie?

To oczywiste. Samolot spadał. A on szukał spadochronu pod siedzeniem. Jasne? To ucziwa odpowiedź.

"Ucziwa. Kiedy znalazł spadochron pod siedzeniem, to było ucziwe rozwiązanie. Może nie całkiem realistyczne, ale ucziwe".

Kilka lat z rzędu jego matka wysyłała go do ogniska w Malden Community Center. Grali tam w taką grę... siedzieli w kręgu, a ta gra przypominała odcinkowe filmy Annie Wilkes — i on prawie zawsze wygrywał. Jak się nazywała ta gra?

Widział piętnaście czy dwadzieścia małych chłopców i dziewczynek siedzących w kręgu w zaciemnionym kącie placu zabaw — wszyscy mieli na sobie firmowe podkoszulki Malden Community Center i przysłuchiwali się, jak doradca objaśniał reguły gry. "Możesz?" — tak się nazywała ta gra. "Możesz?" przypominała tasiemcowe seriale, puszczone w kinach;

gra, w którą wtedy grałeś, nazywała się "Możesz?". To ta sama gra, w którą przyszło ci zagrać teraz, prawda, Paulie?

Tak. Uznał, że chyba tak.

W "Możesz?" doradca zaczynał opowieść o facecie imieniem Beztroski Corrigan. Beztroski zgubił się w gąszczu południowoamerykańskiej dżungli. Nagle rozgląda się wokoło i widzi za sobą lwy... lwy są też z boku — z każdej strony — a także, o Boże, przed nim. Jest piąta po południu, ale tym kociakom to nie robi żadnej różnicy, jeżeli chodzi o posiłek, nasze lwy nie przestrzegają reguł czasowych.

Doradca miał stoper i drzemiący umysł Paula Sheldona zobaczył go wyjątkowo wyraźnie, choć ostatni raz trzymał ów ciężki srebrny przedmiot w dłoni przed z górą trzydziestu laty. Widział niebrzydką, miedzianą tarczę, niniejszą wskazówkę u dołu, która rejestrowała ułamki sekund, widział znak firmowy wybity niewielkimi literami — ANNEX.

Doradca rozglądał się dookoła i wybierał jedno z dzieci.

— Daniel, "możesz?" — mówił włączając przycisk stopera. Od tej chwili Daniel miał dziesięć sekund na kontynuowanie opowieści. Jeżeli nie zaczął mówić w ciągu dziesięciu sekund, musiał opuścić krąg. Ale jeżeli udało mu się uratować Beztroskiego z paszczy lwów, doradca znów rozglądał się po kręgu i zadawał kolejne pytanie, które nasuwało się odpowiednio do okoliczności. Pytanie brzmiało: — MÓGŁ?

Reguły tej części gry przypominały sytuację z Annie. Realizm nie był najważniejszy, najważniejsza była uczciwość. Daniel mógł na przykład powiedzieć: — Na szczęście Beztroski miał przy sobie winchestera i spory zapas amunicji. Zastrzelił więc trzy lwy, a reszta uciekła. W tego typu przypadku Daniel MÓGŁ. Doradca zatrzymywał stoper i opowiadał dalszy ciąg historii, kończąc swoją opowieść w chwili, gdy Beztroski znajduje się pogrążony po pas w lotnych piaskach albo czymś w tym rodzaju, a potem pytał innego chłopca czy dziewczynkę, czy może — i włączał stoper.

Ale dziesięć sekund to niedużo i bardzo łatwo było się zaplątać albo zacząć oszukiwać. Następne dziecko równie dobrze mogło powiedzieć coś takiego: — "I wtedy nadleciał wielki ptak — andyjski sęp — i zniżył lot. Beztroski złapał go za szyję i dzięki temu wydostał się z pułapki".

Kiedy doradca pytał: "Czy to możliwe?", unosiłeś rękę, jeżeli uważałeś, że tak, lub opuszczałeś, jeżeli byłeś przekonany, że to niemożliwe. W przypadku andyjskiego sępa dzieciak prawie na pewno musiałby opuścić krąg.

MOŻESZ, Paul?

Tak. Dlatego udało mi się przeżyć. To dlatego udało mi się utrzymać dwa domy w Nowym Jorku i L.A. I więcej żelastwa na kółkach, niż znajduje się na większości parkingów z używanymi samochodami. Bo ja MOGĘ, a to nie jest coś, czego powinienem się wstydzić, do cholery! Jest wielu gości, którzy piszą lepiej ode mnie i którzy rozumieją lepiej, jacy naprawdę są ludzie i co powinno znaczyć człowieczeństwo. Wiem o tym, do diabła! Ale kiedy doradca pyta: „czy mógł?” tych facetów — tylko czasami parę osób unosi dłonie do góry. Ale unoszą ręce za mnie — albo za Misery. A koniec końców uważam, że to jedno i to samo. MOGĘ? Tak. Mogę się założyć. Na tym świecie jest milion rzeczy, których nie potrafię. Nie potrafiłem trafić w podkreconą piłkę, kiedy chodziłem do liceum. Nie umiem naprawić ciekącego kranu. Nie umiem jeździć na deskorolce ani grać na gitarze, nie potrafię odróżnić jednej struny od drugiej, bo dla mnie każda wygląda tak samo. Próbowałem dwa razy się ożenić, ale za każdym razem mój związek kończył się klapą. Ale jeżeli chcesz, żebym przeniósł cię w inny świat, przestraszył cię, zainteresował, zmusił do płaczu lub uśmiechu — to tak. Mogę to zrobić. Mogę to zrobić dla ciebie i robić to tak długo, jak tego będziesz chciał. Potrafię. Jestem w stanie. MOGĘ.

Bezczelny głos młodego rewolwerowca, głos maszyny do pisania wdarł się do jego snu.

Co my tu mamy, przyjaciele, to dwie zupełnie różne rzeczy — duża gadka i biała przestrzeń.

Możesz?

Tak. Tak.

Mógł?

Nie. Oszukał. W Dziecku Misery lekarz nigdy się nie zjawił. Może reszta ciebie zapomniała o tym, co się wydarzyło w zeszłym tygodniu. Ale kamienny posąg nigdy nie zapomina. Paul musi opuścić krąg. Wybacz mi, proszę. Teraz muszę to splekać. Teraz, muszę...

5

— Splekać — mruknął i przekręcił się na prawy bok. Uniósł przy tym lewą nogę i strzała bólu w jego zmiażdżonym kolanie wystarczyła, by go obudzić. Minęło niecałe pięć minut. Słyszał, jak w kuchni Annie Wilkes zmywa talerze.

Zwykle przy pracach domowych śpiewała. Dziś nie śpiewała — jedynymi dochodzącymi zza drzwi odgłosami był brzęk talerzy i raz na jakiś czas szum puszczonej wody

Kolejny zły znak. *Oto specjalna prognoza pogody dla mieszkańców Sheldon County — alarm burzowy obowiązuje od siedemnastej po południu. Powtarzam. Alarm burzowy...*

Ale już czas najwyższy, aby przestał się zabawiać i zabrał się do pracy. Chciała, aby wskrzesił Misery, ale musiał to zrobić uczciwie. Niekoniecznie realistycznie, po prostu uczciwie. Jeżeli mógł to zrobić tego ranka, to być może mógł również zwalczyć narastającą w jego wnętrzu depresję, zanim nie opanuje go na dobre.

Paul wyjrzał przez okno, opierając podbródek na dłoni. Obudził się już na dobre, myśląc szybko i intensywnie, ale nie zdając sobie w pełni z tego sprawy. Górne dwie lub trzy warstwy jego przytomnego umysłu, które zarejestrowały takie rzeczy jak to, kiedy ostatni raz mył głowę albo czy Annie ostatnim razem przyniosła mu punktualnie lekarstwa czy też nie, zdawały się kompletnie ignorować tę scenę. Ta część jego mózgu wyłączyła się, koncentrując się na pastrami z ryżem i innych tego typu rzeczach. Miał w sobie przełącznik sensoryczny, ale nie zrobił z niego użytku — nie dostrzegał tego, na co patrzył, nie słyszał tego, co było słychać.

Inna jego część z wściekłością wyszukiwała różne pomysły, odrzucała je, próbowała łączyć i odrzucała kolejne kombinacje. Zdawał sobie sprawę z przebiegu tego procesu, ale nie miał z nim żadnego bezpośredniego kontaktu i wcale tego nie pragnął. Jego umysł pracował w pocie czoła. Zdał sobie sprawę, że to, co robi, było wynajdywaniem pomysłów. Wynajdywanie pomysłu nie było tym samym co wpadnięcie na pomysł. Wpadnięcie na pomysł było bardziej wyśrubowanym sposobem stwierdzenia: — Mam inspirację! albo — Eureka! Moja muza przemówiła!

Pomysł *Szybkich samochodów* przyszedł mu do głowy pewnego dnia w Nowym Jorku. Wyszedł wtedy do sklepu przy 83. z mocnym postanowieniem kupna magnetowidu. Przeszedł obok parkingu i zobaczył stróża usiłującego dostać się do samochodu. To wszystko. Nie wiedział, czy to było zgodne z prawem, czy nie i nim minął dwie kolejne przecznice, w ogóle przestało go to interesować. Stróż stał się Tonym Bonasaro. Wiedział o Tonym wszystko, prócz jego nazwiska, które potem wyszperał w książce telefonicznej. Połowa powieści istniała już w surowej formie w jego głowie — a reszta gwałtownie domagała się uporządkowania. Był podniecony, szczęśliwy, prawie pijany. Muza przybyła, witana tak serdecznie, jak nieoczekiwany czek w skrzynce pocztowej. Zamierzał kupić magnetowid, a zamiast tego dostał coś o wiele lepszego. Wpadł na pomysł.

Ten drugi proces — wynajdywanie pomysłu — nie był tak wyniosły czy zachwycający, ale w równym stopniu tajemniczy i w każdym calu konieczny. Bo kiedy piszesz powieść, prawie zawsze natrafiasz gdzieś na jakąś blokadę i nie ma sensu próbować brnąć dalej, dopóki nie będziesz miał pomysłu. Jego zwyczajową procedurą, kiedy potrzebował pomysłu, było nałożenie płaszcza i wybranie się na spacer. Jeżeli nie potrzebował pomysłu, kiedy wychodził na spacer, brał ze sobą książkę. Spacer był dobrym relaksem, aczkolwiek nudnawym. Jeżeli nie miałeś z kim pogadać podczas spaceru, książka stawała się koniecznością. Ale jeżeli potrzebowałeś pomysłu, nuda mogła być dla zablokowanej powieści tym, czym chemoterapia dla pacjenta chorego na raka.

W połowie *Szybkich samochodów* Tony zabił porucznika Graya, kiedy ten próbował zakuć go w kajdanki w kinie na Times Square. Paul chciał wymyślić coś, żeby Tony mógł się wywinąć — przynajmniej na razie — bo nie przewidywał, by akcja dalszego ciągu powieści z Tonym w roli głównej miała się rozgrywać w pudle. Mimo to Tony nie mógł tak po prostu zostawić Graya siedzącego w kinie z rękojeścią noża wystającą mu spod lewej pachy, ponieważ przynajmniej trzech ludzi wiedziało, że Gray poszedł na spotkanie z Tonym.

Problemem było pozbycie się ciała i Paul nie wiedział, jak ma sobie z tym poradzić. To była blokada. To była gra. To było tak, jakby Beztroski właśnie zabił w kinie faceta, a teraz musi dostarczyć jego ciało do samochodu tak, żeby nikt nie powiedział mu przy tym: "Panie, ten facet nie żyje, czy tylko wygląda, jakby był zachlany w trupa? Co z nim jest?" Jeżeli zdoła dowlec ciało Graya do wozu, pojedzie z nim do Queens i zostawi je na pewnej opuszczonej budowie, o której mu wiadomo. Paulie? "Możesz?"

Rzecz jasna nie było mowy o 10-sekundowym limicie czasu — nie miał kontraktu na tę książkę, pisał ją niejako dla przyjemności i nie wisiało nad nim widmo terminu, w którym musi ją ukończyć. A mimo to zawsze był pewien limit czasowy — okres, po którym musisz opuścić krąg, i większość pisarzy o tym wiedziała. Jeżeli książka pozostawała zablokowana dostatecznie długo, zaczynała się psuć, rozpadać, wszystkie dobre sztuczki i triki zaczynały wychodzić na wierzch. Wybrał się na spacer, nie myśląc w zasadzie o niczym, tak jak teraz. Przeszedł trzy mile, zanim faceci z warsztatu, harujący tam na dole, nie wystrzelili w górę flary. A jeżeli wznieci pożar w kinie? To wyglądało na całkiem niezły pomysł. Nie ogarnęło go wrażenie zawrotu głowy ani uczucie inspiracji — czuł się jak cieśla patrzący na kawałek drewna, który mógł mu posłużyć jako surowiec do pracy.

Mógł wznieci pożar na siedzeniu tuż obok niego, co ty na to? Te cholerne siedzenia w kinach są zawsze porozrywane. Zaczęłoby się dymić. Nawet bardzo. Mógłby odczekać tak

długo, jak to tylko możliwe, a potem wyciągnąć stamtąd ciało Graya. W razie czego mógł powiedzieć, że Gray stał się ofiarą zatrucia dymem — co o tym sądzisz?

Uznał, że to całkiem niezłe. Nie wspaniałe — była cała masa szczegółów, które należało dopracować, ale wyglądało niezłe. Miał pomysł. Mógł zabrać się do pracy.

Nigdy nie musiał mieć pomysłu, aby zacząć pisać książkę, ale zrozumiał instynktownie, że to mogło się udać.

Siedział w milczeniu na krześle, z podbródkiem na dłoni, patrząc na stodołę. Gdyby mógł chodzić, wyszedłby na pole.

Siedział cicho, niemal przysypiając. Czekał, aż coś się wydarzy, i nie zdawał sobie sprawy z niczego oprócz tego, że tam w dole działo się masę rzeczy, rozpatrywano dziesiątki pomysłów, osądzano, poddawano krytyce i odrzucano w mgnieniu oka. Minęło dziesięć minut, piętnaście. Teraz włączyła odkurzacz w saloniku (ale nadal nie śpiewała). Słyszał to, ale nie zrobił kompletnie nic, dźwięk wpływał do wnętrza jego czaszki jednym uchem i wypływał drugim — jak woda przepływająca przez rurę.

W końcu faceci tam na dole wystrzelili flarę, jak zwykle. Ci nieboracy tam na dole zawsze mieli z nimi całą masę kłopotów — w gruncie rzeczy wcale im nie zazdrościł.

Paul siedział w milczeniu — zaczynał mieć pomysł. Jego przytomny umysł powrócił — przybył lekarz — i przyjął pomysł jak list wrzucony przez otwór w drzwiach. Zaczął go rozpatrywać. Prawie go odrzucił (Czy mu się wydawało, czy tam na dole rozległy się nagle jęki zawodu?), rozpatrzył ponownie, po czym uznał, że co najmniej połowa nadaje się do wykorzystania. Druga flara — tym razem jaśniejsza niż pierwsza.

Paul zaczął niespokojnie bębnić palcami po parapecie okna. Około jedenastej zabrał się do pisania. Z początku szło mu opornie — pojedyncze trzaski, po których następowały okresy ciszy, trwające niekiedy nawet po piętnaście sekund. To było jak słuchowy ekwiwalent archipelagu wysp widocznych z powietrza — łańcuch niskich pagórków poprzedzielanych szerokimi pokosami błękitu.

Jednak powoli okresy ciszy zaczęły stawać się coraz to krótsze — raz po raz rozlegały się dłuższe serie stuków maszyny — na elektrycznej maszynie Paula brzmiałoby to o wiele przyjemniej, bo klekoczące odgłosy royala były ochryple, drażniące i nieprzyjemne. Paul jednak nie zauważał głosu Ducky Daddlesa, którym przemawiała maszyna. Przy końcu pierwszej strony był już rozgrzany. Przy końcu drugiej pracował na pełnych obrotach.

Po jakimś czasie Annie Wilkes wyłączyła odkurzacz i stanęła w drzwiach, obserwując go. Paul nie zdawał sobie sprawy, że tam była, nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, gdzie on sam się obecnie znajduje. Udało mu się uciec. Wreszcie. Znajdował się na cmentarzu w

Little Dunthorpe, oddychając wilgotnym, nocnym powietrzem, czując zapach mchu, ziemi i mgły, słyszał, jak zegar na wieży prezbiteriańskiego kościoła wybija drugą i przelał ten fakt na karty swojej powieści, nie pomijając niczego. Kiedy robił dobrą robotę, potrafił patrzeć przez papier. Właśnie tak jak teraz.

Annie obserwowała go przez dłuższą chwilę, jej ciężka twarz była pozbawiona uśmiechu, nieruchoma, ale w jakiś sposób zadowolona. Po chwili odeszła. Jej krok był ciężki, ale Paul tego również nie słyszał.

Pracował do trzeciej po południu, a o ósmej wieczorem poprosił ją, aby pomogła mu wrócić ponownie na fotel. Pisał przez kolejne trzy godziny, choć około dziesiątej ból zaczął mu poważnie doskwierać. Annie przyszła o jedenastej. Poprosił o kolejne piętnaście minut.

— Nie, Paul. Wystarczy. Jesteś biały jak sól.

Położyła go do łóżka i usnął w trzy minuty. Po raz pierwszy odkąd wynurzył się z szarej chmury, przespał całą noc i po raz pierwszy nic mu się nie przyśniło. Śnił na jawie.

6

Paul Sheldon

"POWRÓT MISERY"

Dla Annie Wilkes

ROZDZIAŁ 1

Przez chwilę Geoffrey Alliburton nie był pewny, kim był stary mężczyzna stojący w drzwiach, i to nie tylko dlatego, że dzwonek wyrwał go ze stanu sennego odrętwienia. Najbardziej irytującą rzeczą w wiejskim życiu, pomyślał, było to, że zamieszkiwało tu zbyt mało ludzi, aby można powiedzieć o kimś, że jest ci kompletnie nieznany, a zarazem dostatecznie dużo, by nie można ich rozróżnić w mgnieniu oka. Czasami trzeba było się opierać jedynie na rodzinnym podobieństwie – a tego typu podobieństwa, rzecz jasna, bardzo często wynikały z wcale nie

odosobnionych przypadków bastardyzmu. Zazwyczaj był w stanie poradzić sobie w takiej sytuacji – niezależnie, co miałyby wówczas powiedzieć, próbując nawiązać konwersację z kimś, kogo nazwisko powinien był sobie przypomnieć, ale nie mógł; kłopoty nabierały iście kosmicznych rozmiarów dopiero wówczas, kiedy w tym samym czasie pojawiły się dwie tak znajome twarze i akurat należało dokonać prezentacji.

– Mam nadzieję, że panu nie przeszkadzam – rzekł gość. Miętosił w dłoniach płócienną czapkę. A w świetle lampy, która Geoffrey trzymał w uniesionej wysoko dłoni, jego twarz wyglądała na pomarszczoną, pożółkłą i pełną zakłopotania – można by nawet rzec – przerażenia. – Chodzi mi o to, że nie chciałem iść do doktora Bookingsa ani nie chciałem kłopotać jego lordowskiej mości. Przynajmniej dopóki nie rozmówię się z panem, sir. Jeżeli rozumie pan, co mam na myśli.

Geoffrey nie rozumiał, ale zupełnie nagle doznał olśnienia – wiedział już, kim był jego nocny gość. Sprawiała to wzmianka o doktorze Bookingsie, duszpasterzu kościoła anglikańskiego. Przed trzema dniami doktor Bookings wypełnił ostatnią posługę względem Misery, na cmentarzu, który rozciągał się na tyłach probostwa – i ten facet był tam, czekał na uboczu i praktycznie rzecz biorąc prawie nie rzucał się w oczy.

Nazywał się Colter. Był jednym z kościelnych. Mówiąc szczerze – choć prawda była dość brutalna – człowiek ów pracował jako grabarz.

– Colter – powiedział. – Co mogę dla pana zrobić?

– To te odgłosy, sir – odparł z wahaniem. – Te odgłosy na cmentarzu. Jej lordowska mość, nasza panienka nie zaznała spokoju, sir, i obawiam się, że...

Geoffrey miał wrażenie, jakby ktoś wymierzył mu cios w żołądek. Wciągnął gwałtownie powietrze i gorący ból przeszył jego bok niczym igła, w miejscu gdzie żebra były mocno zabandażowane przez doktora Shineboine'a. Zgodnie z ponurą teorią zawodową Shineboine'a Geoffrey prawie na pewno powinien był złapać zapalenie płuc po deszczowej nocy spędzonej w rowie, ale minęły trzy dni, a kaszel ani gorączka jak dotąd się nie pojawiły; wiedział, że się nie pojawią. Bóg nie uwalnia tak łatwo od winy. Wierzył, że Bóg zachowa go przy życiu, aby mógł jeszcze długo wspominać swoją nieżyjącą już ukochaną.

– Nic panu ale jezd, sir? – spytał Colter. – Słyszałem, że był paru stłasznie przygnembiony tamtej nocy... Tej nocy, kiedy pani umarła.

– Nic mi nie jest – rzekł powoli Geoffrey. – Colter, te odgłosy, które, jak mówisz – słyszałeś – wiesz, że to ci się tylko wydawało, prawda?

Colter sprawiał wrażenie wstrząśniętego.

– Wydawało? – spytał. – Sir! Jak tak dalej pójdzie, już niedługo powie mi pan, że nie wierzy w Jezusa i życie wieczne! A czy Duncan Promsley nie widział starego Pattersona w dwa dni po jego pogrzebie świecącego jak ogniki bagienne /i to najprawdopodobniej były właśnie te ogniki, pomyślał Geoffrey, ogniki plus to, co wylazło z ostatniej butelki starego Fromsleya/? A czy pół miasta nie widziało tego starego mnicha papisty przechadzającego się po terenach Ridgeheath Manor?

Wysłali nawet parę babek z tego diabelskiego londyńskiego Psychic Serciety, żeby to zbadały!

Geoffrey wiedział, jakie kobiety miał na myśli Colter: dwójkę historycznych kokot, próbujących w ten jakże niezwykle sposób umilić sobie nudne chwile swego życia, szukających tanich sensacji zwariowanych jak dziecięca układanka.

– Duchy są tak realne jak pan, czy ja, sir – rzekł z powagą Colter. – Nie wiem, skąd one się biorą, ale te odgłosy są po prostu przerażające; boję się i nie mam ochoty zbliżyć się do cmentarza, a jutro muszę wykopać grób dla dziecka Roydmannów, dlatego tu przyszedłem.

Geoffrey w głębi duszy modlił się o cierpliwość. Chęć rugnięcia tego biednego kościelnego była niemal nie do przewyciężenia. Drzemał spokojnie przed kominkiem, z książką na kolanach, kiedy pojawił się Colter i obudził go... Z każdą chwilą rozbudzał się coraz bardziej i z każdą sekundą coraz bardziej ogarniał go przejmujący bolesny smutek... Świadomość, że jego ukochana odeszła, od trzech dni spoczywała w grobie... wkrótce minie tydzień... miesiąc... potem rok... dziesięć lat. Smutek, pomyślał, był jak skała nad brzegiem oceanu. Kiedy spał, było tak jak podczas trwania przyływu – i to w pewnym sensie przyniosło mu niejaką ulgę.

Sen był jak wysoka fala, która zakrywała skałę żalu. Kiedy się budził, następował odpływ i wkrótce skała znów stawała się widoczna – opoka niezniszczalnej rzeczywistości, coś co będzie tam zawsze, dopóki Bóg nie zdecyduje inaczej.

A ten głupiec ośmielił się tu przychodzić i opowiadać mu o duchach!

– Panna Misery, jej lordowska mość, była kochana przez wszystkich – rzekł cicho Geoffrey.

– Tak, psze pana – zgodził się gorąco Colter. Przełożył swoją zmiętą płócienną czapkę do lewej ręki. Prawą wyjął z kieszeni olbrzymią czerwoną chustkę, siąknął w nią potężnie, a jego oczy wypełniły się łzami.

– Jej odejście było dla nas wszystkich strasznym ciosem – dłonie Geoffreya przesunęły się do koszuli i zaczęły nerwowo pocierać znajdujący się pod nią muslinowy materiał chusty.

– Tak, to prawda, sir – to prawda – słowa Coltera były tłumione przez chustkę, ale Geoffrey widział jego oczy – ten mężczyzna naprawdę szczerze płakał. Resztki gniewu w jego wnętrzu zastąpiło współczucie.

– Była taką dobrą panią, sir! Taak – była wspaniałą panią i to straszne, jak jego lordowska mość przyjął to, co się stało.

– Tak. Była dobra – rzekł łagodnie Geoffrey i nagle z przerażeniem zdał sobie sprawę, że jest bardzo bliski łez – jak mroczne chmury, wiszące na niebie w letnie popołudnie, zapowiadające burzę. – Czasami, Colter, kiedy odchodzi ktoś wyjątkowo dobry, ktoś kto był nam szczególnie bliski – nie potrafimy się z tym pogodzić. Dlatego też zdarza się, że wyobrażamy sobie, iż te osoby nie odeszły. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Tak, psze pana! – rzucił gorąco Colter. – Ale te odgłosy... Sir. Gdyby je pan słyszał!

Geoffrey zapytał łagodnie:

– Jakie odgłosy masz na myśli?

Rzecz jasna przypuszczał, że Colter powie o odgłosach, które mogą być szelestem wiatru w gałęziach drzew, dźwiękiem wzmacnianym przez jego własną wyobraźnię albo być może borsuka torującego sobie drogę do strumienia Little Duflthorpe, który płynął niemal tuż za cmentarzem, dlatego też prawdziwym szokiem były dla niego słowa, które Colter wyszeptał głosem pełnym przerażenia:

– Odgłosy drapania, sir! To brzmi tak, jakby ona ciągle jeszcze żyła tam na dole i próbowała wydostać się z grobu, aby powrócić do krainy żyjących – ot, co!

ROZDZIAŁ 2

Piętnaście minut później Geoffrey, ponownie sam, podszedł do kredensu stojącego w jadalni. Kołysał się z boku na bok jak marynarz przemierzający pokład dziobowy okrętu podczas sztormu. I czuł się jak marynarz podczas sztormu. Byłby nawet w stanie uwierzyć, że oto w końcu dosięgła go złośliwa i mściwa gorączka, którą, niemal z rozradowaniem, przepowiedział mu doktor Shinebone, ale to nie gorączka sprawiła, że w jednej chwili na jego policzkach pojawił się purpurowy rumieniec, a czoło przybrało barwę wosku. To nie gorączka sprawiła, że jego dłonie drżały tak bardzo, iż niemal upuścił karafkę brandy, którą wyjął z kredensu.

Jeżeli istniała szansa, choćby najmniejsza, że potworna myśl, którą Colter zaszczeplił w jego mózgu, była prawdziwa, wiedział, że nie ma chwili do stracenia. Czuł jednak, że jeżeli

wie wypije jednego głębszego, zemdleje i runie jak długi na podłogę.

Geoffrey Alliburton zrobił wówczas coś, czego nie zrobił nigdy dotąd w całym swoim życiu, coś, co przydarzyło mu się po raz pierwszy i ostatni – podniósł karafkę do ust i wypił prosto z niej.

Potem cofnął się o krok i wyszeptał: – Musimy to zbadać. Musimy to zbadać, na Boga! I jeżeli wpakuję się w tę szaleńcza kabałę, a koniec końców okaże się, że był to jedynie wymysł starego, pomyłonego grabarza, to Bóg mi świadkiem, że uszy Coltera zawisną przy łańcuszku mojego zegarka, niezależnie od tego, jak bardzo ów człowiek kochał Misery.

ROZDZIAŁ 3

Mknął dwukółką pod dziwnym, niezbyt mrocznym niebem, na którym wisiał księżyc w trzeciej kwadrze – to nikonący, to z ów wyłaniający się spośród dryfującej nieustannie nawały chmur. Zatrzymał się, by narzucić pierwszą rzecz, która wpadła mu w rękę, kiedy otworzył drzwi szafy na dole. Jak się okazało, była to ciemnokasztanowa marynarka od smokingu. Jej poły unosiły się wysoko, kiedy zacinał batem Mary.

Podstarzała klacz nie była w stanie osiągnąć spodziewanej przez niego prędkości – Geoffrey nie lubił uczucia narastającego bólu w ramieniu i boku, ale nic nie mógł na to poradzić.

Odgłosy drapania, sir! To brzmi tak, jakby ona ciągle jeszcze żyła tam na dole i próbowała wydostać się z grobu, aby powrócić do krainy żyjących!

Sam ten fakt nie byłby w stanie wprowadzić go w stan zbliżony do przerażenia, ale przypomniał sobie, jak przybył do rezydencji Calthorpe'ów w dzień po śmierci Misery. On i Ian patrzyli na siebie nawzajem, a Ian próbował się uśmiechnąć, choć jego oczy przypominały perły – błyszcząły w nich łzy.

– To byłoby chyba łatwiejsze – powiedział Ian – gdyby ona... bardziej... bardziej przypominała zmarłą. Wiem, jak to brzmi...

– Ej że – powiedział Geoffrey siląc się na uśmiech – właściciel zakładu pogrzebowego z całą pewnością dołożył wszelkich starań...

– Właściciel zakładu pogrzebowego – prawie krzyknął Ian i po raz pierwszy Geoffrey zdał sobie sprawę, że jego przyjaciel znajduje się na krawędzi obłądu. – Właściciel zakładu pogrzebowego! Ghul! Nie wzywałem żadnego przedsiębiorcy pogrzebowego i nie pozwoliłbym, żeby jakiś przedsiębiorca zjawił się tutaj i różowił mojej ukochanej policzki, i malował ją jak lalkę.

– Ian, mój drogi przyjacielu, naprawdę – nie możesz...

Geoffrey uczynił gest, jakby chciał klepnąć Iana w ramię, który przerodził się w mocny uścisk.

Dwaj mężczyźni, objęci ramionami, szlochali jak dzieci, podczas gdy w drugim pokoju dziecko Misery, jednodniowy prawie chłopiec, wciąż jeszcze nie mający imienia, obudził się i zaczął płakać. Pani Ramage, której szlachetne serce było

złamane, zaczęła śpiewać mu kołysankę drżącym i łamiącym się głosem.

Z początku, przepełniony obawą o stan psychiczny Iana, mniej był zainteresowany tym, co powiedział Ian, niż tym, jak to powiedział – dopiero teraz, gdy zaciął batem Mary, aby jak najszybciej dotrzeć do Little Dunthorpe – pomimo coraz dotkliwszego bólu – te słowa wróciły i w świetle słów Coltera były naprawdę przerażające.

Gdyby ona bardziej przypominała zmarłą. Gdyby bardziej przypominała zmarłą, stary druhu.

To nie było wszystko. Później, tego popołudnia, kiedy pierwsi mieszkańcy wioski zaczęli podążać na szczyt wzgórza Calthorpe'a, aby złożyć kondolencje pogrążonemu w smutku lordowi, powrócił Shinebone. Wyglądał na zmęczonego i wyraźnie nie czuł się najlepiej – ale to nie było niczym szczególnym w przypadku człowieka, który twierdził, że sam Wellington /Żelazdy Książę/ podał mu rękę, kiedy on /Shinebone, a nie Wellington/ był jeszcze małym chłopcem. Geoffrey przypuszczał, że historia z Wellingtonem była wymyślona, ale stary Shinny przychodził do nich, kiedy byli jeszcze mali, pomagał Geoffreyowi zwalczyć wszystkie dziecięce choroby i już wtedy Shinny wydawał mu się bardzo starym człowiekiem. Biorąc pod uwagę fakt, że dla dziecka każdy powyżej dwudziestu pięciu lat wydaje się stary, uznał, że Shinny musiał mieć obecnie jakieś siedemdziesiąt pięć lat.

Był stary... ostatnie dwadzieścia cztery godziny były dla niego katorgą... czy stary zmęczony człowiek nie mógł popełnić błędu?

Potwornego, nieopisanego błędu?

To właśnie ta myśl, pośród wielu innych, kazała mu wyjechać w tę zimną, wietrzną noc, mając nad sobą księżyc, który przemykał niepewnie pomiędzy chmurami.

Czy mógł popełnić aż taki błąd? I czy go popełnił? Część niego samego, ta bardziej nikczemna i tchórzliwa, która byłaby w stanie raczej zaryzykować utratę Misery na zawsze, aniżeli patrzeć przez palce na nieuniknione rezultaty takiej pomyłki, zdecydowanie zaprzeczyła. Ale kiedy Shinny wszedł...

Geoffrey siedział obok załamane go Iana, który chaotycznie wspominał, jak on i Ian uwolnili Misery z pałacowych lochów szalonego francuskiego wicehrabiego Leroux, jak uciekli na wozie z sianem i jak Misery w krytycznym momencie odwróciła uwagę jednego ze strażników wicehrabiego, wysuwając obnażoną nogę ze stogu siana i machając nią delikatnie. Geoffrey również wspominał te chwile, pogrążony w smutku i żalu, a teraz przeklinał ten swój smutek, bo dla niego /i najprawdopodobniej dla Iana/ Shinny w owej chwili zdawał się w ogóle nie istnieć. Czy Shinny nie wyglądał wtedy na dziwnie zamyślnego? Czy nie sprawiał wrażenia tajemniczo zaabsorbowanego? Czy to było tylko zmęczenie, czy też może coś innego... jakieś podejrzenie?

Nie, z całą pewnością nie – zaprotestował, acz niepewnie, jego umysł. Dwukółka wspinała się po zboczu wzgórza Calthorpe'a. Rezydencję spowijał mrok, ale – o, dobrze! – w domku pani Ramage wciąż jeszcze paliło się światło.

– Jazda, Mary! – krzyknął i strzelił z bata, krzywiąc się.
– Już niedaleko, maleńka, zaraz sobie odpoczniesz!

Na pewno. To na pewno nie jest to, o czym myślisz! Ale oględziny połamanych żeber i zwichniętego ramienia Geoffreya

dokonane przez Shinny'ego wyglądały na czysto pobieżne. Lekarz prawie nie rozmawiał z Ianem, pomimo że mężczyzna ów był pogrążony w głębokiej rozpacz i cierpiał na częste ataki niemal histerycznego płaczu. Nie – po inspekcji, która teraz wydawała się nie dłuższa niż najkrótsza zwyczajna inspekcja lekarza, Shinny zapytał cicho – czy ona...?

– Tak, w salonie – rzeki z trudem Ian. – Moja ukochana leży w salonie. Pocałuj ją ode mnie, Shinny, i powiedz jej, że już wkrótce do niej dołączę.

Wtedy właśnie Ian ponownie zalał się łzami, a Shinny, mruczając na wpół słyszalne wyrazy współczucia, wszedł do salonu. Obecnie Geoffrey miał wrażenie, że stary chirurg przebywał tam stosunkowo długo... Ale może tak mu się tylko wydawało.

Kiedy jednak wyszedł z saloniku, lekarz po prostu promieniał z radości – co do tego Geoffrey nie miał żadnych wątpliwości. Jego wygląd zwyczajnie nie pasował do tego pokoju, który przepełniały smutek i żal, pokoju, w którym pani Ramage zawieszała już czarne pogrzebowe zasłony.

Geoffrey wyszedł w ślad za doktorem i z niemałym wahaniem zagadnął do niego w kuchni. Miał nadzieję, powiedział, że doktor przepisze jakieś proszki nasenne dla Iana, który naprawdę wyglądał bardzo kiepsko. Shinny jednak sprawiał wrażenie pochłoniętego zupełnie czymś innym.

– To ani trochę nie przypomina przypadku panny Evelyn-Hyde. Muszę przekonać się o tym osobiście – powiedział i wrócił do swojego caleche, nie odpowiadając ani słowem na pytanie Geoffreya. Geoffrey wszedł z powrotem do pokoju i niemal (natychmiast zapomniał o dziwnych słowach doktora, składając

winę za jego niezwykle zachowanie na karb jego wieku, zmęczenia i – rzecz jasna – swoistego poczucia żalu. Myślami znów był przy Ianie i uznał, że gdyby nie dostał dla niego środków nasennych, to po prostu wlewałby Ianowi do gardła whisky, prosto z butelki, dopóki biedaczyna nie zapadłby w błogi stan nieświadomości.

Zapomnieć... nie myśleć.

Aż do teraz.

To ani trochę nie przypomina przypadku panny Evelyn-Hyde.

Muszę przekonać się o tym osobiście.

O czym?

Geoffrey nie wiedział, ale zamierzał się tego dowiedzieć. Niezależnie od tego, ile nerwów miałoby go to kosztować – a zdawał sobie sprawę, że w tym przypadku cena, jaką przyjdzie mu zapłacić, może być wyjątkowo wysoka.

ROZDZIAŁ 4

Pani Ramage wciąż jeszcze nie spała, kiedy Geoffrey zaczął walić pięściami w drzwi domku, choć było już dwie godziny po czasie, kiedy zwykła się kłaść. Odkąd Misery odeszła, pani Ramage kładła się coraz to później, nie mogąc sobie poradzić z przewracaniem się z boku na bok, starała się więc przynajmniej jak najdłużej odwlec tę chwilę. Choć była najbardziej zrównoważoną i praktyczną kobietą, odgłos gwałtownego walenia w drzwi sprawił, że krzyknęła i sparzyła się gorącym mlekiem, które nalewała z dzbanka do filiżanki. Ostatnio zdawała się tkwić na krawędzi, drobny bodziec wystarczyłby, aby popadła w

histerię; uczuciem tym **nie** był smutek – choć smutek **niemal** ją przytłaczał – było to dziwne burzliwe uczucie, którego, jak sięgała pamięcią, **nigdy** dotąd **nie** doświadczyła. Chwilami miała wrażenie, że byłoby lepiej, gdyby **nie** próbowała zdemaskować myśli, które krążyły wokół **niej**, poza zasięgiem jej umęczonego, pogrążonego w smutku i gorzcy umysłu.

– Kto tam puka o dziesiątej? – krzyknęła przez drzwi. – Kimkolwiek jesteś, chciałam powiedzieć, że właśnie się przez ciebie poparzyłam!

– To Geoffrey, pani Ramage! Geoffrey Alliburton! Proszę, na litość boską, **niech** pani otworzy drzwi!

Usta pani Ramage otworzyły się. Znajdowała się w połowie drogi do drzwi, kiedy uświadomiła sobie, że jest w **nocnej** koszuli i czepku. **Nigdy** **nie** słyszała takiego tonu u Geoffreya i **nigdy** **by** **nie** uwierzyła, gdyby ktoś jej o tym opowiedział. Jeżeli w całej Anglii był człowiek o bardziej **nieulękl**ym sercu aniżeli jej ukochany milord, to był **nim** Geoffrey – a mimo to jego głos drżał **niczym** głos kobiety na krawędzi hysterii.

– Chwileczkę, **panie** Geoffrey! Jestem **nie** ubrana!

– Diabła tam! – krzyknął Geoffrey. – **Nie** obchodzi **mnie**, czy jest pani **naga** czy **nie**, pani Ramage! Proszę otworzyć! **Niech** pani otwiera, **na** Boga!

Wahała się tylko przez chwilę, po czym podeszła do drzwi i odryglowała je gwałtownie.

Geoffrey wyglądał szokująco i **znów** usłyszała odgłos gromu – mrocznych myśli – gdzieś w głębi czaszki. Geoffrey stał na progu domku zarządcy **dziwnie** pochylony, jakby miał **zniekształcony** kręgosłup **na** skutek **długoletniego** **noszenia** **na**

plecach kramiku domokrażcy. Jego prawa dłoń była wciśnięta pod lewą pachę, włosy miał w nieładzie.

Ciemnobrązowe oczy zdawały się wypalać jego blade oblicze. Był ubrany co najmniej dziwnie – niebywale mógłby powiedzieć ktoś, kto wiedział, jak zazwyczaj odziany był Geoffrey Alliburton. Miał na sobie starą marynarkę od smokingu z krzywo zapiętym pasem, rozpiętą pod szyją białą koszulę i grube serżowe spodnie, które wyglądałyby bardziej odpowiednio na nogach wędrownego ogrodnika niż najbogatszego człowieka w Little Dunthorpe. Na stopach miał parę wyświechtanych pantofli.

Strój pani Ramage również nie pasowałby na bal w hrabstwie, miała bowiem na sobie długą białą koszulę nocną i czepek, którego rozplatanę, poskręcane wstążki zwisały wokół jej twarzy jak frędzle na abażurze lampy.

Patrzyła na niego z rosnącym zaciekawieniem.

Ponownie dawały o sobie znać zębra, które połamał udając się przed trzema dniami po lekarza. To było zrozumiałe, lecz nie ból sprawił, że jego oczy błyszczwały jak rozżarzone węgle. To było przerażenie, które z trudem udawało mu się opanować.

– Panie Geoffrey, co...

– Żadnych pytań – powiedział oschle. – Jeszcze nie, dopóki pani nie odpowie na moje pytanie.

– Jakie pytanie? – Ona również była przerażona. Jej lewa ręka zacisnęła się w pięść – trzymała ją tuż nad swoją krągłą piersią.

– Czy mówi pani coś nazwisko Evelyn-Hyde?

I nagle zrozumiała powód owego przerażającego, grzmiącego uczucia, które zagnieździło się w jej wnętrzu od sobotniej

nocy. Jakaś część jej umysłu musiała znać tę upiorną myśl i po prostu ją stłumiła, bo nie potrzebowała dalszych wyjaśnień. Wystarczyło nazwisko nieszczęsnej panny Evelyn-Hyde zmarłej w Storpington on Firkill, wiosce na zachód od Little Dunthorpe, aby z jej ust dobył się stłumiony krzyk:

– Wszyscy święci! Drogi Jezu! Czy ona została pogrzebana żywcem? Czy ona została pogrzebana żywcem? Czy moja ukochana Misery została pogrzebana żywcem?

I zanim Geoffrey zdołał cokolwiek powiedzieć, pani Ramage zrobiła coś, co nigdy dotąd się jej nie zdarzyło i co przytrafiło się jej wówczas po raz pierwszy i ostatni. Zemdląca.

ROZDZIAŁ 5

Geoffrey nie miał czasu na szukanie soli trzeźwiących. Wątpił zresztą, czy tak twarda osoba jak pani Ramage trzymała je w domu. Ale pod zlewem znalazł szmatę lekko przesiąkniętą wonią amoniaku. Nie tylko przesunął nią pod jej nosem, ale przyłożył ją do twarzy. Możliwość zasugerowana przez Coltera, jakkolwiek niepewna, była zbyt odpychająca, aby można ją rozważać w jakikolwiek racjonalny sposób. Zadrzała, krzyknęła i otworzyła oczy, przez chwilę patrzyła na niego z wyrazem oszołomienia, niezrozumienia i zaskoczenia. Potem usiadła.

– Nie – powiedziała. – Nie, panie Geoffrey. Niech pan powie, że to nieprawda, że nie o to panu chodziło...

– Nie wiem, czy to prawda, czy nie – odparł. – Ale musimy się o tym przekonać osobiście. I to natychmiast. Natychmiast,

pani Ramage. Nie dam rady jej odkopać w pojedynkę, gdyby się okazało, że to będzie konieczne.

Patrzyła na niego z przerażeniem, a jej dłonie były przyciśnięte do ust tak mocno, że paznokcie stały się białe.

– Czy pomoże mi pani, jeżeli to okaże się konieczne? Nie mogę liczyć na nikogo innego.

– A milord? – zapytała otępiałym tonem.

– Milord Ian nie może o niczym wiedzieć, dopóki my nie dowiemy się czegoś więcej – powiedział.

Jeżeli Bóg jest dobry, to nigdy nie będzie musiał się o niczym dowiadywać. Nie chciał powiedzieć o płomyku nadziei, który tlił się w głębinach jego umysłu, o nadziei niemal równie przerażającej jak obawy. Jeżeli Bóg był bardzo dobry, dowie się o tym nocnym przedsięwzięciu, kiedy jego żona i jedyna miłość powróci do niego. A jej powrót z krainy umarłych będzie prawie tak samo cudowny jak wskrzeszenie Łazarza.

– Och, to straszne... straszne... – powiedziała słabym, drżącym głosem.

Zdołała wstać, przytrzymując się stołu. Stała niepewnie, a kosmyki włosów okalały jej twarz pośród wstążek czepka.

– Dobrze się pani czuje? – spytał bardziej przyjaźnie. – Jeżeli nie, postaram się zrobić wszystko co w mojej mocy i poradzić sobie z tym w pojedynkę.

Wzięła głęboki oddech, a potem wypuściła powietrze z płuc. Chwiejność ustała. Odwróciła się i poszła w stronę spiżarni.

– W szopie na zewnątrz są dwie łopaty – powiedziała. – Kilof też by się przydał, jak sądzę – oznajmiła. – Proszę je wrzucić do dwukółki. W spiżarni mam pół butelki ginu. Nie

sięgałam po nią od tej nocy, przed pięciu laty, kiedy umarł Bill. Pociągnę łyka, a potem dołączę do pana, panie Geoffrey.

– Jest pani dzielną kobietą, pani Ramage. Tylko niech się pani pospieszy.

– Tak. Nie boję się – powiedziała i ujęła w lekko drżąca dłoń butelkę ginu. Na butelce nie było śladu kurzu – pani Ramage uwielbiała czystość i porządek i spiżarnia nie stanowiła wyjątku od reguły, tylko nalepka na butelce z napisem Clough and Poor Booziers była całkiem pożółkła. – Pan też niech się spręży.

Nie była zwolenniczką alkoholi i jej żołądek nie przywykły do mocnej, nieprzyjemnej woni jałowca i oleistego smaku chciał zwrócić palący płyn. Przewyciężyła to w sobie. Wiedziała, że dziś wieczorem będzie tego potrzebować.

ROZDZIAŁ 6

Mając nad sobą chmury, które wciąż mknęły ze wschodu na zachód ciemnymi kształtami na czarnym niebie, i księżyc zmierzający nieuchronnie w kierunku horyzontu, dwukółka pędziła w stronę cmentarza; tym razem prowadziła pani Ramage, i to ona zacinała batem zakłopotaną Mary, która /rzecz jasna, gdyby konie potrafiły mówić/ powiedziałyby im, że coś tu jest nie tak i że o tej porze powinna już dawno spać w swej ciepłej i przytulnej stajni. Kilof i łopaty brzęczały, zderzając się z sobą nawzajem, a pani Ramage pomyślała, że każdy, kto by ich teraz zobaczył, na pewno przeraziłby się śmiertelnie – musieli wyglądać jak dwójka potępieńców z powieści Dickens'a – albo jak

pojedynczy potępieniec siedzący w dwukółce powożonej przez upiора.

Cała była ubrana na biało – nie zdążyła się nawet przebrać. Koszula nocna powiewała wokół jej napuchniętych, pokrytych nabrzmiałymi żyłami kostek, a wstążki czepka płynęły za nią jak biała fala.

Dotarli do kościoła. Zatrzymała Mary na drodze biegnącej opodal i zadrżała słysząc upiorne granie wiatru w dzwonnicy kościółka. Miała chwilę na zastanowienie, dlaczego tak święte miejsce wygląda po zmierzchu tak przerażająco, zaraz jednak zdała sobie sprawę, że to nie kościół... a raczej sprawa, z powodu której tu przybyli, przyprawiała ją o zgrozę. Pierwszą myślą, jaka przyszła jej do głowy, kiedy otrząsnęła się z omdlenia, było to, że milord musi im pomóc – czy to nie on towarzyszył im zawsze na dobre i złe i nigdy się nie załamał? W chwilę później zrozumiała, jak bardzo szalony był ów pomysł. Nie chodziło tu o odwagę milorda, ale o jego stan psychiczny.

Nie potrzebowała, aby pan Geoffrey jej to uświadamiał – wystarczyło do tego wspomnienie o pannie Evelyn-Hyde. Zdała sobie sprawę, że ani pana Geoffreya, ani milorda ale było w Little Dunthorpe, kiedy to się stało. Zdarzyło się to wiosną, mniej więcej pół roku temu. Misery była już w ciąży i miała za sobą najgorszy okres, ale jej brzuch nie był jeszcze nabrzmiały i wszystkie związane z tym kłopoty miały pojawić się dopiero później. Wspaniałomyślnie wysłała obu mężczyzn na tydzień, aby mogli sobie zapolować na pardwy, pograć w karty, w piłkę i użyć Bóg wie jakich przyjemności, których ale szcędzą sobie przybyli do Oak Hall w Doncaster. Milord nie był do końca

przekonany, ale Misery zapewniła go, że nic się jej nie stanie i nieomal siłą wypchnęła go za drzwi. Pani Ramage nie wątpiła, że Misery nic się nie stanie, jednakże kiedy milord i pan Geoffrey wyjechali do Doncaster, zastanawiała się, czy aby któryś z nich – albo może nawet obaj – nie wróca do domu na platformie wozu nogami do przodu.

Oak Hall otrzymał w spadku Albert Fossington – szkolny przyjaciel Geoffreya i Iana. Pani Ramage uważała nie całkiem bezpodstawnie, że Bertie Fossington był szalony. Jakieś trzy lata temu zjadł swojego ulubionego konia do gry w polo, po tym jak ów koń złamał dwie nogi i trzeba go było dobić.

– To był gest uczucia – powiedział. – nauczyłem się tego od paru gości z Kapsztadu – dorzucił. – Griquasi. Wspaniali faceci. Wkładają sobie do nosów patyki i takie tam... niektórzy z nich wyglądają, jakby mogli unieść na dolnej wardze całe dwanaście tomów Royal Navigation Charts – ha ha! Nauczyli mnie, że każdy człowiek musi zjeść istotę, którą kocha. To dziwne, ale na swój sposób poetyckie, prawda?

Mimo tak okrutnych nawyków zarówno Geoffrey, jak i Ian bardzo lubili Bertiego /zastanawiam się, czy to oznacza, że chcieli go zjeść, kiedy umrze? – pomyślała kiedyś pani Ramage po jednej z wizyt Bertiego, podczas której próbował on rozegrać partyjkę krykieta za pomocą kota i nieomal roztrzaskał nieszczęsnemu stworzeniu głowę/, a ostatniej wiosny spędzili prawie dziesięć dni w Oak Hall.

Jakiś dzień czy dwa po ich wyjeździe panna Charlotta Evelyn-Hyde ze Storpington na Firkill została znaleziona martwa na tyłach swego domu – Cove O'Birches.

W wyciągniętej przed siebie dłoni ściskała pęk świeżo zerwanych kwiatów. Wioskowy lekarz nazywał się Billford i był kompetentnym fachowcem. Mimo to wezwał na konsultację doktora Shinebone'a. Billford określił, że przyczyną zgonu był atak serca, choć dziewczyna miała dopiero osiemnaście lat, była w kwiecie wieku. Billford miał spore wątpliwości, coś tu nie grało. Stary Shinny również był w kropce, ale w końcu zgodził się z diagnozą. Podobnie jak reszta mieszkańców wioski – serce dziewczyny miało wrodzoną wadę, to wszystko – takie rzeczy, rzadko bo rzadko, ale się zdarzają. Ta uniwersalna zgoda najprawdopodobniej uratowała praktykę Billforda – jeżeli nie jego głowę – po okropnym zdarzeniu, jakie wkrótce miało miejsce. Choć wszyscy się zgodzili, że śmierć dziewczyny była zagadkowa, nikomu nie przyszło na myśl, że być może dziewczyna po prostu w ogóle nie umarła.

W cztery dni po pogrzebie starsza kobieta nazwiskiem Soames – pani Ramage znała ją dość słabo – zauważyła coś białego, leżącego na ziemi na cmentarzu kongregacyjnym, kiedy weszła tam, aby położyć kwiaty na grobie swego męża, który zmarł ubiegłej zimy. Było to nazbyt duże, aby mogło być płatkami kwiatu, i pomyślała, że to pewnie martwy ptak albo coś w tym rodzaju. Kiedy podeszła bliżej, zobaczyła, że owo coś nie leży na ziemi, tylko z niej wystaje. Podeszła jeszcze bliżej i zobaczyła rękę wystającą z ziemi świeżego grobu – palce zastygłe w okropnym błagalnym geście. Z końców wszystkich palców, oprócz kciuka, wychodziły okrwawione kości. Pani Soames z krzykiem uciekła z cmentarza, przebiegła cały dystans wzdłuż Stopping Street /prawie 1 1/4 mili/ i opowiedziała o wszystkim

fryzjerowi, który był zarazem miejscowym konstabłem. Potem zemdląca. Kiedy później, tego popołudnia, położono ją do łóżka, pozostawała w nim przez blisko miesiąc. Zresztą nikt nie mógł mieć do niej o to pretensji.

Ciało nieszczęsnej panny Evelyn-Hyde zostało ekshumowane, rzecz jasna, i kiedy Geoffrey Alliburton zatrzymał Mary przed bramą cmentarza anglikańskiego w Little Dunthorpe, pani Ramage uświadomiła sobie, że nie powinna słuchać opowieści o przebiegu ekshumacji. To było okropne. Doktor Billford zdenerwowany i na wpół obłąkany stwierdził katalepsję. Nieszczęsna kobieta musiała najwidoczniej wpaść w jakiś rodzaj transu, bardzo zbliżonego do śmierci – jednego z tych, w jaki potrafią się wprowadzić hinduscy fakirzy, aby później dać się pogrzebać żywcem albo przekłuwać sobie ciało stalowymi igłami. Pozostawała w tym transie przez czterdzieści osiem, może nawet sześćdziesiąt godzin. W każdym razie na tyle długo, by nie ocknąć się na tyłach domu, gdzie zbierała kwiaty, tylko wewnątrz trumny, we własnym grobie, gdzie ją pochowano żywcem. Ta dziewczyna zawzięcie walczyła o życie i pani Ramage, idąc tuż za Geoffreyem przez bramę cmentarza – wchodząc w gęstą mgłę, która przemieniała każdy z nagrobnych kamieni w samotną wyspę – uświadamiała sobie, że to, co powinno kojarzyć się ze szlachetnością, wydawało się jej jeszcze bardziej odrażające.

Dziewczyna była zaręczona, miała wyjść za mąż. Na lewej ręce – nie tej zeszywniałej nad ziemią, jak ręka tonącej kobiety – nosiła pierścionek zaręczynowy z diamentem. Rozcięła nim satynową wyściółkę trumny, a potem, po Bóg wie ilu godzinach uciążliwej pracy, zdołała rozplatać drewnianą pokrywę

trumny. W końcu, kiedy zdała sobie sprawę, że może nie starczyć jej powietrza, zaczęła pracować dwutorowo – lewą ręką cięła, a prawą zabrała się do kopania. Mimo to nie zdażyła. Jej skóra stała się ciemnopurpurowa, w szklistych, niemal wychodzących z orbit oczach zastygł wyraz śmiertelnego przerażenia.

Zegar na wieży kościoła zaczął wybijać dwunastą – godzinę, w której, jak powiedziała jej kiedyś matka, otwierają się nieznacznie wrota pomiędzy życiem a śmiercią i zmarli mogą wędrować w obu kierunkach. Pani Ramage szła sztywnym mechanicznym krokiem. Gdyby zaczęła krzyczeć i uciekać, zgroza nie tylko nie malałaby, a wręcz przeciwnie – narastała z każdym kolejnym krokiem. Wiedziała, że nie zatrzymałaby się, dopóki nie runęłaby na ziemię bez zmysłów.

Głupia, strachliwa kobieto! – upomniała się w duchu, a potem poprawiła: Głupia, strachliwa, egoistyczna kobieto! Powinnaś teraz myśleć o milordzie, a nie o sobie i swoich obawach! O milordzie... i jeżeli jest choćby najmniejsza szansa, że milady...

Och, ale nie – przecież samo myślenie o tym jest czystym szaleństwem! Minęło zbyt wiele czasu – zbyt wiele, zbyt wiele!

Geoffrey zaprowadził ją do grobu Misery i oboje stali tam, patrząc w dół jak zahipnotyzowani. Lady Calthorpe – brzmiał napis na kamieniu nagrobnym. Jedyne inskrypcja brzmiała następująco: "Kochana przez wielu".

Spojrzała na Geoffreya i jakby budząc się ze snu powiedziała:

– Nie przyniósł pan narzędzi.

– Nie. Jeszcze nie – odparł i rzucił się na ziemię, przykładając do niej ucho; z ziemi zaczęły już wyłaniać się pierwsze źdźbła świeżej trawy pomiędzy raczej beztrosko usypanymi grobami.

Przez chwilę jedynym wyrazem, jaki zauważyła w świetle lampy, którą trzymała w ręce, było bolesne napięcie – takie samo, jakie widniało na jego twarzy, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy tego wieczora. Potem zaczął wyłaniać się zgoła nowy grymas. Grymas przerażenia zmieszanego z niemal obłąkańczą nadzieją. Uniósł wzrok i spojrzał na panią Ramage – jego oczy były wytrzeszczone, usta poruszały się nerwowo.

– Wierzę, że ona żyje – wyszeptał bezsilnie. – Och, pani Ramage.

Nagle położył się na brzuchu i krzyknął przeraźliwie – w innych okolicznościach byłoby to po prostu śmieszne:

– Misery! Misery! Misery! Jesteśmy tutaj! Wiemy! Trzymaj się! Trzymaj się! Trzymaj się, kochanie!

W chwilę potem poderwał się z ziemi i popędził w stronę dwukółki, gdzie znajdowały się narzędzia – jego obute w pantofle stopy wprawiły w ruch tumany mgiełki, owijające się wokół jego nóg.

Kolana pani Ramage ugięły się, nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Miała wrażenie, że lada chwila znowu zemdleje. Opakowała to jednak, po czym przekrzywiła głowę w bok tak, że jej prawe ucho nieomal dotykało ziemi – wyglądała jak dziecko przykładające ucho do szyn, nasłuchujące odgłosów pociągów – i wtedy to usłyszała ciche, bolesne odgłosy drapania, dochodzące z głębi ziemi, nie dźwięki wydawane przez kopiące tunel

zwierzę. To były wyraźne odgłosy palców bezradnie rozdrapujących drewno. Wzięła głęboki oddech, który, jak się wydawało, wlał nowe witalne siły do jej serca. Krzyknęła:

— Nadchodzimy, milady! W Bogu i Jezusie nadzieja, że zdążymy na czas! Nadchodzimy!

Zaczęła rozorywać ziemię drżącymi palcami i choć Geoffrey powrócił na cmentarz naprawdę błyskawicznie, zdążyła sama wyorać dziurę głębokości mniej więcej ośmiu cali.

7

Napisał już dziewięć stron siódmego rozdziału — Geoffrey i pani Ramage zdołali wydobyć Misery z grobu i zdążyli już dowiedzieć się, że nie ma ona pojęcia, kim była dwójka osób, którym zawdzięczała życie, i nie pamięta, kim była ona sama — kiedy Annie weszła do pokoju. Tym razem Paul usłyszał ją. Przestał pisać z żalem, ponieważ wyrwano go z jego snu.

U boku spódnicy trzymała pierwsze sześć rozdziałów. Przeczytanie pierwszej próbki zajęło jej niecałe 20 minut — tym razem 21 stron zajęło jej godzinę. Patrzył na nią w milczeniu i zauważył z nieśmiałym zainteresowaniem, że Annie Wilkes była odrobinę błada.

— No i? — spytał. — Czy to uczciwe rozwiązanie?

— Tak — odparła od niechcienia, jakby to się rozumiało samo przez się. I tak najprawdopodobniej było, uznał Paul. — To uczciwe. I dobre. Ale i makabryczne. Nie przypomina ani trochę tamtych książek o Misery. Ta biedna kobieta, która rozdrapała sobie palce aż do kości...

Pokręciła głową i powtórzyła: — Nie przypomina ani trochę tamtych książek o Misery.

Mężczyzna, który pisał te strony, był raczej w ponurym nastroju, moja droga — pomyślał Paul.

— Mogę pisać dalej? — spytał.

— Zabiłabym cię, gdybyś tego nie zrobił — odparła, uśmiechając się nieznacznie. Paul nie odwzajemnił uśmiechu. Stwierdzenie, które niegdyś uznawał za banalne:

“Wyglądasz tak wspaniale, że aż mógłbym cię zjeść” teraz wcale nie przedstawiało się banalnie.

Mimo to coś w jej postawie, kiedy tak stała w drzwiach, zafascynowało go. Wyglądała tak, jakby bała się podejść bliżej — jakby sądziła, że coś w nim może ją sparzyć. Nie sprawił tego temat przedwczesnego pogrzebu — był na tyle inteligentny, aby to wiedzieć. Nie — to była różnica pomiędzy pierwszą próbą a tym, co napisał obecnie. Pierwszy tekst miał w sobie tyle życia co opowieść osiemnastolatka na temat “Jak spędziłem letnie wakacje”.

Po drugie, był całkiem inny. W palenisku płonął ogień. O, nie, nie to, aby pisał szczególnie dobrze — historyjka była gorąca, ale postaci stereotypowe, a ich postępowanie z góry łatwe do przewidzenia, tym razem jednak zdołał tchnąć w nie odrobinę żaru. Tym razem spomiędzy linijek buchały płomienie.

Z rozbawieniem pomyślał: Czuje ten żar. Myślę, że boi się podejść bliżej, żeby się nie sparzyć.

— No cóż — powiedział łagodnie. — Nie będziesz musiała mnie zabijać, Annie. Chcę pisać dalej. No więc dlaczego mi nie pozwalasz?

— W porządku — powiedziała.

Przyniosła mu stary maszynopis, położyła na desce i błyskawicznie się cofnęła.

— Czy chciałabyś czytać moją powieść na bieżąco? — zapytał.

Annie uśmiechnęła się.

— Tak! To będzie prawie takie samo jak oglądanie seriali w kinie, kiedy byłam dzieckiem!

— No cóż, nie mogę ci obiecać dramatycznych spięć pod koniec każdego rozdziału — stwierdził. — To zupełnie coś innego.

— Nie dla mnie — powiedziała ostro. — I tak chciałabym wiedzieć, co się stanie w rozdziale osiemnastym, nawet gdyby siedemnasty kończył się sceną, w której Misery, Ian i Geoffrey siedzą w fotelach na werandzie i czytają gazety. Już nie mogę się doczekać, żeby się dowiedzieć, co będzie dalej. Nie mów mi! — dorzuciła oschle, jakby Paul właśnie zamierzał to zrobić.

— W gruncie rzeczy nie pokazuję nikomu swojej pracy, dopóki nie zostanie skończona — powiedział, a potem uśmiechnął się do niej — ale że sytuacja jest wyjątkowa, będę naprawdę szczęśliwy, jeżeli będziesz mogła czytać moją powieść na bieżąco — rozdział po rozdziale.

I tak zaczyna się tysiąc i jedna noc Paula Sheldona — pomyślał.

— Ale zastanawiam się, czy nie mogłabyś czegoś dla mnie zrobić...

— Czego?

— Wpisywać te cholerne "n" — odparł.

Uśmiechnęła się promiennie.

— To będzie dla mnie zaszczyt. A teraz już zostawię cię samego.

Podeszła do drzwi, przez chwilę stała tam z wyraźnym wahaniem, po czym odwróciła się. Potem zaś cicho, z niemal wyczuwalną bojaźnią w głosie, zaproponowała jedyną sugestię wydawcy, jaką kiedykolwiek mu podsunęła: — Może to była pszczoła?

On jednak już spuścił wzrok na kartkę papieru wkręconą do maszyny. Patrzył na dziurę. Chciał odwiedzić Misery do domku pani Ramage, zanim zapadnie w niezbyt krzepiący sen, i uniósł wzrok z troskliwie ukrywanym zniecierpliwieniem.

— Że co, proszę?

— Pszczoła — powiedziała i zobaczył, że się zaczerwieniła. Szyja, czoło i policzki. Wkrótce nawet jej uszy płonęły purpurą. — Ponieważ jedna osoba na tuzin jest uczulona na jad pszczeli. Widziałam wiele tego typu przypadków, wcześniej... zanim nie odeszłam z pracy... byłam pielęgniarką. Alergia może się objawiać na wiele różnych sposobów. Czasami ukłucie może spowodować zapadnięcie danej osoby w stan śpiączki, która... jest podobna do tego, co ludzie nazywają... eh... katalepsją.

Teraz była tak czerwona, że aż purpurowa.

Paul przez chwilę myślał nad tym projektem, a potem zapisał go na skrawku papieru. Pszczoła mogłaby być przyczyną niefortunego pogrzebu za życia panny Evelyn-Hyde; to było nawet całkiem sensowne, jako że zdarzyło się w środku wiosny, a do tego w ogrodzie; tak, to mogło chwycić. Chcąc jednak, by sytuacja była wiarygodna, musiał wymyślić coś, aby dwa pogrzeby za życia były ze sobą w jakiś sposób powiązane, a Misery umarła przecież w sypialni. Fakt, iż późną jesień raczej trudno uznać za porę pszczół, nie stanowił dlań poważniejszego problemu. Problemem była rzadkość reakcji kataleptycznych. Uznał, że Wierny Czytelnik nie przełknie pigułki w postaci dwóch nie związanych ze sobą kobiet, mieszkających w sąsiednich miastach i pogrzebanych żywcem, w ciągu sześciu miesięcy, na skutek użądleń pszczół.

A jednak nie mógł tego powiedzieć Annie — i to nie dlatego, że mógłby ją w ten sposób rozsierdzić. Pomimo bólu, jaki mu sprawiła, wiedział, że nie mógłby jej zranić w ten sposób. W ten sposób bowiem zraniłby samego siebie. Wykorzystał eufemizm stosowany przez większość pisarzy w tego typu sytuacjach.

— To całkiem interesująca propozycja. Będę musiał ją rozpatrzyć. Wrzucę ją do mojego kociołka, Annie, ale muszę przyznać, że mam już parę pomysłów na rozwiązanie tej sytuacji. Obawiam się, że twoja teoria może nie bardzo pasować.

— Och, wiem, to ty jesteś pisarzem, nie ja. Zapomnij, że w ogóle coś mówiłam. Przepraszam.

— Nie bądź gł...

Ale ona już wyszła, niemal zbiegając w dół korytarza do saloniku. Patrzył w pustą przestrzeń. Spuścił wzrok. Jego oczy rozszerzyły się. Po obu stronach drzwi, jakieś osiem cali nad podłogą, znajdowały się czarne ślady, zostawiły je — jak się natychmiast domyślił — piasty kół wózka, kiedy tamtędy przejeżdżał. Jak dotąd ich nie zauważyła. Minął już prawie tydzień i fakt, że do tej pory tego nie zauważyła, był sam w sobie maleńkim cudem. Ale już wkrótce — może już jutro albo jeszcze dziś po południu — kiedy przyjdzie poodkurzać, na pewno zwróci na nie uwagę. Na pewno.

Paul napisał bardzo niewiele przez resztę dnia.

Dziura w papierze zniknęła.

8

Następnego ranka Paul siedział w łóżku, podparty na stosie poduszek, pijąc kawę i patrząc na ślady na framudze drzwi okiem człowieka, który popełnił morderstwo i nagle zobaczył jakiś zakrwawiony fragment odzieży, który dziwnym sposobem przeoczył i którego nie zdołał się pozbyć. Wtem do pokoju weszła Annie — jej oczy były rozszerzone i wyłupiaste. W jednej ręce trzymała ścierkę, w drugiej, co nieprawdopodobnie, kajdanki.

— Co?...

To wszystko, co zdążył powiedzieć. Schwyciła go z przerażającą siłą i zmusiła, żeby usiadł. Ból — najgorszy, jaki odczuł od wielu dni — przeszył jego nogi. Krzyknął. Filiżanka z kawą wypadła mu z ręki i roztrzaskała się na podłodze.

W tym pokoju różne przedmioty mają wyraźną tendencję do tłuczenia się — pomyślał, a potem: Zobaczyła ślady, to oczywiste. Prawdopodobnie już dawno.

Tylko w ten sposób był w stanie wytłumaczyć jej dziwne zachowanie — tak czy inaczej zobaczyła ślady, a to był początek jakiejś nowej, niezwyklej kary.

— Zamknij się, głupi — syknęła, a potem skuła mu ręce na plecach.

Usłyszał szcęk kajdanek, jak również odgłos samochodu skręcającego na podjazd. Otworzył usta, chcąc coś powiedzieć albo może krzyknąć raz jeszcze, ale zanim zdążył to zrobić, wepchnęła mu w nie szmatę. Miała jakiś dziwny, martwy smak. Pledge — pomyślał — albo endust, coś w tym rodzaju.

— Ani mru-mru — powiedziała, pochylając się nad nim i kładąc mu ręce na bokach głowy, a kosmyki jej włosów przesunęły się pieszczotliwie po jego policzkach i czole. — Ostrzegam cię, Paul. Jeżeli ten ktoś usłyszy cokolwiek — albo nawet jeżeli ja usłyszę coś lub wyda mi się, że coś usłyszałam — zabiję jego lub ich, potem ciebie, a na końcu siebie.

Wstała. Jej oczy były wytrzeszczone. Na czole perlił się pot, na ustach miała kawałki nie dojedzonego jajka.

— PAMIĘTAJ, Paul.

Skinął głową, ale już tego nie widziała. Wybiegła z pokoju.

Stary, ale dobrze utrzymany chevy bel air zaparkował za jeepem Annie. Paul usłyszał, jak drzwi w saloniku otwierają się, a potem zamykają z trzaskiem. Dał się słyszeć dziwny, przejmujący pisk, który powiedział mu, że to była szafa, gdzie trzymała swoje wyjściowe rzeczy.

Mężczyzna, który wysiadł z samochodu, był tak samo stary i dobrze utrzymany, jak jego wóz — typ faceta z Colorado — jeżeli Paul widział takiego. Wyglądał na 60-latkę, ale równie dobrze mógł już mieć osiemdziesiątkę. Był, być może, seniorem, partnerem jakiejś firmy prawniczej, na wpół emerytowanym patriarchą kompanii budowlanej, ale najprawdopodobniej był on ranczerem albo właścicielem jakiejś posiadłości. Mógł być republikaninem, jednym z tych, którzy nie przyklejają sobie naklejek na zderzaku samochodu ani nie noszą włoskich butów z wąskimi noskami, mógł być także jakimś urzędnikiem miejskim, który przybył tu w jakiejś urzędowej sprawie, bo tylko przy tego typu okazjach ludzie tacy jak Annie Wilkes i mężczyźni tacy jak ten mają możliwość się spotkać.

Paul patrzył, jak wybiega na podjazd, zainteresowana nie samym spotkaniem, ale możliwością wydostania się z opresji. Było tak, jak gdyby jego wcześniejsze fantazje stawały się rzeczywistością. Nie glina, ale ktoś z WŁADZ. WŁADZA zjawiała się u Annie i jej przybycie tu mogło mieć jeden jedyny, poważny skutek — mogło skrócić jego życie.

Czemu go nie zaprosisz, Annie? — pomyślał, próbując nie udławić się brudną szmatą. — Czemu go nie zaprosisz i nie pokażesz mu swego afrykańskiego ptaka?

O nie — nie zaprosiłaby pana Biznesmena z Gór Skalistych, podobnie jak nie odwozłaby Paula na Stapleton International wciskając mu do ręki bilet na samolot do Nowego Jorku. Mówiła, zanim jeszcze doszła do niego — para buchająca jej z ust

przypominała komiksowe dymki, w których nie napisano ani jednego słowa. Wyciągnął rękę odzianą w wąską, elegancką, czarną skórzaną rękawiczkę. Spojrzała na nią krótko, z pogardą, po czym wycelowała palec w stronę głowy przybysza — jednocześnie z jej ust buchnęła prawdziwa mieszanka białych pustych dymków. Zakończyła pojedynek z własną kurtką i przez chwilę, potrzebną na jej zapięcie, przestała wygrażać tamtemu palcem.

Sięgnął do górnej kieszeni kurtki i wyjął kartkę papieru. Pokazał jej prawie przepaszającym gestem. Choć Paul nie widział dokładnie, co to było, wiedział, że Annie miała na to swoje określenie: “zafajdane coś”. Poprowadziła go wzdłuż podjazdu przez cały czas mówiąc gorączkowo. Znikli mu z pola widzenia. Widział ich cienie leżące — jak wycięte z papieru — na śniegu, ale to było wszystko. Zrobiła to celowo — pomyślał ponuro. Skoro on, Paul, ich nie widział, to nie było możliwości, aby señor Rancho Grande mógł spojrzeć w okno gościnnej sypialni i zobaczyć JEGO.

Cienie pozostawały na topniejącej pokrywie śniegu na podjeździe domu Annie przez prawie pięć minut. Niekiedy Paul słyszał głos Annie — głos zmieniający się we wściekły, zawadiacki krzyk. Dla Paula było to wyjątkowo długie pięć minut. Bolały go ramiona. Zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie poruszyć się tak, by złagodzić ból. Po skuciu jego rąk, musiała je w jakiś sposób przywiązać do wezgięcia łóżka. Najgorsza była jednak szmata, którą miał w ustach. Woń płynów do czyszczenia mebli przyprawiała go o ból głowy i narastające mdłości. Próbował to kontrolować — nie chciał zadławić się na śmierć rzygowinami w chwili, gdy Annie sprzeczała się z podstarzałym miejskim urzędniczyzną, który przycina włosy raz w tygodniu u najlepszego fryzjera, a przez całą zimę nosi kalosze na swoich błyszczących czarnych oxfordach. Był zlany zimnym potem, zanim ponownie pojawili się w jego polu widzenia. Teraz Annie trzymała w ręce kartkę. Szła za señorem Rancho Grande wygrażając palcem jego plecom, a z jej ust nadal wypływały kłęby białych, pustych dymków. Señor Rancho Grande nie odwracał się, nie patrzył na nią. Jego twarz była pozbawiona wyrazu. Tylko jego usta, zaciśnięte tak mocno, że prawie nie było ich widać, wskazywały na trwającą w jego wnętrzu zażartą walkę.

Gniew? Być może. Niesmak? Tak. Najprawdopodobniej tak.

Myślisz, że ona jest szalona. Ty i wszyscy twoi kumple od pokera, którzy, jak przypuszczam, sprawują kontrolę nad tą częścią miasta, prawdopodobnie ciągnęliście losy, aby wybrać tego, kto ma tu przyjechać. Nikt nie ma ochoty przynosić złych wieści szaleńcom. Nikt, prócz señora Rancho Grande! Ejże, mój panie. Gdybyś zdawał sobie sprawę z rozmiarów jej szaleństwa, wątpię, byś odwracał się do niej plecami.

Wsiadł do bel aira. Zamknął drzwiczki. Teraz stała obok samochodu, wygrażając palcem w stronę zamkniętego okna, a Paul raz jeszcze usłyszał jej przytłumiony głos:

— Wydaje ci się, że jesteś taki sprytny!

Bel air wolniutko zaczął wycofywać się z podjazdu. Señor Rancho Grande ostentacyjnie nie patrzył w stronę Annie, która szczerzyła do niego zęby. Jeszcze głośniej:

— Wydaje ci się, że masz takie ekstra cztery kółka, że możesz zasuwać tak szybko, jak ci się żywnie podoba, co?

Nagle kopnęła w przedni zderzak wozu señora Rancho Grande, kopnęła na tyle mocno, że z osłon przy kołach odpadło parę grudek zmarzniętego śniegu. Starszy facet spoglądał przez prawe ramię wyprowadzając samochód z podjazdu. Teraz był wyraźnie przerażony, poza ostrożnej neutralności, którą zachowywał podczas całej swojej wizyty, znikła.

— Dobra, powiem ci coś, ty przebrzydłe ptaszysko! Wszystkie szczeniaki, jak muszą, też zasuważą do łazienki, i to szybciej, niż ci się wydaje. Co ty na to? Hę?

Cokolwiek o tym myślał, señor Rancho Grande nie dał Annie satysfakcji zobaczenia tego — wyraz kompletnej neutralności i obojętności spowił ponownie jego twarz niczym przyłbica w zbroi. Znikł z pola widzenia Paula. Stała tam przez chwilę z dłońmi zaciśniętymi w pięści, na biodrach, po czym poczłapała w stronę domu. Usłyszał, jak drzwi do kuchni otwierają się, a potem zamykają z hukiem.

No cóż, on pojechał — pomyślał Paul. Señor Rancho Grande odjechał, ale ja zostałem. Jestem tu nadal. O, tak. Jestem tu nadal.

9

Tym razem jednak nie wyładowała swojej wściekłości na nim. Weszła do jego pokoju, wciąż jeszcze w kurtce — aczkolwiek teraz rozpiętej. Zaczęła chodzić nerwowo tam i z powrotem, nie spoglądając w jego stronę. Kartka wciąż jeszcze tkwiła w jej dłoni, a ona machała nią sobie przed nosem, jakby chciała się w ten sposób ukarać.

— Wzrost podatku o dziesięć procent — powiada. — Mam zaległości — mówi. — Prawo zastawne! Adwokaci! Kwartalne spłaty — mówi! — Opóźnienia! Obrzydliwiec! Wstrętny, obleśny obrzydliwiec, zafajdany wstręciuch!

Chrząknął w szmatę, ale nie obejrzała się w jego stronę. Była w pokoju sama. Chodziła w tę i z powrotem szybciej, rozcinając powietrze swoim masywnym ciałem. Wydawało się, że porwie papier na strzępy, ale uważał, że nie ośmieli się tego zrobić.

— Pięćset sześć DOLARÓW! — wrzasnęła i tym razem pomachała kartką przed jego nosem. Jakby od niechcienia wyjęła mu z ust szmatę, którą już zaczynał się dławić, i rzuciła ją na podłogę. Przekręcił głowę na bok, dysząc ciężko. Co do ramion to miał wrażenie, jakby wyłamywano mu je ze stawów. — Pięćset sześć dolarów i siedemnaście centów! Oni wiedzą, że nie chcę tu widzieć nikogo stamtąd. Powiedziałam im, no nie? I popatrz! POPATRZ!

Znów poczuł mdłości i coś zagrało mu w żołądku.

— Jeżeli zwymiotujesz, będziesz musiał leżeć w tym brudzie. Wygląda na to, że mam teraz inne kłopoty na głowie. On powiedział coś na temat jakiegoś prawa zastawnego. Co to znaczy?

— Kajdanki — jęknął.

— Tak, tak — powiedziała niecierpliwie. — Czasami taki z ciebie dzieciak.

Wyjęła kluczyk z kieszeni spódnicy i przesunęła go jeszcze bardziej w lewo, tak że prawie dotykał nosem prześcieradła. Krzyknął, ale zignorowała go. Rozległ się cichy trzask, szczęk i jego dłonie były wolne. Usiadł dysząc, po czym osunął się na poduszkę, trzymając przy tym nogi maksymalnie sztywno i prosto. Na jego przegubach widniały białe ślady po kajdankach. Kiedy patrzył, zaczęły nabiegać czerwienią.

Annie obojętnie włożyła kajdanki do kieszeni spódnicy, tak jakby owo policyjne akcesorium należało do wyposażenia większości przeciętnych domów niczym chustki Kleenexa czy zwyczajne wieszaki.

— Co to jest prawo zastawne? — spytała ponownie. — Czy to oznacza, że oni są właścicielami mojego domu? Czy to o to chodzi?

— Nie — powiedział. — To znaczy, że ty...

Chrząknął i ponownie poczuł w ustach posmak śmierdzącej szmaty. Znów poczuł w żołądku mdłości. Odbiło mu się. Zdawała się tego nie zauważać, po prostu stała niecierpliwie, patrząc na niego i czekając, aż zacznie mówić. Po chwili zaczął.

— To oznacza tylko, że nie możesz go sprzedać.

— Tylko? TYLKO? Zabawne ma pan pojęcie na temat słowa "tylko", panie Sheldon. Ale przypuszczam, że kłopoty biednej wdowy, takiej jak ja, nie są czymś ważnym dla takiego bogatego faceta jak ty.

— Wręcz przeciwnie. Uważam, że twoje kłopoty są moimi kłopotami, Annie. Chciałem tylko powiedzieć, że prawo zastawne to nic w porównaniu z tym, co oni mogliby zrobić, gdybyś naprawdę poważnie zalegała ze spłatami. Zalegasz?

— Zalegać to znaczy spóźniać się, tak?

— Spóźniać się. Nie płacić w terminie. Nie przestrzegać spłat. Tak.

— Nie mów do mnie w ten sposób! — Zobaczył słaby błysk zębów, kiedy jej wargi rozchyliły się. — Płacę moje rachunki. Tylko teraz... po prostu...

Zapomniałaś, prawda? — pomyślał. Zapomniałaś, tak jak zapomniałaś przekreślić kartki tego cholernego kalendarza, na którym ciągle jest luty. Zapomnienie o kwartalnej spłacie podatków od nieruchomości jest o wiele poważniejszą sprawą niż zmiana strony kalendarza — jesteś zdenerwowana, bo po raz pierwszy zapomniałaś o czymś tak poważnym. Faktem jest, że twój stan się pogarsza, prawda, Annie? Pogarsza się z każdym dniem. Psychotycy mogą stawić czoło światu, aby go przerobić na swoją modłę, i czasami, o czym, jak sądzę, dobrze wiesz, upiecze im się jakieś paskudne świństwo. Ale istnieje granica pomiędzy obszarami psychozy sterowanej i niekontrolowanej. Zbliżasz się do tej granicy z każdym dniem coraz bardziej... i część ciebie zdaje sobie z tego sprawę.

— Nie miałam czasu, żeby to załatwić — odparła ze smutkiem w głosie. — Opiekowanie się tobą sprawia, że jestem bardziej zajęta niż jednoręki tapeciarz.

Przyszedł mu do głowy pomysł — bardzo dobry pomysł. Liczba plusów, jakie niósł w sobie, była nieomal nieograniczona.

— Wiem — powiedział z milczącą szczerością. — Zawdzięczam ci życie i nie jestem dla ciebie niczym innym jak tylko ciężarem. Mam w portfelu jakieś czterysta dolarów. Chciałbym, żebyś tymi pieniędzmi pospłacała swoje zaległości.

— Och, Paul. — Patrzyła na niego z zakłopotaniem i rozrzewnieniem. — Nie mogę przyjąć twoich pieniędzy.

— Nie są moje — stwierdził. Wykorzystał swój uśmiech typu "Kto cię kocha, dziecińo", a w głębi duszy pomyślał: Wszystko, czego chcę, Annie, to abyś wyłączyła się na chwilę, kiedy uda mi się dostać w swoje ręce jeden z twoich noży, i jestem pewny, że nie będę miał większych kłopotów ze zrobieniem z niego użytku. Będiesz się smażyć w piekle na dziesięć sekund przed tym, jak się zorientujesz, że nie żyjesz. — Są twoje. Niech to będzie moja opłata za twoją opiekę i troskę. — Przerwał, po czym na własne ryzyko dodał: — Jeżeli przypuszczasz, że nie zdaję sobie sprawy z tego, że gdyby nie ty, byłbym już martwy, to jesteś szalona.

— Paul... nie wiem...

— Mówię poważnie. — Jego uśmiech zgasł i zmienił się w grymas zwycięskiej (taką miał w każdym razie nadzieję. *Proszę, Boże, pozwól mi wygrać!*) szczerości. — Zrobiłaś coś więcej, niż tylko uratowałaś mi życie. Wiesz o tym. Uratowałaś życie dwojgu ludziom — bo gdyby nie ty, Misery nadal spoczywałaby w grobie.

Teraz patrzyła na niego błyszczącymi oczyma, zapominając kompletnie o kartce trzymanej w dłoni.

— Pokazałaś mi moje błędy, wskazałaś właściwą drogę... Czteryście dolarów to nic w porównaniu z tym, co TY mi dałaś. Zawdzięczam ci dużo więcej. I jeżeli nie weźmiesz tych pieniędzy, będzie mi naprawdę przykro.

— No... dobrze... dziękuję.

— To ja powinienem być ci wdzięczny. Mogę zobaczyć ten papier?

Dała mu go bez oporów. Był to dokument stwierdzający opóźnienia w uiszczaniu opłat podatkowych. Prawo zastawne było czymś więcej aniżeli zwykłą formalnością. Przejrzał szybko dokument, po czym oddał go jej.

— Masz w banku pieniądze?

Odwróciła wzrok.

— Mam odłożone parę groszy, ale nie w banku. Nie ufam bankom.

— Tu jest napisane, że oni nie mogą postąpić zgodnie z zasadą prawa zastawnego, jeżeli twoje rachunki zostaną spłacone do dwudziestego piątego marca. Którego dzisiaj mamy?

Spojrzała na kalendarz. Zasepiła się.

— O Boże! To przecież nie tak.

Odwróciła kartkę i chłopiec na sankach zniknął. Paul patrzył, jak to następowało, i w głębi duszy czuł dziwne, absurdalne uczucie żalu. Marzec ilustrował strumyczek płynący sobie rażno pomiędzy dwoma ośnieżonymi brzegami.

Patrzyła przez chwilę jak krótkowidz na kalendarz, po czym powiedziała:

— D z i ś jest dwudziesty piąty marca. Chryste, to już tak późno — pomyślał.

— Pewno dlatego ten typ się pokazał. *Nie powiedział ci, że nałożyli na twój dom prawo zastawne, Annie — powiedział, że ci to zrobią, jeżeli nie uiścisz swoich rachunków jeszcze dziś, przed zamknięciem biur w mieście. Facet próbował zrobić ci przysługę. Ale jeżeli zapłacisz te pięćset sześć dolarów, zanim...*

— I siedemnaście centów — dorzuciła bezpardonowo. — Nie zapominaj o tych zafajdanych siedemnastu centach.

— W porządku, i siedemnaście centów. Jeżeli uiścisz wszystkie opłaty jeszcze dziś po południu, to prawo zastawne względem twojego domu zostanie zawieszona. Jeżeli ludzie w mieście naprawdę myślą o tobie tak, jak mówisz, że myślą, Annie...

— Oni mnie nienawidzą. Wszyscy są przeciwko mnie, Paul.

— Te podatki są jednym ze sposobów, za pomocą których chcą cię zniszczyć. Nakładanie prawa zastawnego na kogoś, kto zapomniał o kwartalnej opłacie podatkowej, jest co najmniej dziwne. To mi brzydko pachnie. Powiem więcej — po prostu śmierdzi. Gdybyś nie uiściła paru kwartalnych opłat, to owszem, mogliby próbować zająć twój dom — sprzedać go na aukcji. To idiotyczny pomysł, ale sędzę, że praktycznie biorąc pod względem prawnym bez zarzutu.

Wybuchnęła chrapliwym, warkliwym śmiechem.

— Niech tylko spróbują! Paru zapłaciłoby za to głową! Tyle ci powiem. Tak, sir! Tak, panie władzo!

— A koniec końców ty zapłaciłabyś głową — rzucił cicho. — Ale nie w tym rzecz.

— A w czym?

— Annie, w Sidewinder są z całą pewnością ludzie, którzy nie płacą podatków już od dwóch czy trzech lat. Nikt nie zabiera im domów i nie wystawia ich na licytację. Najgorsze, co może się przydarzyć takim ludziom, to to, że odetną im wodę z dopływu miejskiego. A tacy Roydmanowie. — Spojrzał na nią z ukosa. — Czy sądzisz, że oni płacą podatki regularnie?

— Te białe śmiecie? — prawie krzyknęła. — Ha!

— Myślę, że są na ciebie cięci, Annie. — Był o tym przekonany.

— Nigdy się nie poddam! Zostanę tu tylko po to, by móc ich opluwać! Zostanę tu i napluję im w oczy!

— Czy masz sto sześć dolarów, żeby je dołożyć do moich czterystu?

— Tak — wyglądała na rozdrażnioną.

— To dobrze — powiedział. — No to radzę ci, żebyś jeszcze dziś zapłaciła ten śmierdzący rachunek. *A jak cię nie będzie, zobaczę, co się da zrobić z tymi śladami przy drzwiach. Jak się już z tym uporam, zacznę się zastanawiać, w jaki sposób mógłbym stąd spieprzyć, Annie. Mam już odrobinę dość twojej gościnności.*

Zdobył się na uśmiech.

— Myślę, że w szufladzie nocnego stolika znajduje się siedemnaście centów, a może nawet trochę więcej — powiedział.

Annie Wilkes działała zgodnie z własnymi regułami. Miała dość dziwne poczucie pedantyczności. Kazała mu pić brudną wodę z kubła, nie dawała mu lekarstw, kiedy niemal umierał z bólu, zmusiła go, by spalił jedyną kopię jego nowej powieści — skuła go kajdankami i wcisnęła mu do ust brudną ścierkę, cuchnącą płynem do polerowania mebli. Ale nie zabrała mu pieniędzy z portfela. Przyniosła mu go — starego Lorda Buxtona, którego miał od czasów college'u — i podała do ręki.

Wszystkie jego dokumenty zniknęły. Co do tego nie miała żadnych skrupułów. Nie pytał jej o to. Miał wrażenie, że będzie rozsądniej, jak tego nie zrobi. Dokumenty znikły, ale pieniądze były na swoim miejscu — głównie pięćdziesiątki — szeleszczące i nowe. Co było zaskakujące i złowieszcze — przypomniał sobie, a właściwie zobaczył siebie, zatrzymującego camaro przy okienku podjazdowym banku w Boulder, na dzień przed ukończeniem *Szybkich samochodów* i kładącego na ladzie czek na 450 dolarów (może w tym czasie ci goście z warsztatu na dole rozmawiali o urlopie?). Człowiek, który to zrobił, był wolny, zdrowy i czuł się wyśmienicie, ale zupełnie nie zwracał na to uwagi. Zdawać by się mogło, że w ogóle nie doceniał uroków wspaniałego życia, jakie dane mu było pędzić. Człowiek, który to zrobił, zmierzył kasjerkę ożywionym, zaciekawionym spojrzeniem — była wysoką blondynką, ubraną w purpurową sukienkę, która pieszczotliwie opinała jej krągłe kształty. Odwzajemniła jego spojrzenie...

Co by sobie pomyślała — zastanawiał się — gdyby zobaczyła, jak teraz wygląda ten mężczyzna: o 40 funtów lżejszy, 10 lat starszy, z nogami przyprawiającymi o zgrozę, przypominającymi dwie powyginane gałęzie?

— Paul?

Spojrzał na nią, trzymając w dłoni pieniądze. Miał w sumie 420 dolarów.

— Tak?

Patrzyła na niego z niepokojącym wyrazem matczynej miłości i czułości — niepokojącym, bo pod nim znajdowała się nieprzenikniona, prawie namacalna czerń.

— Płakałeś, Paul?

Przejechał ręką po policzku i faktycznie — miał na nim mokre ślady. Uśmiechnął się i podał jej pieniądze.

— Troszeczkę. Myślałem o tym, jaka byłaś dla mnie dobra. Och, jestem pewien, że wielu ludzi nie zrozumiałoby tego... ale ja po prostu wiem. Tak mi się zdaje.

Jej oczy błyszczały, kiedy pochyliła się i delikatnie dotknęła jego ust. Poczuł coś w jej oddechu, coś co pochodziło z mrocznych i gorzkich komnat wnętrza jej ciała, coś co śmierdziało jak martwa ryba. To było tysiąc razy gorsze niż smak (woń śledzi, którą miał w ustach). Przypomnił sobie jej nieświeży oddech

(“Oddychaj, na Boga, oddychaj!”)

wdzierający się do jego gardła jak obrzydliwy wiatr prosto z piekła. Poczuł w żołądku ucisk, ale uśmiechnął się do niej.

— Kocham cię, najdroższy — powiedziała.

— Czy zanim wyjdiesz, mogłabyś posadzić mnie w fotelu? Chcę pisać.

— Oczywiście — objęła go. — Oczywiście, kochanie.

11

Mimo swojej życzliwości nie zostawiła drzwi do sypialni otwartych — ale to nie było dla niego większym problemem. Tym razem nie był na wpół oszalały z bólu i nie odczuwał symptomów odpływu. Zebrał cztery z jej spinek, tak skrzętnie jak wiewiórka zbiera orzechy na zimę, i schował je pod materacem razem z pigułkami. Kiedy był pewny, że naprawdę wyjechała i nie czai się gdzieś, żeby sprawdzić, czy nie “wydziwia” żadnych figli-migli (kolejny wilkesizm do jego leksykonu), podjechał wózkiem do łóżka i wyjął spod materaca spinki, a potem zdjął z nocnej szafki dzbanek z wodą i pudełko kleenexów. Jazda wózkiem z umieszczoną na desce maszyną nie była zbyt trudna — jego ręce stały się o wiele mocniejsze. Annie Wilkes na pewno byłaby zaskoczona, gdyby wiedziała, jak silne były teraz jego ręce — on zaś w głębi duszy miał nadzieję, że już wkrótce się o tym przekona.

Maszyna royal była kiepska jako narzędzie pracy, ale jako sprzęt do ćwiczeń — po prostu idealna. Zaczynał ją podnosić i stawiać, kiedy tylko sadzała go w fotelu i wychodziła z pokoju. Z początku mógł ją podźwignąć nie więcej niż pięć czy sześć razy. Teraz robił to od osiemnastu do dwudziestu razy bez przerwy. Nieźle, zważywszy, że ten metalowy skurwysyn ważył dobre 50 funtów. Pracował nad zamkiem za pomocą jednej ze spinek, trzymając dwie zapasowe w ustach jak szwaczka obszywająca sukienkę. Miał wrażenie, że kawałek spinki, który nadal tkwił gdzieś w głębi zamka, może pokrzyżować mu szyki, ale tak się nie stało.

Złapał zapadkę prawie natychmiast i podciągnął ją w górę wyciągając wraz z nią język zamka. Przez chwilę zastanawiał się, czy Annie wychodząc nie zamknęła przy okazji drzwi na zasuwę — próbował bardzo usilnie wyglądać na słabszego i bardziej schorowanego, niż się czuł naprawdę, ale podejrzenie o opanowującą go z wolna paranoję narastało z każdą chwilą i ogarniało całe jego wnętrze. W chwilę potem drzwi się otworzyły.

Czuł to samo nerwowe poczucie winy — chęć zrobienia tego szybko. Uszy nasłuchiwały odgłosów powracającej Bessie, choć nie było jej dopiero od 45 minut — wziął do ręki parę chusteczek, zmoczył je w wodzie i przechylił się na bok z rozmoczoną masą w dłoni. Zaciskając zęby i nie zważając na ból zaczął ścierać ślady z prawej strony drzwi. Ulżyło mu, kiedy zaczęły znikać niemal natychmiast. Piasty kół nie pozdzierały farby, tak jak się tego obawiał — tylko po prostu ją lekko porysowały. Odjechał kawałek, przestawił fotel i wycofał go, żeby móc się zająć drugim ze śladów. Kiedy zrobił wszystko, co mógł, znowu się cofnął i przyjrzał drzwiom, tak jakby to zrobiła Annie, uważnie i przenikliwie. Ślady były, owszem, ale niezbyt wyraźne, prawie niewidoczne.

Uznał, że wszystko powinno być w porządku.

Miał nadzieję, że wszystko będzie w porządku.

— Piwnice burzowe — powiedział, oblizując usta i wybuchając przytłumionym śmiechem — o co chodzi, przyjaciele i sąsiedzi...

Podjechał do drzwi i wyjrzał na korytarz — ale teraz, kiedy ślady zniknęły, nie chciał ani nie ośmielił się pojechać dalej. Któregoś dnia tak. Kiedy nadejdzie ten dzień, będzie wiedział, że musi to zrobić.

Jedyne, czego teraz chciał, to pisać.

Zamknął drzwi i trzask zamka wydał mu się bardzo głośny.

Afryka.

Ten ptak pochodzi z Afryki.

Ale nie wolno ci za nim płakać, Paulie. Bo on już wkrótce zapomni, jak pachniał w południe veldt, jak brzmiały odgłosy wilde beests przy wodopoju, jak kwaśną woń wydzielaty drzewa ieka-ieka na olbrzymiej polanie na północ od Wielkiej Drogi. Wkrótce zapomni o wiśniowym kolorze słońca umierającego za górą Kilimandżaro. Wkrótce będzie pamiętać jedynie brudne, przestonięte smogiem zachody słońca w Bostonie — to wszystko, co będzie pamiętał, i to wszystko, co będzie chciał pamiętać. Już wkrótce nie będzie chciał wracać donikąd, a gdyby ktoś zawiózł go z powrotem i wypuścił na wolność, przycupnąłby gdzieś w jednym miejscu, przerażony, zbolaty i rozdarty pomiędzy dwoma nieznanymi i nieprzyjaznymi

światami, nie wiedząc, który powinien wybrać, dopóki ktoś, przechodzący akurat opodal, by go nie zabił.

— Och, Afryka — o, kurwa — powiedział drżącym głosem.

Popłakując z cicha, przetoczył wózek w stronę kosza na śmieci i włożył mokre chusteczki pod plik zmarnowanych kartek. Potem ustawił fotel przy oknie i wkręcił do royala kartkę papieru.

A propos, Paulie, jak myślisz, czy zderzak twojego wozu wystaje już spod śniegu? Czy wystaje stamtąd i błyszczy radośnie w słońcu, czekając tylko, aby ktoś przejeżdżający obok go zauważył, podczas gdy ty siedzisz tu i przegapiasz być może ostatnią swoją szansę?

Spojrzał z powątpiewaniem na kartkę papieru wkręconą na wałek maszyny.

I tak nie będę w stanie nic dziś napisać — pomyślał. To wszystko zepsuło.

Okazało się jednak, że się mylił. To mogło wszystko zepsuć, wiedział o tym, ale pomimo powszechnie znanej ulotności czegoś, co określa się mianem aktu twórczego, była to naprawdę najtwardsza rzecz, rzecz zaiste najbardziej wytrzymała w całym jego życiu — nic nie było w stanie sprofanować tego nieskazitelnego źródła — snów i wyobraźni — żadna, woda, żaden narkotyk, żaden ból. Popędził do tego źródła niczym spragnione zwierzę, które o zmierzchu dociera do wodopoju i zaczyna zeń pić, w tym przypadku należałoby powiedzieć, że Paul Sheldon natrafił na dziurę w papierze i z wdzięcznością zaczął się przez nią przebijać. Zanim Annie wróciła do domu — za kwadrans szósta — napisał prawie pięć stron.

12

W ciągu następnych trzech tygodni Paul Sheldon czuł się otoczony dziwnym, elektryzującym uczuciem spokoju. Jego usta zawsze były suche. Dźwięki wydawały się niezbyt głośne. Były dni, kiedy czuł, że mógłby wyginać łyżeczki samym tylko wzrokiem. Kiedy indziej płakał histerycznie. Mimo wszystko, niezależnie od nastrojów i dogłębnych, przyprawiających o obłęd okresów swędzenia jego zdrowiejących nóg, jego jedyna radosna rzecz — praca — posuwała się naprzód. Stosik kartek po prawej stronie royala narastał miarowo. Przed tym dziwnym doświadczeniem robił maksymalnie cztery strony dziennie (przy *Szybkich samochodach* dziennie pisał trzy, a czasem nawet tylko dwie — aż do końcówki, kiedy to narzucił sobie iście olimpijskie tempo).

Podczas tego elektryzującego trzytygodniowego okresu, który zakończył się burzą 15 kwietnia, Paul pisał dwanaście stron dziennie — siedem rano i pięć wieczorem. Gdyby ktoś w jego poprzednim życiu (tak o nim myślał, choć nie zdawał sobie z tego sprawy) powiedział mu kiedyś, że mógłby pracować w takim tempie — Paul po prostu by go wyśmiał. Kiedy zaczęło padać, miał już 267 stron *Powrotu Misery*. Było to dopiero pierwsze pisanie, ale pobieżnie przejrzana praca wydawała się mu całkiem niezła.

Po części było tak, ponieważ prowadził zgoła nieskomplikowane życie. Żadnych długich upojnych nocy, spędzanych na popijawach w barach, po których następowały jeszcze dłuższe upiorne dni, kiedy pił na przemian kawę i sok owocowy i łykał witaminę B (w takie dni na widok maszyny do pisania odwracał się z obrzydzeniem). Skończyły się czasy, kiedy budził się obok wspaniałej blondynki albo rudej, którą poderwał gdzieś poprzedniego wieczoru — dziewczyny, która o północy zwykle przypominała mu księżniczkę z bajki, a rano zmieniała się w potwornego trolla. Koniec z papierosami. Poprosił o nie kiedyś trwożliwym i drżącym głosem, a ona obdarzyła go tak mrocznym spojrzeniem, że z miejsca się wycofał. Był Czysty. Żadnych złych nawyków (z wyjątkiem prochów, które łykał, rzecz jasna, nadal nic z tym nie zrobiwszy, prawda Paul?), żadnych przeszkód: oto ja, pomyślał kiedyś, jedyny w swoim rodzaju mnich — ćpun. Pobudka o siódmej. Popić sokiem dwa novrile. O ósmej śniadanie podane dla monsieur do łóżka. Jedno jajko — sadzone albo jajecznicza — trzy razy w tygodniu. W cztery pozostałe dni różne kasze i kleiki. Potem na fotel. Pod okno. Znaleźć dziurę w papierze. Przenieść się do XIX wieku, kiedy mężczyźni byli mężczyznami, a kobiety nosiły zwiewne szaty. Obiad. Popołudniowa drzemka. Znowu wstać, czasami, by poprawiać, czasami, aby tylko czytać. Miała wszystkie książki Somerseta Maughama (Paul kiedyś zastanawiał się sarkastycznie, czy miała na półce pierwszą powieść Johna Fowlesa, ale uznał, że lepiej będzie, jak o to nie zapyta), a Paul zagłębił się w przeglądaniu 20-tomowego wydawnictwa obejmującego *oeuvre* Maughama, zafascynowany ciekawym podejściem faceta do przedstawianych w powieściach wartości. Przez lata w duszy Paula narastała rezygnacja — przekonanie, że nigdy już nie będzie w stanie czytać książek tak, jak wtedy gdy był dzieckiem. Odkąd sam zaczął pisać, nie mógł sobie wybaczyć, że do wszystkiego podchodził z istic drobiazgową dokładnością. Stał się pedantyczny. A jednak Maugham podbił jego serce, sprawił, że znów stał się dzieckiem; i to było cudowne. O piątej poda mu lekką kolację, a o siódmej wtoczy do pokoju czarno-biały telewizor i razem obejrzą MASH (Szpital polowy) i WKRP w Cincinnati. Kiedy filmy się skończą, Paul znów zabierze się do pisania. Kiedy skończy, powoli (mógłby to zrobić szybciej, ale nie chciał, żeby Annie o

tym wiedziała) przetoczy wózek do łóżka. Kolejna porcja lekarstw. Bum. Zgaśnie jak świeca. A następnego dnia ten sam schemat się powtórzy.

I następnego. I następnego.

Tego typu prosty plan dnia był jednym z dwóch powodów jego zadziwiającej płodności — drugim, chyba bardziej istotnym, była Annie Wilkes. W gruncie rzeczy to przecież jej sugestia o uządleniu przez pszczołę nadała kształt powieści i dodała Paulowi chęci do pracy — choć w głębi duszy wątpił on, aby kiedykolwiek mógł przystąpić z ochotą do pracy nad kolejną książką o Misery. Od samego początku był pewny jednego: Tak naprawdę ta powieść wcale nie była *Powrotem Misery*. Jego uwaga była skoncentrowana jedynie na sposobie wydostania tej dziwki z grobu bez użycia jakichś podstępnych środków, zanim Annie zdecyduje się użyć jako narzędzia jego inspiracji paru skutecznych i wyjątkowo przekonywujących noży typu Ginsu. Pomniejsze problemy, takie jak kwestia “czym powinna być ta książka”, mogły przecież poczekać. Przez dwa dni po podróży Annie do miasta, podczas której spłaciła ona swoje długi podatkowe, Paul próbował zapomnieć o fakcie, że nie wykorzystał tak wyśmienitej, jego zdaniem, możliwości ucieczki, a zamiast tego zajął się sprowadzeniem Misery do domu pani Ramage. Przerzucenie jej do domu Geoffreya nie było dobrym pomysłem. Służący, a pośród nich najbardziej gadatliwy kamerdyner Tyler, zobaczyliby ją i na pewno nie zatrzymaliby tej informacji dla siebie. Poza tym należało odczekać, aż minie amnezja spowodowana szokiem, jaki wynikał z faktu pogrzebania Misery żywcem. Amnezja? Cholera. Ona prawie nie mogła mówić. Z jednej strony była to swego rodzaju ulga po paplaninie, od której zwykle nie stroniła Misery.

No więc — co dalej? Ta dziwka została wyciągnięta z grobu — ale jak powinien się przedstawiać dalszy ciąg tej historii? Czy Geoffrey i pani Ramage powinni powiedzieć Ianowi, że Misery żyje? Paul nie sądził, że powinni to zrobić, ale nie był pewny swojej decyzji — niepewność decyzji — to, jak wiedział, jeden z najgorszych zakamarków czyścica zarezerwowanego dla pisarzy, którzy mknęli na pełnym gazie, nie wiedząc, dokąd naprawdę zmierzają.

Nie Ian — pomyślał, spoglądając na stodołę. Nie Ian. Jeszcze nie. Najpierw doktor. Ten stary głupek z dwoma “n” w nazwisku — Shinebone.

Nie po raz pierwszy pomyślał, że to w usta doktora powinien włożyć kwestię podpowiedzianą mu przez Annie na temat uządlenia przez pszczołę. Ta myśl wracała w najdziwniejszych momentach.

Jedna osoba na tuzin...

Ale to nie chwyci. Dwie nie związane ze sobą kobiety, mieszkające w sąsiednich miastach, obie uczulone na jad pszczoły — coś, co jest niezwykle rzadką przypadłością?

Minęły trzy dni od Spłacenia Długów Podatkowych Annie — Paul zapadał w poobiednią drzemkę, kiedy faceci w warsztacie zabrali się do dzieła, i to zabrali się do dzieła z impetem. Tym razem to nie była flara. To było jak wybuch bomby wodorowej. Usiadł wyprostowany na łóżku, ignorując płomień bólu, który przeszył jego nogi.

— Annie! — krzyknął. — Annie, przyjdź tutaj!

Słyszał, jak zbiega po schodach, przeskakując po dwa stopnie, a potem przebiega przez korytarzyk. Jej oczy były rozszerzone i przepełnione strachem, kiedy wpadła do środka.

— Paul! Co się stało? Masz skurcze? Czy...

— Nie — odparł, ale to była nieprawda. Jego UMYŚŁ trawiła fala skurczów. — Nie, Annie, przepraszam, że cię przestraszyłem, ale chciałbym, żebyś pomogła mi przejść z powrotem na fotel. O kurwa! Wreszcie to rozgryzłem!

Słówko na "k" padło z jego ust, zanim zdążył się zorientować, ale tym razem w ogóle nie zwróciła na to uwagi — patrzyła na niego z podziwem i wydawała się odrobinę przestraszona. Przed jej oczyma płonęła świecka wersja zielonoświątkowego ognia.

— Oczywiście, Paul.

Przeniosła go na fotel tak szybko, jak tylko mogła. Zaczęła przetaczać go do okna, ale Paul pokręcił przecząco głową.

— To nie potrwa długo — powiedział — ale to bardzo ważne.

— Chodzi o książkę?

— Chodzi o książkę. Bądź cicho. Nie mów ani słowa.

Ignorując maszynę do pisania — nigdy nie robił notatek na maszynie — wyjął jeden z długopisów i szybko pokrył jedną z kartek bazgraniną, którą z całą pewnością jedynie on był w stanie odczytać.

One były spokrewnione. To była pszczoła i jej jad podzielał na obie kobiety. Bo one były spokrewnione. Misery jest sierotą. Co z tego wynika? Córka Evelyn-Hyde była siostrą Misery! Albo raczej przyrodnią siostrą. To najprawdopodobniej lepsze rozwiązanie. Kto wpadnie na to jako pierwszy? Shinny? Nie. On jest na to za głupi. Pani R. Może pójść zobaczyć się z Charl., matka E-H i...

I nagle przyszedł mu do głowy pomysł tak wspaniały — przynajmniej w kryteriach konspektów powieści — że uniósł wzrok, otworzył usta, a jego oczy rozszerzyły się.

Ona — pani R. od razu domyśli się, że pani E-H musiała wiedzieć o pokrewieństwie M. z jej córką. Te same włosy, czy coś w tym stylu. Zapamiętaj, że matka E-H zaczyna,

sprawić wrażenie, jakby była jedną z gł. postaci. Będziesz musiał nad nią popracować. Pani R. domyśli się, że być może pani E-H wiedziała, że Misery pogrzebana została żywcem!!! Niech to szlag! To wspaniałe! Przypuśćmy, że nasza dama domyślała się, iż Misery była efektem jej rozwiązanego trybu życia przed laty i...

Odłożył długopis, spojrzął na kartkę, po czym raz jeszcze wolno uniósł długopis i napisał kolejne parę linijek. Trzy ważne punkty.

1. Jak pani E-H zareaguje na podejrzenia pani R.?

Może zareagować dwojako:

a) Chce zamordować panią R.

b) Jest przerażona.

Wolałbym, aby była przerażona, ale sądzę, że A. W. wybrałaby pierwszy wariant. Dobra, a więc wariant A.

2. Co z Ianem?

3. Amnezja Misery?

A, i jeszcze jedno. Czy Misery dowie się, że jej matka wolała pogodzić się z ewentualnością pogrzebienia żywcem obydwu córek, niż się ujawnić?

Czemu nie?

— Teraz, jeżeli chcesz, możesz pomóc mi położyć się do łóżka — rzekł Paul. — Jeżeli cię zdenerwowałem, przepraszam. Byłem bardzo podekscytowany.

— W porządku, Paul — w jej głosie nadal można było wyczuć strach.

Od tej pory pisało mu się doprawdy bajecznie. Annie miała rację, zapowiadało się na to, że ta powieść będzie o wiele bardziej okrutna niż pozostałe książki o Misery.

Pierwszy rozdział nie był zwyczajnym fuksem, jedynie zwiastunem tego, co miało nastąpić później. Od czasu pierwszej powieści z cyklu *Misery* żadna nie miała tak dogłębnie zarysowanego tła i zgrabnej fabuły. Postacie również były jakby bardziej żywe i przekonujące. Ostatnie trzy powieści o Misery były nieco więcej niż prostymi powieściami przygodowymi, ozdobionymi pikantnymi scenkami erotycznymi, które miały zadowolić delectujące się nimi kobiety. Ta książka — jak zaczął zdawać sobie z tego sprawę — była gotycką powieścią i o wiele więcej zależało tu od fabuły niż od sytuacji. Wyzwanie istniało przez cały czas. Niezmiennie. To nie było pytanie — czy możesz? — które miało zapoczątkować książkę. Po raz pierwszy od wielu lat pytanie — czy możesz? — zadawano mu prawie codziennie... i jak się o tym zdołał przekonać — MÓGŁ.

Potem nadeszła burza i wszystko się zmieniło.

Od 8 do 14 kwietnia pogoda była wyśmienita. Na bezchmurnym niebie wisało prażące słońce, a temperatura sięgała często ponad 60 stopni. Na polu za schludną czerwoną stodołą Annie zaczęły się pojawiać brązowe plamy. Paul poświęcił się pracy i starał się nie myśleć o swoim samochodzie, którego odnalezienie bardzo się przeciągało. Nie cierpiała na tym jego praca, tylko nastrój. Coraz bardziej miał wrażenie, że żyje w spowitym w chmurze pomieszczeniu, oddychając powietrzem przesiąkniętym elektrycznością. Kiedykolwiek camaro wkradał się w jego myśli, natychmiast wzywał Mózgową Policję, która odprowadzała zatrutą myśl, zakutą w kajdanki i stalowe pęta na kostkach. Kłopot w tym, że okrutna myśl znała jakiś sposób ucieczki i raz za razem wracała — w ten czy inny sposób.

Którejś nocy śniło mu się, że señor Rancho Grande wrócił do domu Annie. Wysiadł ze swego dobrze utrzymanego chevroleta bel air trzymając w jednej ręce kawałek zderzaka camaro, w drugiej zaś kierownicę. "Czy to należy do pani?" — spytał Annie w tym śnie.

Paul obudził się w niezbyt radosnym nastroju. Annie ze swej strony była cała w skowronkach. Jeszcze nigdy dotąd nie miała tak dobrego humoru, jak w tym słonecznym, wczesnowiosennym tygodniu. Sprzątała, przygotowywała wspaniałe posiłki (choć wszystko, co upieczyła, miało dziwny, industrialny posmak — jakby lata posiłków w szpitalnych stołówkach mogły w jakiś sposób zniszczyć talent kulinarny, który niegdyś posiadała), każdego popołudnia otulała Paula grubym niebieskim pledem, zakładała mu na głowę zieloną myśliwską czapkę i wyprowadzała go na werandę na tyłach domu.

W takich przypadkach zabierał ze sobą Maughama — ale rzadko go czytał — wyjście z pokoju było tak wspaniałym przeżyciem, że nie był w stanie się skupić na niczym innym. Przeważnie po prostu siedział, chłonąc zapach świeżego powietrza miast zastalej woni zamkniętego pomieszczenia, w którym rozlegały się jedne i te same odgłosy: nasłuchując kapania topiących się lodowych sopli i obserwując chmury — cienie przetaczające się wolno i miarowo ponad polem pokrytym znikającą z wolna warstewką śniegu. To było w jakiś sposób najlepsze ze wszystkiego.

Annie śpiewała swoim mocnym, ale dziwnie bezdźwięcznym głosem. Chichotała jak dziecko z żarcików rzucanych w MASH i WKRP, i bawiły ją przede wszystkim głupie dowcipy, w które obfitował głównie serial WKRP (wypełniała bez słowa brakujące "n", podczas gdy Paul skończył ROZDZIAŁY 9 i 10).

Rankiem piętnastego, w wietrzny, pochmurny dzień, Annie się zmieniła. Może — pomyślał Paul — wskutek spadku ciśnienia. To było równie dobre wytłumaczenie, jak każde inne. Nie pokazała się z jego lekarstwem aż do dziewiątej — nie mógł się doczekać, kiedy mu je w końcu przyniesie. Był tak bardzo zniecierpliwiony, że myślał już o tym, aby sięgnąć do swoich zapasów. Nie dostał śniadania. Tylko pigułki. Kiedy weszła do pokoju, nadal miała na sobie swój różowy, pikowany szlafrok. Z niepokojem zauważył, że na jej policzkach i rękach pojawiły się czerwone ślady przypominające pręgi. Na przedzie szlafroka zauważył plamy — rozbrzyżnięte kawałki jedzenia — ponadto tego ranka założyła tylko jeden kapeć. Łup-szsz — rozległy się jej kroki, kiedy zbliżała się do jego pokoju. Łup-szsz, łup-szsz — włosy opadały jej na twarz. Jej oczy były mętne.

— Masz — rzuciła mu pigułki. Na jej rękach też zauważył zacieki. Czerwonobrazowo-białe. Nie wiedział, co to mogło być. Nie był pewny, czy chciałby wiedzieć. Pigułki uderzyły go w pierś i spadły mu na udo.

Odwróciła się, aby wyjść. Łup-szsz, łup-szsz, łup-szsz.

— Annie?

Zatrzymała się, ale się nie odwróciła. W ten sposób wydawała się większa — z ramionami, które skrywał gruby różowy szlafrok, i włosami udającymi pognieciony hełm. Przypominała kobietę z Piltown, wyglądającą z wnętrza swojej jaskini.

— Annie, nic ci nie jest?

— Nie — odparła obojętnie i odwróciła się. Patrzyła na niego z głupawym wyrazem twarzy, po czym zaczęła międląc dolną wargę palcem wskazującym i kciukiem prawej ręki. Pociągnęła ją w dół, po czym przekreśliła, przez cały czas wbijając w nią paznokcie. Pomiedzy jej wargą i dziąsłem pojawiła się krew, która zaczęła spływać po brodzie. Odwróciła się i wyszła bez słowa, zanim jego oszołomiony umysł zdołał uświadomić sobie, że to, co widział, nie było bynajmniej wytworem jego wyobraźni. To działo się naprawdę. Zamknęła drzwi... i przekreśliła klucz w zamku. Usłyszał, jak tupiąc jedną nogą przechodzi korytarzem do salonu. Usłyszał skrzypnięcie jej ulubionego krzesła, kiedy na nim siadła. Nic więcej. Żadnej telewizji. Żadnego śpiewu. Żadnego — klink-klink — sreber, bibelotów czy garnków. Nie. Ona tam po prostu siedziała. Zwyczajne siedzenie tam na pewno nie było czymś normalnym. Potem rozległ się DŹWIĘK. Nie powtórzył się, ale był on nazbyt wyraźny. Odgłos wymierzanego policzka. Diabło mocnego policzka. I jako że on był po jednej stronie zamkniętych drzwi, a ona po drugiej, nie musiał być Sherlockiem Holmesem, aby się domyślić, że to ona sama się uderzyła. Jak wynikało z odgłosu, przyrznęła sobie całkiem zdrowo. Zobaczył ją, jak pociąga się za dolną wargę, jak wbija krótkie paznokcie w

swoje wrażliwe różowe ciało. Nagle przypomniał sobie notkę na temat chorób psychicznych, jaką zrobił podczas pracy nad pierwszą powieścią o Misery, gdzie większość akcji toczyła się w London's Bedlam Hospital (Misery została doń wtrącona przez oszalałą z zazdrości lotrzycę).

Kiedy człowiek wykazujący depresję maniackalną zaczyna popadać w stan depresji — napisał — jednym z podstawowych symptomów, jaki może wówczas wykazywać zarówno kobieta, jak i mężczyzna, jest skłonność do samookaleczeń — wymierzanie samemu sobie kar cielesnych: bicie (policzki, klapsy, okładanie się pięściami), szczypanie, rozdrapywanie ciała, przypalanie skóry papierosem itd.

Poczuł, jak nagle zaczyna go ogarniać przerażenie.

14

Paul przypomniał sobie esej Edmunda Wilsona, w którym w typowy dla siebie, złośliwy sposób pisał on, że kryterium Woodwortha dotyczące pisania dobrej poezji — wspomnienie silnej emocji w chwili spokoju — byłoby równie korzystne dla większości dramatów literackich. Prawdopodobnie była to prawda. Paul znał pisarzy, którzy nie byli w stanie pisać po najmniejszej choćby małżeńskiej scysji, a on sam też nie potrafił tworzyć, kiedy był zdenerwowany. Były jednak takie chwile, gdy schemat ten ulegał totalnemu przenicowaniu — były to chwile, kiedy pogrążał się w pracy nie dlatego, że musiał to robić, ale po to, by się uspokoić — uciec od tego, co wprawiało go w roztrzęsienie. Działo się tak zwykle wtedy, kiedy zdawał sobie sprawę, że źródło jego roztrzęsienia znajdowało się poza jego zasięgiem. Tak było i tym razem. Kiedy do jedenastej rano nie wróciła, by posadzić go w fotelu, uznał, że musi dokonać tego na własną rękę. Zdjęcie maszyny do pisania z kominka było ponad jego siły, ale mógł pisać odręcznie. Był przekonany, że może usadowić się w fotelu — wiedział, że najprawdopodobniej nie powinien był zdradzać się przed Annie, że jest w stanie tego dokonać, ale, do cholery, potrzebował tego, a nie mógł pisać leżąc tutaj, w łóżku.

Przesunął się na brzeg łóżka, upewnił się, że hamulec wózka był zaciągnięty, po czym uchwycił się jego poręczy i podciągnął na fotel. Jednoczesne ułożenie obu nóg na oparciach nie było aż tak bolesne, jak się tego spodziewał. Przesunął wózek do okna i podniósł maszynopis. Klucz zagrzechotał w zamku. Annie patrzyła na niego — jej oczy płonęły czarnymi

otworami na tle twarzy. Jej prawy policzek był napuchnięty i wyglądało na to, jakby rano nałożyła sobie na twarz całą masę kremu. Wokół ust i policzków widniały czerwone smugi. Paul myślał przez chwilę, że to krew z jej rozciętej wargi, ale dostrzegł nagle drobniutkie nasionka widniejące pośród purpury. To był dżem albo farsz malinowy — nie krew.

Spojrzała na niego. Paul odwrócił wzrok. Żadne z nich nie odezwało się przez dłuższą chwilę. Na zewnątrz pierwsze krople deszczu zabębniły o szybę.

— Jeżeli możesz sam sadzać się na fotelu, Paul — powiedziała w końcu — to myślę, że możesz też uzupełniać te swoje pieprzone “n”.

Potem zamknęła drzwi i przekreśliła klucz w zamku. Paul siedział, patrząc na nie przez parę minut, prawie jakby miał nadzieję coś w nich zobaczyć. Był zbyt zdumiony, aby móc zrobić cokolwiek innego.

15

Ponownie zobaczył ją dopiero po południu. Po jej wizycie kontynuowanie pracy było niemożliwe. Próbował, ale jego wysiłki okazały się bezskuteczne. Poddał się. Nie był w stanie pisać dalej. Nic mu nie wychodziło. Przejechał na drugi koniec pokoju. Podczas wyczołgiwania się z fotela na łóżko jedna jego ręka ześlizgnęła się i mało brakowało, a byłby upadł. Zrzucił na ziemię lewą nogę i choć przyjęła cały jego ciężar na siebie i uchroniła go od upadku, ból był potworny — miał wrażenie, jakby w tej jednej chwili w jego ciało wbijano tuzin stalowych gwoździ. Krzyknął, schwycił się wezglowia i wciągnął się na łóżko, ciągnąc za sobą pulsującą bólem lewą nogę.

To ją sprowadzi — pomyślał chaotycznie. — Będzie chciała zobaczyć, czy Sheldon naprawdę przeistoczył się w Luciano Pavarottiego, czy też po prostu tak jej się tylko wydawało.

Ale ona nie przyszła, a ból w lewej nodze był po prostu nie do zniesienia. Przekreślił się na brzuch, sięgnął ręką pod materac i wyjął spod spodu jedną paczuszkę novrilu. Połknął bez popicia dwie kapsułki, po czym odpłynął na chwilę. Kiedy powrócił, pomyślał z początku, że to musi być sen. To było nazbyt surrealistyczne — jak noc, kiedy wtoczyła tu piecyk do barbecue. Annie siedziała na brzegu jego łóżka. Postawiła na stoliku szklanek wypełnioną kapsułkami novrilu. W drugiej ręce trzymała pułapkę na szczury. Tkwił w niej sporej wielkości szczur — pułapka zgruchotała mu kręgosłup. Jego tylne łapy zwisające z

boków pułapki drgały konwulsyjnie. Na wąsach szczura widać było ślady krwi. To nie był sen. Po prostu jeszcze jeden dzień w wesołym miasteczku z Annie.

Jej oddech śmierdzał niczym trup rozkładający się pośród gnijącej żywności.

— Annie? — wyprostował się, jego wzrok przesuwiał się pomiędzy nią a szczurem. Na zewnątrz zapadał zmierzch — dziwny, smutny zmierzch, przepełniony deszczem. Bębnił o szyby. Silne podmuchy wiatru omiały cały dom — słychać było skrzywienie desek.

Jeżeli rano było z nią kiepsko, to wieczorem jej stan się pogorszył, i to bardzo. Zdał sobie sprawę, że patrzy na jej prawdziwą twarz — twarz, która powstaje, kiedy zdejmie wszystkie swoje maski — to była prawdziwa Annie, wewnętrzna Annie. Skóra jej twarzy, która z początku wydawała się twarda i nieprzenikniona, zwisała teraz niczym opadłe ciasto. Jej oczy były mętne. Była ubrana, ale miała spódnice założoną na lewą stronę. Na jej ciele widać było krwawe pręgi — na ubraniu jeszcze więcej śladów rozchlapanego jedzenia. Kiedy się poruszała, wydzielaly zbyt wiele różnych woni, aby Paul zdołał je rozróżnić. Prawie całe ramię jej wełnianego swetra było przesiąknięte jakąś na wpół zakrzepłą substancją, która pachniała jak sos. Podniosła pułapkę do góry.

— Wchodzą do piwnicy, jak pada. — Uwiązany szczur pisnął przeraźliwie i kłapał zębami, chwytając jedynie powietrze. Jego czarne oczy, nieskończenie bardziej żywe od oczu kobiety, która go schwytała, wywracały się w oczodołach.

— Zastawiłam pułapki. Musiałam. Smaruję podkładki tłuszczem z boczku lub bekonu. Zawsze złapie się osiem lub dziewięć. Czasami znajduję inne...

Wtedy się wyłączyła. Wyłączyła się na blisko trzy minuty trzymając szczura w powietrzu — wspaniały przykład woskowej katatonii. Paul patrzył na nią, patrzył na szczura, jak piszczący, i nagle zdał sobie sprawę, że do niedawna wierzył, że nie może już być gorzej. Nieprawda. Pieprzona nieprawda.

W końcu kiedy zaczął już myśleć, że odpłynęła w otchłań zapomnienia na zawsze, bez fanfar czy hałasu, odstawiła pułapkę i ciągnęła dalej, jak gdyby nigdy nic.

— ...Utopione po kątach. Biedactwa.

Spojrzała na szczura i łza spadła na jego zmierzwione futro.

— Biedactwa.

Zacisnęła jedną ze swych mocnych dłoni wokół szczura, a drugą odciągnęła sprężynę. Zaczął się wic w jej ręce, odwracając głowę, jakby próbował ją ugryźć. Jego piski były przenikliwe i potworne. Paul przyłożył dłoń do wykrzywionych obrzydzeniem ust.

— Jak mu serce bije! Jak bardzo chce się wydostać! Tak jak i my, Paul. Tak jak i my. Myślimy, że wiemy tak wiele, ale naprawdę nie wiemy więcej niż zwykły szczur w pułapce — szczur z przetrąconym kręgosłupem, któremu się wydaje, że wciąż jeszcze chce żyć.

Dłoń ściskająca szczura zmieniła się w pięść. Jej wzrok nadal był mętny, jakby zapatrzony w przestrzeń. Paul chciał się odwrócić, ale nie mógł.

Ściągnęła wystąpiły jej na przedramieniu. Z pyska szczura wytrysnął strumień krwi. Paul słyszał trzask jego pękających kości, a potem grube końce jej palców pogrzyły się w jego ciele, aż do pierwszego złącza. Krew bryznęła na podłogę. Zmatowiały oczy szczura zaczęły wychodzić mu z orbit. Rzuciła szczura w kąt i machinalnie wytarła rękę o prześcieradło, pozostawiając na nim długie, czerwone smugi.

— Teraz ma już spokój — wrzuciła ramionami, po czym wybuchnęła śmiechem. — Czy mam pójść po swoją strzelbę, Paul? Może drugi świat jest lepszy. Zarówno dla szczurów, jak i dla ludzi — pomiędzy nimi nie ma zbyt dużej różnicy.

— Nie, dopóki nie skończę — powiedział, próbując wyraźnie artykułować każde słowo. Nie było to łatwe, bo miał wrażenie, jakby ktoś wsypał mu do ust całą garść novokainy. Widział ją w stanie depresji, ale nigdy dotąd w TAKIM stanie. Zastanawiał się, czy w ogóle była kiedyś w takim stanie. Ludzie z depresją zachowywali się zazwyczaj w taki sposób tuż przed tym, jak chwyтали za broń, by wymordować wszystkich członków swojej rodziny, a na koniec skończyć ze sobą. To była psychotyczna rozpacz kobiety, która ubiera swoje dzieci w najlepsze ubranka, zabiera je na lody, idzie wraz z nimi w stronę najbliższego mostu, a potem chwyta je mocno w ramiona i wraz z nimi rzuca się do rzeki. Ludzie z depresją zabijają samych siebie. Psychotycy egzystujący w trujących kołyskach ich własnego "ja" chcą zrobić przysługę innym i przy okazji zabrać ich ze sobą.

Jestem bliższy śmierci niż kiedykolwiek dotąd — pomyślał. No i właśnie o to jej chodzi. To o to jej chodzi.

— Misery? — spytała prawie tak, jakby nigdy dotąd nie słyszała tego słowa, ale czy w jej oczach nie rozbłysła w tej właśnie chwili jaskrawa iskierka? Miał wrażenie, że tak.

— Misery. Tak.

Zastanawiał się gorączkowo, co powinien teraz powiedzieć. Każda propozycja wydawała mu się nie do przyjęcia. Każda odpowiedź nazbyt niebezpieczna.

— Zgadzam się, że ten świat to raczej kiepskie miejsce — stwierdził, po czym dodał głupawo. — Zwłaszcza kiedy pada.

— Och, ty idioto. Przestań pleść bzdury.

— Chciałem powiedzieć, że przez ostatnie parę tygodni sporo się wycierpiałem, ten ból...

— Ból? — spojrzała na niego z ponurą depresyjną pogardą. — Nie wiesz, czym jest ból. Nie masz najmniejszego pojęcia, Paul.

— Nie. Sądzę, że nie. Nie, w porównaniu z tobą.

— Zgadza się.

— Ale ja chcę skończyć tę książkę. Chcę zobaczyć, jak to się wszystko skończy. — Przerwał. — I chciałbym, żebyś ty też mogła się tego dowiedzieć. Człowiek równie dobrze może w ogóle nie napisać książki, jeżeli nie będzie w pobliżu kogoś, kto mógłby ją przeczytać. Rozumiesz?

— Tak — westchnęła. — CHCĘ wiedzieć, jak to się skończy. To, jak sądę, jedyna rzecz, jakiej jeszcze chcę. Tak jak czekanie na koniec jednego z tych odcinkowych seriali.

Powoli, wyraźnie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, zaczęła zlizywać z palców szczurzą krew. Paul zacisnął zęby i twardo powiedział sobie, że nie zwymiotuje — nie zwymiotuje. Rozejrzała się nagle wokół — krew na jej ustach wyglądała jak szminka.

— Ponowię moją propozycję, Paul. Mogę przynieść strzelbę. Mogę to zakończyć. To będzie koniec dla nas obojga. Nie jesteś głupim mężczyzną. Wiesz, że nie możesz tu zostać. Wiedziałeś o tym od dawna, prawda?

Nie odwracaj wzroku. Jeżeli zobaczy, że odwracasz wzrok, zabije cię od razu.

— Tak, ale przecież wszystko ma swój koniec, Annie. I tak wszyscy w końcu umrzemy.

Widmo uśmiechu w kącikach jej ust; dotknęła jego twarzy leciutko, z uczuciem.

— Przepraszam, że myślałeś o ucieczce. Podobnie jak ten szczur w pułapce — jestem tego pewna — na swój sposób. Ale to ci się nie uda, Paul. Mogłoby, gdyby to był fragment jednej z twoich książek, lecz nie jest. Nie mogę pozwolić, abyś tu pozostał... ale mogę odejść razem z tobą.

I nagle przez krótką chwilę myślał o sobie mówiącym: "W porządku, Annie, do rzeczy. Najwyższy czas z tym skończyć". Potem jego potrzeba i wola życia — nadal było w nim sporo zarówno jednego, jak i drugiego — obudziły się i przegnały precz chwilową słabość. Bo to była słabość. Słabość i tchórzostwo. Na szczęście — lub na nieszczęście — nie cierpiał na chorobę psychiczną, która mogłaby się odezwać w tym tak krytycznym dla niego momencie.

— Dziękuję — powiedział — ale chcę skończyć, co zacząłem.

Westchnęła i wstała.

— W porządku. Chyba domyślałam się, że to powiesz, bo jak widzę, przyniosłam ci trochę pigułek, choć nie pamiętam, że to zrobiłam.

Wybuchnęła śmiechem — obłąkańczym, piskliwym chichotem, który zdawał się płynąć znikąd — jak to zwykle bywa z brzuchomówcami.

— Będę musiała cię na jakiś czas opuścić. Jeżeli tego nie zrobię, to to, czego ja lub ty chcemy, nie będzie miało żadnego znaczenia. Bo ja robię różne rzeczy. Mam takie swoje miejsce, do którego się udaję, kiedy czuję się tak jak w tej chwili. Miejsce w górach. Czytałeś kiedy opowieści Wuja Remusa, Paul?

Paul skinął głową.

— Pamiętasz, jak Królik opowiedział Lisowi o jego Miejscu Śmiechu?

— Tak.

— Tak nazywam moją siedzibę w górach. Moje Miejsce Śmiechu. Pamiętasz, jak powiedziałam, że wracałam z Sidewinder, kiedy cię znalazłam?

Skinął głową.

— No cóż. Skłamałam. Skłamałam, bo nie znałam cię wtedy zbyt dobrze. Naprawdę to wracałam z mojego Miejsca Śmiechu. Nad drzwiami wisi nawet stosowna wywieszka MIEJSCE ŚMIECHU ANNIE — tak jest tam napisane. Czasami śmieję się, kiedy tam przyjeżdżam. Ale przeważnie tylko krzyczę.

— Jak długo cię nie będzie, Annie?

Zmierzała sennie w stronę drzwi.

— Nie wiem dokładnie. Przyniosłam ci pigułki. Nic ci nie będzie. Bierz dwie co sześć godzin. Albo weź wszystkie naraz.

Miał ochotę jeszcze zapytać, co będzie jadł, ale nie zrobił tego. Nie chciał, aby ponownie zwróciła na niego uwagę — ani trochę. Chciał, aby odeszła. Przebywanie w jej towarzystwie przypominało przebywanie z Aniołem Śmierci.

Leżał sztywno w łóżku nasłuchując przez dłuższy czas. Najpierw poszła na górę, potem wyszła na schody, potem do kuchni — czekał, że jednak zmieni zdanie i przyjdzie do niego ze strzelbą w dłoni. Nie uspokoił się nawet wtedy, gdy usłyszał trzask zamykanych bocznych drzwi, szcęk klucza w zamku i chlupot kroków na zewnątrz. Strzelba równie dobrze mogła znajdować się w jeepie. Silnik Starej Bessie zakaszłał i zaskoczył. Annie ostro ruszyła z miejsca. Błysnęły reflektory, omiatając snopem światła lśniąca srebrną kurtynę deszczu. Światła zaczęły wycofywać się w kierunku podjazdu. Zatoczyły szeroki łuk, przygasły, a potem Annie odjechała. Tym razem nie zjeżdżała w dół zbocza do Sidewinder — zmierzała w przeciwnym kierunku — w stronę gór.

— Jedzie do swego Miejsca Śmiechu — skrzeknął Paul i sam wybuchnął śmiechem. Ona miała swoje. On też był teraz w swoim. Jego radosny nastrój prysnął, kiedy spojrzął na zmasakrowane zwłoki szczura leżące w kącie.

Przyszła mu do głowy pewna myśl.

— Kto powiedział, że nie zostawiła mi nic do jedzenia? — zapytał na głos, zwracając się do pokoju, a potem ponownie wybuchnął śmiechem. W pustym domu Miejsce Śmiechu Paula Sheldona przypominało bardziej pokój bez klamek. Celę dla niebezpiecznych szaleńców w szpitalu psychiatrycznym.

16

Dwie godziny potem Paul ponownie sforsował zamek sypialni i po raz drugi — miał nadzieję, że po raz ostatni — przepchnął fotel na kółkach przez drzwi, które wydawały się zbyt wąskie. Nogi miał przykryte paroma kocami. Wszystkie pigułki, jakie ukrył pod materacem, były owinięte w kleenexa i wciśnięte za spodenki. Postanowił się wydostać, jeżeli to możliwe — deszcz, nie deszcz. To była jego szansa i miał zamiar ją wykorzystać. Sidewinder znajdowało się u stóp wzgórza, droga w taką deszczową pogodę na pewno była śliska i niebezpieczna, ale mimo to postanowił zaryzykować. Nie był świętym ani bohaterem, ale nie miał zamiaru umierać jak egzotyczny ptak w ogrodzie zoologicznym.

Mgliście pamiętał wieczór, który spędził popijając szkocką z ponurym dramaturgiem nazwiskiem Bernstein w Lion's Head w Village (gdyby jeszcze kiedyś miał okazję zobaczyć ponownie Village, ukląkłby na tym, co pozostanie z jego kolan, i pocałowałby brudny chodnik Christopher Street). W jakimś momencie rozmowa zesłała na temat Żydów żyjących w Niemczech w ciągu czterech czy pięciu niespokojnych lat, zanim Wehrmacht wkroczył do Polski i zabawa zaczęła się na całego. Paul przypomniał sobie, jak powiedział Bernsteinowi, który stracił w czasie holocaustu ciotkę i dziadka, że nie rozumie, dlaczego Żydzi z Niemiec — do cholery, było ich pełno w całej Europie, ale szczególnie dużo w Niemczech — nie wyjechali stamtąd, póki mieli jeszcze taką możliwość. Nie byli przecież głupcami i wiedzieli, co się święci. Wielu z nich stało się ofiarami prześladowań. Z całą pewnością domyślali się, co ich czeka. A więc dlaczego zostali?

Odpowiedź Bernsteina wstrząsnęła nim ze względu na swoją frywolność, okrucieństwo i niezwykłość: “Większość z nich miała pianina. My, Żydzi, bardzo lubimy pianina. Kiedy ma się pianino, raczej trudno jest myśleć o przewodzce”.

Teraz zrozumiał. Tak. Z początku to były jego potrzaskane nogi i zgruchotana miednica. Potem, Boże dopomóż, pojawiła się książka. Na swój sposób — aczkolwiek wyjątkowo szalony — to sprawiło mu przyjemność. Byłoby łatwo, aż nazbyt łatwo, zwalić wszystko na jego połamane kości albo narkotyki, choć w gruncie rzeczy pierwsze skrzypce w tym wszystkim grała książka. Ona i powtarzający się dzień w dzień prosty cykl jego rekonwalescencji. Te rzeczy — ale przede wszystkim ta głupia, cholerna książka — były jego pianinem.

Co by zrobiła, gdyby umarł, zanim powróciłaby ze swego Miejsca Śmiechu? Spaliłaby maszynopis?

— Co to to nie, do diabła — powiedział i w gruncie rzeczy była to prawda. Gdyby żył, mógłby napisać nową książkę, może nawet odtworzyć poprzednią, gdyby tego chciał. Ale trup nie może napisać książki, podobnie jak nie jest w stanie kupić sobie nowego pianina.

Udał się do saloniku. Wcześniej było tam czysto, ale teraz dosłownie wszędzie walały się brudne naczynia. Paul miał wrażenie, że musiały być tu wszystkie talerze i talerzyki, jakie miała w domu. Widać kiedy Annie popadała w depresję, nie tylko wymierzała sobie policzki i szczypała się do krwi. Wyglądało na to, że w tym stanie jadła wszystko, co się dało, i nie sprzątała po sobie.

Przypomniawszy sobie mgliście śmierdzący wiatr, który wdarł się do jego gardła, kiedy przebywał w chmurze, i ścisnęło go w żołądku. Większość resztek stanowiły słodczyce. Na talerzykach i miseczkach widać było zastygłe ślady po lodach. Na talerzach walały się okruchy ciastek i smugi jabłecznika. Na telewizorze obok dwulitrowej plastikowej butelki pepsi i sosjerki stała miseczka z galaretką zalaną zaschniętą już bitą śmietaną. Butelka pepsi była prawie tak duża jak głowica rakiety Tytan 2. Jej powierzchnia była matowa i brudna — prawie nieprzejrzysta. Uznał, że musiała pić prosto z butelki, kiedy jej palce były brudne od sosu albo lodów. Nie słyszał brzęku sztućców i nic dziwnego, bo w pokoju nie było ich w ogóle. Talerze, miseczki i talerzyki — ale ani jednego sztućca. Znowu dostrzegł zaschnięte zacieki, głównie resztki lodów, na dywanie i tapczanie.

To było to, co zobaczyłem na jej szlafroku. To świństwo, które jadła. I to było w jej oddechu. Jego wyobrażenie Annie jako Kobiety z Piltown powróciło. Zobaczył ją siedzącą tam i zażerającą się lodami — albo może raczej potrawką z kurczaka i popijającą to danie łykami pepsi — po prostu jedzącą i pijącą w stanie głębokiej, bezmyślnej depresji. Pingwin

na górze lodowej nadal stał na niewielkim stoliku, ale większość bibelotów znajdowała się teraz w kącie zrzucana jej gniewną dłonią — ich potrzaskane resztki, ostre, małe, postrzępione kawałki spoczywały w nieładzie. Czerwone ślady jej palców na prześcieradle. Widział ją, jak zlizywała krew z palców, robiąc to bezmyślnie i odruchowo — w ten sam sposób musiała jeść lody, galaretkę i kruche ciemne ciastka z galaretką. Te wizje były straszne, ale wspaniale pomagały mu się zmobilizować. Wiedział, że musi się spieszyć.

Wazon z zasuszonymi kwiatami na stoliku był przewrócony, pod stołem, ledwo widzialny, leżał półmisek zaskorupiałego kremowego puddingu i duża książka. Książka pod tytułem *Ścieżka wspomnień. Przechadzanie się ścieżką wspomnień, kiedy jesteś w depresji, Annie, nie należy do najlepszych pomysłów — ale myślę, że ty już o tym wiesz.*

Przejechał przez pokój. Na wprost niego znajdowała się kuchnia. Po prawej był szeroki, krótki korytarz wiodący do frontowych drzwi. Obok tego korytarza schody prowadzące na piętro. Obdarzywszy je przelotnym spojrzeniem (na stopniach widać było rozprysnięte ślady lodów i zaschnięte smugi kremu na poręczy), Paul podjechał do drzwi. Uznał, że jeżeli miały stąd uciec przykuty do swojego fotela, to jedynie kuchennym wyjściem — tym, z którego korzystała Annie, kiedy wychodziła nakarmić zwierzęta, tym, przez które wybiegła, kiedy pojawił się señor Rancho Grande — ale uznał, że powinien sprawdzić i to. Mógł zostać mile zaskoczony. Ale nie został.

Schody werandy były strome, jak się tego obawiał, ale nawet gdyby znajdował się tam podjazd dla wózków (możliwość, której nigdy by nie przyjął w grze “Możesz?” prowadzonej z samym sobą, nawet gdyby takie rozwiązanie podpowiedział mu przyjaciel) i tak nie mógłby z niego skorzystać. Drzwi były zaopatrzone w trzy zamki. Z policyjną zasuwą mógłby od biedy dać sobie radę. Pozostałe dwa zamki to Kreigi — najlepsze zamki na świecie, zdaniem jego przyjaciela, byłego gliny nazwiskiem Tom Twyford. A gdzie klucze? Hm... niechże się zastanowię. Może w drodze do Miejsca Śmiechu Annie? *Brawo! Strzał w dziesiątkę! Daj temu facetowi cygaro i palnik, żeby miał se czym przypalić!*

Wycofał się w głąb korytarza i walcząc z paniką, uświadomił sobie w duchu, że i tak nie oczekiwał zbyt wiele po drzwiach frontowych. Wjechawszy do saloniku zakręcił i pojechał do kuchni. Było to staroświeckie pomieszczenie z jasnym linoleum na podłodze i tłoczoną blachą na suficie. Stara, ale cicha lodówka miała przyklejone do drzwi trzy czy cztery magnesy — nic dziwnego, wszystkie wyglądały jak cukierki: kawałek gumy do żucia, batonik Hersheya i Potsie Roll. Jedna z szafek była otwarta — na półkach, jak zauważył, leżały równo położone kawałki ceraty. Nad zlewozmywakiem znajdowały się sporej wielkości okna, przez które nawet w pochmurny dzień wpływało dużo światła. Powinna to

być radosna kuchnia, ale taka nie była. Otwarty kosz na śmieci leżał przewrócony na podłodze, a z jego wnętrza dochodził ciepły odór zepsutego jedzenia. Nie to jednak było najgorsze. Nawet ta woń nie była najgorsza. Było tu coś jeszcze, co zdawało się istnieć głównie w jego umyśle, ale co miało również swój odpowiednik w rzeczywistości. To były Parfums de Wilkes — psychiczny odór szaleństwa.

W pokoju znajdowało się troje drzwi — dwoje po lewej i jedno na wprost niego pomiędzy lodówką a spiżarnią. Najpierw podjechał do tych po lewej. Pierwsze drzwi były od szafy kuchennej — wiedział o tym, nim jeszcze zobaczył w niej płaszcze, czapki, szaliki i buty. Krótki, przejmujący pisk zawiasów powiedział mu wszystko. To wystarczyło. Drugie drzwi były drzwiami wyjściowymi. Na nich również znajdowała się policyjna zasuwka i dwa Kreigi. “Roydmanowie, nigdy nie dostaniecie się do środka, a ty, Paul, zostajesz wewnątrz”. Wyobraził ją sobie, jak się śmieje.

— Ty pieprzona dziwko! — Rąbnął pięścią we framugę drzwi. Zabolało i przycisnął kant dłoni do ust. Nie cierpiał łez, chwil podwójnego widzenia, kiedy mrugał oczyma, ale w żaden sposób nie był w stanie tego zwalczyć. Coraz bardziej ogarniała go panika — pytał samego siebie: co zrobić, co ZROBIĆ — na Boga, to mogła być jego ostatnia szansa.

Pierwsze, co zrobię — pomyślał ponuro — to przeanalizuję gruntownie całą sytuację. To znaczy, jeżeli uda mi się jeszcze przez jakiś czas zachować spokój. Czy myślisz, że możesz to zrobić, tchórze? Otarł oczy — płacz nic mu nie pomoże — i wyjrzał przez szybę, która stanowiła górną połowę drzwi. To nie była jedna duża szyba, ale szesnaście małych kawałków. Mógł wybić je wszystkie po kolei, lecz musiałby potem przebić się jakoś przez drewno drzwi, a to bez piły mogło mu zająć wiele godzin — wyglądały na mocne. I co potem? Samobójczy wypad na tylną werandę? Świetny pomysł. Może uszkodziłby sobie przy tym kręgosłup i dzięki temu choć na chwilę przestałby myśleć o swoich nogach. A zresztą to i tak nie trwałoby długo. Leżąc na deszczu niebawem umarłby na skutek przenikliwego zimna. To rozwiązałyby całą tę pieprzoną sprawę.

Nie ma mowy. O, nie, kurwa — nie ma mowy. Może dostanę za swoje, ale, Bóg mi świadkiem, nie poddam się, dopóki nie pokażę mojej najzagorzalszej wielbicielce, jak bardzo się cieszę, że ją poznałem. I to nie jest zwyczajna obietnica. To święte ślubowanie.

Pomysł odplacenia Annie pięknym za nadobne uspokoił go bardziej niż którakolwiek z połajanek, jaką sobie urządził. Nieco spokojniejszy przekreślił kontakt obok drzwi. W ten sposób włączył zewnętrzne oświetlenie — okazało się to korzystne, bo odkąd opuścił pokój, minęło sporo czasu. Zapadł już zmierzch. Podjazd był zalany, a plac przed domem Annie pokryty białym, kałużami i topniejącym śniegiem. Ustawiając fotel po lewej stronie drzwi,

po raz pierwszy zdołał zobaczyć drogę biegnącą opodal jej domu, ale nie było w niej nic szczególnego — dwa pasy czarnego asfaltu pomiędzy znikającymi zaspami śniegu, lśniące jak skóra fok, zmyte przez deszcz i topniejący śnieg.

Może zamknęła drzwi, żeby nie wpuścić do domu Roydmanów, ale z całą pewnością nie potrzebowała ich zamykać, aby zatrzymać mnie wewnątrz. Gdyby udało mi się stąd wyjechać tym wózkiem, ugrzązłbym w błocie aż po piasty kół w ciągu pięciu sekund. Nigdzie stąd nie wyjedziesz, Paul. Na pewno nie dziś i nie w ciągu paru najbliższych tygodni. Zanim ziemia stwardnieje na tyle, że będziesz mógł wyjechać na drogę w tym swoim wózku, zacznie się już sezon baseballowy. Chyba że chcesz sforsować okno, a potem zaczniesz się czotgać.

Nie. Nie chciał tego robić, łatwo było sobie wyobrazić, jak czułyby się jego połamane kości, gdyby włókł je dziesięć czy nawet piętnaście minut przez lodowate kałuże i topniejący śnieg, niczym zdychająca kijanka. Gdyby nawet założyć, że zdołałby się doczołgać do drogi, jakie miałby szansę na zatrzymanie samochodu? Oprócz Starej Bessie usłyszał dotychczas tylko odgłosy dwóch przejeżdżających samochodów — bel aira señora Rancho Grande i wozu, który go przestraszył, kiedy po raz pierwszy uciekł ze swego “gościnnego pokoju”.

Zgasił oświetlenie zewnętrzne i podjechał do kolejnych drzwi, tych pomiędzy lodówką i spiżarnią. Na tych również, mimo iż nie wychodziły na zewnątrz (przynajmniej nie bezpośrednio), znajdowały się trzy zamki. Obok drzwi widniał przełącznik światła. Paul przekręcił go i zobaczył schludną przybudówkę szopy biegnącą wzdłuż całej długości domu, od nawietrznej. Na jednym końcu znajdował się stos drewna opałowego i pieńki do rąbania drewna z wbitym weń siekierą. Na drugim — stół roboczy i narzędzia wiszące na kołkach. Po lewej znajdowały się jeszcze jedne drzwi. Żarówka w tym pomieszczeniu nie była szczególnie mocna, ale wystarczyła, aby dostrzegł jeszcze jedną policyjną zasuwę i kolejne dwa Kreigi na tych drzwiach. Na tych też. “Roydmanowie... Wszyscy... Wszyscy chcą się do mnie dobrać...” — Nie wiem nic o nich — rzucił do pustej kuchni — ale ja jestem z całą pewnością.

Kończąc inspekcję drzwi udał się do spiżarni. Zanim spojrzał na jedzenie poustawiane na półkach, zauważył zapalniczki. Dwa kartony papierowych zapalek i co najmniej dwa tuziny pudełek Diamond Blue Tips ustawionych w schludne, równe kupki.

Przez chwilę zastanawiał się, czy po prostu nie spalić tej budy i już miał uznać, że to najbardziej idiotyczny z pomysłów, jakie ostatnio przyszły mu do głowy — gdy nagle zauważył coś, co sprawiło, że musiał rozpatrzyć ponownie tę ewentualność. Były tam jeszcze jedne drzwi — drzwi, na których nie było zamków.

Otworzył je i zobaczył wąskie, rozklekotane schody, prowadzące w dół do piwnicy. Z ciemności doszła go drażniąca woń stęchlizny i gnijących warzyw. Usłyszał ciche, przenikliwe piski i przypomniał sobie w myślach jej słowa: "Przychodzą do piwnicy, kiedy pada. Założyłam pułapki. Musiałam".

Pospiesznie zatrzaskał drzwi. Kropla potu spłynęła mu po skroni i wpadła, żądłąc, do kącika prawego oka. Starł ją machinalnie. Przekonanie, że te drzwi prowadzą do piwnicy, i fakt, iż nie było na nich zamków, sprawił, że pomysł o podpaleniu domu wydał mu się przez chwilę bardziej racjonalny — być może mógłby się tam schronić. Jednakże schody były strome i możliwość, że spłonie żywcem, jeżeli dom Annie się zawali, a płomień wedrą się do piwnicy, zanim dotrą tu strażacy z Sidewinder, była zbyt realistyczna... no i te szczury tam na dole... piski szczurów wydawały się chyba najgorsze.

"Jak mu serce bije. Jak próbuje się wyrwać. Tak jak i my, Paul. Tak jak i my".

— Afryka — rzekł Paul, nie słysząc własnego głosu. Zaczął przeglądać puszkę i torby z żywnością w spiżarni, zastanawiając się, co ewentualnie mógłby wziąć ze sobą, aby nie wzbudzić jej podejrzeń, kiedy się tu zjawi. Część niego samego zrozumiała, co miało oznaczać to przedsięwzięcie — projekt ucieczki został odrzucony.

Tylko na pewien czas — zaprotestował jego skołowany umysł.

Nie — odparł z bezwzględnością głębszy głos. *Na zawsze, Paul. Na zawsze.*

— Nigdy się nie poddam — wyszeptał. — Słyszysz mnie? Nigdy. *Czyżby?* — zapytał szeptem sardoniczny, cyniczny głos. — *Dobrze, zobaczymy. Zobaczymy, prawda? Przekonamy się.* Tak. Przekonają się.

17

Spiżarnia Annie wyglądała bardziej jak schron kogoś, kto ma na celu jedynie przetrwanie, aniżeli miejsce, w którym gromadzone są niewielkie zazwyczaj zapasy żywności. Uznał, że po części wynikało to z jej sytuacji — "była kobietą żyjącą samotnie w górach, gdzie człowiek musi być przygotowany na to, iż przez jakiś czas — dzień, może tydzień, a czasami nawet dwa — będzie całkowicie odcięty od reszty świata. Prawdopodobnie nawet ci "zafajdani Roydmanowie" mieli spiżarnię, na widok której właściciel domu znajdującego się w jakiejś innej części kraju uniósłby brwi ze zdumienia... wątpił jednak, aby ci "zafajdani Roydmanowie" czy ktokolwiek inny w okolicy miał w swoich spiżarniach choć

odrobinę tego, na co on patrzył w tej właśnie chwili. Przypuszczał, że spiżarnia Annie była swego rodzaju symbolem, a jej zawartość i układ miały coś do powiedzenia w kwestii spowijania mrokiem granicy pomiędzy Suwerennymi Stanami Rzeczywistości a Ludową Republiką Paranoi. Jednakże w obecnej sytuacji nie przykładał on zbytnej wagi do tego typu drobiazgów. Pieprzyć symbolizm. Przejdźmy do rzeczy, to znaczy do kwestii żywności.

Tak, ale bądź ostrożny. Nie chodzi tylko o to, co ona może przeoczyć. Możesz wziąć ze sobą tylko tyle, ile miałbyś szansę ukryć w razie, gdyby niespodziewanie wróciła... a przecież ona może wrócić lada chwila. To jasne, że wróci nieoczekiwanie. Jej telefon nie działał, a w gruncie rzeczy wątpił, czy Annie zechciałaby mu wysłać telegram albo ozdobną depezę z pozdrowieniami. Prawdę powiedziawszy, nie zwracał zbytnej uwagi na to, czego brak mogłaby zauważyć lub co mogłaby znaleźć w jego pokoju.

Musiał przecież coś jeść. Od tego też był uzależniony. Sardynki. Było tu sporo sardynek w płaskich, prostokątnych puszkach z kluczem pod papierem. Dobrze. Weźmie parę. Puszki z prasowaną szynką. Bez kluczyków, ale mógłby otworzyć parę u niej w kuchni i zjeść te najpierw. Puste puszki wrzuci głęboko do jej i tak przepelnionego kosza na śmieci. Natrafił też na otwarte pudełko rodzynek Sun Maid zawierające mniejsze pacuszki — opakowane w celofan mini-snacksy. Paul oderwał cztery pacuszki i dodał do rosnącego stosiku na podółku, dołączając jeszcze jednorazowe pudełka płatków kukurydzianych i Wheatie'sów. Zauważył, że nie było nigdzie torebek z prażynkami. Jeżeli były, to Annie uporała się z nimi podczas ostatniej uczyty.

Na wyższej półce znajdował się stosik Slim Jimów ustawiony tak schludnie, jak drewna opałowe w szopie Annie. Wziął cztery próbując nie zachwiać piramidowej struktury budowli i zjadł jednego łąpczywie, delektując się słonawym smakiem i tłuszczem. Opakowania postanowił się pozbyć później, a tymczasem włożył je do spodni. Zaczynały go boleć nogi. Uznał, że jeżeli nie ma zamiaru uciekać ani podpalać domu, to powinien czym prędzej wrócić do swego pokoju. Rozczarowanie, ale przecież mogło być gorzej. Mógł wziąć parę pigulek, a potem pisać, dopóki nie zaczęłyby przysypiać. Potem mógłby się trochę przespać. Wątpił, czy ona wróci tej nocy, pogoda była fatalna — burza przybierała na sile. Pomysł pisanie w pokoju, a potem zdrzemnięcie się w przeświadczeniu, że był całkiem sam, że Annie nie wpadnie na jakiś dziki pomysł ani nie zażąda od niego czegoś jeszcze dzikszego, spotkał się z jego uznaniem, niezależnie, czy był tym zainteresowany, czy nie.

Wyjechał ze spiżarni i zatrzymał się, aby zgasić światło, przypominając sobie jednocześnie, że musi

(słukać)

zostawić po sobie porządek, kiedy rozpocznie odwrót. Gdyby skończyło mu się jedzenie, zanim ona wróci, zawsze mógł się tu zjawić ponownie.

(Jak głodny szczur, prawda, Paulie?)

Ale musi być ostrożny. Nie wolno mu zapomnieć, że za każdym razem, kiedy opuszcza swój pokój, ryzykuje życiem. Czego jak czego, ale tego nie wolno mu zapomnieć. To w ogóle nie wchodzi w grę.

18

Kiedy przejeżdżał przez salonik, jego uwagę przykuła ponownie książka leżąca pod stolikiem. *Ścieżka wspomnień*. Była duża jak Szekspir *in folio* i gruba jak rodzinna Biblia. Podniósł ją z zaciekawieniem i otworzył. Książka z wycinkami z gazet. Coś w rodzaju pamiętnika.

Na pierwszej stronie widniała pojedyncza gazetowa kolumna z nagłówkiem Ślub Wilkes — Berryman. Pod nią znajdowało się zdjęcie bladego faceta o wąskiej twarzy i kobiety o ciemnych oczach i ściągniętych mocno ustach. Paul uniósł wzrok znad zdjęcia z gazety i spojrzął na portret nad kominkiem. Nie ulegało wątpliwości! Kobieta określana w wycinku jako Crysilda Berryman (nazwisko godne umieszczenia w powieści o Misery) była matką Annie. Ładny podpis wykonany czarnym tuszem pod zdjęciem brzmiał "Bakersfield Journal" — 30 maja, 1938.

Na stronie drugiej znajdowało się zawiadomienie o narodzinach — Paul Emery Wilkes urodzony w Szpitalu Bakersfield 12 maja 1939. Ojciec — Carl Wilkes. Matka — Crysilda Wilkes. Nazwisko starszego brata Annie pobudziło go do działania. To musiał być ten, z którym Annie chodziła do kina i oglądała seriale. Jej brat też miał na imię Paul.

Na stronie 3 donoszono o narodzinach Annie Marie Wilkes — data ur. 1 kwietnia 1943. A więc Annie skończyła już 44 lata. Fakt, że urodziła się w prima aprilis, nie umknął uwagi Paula. Za oknem wiatr przybrał na sile. Deszcz bębnił o szyby i dach. Zafascynowany, zapominając na chwilę o bólu, Paul przewrócił kartkę.

Następny wycinek pochodził z pierwszej strony "Bakersfield Journal". Zdjęcie pokazywało strażaka na drabinie, widocznego na tle płomieni buchających z okna jakiegoś sporego budynku.

Pięć osób, spośród których cztery były członkami jednej rodziny, zginęło w środę we wczesnych godzinach porannych na skutek pożaru, jaki wybuchł w domu przy Watch Hill Avenue. Wśród ofiar znajdowało się troje dzieci: Paul Krenmitz — lat 8, Frederick Krenmitz — lat 6 i Alison Krenmitz — lat 3. Czwartą był ich ojciec Adrian Krenmitz, lat 41. Panu Krenmitzowi udało się uratować tylko jedno ze swoich dzieci — Laurene Krenmitz (18 miesięcy). Zgodnie z oświadczeniem p. Jessiki Krenmitz, gdy mąż przekazał jej najmłodsze z czwórki dzieci, powiedział:

— Wrócę z innymi za minutkę albo dwie. Módl się za nas.

— Nigdy go już nie zobaczyłam — powiedziała.

Piątą ofiarą, Irving Thalmann — lat 58, był kawalerem, który mieszkał na najwyższym piętrze budynku. Apartament na trzecim piętrze był w chwili pożaru nie zamieszkały. Rodzina Carla Wilkesa — uznana początkowo za zaginioną — jak się potem okazało, opuściła budynek we wtorek wieczorem na skutek przecieku wody w kuchni.

— Boleję nad tragedią, która dotknęła panią Krenmitz — powiedziała reporterowi "Journala" Crysilda Wilkes — ale dziękuję Bogu, że oszczędził mojego męża i dwójkę moich dzieci.

Dowódca Oddziału Straży Pożarnej Michael O'Whunn powiedział, że ogień zaczął się rozprzestrzeniać w piwnicy budynku. Kiedy spytano go o możliwość podpalenia, odpowiedział: "Jest wielce prawdopodobne, że jakiś włóczęga — pijaczek zakradł się do piwnicy, wypił parę głębszych, a potem przez przypadek zaprószył ogień papierosem. Zamiast próbować go ugasić, najprawdopodobniej uciekł — a w wyniku jego nieostrożności poniosło śmierć pięcioro ludzi. Mam nadzieję, że go dorwiemy". Kiedy spytano go o ślady, O'Whunn odparł: "Policja ma już kilka i będzie nimi podążać szybko i bezwzględnie, to mogę panu zaręczyć".

Ten sam czarny tusz pod wycinkiem — 28 października 1954.

Paul uniósł wzrok. Nie ruszał się, ale jego puls nagle przyspieszył tempa. W żołądku czuł pustkę i gorąco.

Małe gnojki. Troje z nich to były dzieci.

Czworo gnojków pani Krenmitz z dołu.

O, nie, nie, Chryste, nie.

Nienawidziłam tych małych gnojków.

Ona była wtedy jeszcze dzieckiem. Nie było jej w domu!

Miała 11 lat. Dostatecznie duża i najprawdopodobniej na tyle sprytna, aby rozlać trochę benzyny wokół butelki z alkoholem. A potem wstawić w kałużę zapaloną świeczkę.

Może nawet nie przypuszczała, że to zadziała. Może myślała, że benzyna wyparuje, zanim świeczka się wypali. Może myślała, że uda im się ująć z życiem... Chciała ich tylko przestraszyć, zmusić, aby się wyprowadzili. Ale ona to zrobiła, Paul, ona to zrobiła, do cholery, i dobrze o tym wiesz.

Tak, przypuszczał, że tak. I kto by ją podejrzewał? Przewrócił kartkę.

Kolejny wycinek z "Bakersfield Journal" z datą 19 lipca 1957. Ukazywał on zdjęcie Carla Wilkesa wyglądającego nieco starzej. Jedno było pewne — już się więcej nie postarzeje. Pod zdjęciem był zamieszczony nekrolog.

KSIEGOWY Z BAKERSFIELD GINIE W TRAGICZNYM WYPADKU

Carl Wilkes, mieszkaniec Bakersfield, zmarł wkrótce po przewiezieniu go do Szpitala Generalnego Hernandeza ostatniego wieczora. Wszystko wskazuje na to, że poślizgnął się on na rzuconej niedbale kupce bielizny, którą wcześniej pozostawił na schodach, kiedy schodził na dół, aby odebrać telefon. Dr Frank Canley, lekarz dyżurny, stwierdził zgon na skutek licznych urazów czaszki i uszkodzenia kręgosłupa. Carl Wilkes miał 44 lata. Pozostawił żonę Crysildę, syna Paula (18) i córkę Annie (14).

Kiedy przewrócił kartkę, przez chwilę miał wrażenie, że Annie przez sentyment lub przypadek zamieściła w swoim zbiorku dwa egzemplarze nekrologu swego ojca (po chwili namysłu uznał, że w grę wchodziła tu raczej ta druga możliwość). Ale to był całkiem inny wypadek — powód zbieżności też był prosty — tak naprawdę to przecież nie był żaden wypadek.

Poczuł, jak w jego sercu zaczyna się budzić niekłamane przerażenie. Schludne pismo pod tym wycinkiem głosiło: "Los Angeles Cali" 29 stycznia 1962.

STUDENTKA SZKOŁY PIEŁĘGNIARSKIEJ GINIE W TRAGICZNYM WYPADKU

Andrea Saint James, studentka Szkoły Pielęgniarskiej, zmarła po przewiezieniu jej do Mercy Hospital w Los Angeles ostatniej nocy. Była ofiarą tajemniczego wypadku. Panna Saint James mieszkała w pensjonacie przy Delorme Street, dzieląc pokój z inną studentką, Anną Wilkes z Bakersfield. Na krótko przed 23 Annie Wilkes usłyszała urywany krzyk, po którym nastąpiły "potworne, głuchoe odgłosy". Panna Wilkes, która właśnie się uczyła, wybiegła do hallu trzeciego piętra i zobaczyła pannę Saint James leżącą na podeście poniżej, "rozciągniętą w bardzo nienaturalnej pozycji".

Panna Wilkes powiedziała, że zbiegła na dół, by udzielić jej pomocy, tak szybko, że o mało sama nie spadła ze schodów.

— Miałyśmy kota, nazwiskiem Peter Gunn — powiedziała. — Ponieważ nie widziałyśmy go już od paru dni — uznałyśmy, że musieli go złapać i zabrać do schroniska, bo

nie miał obróżki. Leżał martwy na schodach. Potknęła się o kota. Nakryłam Andree moim swetrem, a potem zadzwoniłam do szpitala. Wiedziałam, że nie żyje, ale nie wiedziałam, do kogo innego miałam zadzwonić.

Panna Saint James, mieszkanka Los Angeles, miała 21 lat.

— Jezu!

Paul szeptał to słowo raz po raz. Jego dłoń, kiedy odwracał stronę, drżała jak osika. Natknął się na wycinek z "Calla", w którym donoszono, że kot przybłąda, którym opiekowały się studentki szkoły pielęgniarstwa, został otruty.

Peter Gunn. Ładne imię jak na kota — pomyślał Paul.

Właściciel pensjonatu miał szczury w piwnicy. Skargi mieszkańców zaowocowały w formie ostrzeżenia ze strony inspektorów budowlanych w poprzednim roku. Właściciel budynku zrobił awanturę na późniejszym zebraniu Rady Miejskiej, która była na tyle interesująca, że wzmiankę o niej zamieszczono w wielu gazetach. Annie musiała o tym wiedzieć. Na skutek potyczki słownej z radnymi, którzy nie chcieli, aby zamieszczano ich nazwiska, właściciel budynku zdecydował się wyłożyć w piwnicy truczkę na szczury. Kot je truciznę. Kot cierpi w piwnicy przez całe dwa dni. Następnie kot wdrapuje się po schodach, by być jak najbliżej osób, które były mu bliskie, a potem odchodzi, zabierając ze sobą jedną z tak bliskich mu osób.

Ironia godna Paula Harveya — pomyślał Paul Sheldon i roześmiał się dziko. Założę się, że ta informacja też znalazła się w jego wiadomościach.

Czysta robota. Bardzo czysta.

Tylko że my wiemy, że to Annie wzięła trochę trutki z piwnicy i nakarmiła nią kota osobiście — a jeżeli stary Peter Gunn nie chciał jej jeść, to najprawdopodobniej wpakowała mu ją siłą do przetyku — może nawet kijem. Kiedy zdechł, położyła go na schodach z nadzieją, że pułapka zadziała. Może liczyła na to, że jej koleżanka z pokoju wróci do domu na gazie. To nie byłoby dziwne. Zdechły kot. Sterta bielizny. Ten sam modus operandi jak by powiedział Tom Twyford. Ale dlaczego, Annie? Te wycinki mówią mi o wszystkim oprócz jednego — dlaczego?

W geście samoobrony część jego wyobraźni przez ostatnie parę tygodni stała się Annie i teraz ta właśnie część przemówiła oschłym, pozbawionym sprzeczności głosem. I choć to, co ów głos powiedział, było absolutnie szalone, nie ulegało wątpliwości, że było zarazem jak najbardziej sensowne.

Zabiłam ją, bo słuchała radia do późna.

Zabiłam ją, bo nadała kotu głupawe imię.

Zabiłam ją, bo miałam dość oglądania, jak całuje się ze swoim chłopakiem na kanapie, a on zadziera jej spódnicę i wkłada tam rękę z takim wyrazem twarzy, jakby szukał złota.

Zabiłam ją, bo przytapałam ją na kłamstwie.

Zabiłam ją, bo to ona przytapała mnie na kłamstwie. Szczegóły nie są zresztą ważne, prawda? Zabiłam ją, bo była zafajdaną gnojową, a to już był dostatecznie ważny powód.

— I może dlatego, że była Panną Spryciarą — wyszeptał Paul.

Odrzucił głowę do tyłu, a z jego ust dobył się po raz kolejny piskliwy, przepełniony przerażeniem, śmiech. A więc to była jej *Ścieżka wspomnień*. A jakie dziwne i trujące kwiaty porastały pobocze tej osobliwej, starej ścieżki.

/ nikt nie powiązał ze sobą tych dwóch zgonów? Najpierw jej ojciec, potem koleżanka z pokoju? Mówisz poważnie?

Tak. Mówił to jak najbardziej poważnie. Wypadki dzielił okres pięciu lat, miały one miejsce w dwóch różnych miastach. Pisano o nich w różnych gazetach, a ponieważ wypadki, w których ludzie spadają ze schodów i łamią sobie kark, nie należą w dużych miastach do rzadkości...

A ona była bardzo, bardzo sprytna.

Sprytna jak sam diabeł — pomyślał.

Tylko że najwyraźniej obecnie zaczynała zatracać swoje niezwykle umiejętności. Mimo to niewielkim byłby dlań pocieszeniem fakt, że zostanie przyskrzyniona pod zarzutem zabójstwa znanego pisarza Paula Sheldona.

Odwrócił stronę i natrafił na kolejny (jak się okazało ostatni) wycinek z "Bakersfield Journal". Nagłówek głosił PANNA WILKES ABSOLWENTKĄ SZKOŁY PIEŁĘGNIARSKIEJ. Dziewczyna z naszego miasta spisuje się na medal! 17 maja 1966. Zdjęcie ukazywało młodą, zadziwiająco ładną Annie Wilkes, w fartuchu i czepku pielęgniarki, uśmiechającą się do aparatu. Było to rzecz jasna zdjęcie z okresu ukończenia szkoły. Zakończyła ją z wyróżnieniem.

Tylko że, aby to osiągnąć, musiała zabić jedną ze swoich koleżanek — pomyślał Paul i raz jeszcze wybuchnął swoim piskliwym, przeraźliwym śmiechem. Jakby w odpowiedzi powiew wiatru zadudnił o ścianę domu. Zdjęcie mamuśki na ścianie zatrzęsło się.

Następny wycinek pochodził z "Union-Leader" z Manchesteru, w New Hampshire. 2 marca 1969. Był to nekrolog, który zdawał się nie mieć żadnego związku z Annie Wilkes.

Ernest Gonyar, lat 79, zmarł w szpitalu św. Józefa. Przyczyny śmierci nie podano. Po długiej chorobie — głosił dopisek w nekrologu. Pozostawił żonę, dwanaścioro dzieci i, jak się zdawało, około czterystu wnuków i prawnuków. Nie ma nic lepszego niż regularna, rytmiczna produkcja potomków — pomyślał Paul i raz jeszcze zarechotał.

Zabiła go. Oto co się stało z dobrym starym Erniem! No bo niby dlaczego miałby się tu znaleźć jego nekrolog? To przecież księga zmarłych Annie.

Prawda?

Dlaczego, na miłość boską, dlaczego?

W przypadku Annie Wilkes raczej trudno było o rozsądną odpowiedź. To chyba oczywiste. Dobrze o tym wiecie.

Kolejna strona, kolejny nekrolog z "Union-Leader". 19 marca 1969. Kobieta nazywała się Hester "Queenie" Beaulifant — lat 84. Na zdjęciu wyglądała jak coś, czego kości można ekshumować w Smołowych Dołach w La Brea. Wyglądało na to, że "Queenie" zeszła z tego świata na skutek tego samego, co dotknęło Erniego — czyli długiej choroby. Tak jak i on zmarła w szpitalu św. Józefa. Wystawienie zwłok 20 marca między 14 a 18 w Domu Pogrzebowym Fostera. Pogrzeb na cmentarzu Mary Cyr 21 marca o 18. Powinna temu towarzyszyć specjalna wersja "Gdyby nie ty, Annie, nie byłoby mnie tutaj" śpiewana przez chór Świątyni Mormonów — pomyślał Paul i znowu zachichotał.

Na kolejnych stronach znajdowały się jeszcze trzy nekrologi z "Union-Leader". Dwóch starych mężczyzn, którzy zmarli wskutek nieustannie faworyzowanej Długotrwałej Choroby. Trzecia była 46-letnia kobieta, nazwiskiem Paulette Simeaux. Przyczyną śmierci Paulette była krótka i gwałtowna choroba. Choć zdjęcie towarzyszące nekrologowi było jeszcze bardziej niewyraźne i zamazane, Paul zauważył, że przy Paulette Simeaux, "Queenie" Beaulifant wyglądała jak Thumbelina. Uznał, że jej choroba naprawdę musiała być krótka — nagły atak choroby wieńcowej, potem, powiedzmy, przewiezienie do szpitala św. Józefa, a potem... Właśnie. Co potem?

Naprawdę nie miał ochoty rozmyślać o szczegółach... ale wszystkie te osoby zmarły po przewiezieniu ich do szpitala św. Józefa.

A gdybyśmy przejrzyli grafik pielęgniarek na marzec 69, czy nie natrafilibyśmy czasem na nazwisko Wilkes? Co wy na to, przyjaciele?

Ta książka, drogi Boże — ta książka była taka duża.

Dość, proszę. Już dość. Nie chcę więcej na nią patrzeć. Mam pewien pomysł. Odłożę tę książkę tam, skąd ją wzięłem. Potem wrócę do swego pokoju. Myślę, że i tak nie mam dziś ochoty na pisanie, sądzę, że wezmę jeszcze jedną pigułkę i położę się do łóżka. Nazwijmy to

koszmarnym ubezpieczeniem. Naprawdę nie chcę iść dalej ścieżką wspomnień Annie Wilkes. Proszę, proszę...

Ale jego dłonie zdawały się działać niezależnie od jego umysłu i woli, przewracały kolejne kartki coraz szybciej i szybciej.

Dwa następne zgony — notki zamieszczone w "Union-Leader" — jedna z końca września 1969, druga z początku października.

19 marca 1970. Tym razem z Harrisburga. "Pensylwania Herald". Ostatnia strona. ZEBRANO ZESPÓŁ DO OBSŁUGI NOWEGO SZPITALA. Było tam zdjęcie łysawego faceta w okularach, który zdaniem Paula sprawiał wrażenie jednego z tych, co są w stanie zażerać się skrycie różnymi gównami. Artykuł głosił, że oprócz nowego reklamowanego dyrektora (łysawego typu w okularach) Riverview Hospital zatrudnia dwadzieścia innych osób — dwóch lekarzy, osiem pielęgniarek, obsługę kuchni, sanitariuszy i portiera.

Annie była jedną z pielęgniarek.

Na następnej stronie — pomyślał Paul, przeczytam krótką notkę o starym mężczyźnie lub kobiecie, który umarł w szpitalu Riverview w Pensylwanii.

Jego przypuszczenia okazały się słuszne. Najpierw stary piernik, który zmarł na skutek jej ulubionego M.O. — Długotrwałej Choroby. Potem staruszek, który umarł (tym razem jakby dla odmiany) po krótkiej chorobie.

Potem dziecko, trzylatek, które spadło ze schodów odnosząc poważne obrażenia czaszki i zostało przywiezione do Riverview w stanie śpiączki.

Paul jak otępiały przewracał strony, podczas gdy na zewnątrz wiatr chłostał ściany domu, a deszcz bębnił o szyby i dach. Schemat był taki sam. Podejmowała pracę, zabijała parę osób, a potem się przenosiła.

Nagle przypomniał sobie pewną wizję — tę z jego snu, o której już niemalże zapomniał, a która obudziła w nim tajemnicze *déjà vu*. Zobaczył Annie Wilkes w długim fartuchu, z włosami ukrytymi pod czepkiem. Annie wyglądającą jak pielęgniarka z London's Bedlam Hospital. Na ramieniu miała koszyk. Sięgała do niego. Brała zeń garść piasku i przechodząc, sypała nim w zwrócone do góry twarze. Tyle że ten piasek nie powodował zapadnięcia w sen. Był trujący. Zabijał ich. Obsypane piaskiem twarze stawały się białe, a linie na monitorach rejestrujących ich czynności życiowe zmieniały się w płaską, prostą kreskę.

Może zabiła dzieciaki Krenmitzów, bo były gnojkami... I jej koleżankę... Może nawet własnego ojca. Ale tych innych?

On wiedział. Annie w jego wnętrzu wiedziała. Starzy i chorzy. Wszyscy oni musieli być starzy i chorzy, z wyjątkiem pani Simeaux, która, kiedy ją przywieziono, nie była niczym więcej, jak tylko wegetującą rośliną. Annie zabiła ich, bo...

— Bo byli szczurami w pułapce — wyszeptał.

“Biedactwa. Biedactwa”.

Pewno. To było to. Zdaniem Annie wszystkich ludzi na świecie można podzielić na trzy kategorie: gnojków, biedactwa i Annie.

Zmierzała nieustannie na zachód. Z Harrisburga do Pittsburga, potem do Duluth i Fargo. W 1978 roku przybyła do Denver. W każdym wypadku schemat był taki sam — artykuł WITAMY NA POKŁADZIE!, w którym pośród innych było wymienione nazwisko Annie (oprócz artykułu w Manchesterze — bo, jak sądził, Annie najprawdopodobniej nie zdawała sobie wówczas sprawy, że lokalne gazety w ogóle drukują takie rzeczy), potem dwa lub trzy niezauważalne zgony. Następnie cykl rozpoczął się od nowa.

To znaczy aż do czasu Denver.

Z początku wszystko wyglądało tak samo. Znajdował się tu artykuł o nowo przybyłych, tym razem wycięty z gazety szpitala w Denver, w którym była krótka wzmianka o Annie Wilkes. Fragment gazety był podpisany schludnym pismem Annie jako “Gurney” (Nosze). — Wspaniała nazwa dla gazety szpitalnej — rzekł Paul do pustego pokoju. — Dziwne, że nikt nie pomyślał, aby nazwać ją “Zawartość Stolca” — i, aczkolwiek nieświadomie, wybuchnął jeszcze bardziej obłąkańczym śmiechem. Odwrócił kartkę i natrafił na pierwszy nekrolog — wycinek z “Rocky Mountain News” — Laura D. Rothberg. Długotrwała Choroba. 21 września 1978. Szpital w Denver.

Potem następował przełom w schemacie.

Zamiast o pogrzebie kolejny artykuł donosił o ślubie. Zdjęcie ukazywało Annie nie w fartuchu, ale w białej ślubnej sukni z koronkami. Obok niej, trzymając ją za rękę, stał człowiek nazwiskiem Ralph Dugan. Dugan był fizykoterapeutą. Ślub DUGAN — WILKES — brzmiał podpis pod zdjęciem “Rocky Mountain News” z 2 stycznia 1979. Dugan miał w sobie coś — mianowicie był podobny do ojca Annie. Paul pomyślał, że gdyby zgolić mu wąsy, co najprawdopodobniej kazała mu zrobić, kiedy dobiegł końca ich miesiąc miodowy, podobieństwo byłoby jeszcze bardziej uderzające. Paul kartkował następne strony książki Annie i myślał, że Ralph Dugan powinien był sprawdzić swój horoskop — a raczej horrorskop — w dniu, kiedy przyszedł oświadczyć się Annie.

Myślę, że istnieją spore szanse, iż gdzieś tam, na którejs z tych stron znajdę krótką wzmiankę na twój temat. Przypadki chodzą po ludziach. Mogłeś na ten przykład poślizgnąć

się na stosie rozrzuconej beżadnie bielizny albo zdechłym kocie przyczajonym na którymś ze stopni. Zdechłym kocie o miłym imieniu.

Ale się mylił. Następny wycinek pochodził z gazety z Nederland i dotyczył nowo przybyłych. Nederland było niewielkim miastem na zachód od Boulder. Przez chwilę nie mógł znaleźć Annie w krótkim, wypełnionym nazwiskami artykule, a potem zdał sobie sprawę, że szukał nie tego nazwiska, co powinien. Była tu, ale stała się częścią socjoseksualnej spółki pod nazwą Pan i Pani Ralph Dugan.

Paul przekrzywił głowę. Czy nadjeżdżał samochód? Nie... to tylko wiatr. Na pewno wiatr. Przeniósł wzrok na książkę Annie. Ralph Dugan zajął się pomocą cierpiącym, okaleczonym, kulejącym i niewidomym w szpitalu Hrabstwa Arapaho, Annie najprawdopodobniej zajęła się wspomaganiami i pocieszaniem ciężko rannych.

A teraz zaczną się zabójstwa — pomyślał. Jedyne pytanie, które mi się nasuwa, brzmi: co z Ralphem? Zginie na samym początku, w środku czy na samym końcu?

Ale znów się pomylił. Zamiast na nekrolog natrafił na kserokopię propozycji handlarza nieruchomości. W lewym górnym rogu znajdowało się zdjęcie domu — Paul rozpoznał go dzięki charakterystycznemu zabudowaniu stodoły — w gruncie rzeczy nigdy nie widział domu od zewnątrz.

Pod spodem widniał podpis wykonany schludną dłonią Annie: Zadatek zapłacony 3 marca 1979. Dokumenty przekazano 18 marca 1979.

Paul wątpił w to — letni domek? Nie, nie mogliby sobie pozwolić na taki luksus. A więc?...

No cóż, może to tylko twoja wyobraźnia, ale pomyśl. Może ona naprawdę kocha starego Ralpha Dugana. Może minął rok, a ona nadal nie wyczuwała w nim "zafajdańca". Coś się zmieniło na pewno. Nekrologi nie pojawiały się od... Przerzucił parę stron, aby to sprawdzić.

Od śmierci Laury Rothberg we wrześniu 1978. Przestała zabijać mniej więcej w tym samym czasie, kiedy spotkała Ralpha. Ale to było wtedy, a teraz to teraz. Obecnie napięcie znowu zaczęło narastać. Okresy depresji powróciły. Patrzy na tych starszych, śmiertelnie chorych ludzi... myśli, jakimi "biedactwami" się stali, i mówi sobie: To otoczenie tak na mnie wpływa — mile wyłożone kafelkami korytarze, różne wonie, pisk butów na miękkiej podszwie, krzyki ludzi cierpiących katusze. Gdyby tylko udało mi się stąd wydostać, na pewno doszłabym do siebie.

I dlatego Ralph i Annie osiedlili się z dala od miasta. Przewrócił stronę i zamrugał oczami.

U dołu strony znajdowała się nabazgrana data 13 sierpnia 1980. PIEPRZĘ CIĘ!

Papier, mimo że gruby, był w paru miejscach poprzedziany — dłoń trzymająca pióro najwyraźniej nie potrafiła opanować wściekłości.

To była kolumna ROZWODY z gazety w Nederland, ale żeby się upewnić, że figurowali w niej Ralph i Annie, musiał ją odwrócić. Przymocowała ją do góry nogami. Tak. Byli tu. Ralph i Annie Dugan. Powód rozwodu — tortury psychiczne. Rozwiedzeni po krótkiej chorobie — wymamrotał Paul i ponownie uniósł wzrok, myśląc, że słyszy nadjeżdżający samochód. To wiatr... To tylko wiatr. Mimo to będzie lepiej, jak już wróci do swego pokoju. To nie tylko pogarszało ból w jego nogach — to po prostu doprowadzało go do obłądzenia! Mimo to pochylił się ponownie nad książką. Była w jakiś sposób za dobra, aby mógł ją odłożyć. To było tak jak z powieścią, tak obrzydliwą, że po prostu nie sposób jej nie skończyć.

Małżeństwo Annie zakończyło się w bardziej prawnym sposobie, aniżeli Paul mógł przypuszczać. Wyglądało na to, że rozwód rzeczywiście nastąpił po okresie krótkiej choroby — półtora roku małżeńskich rozkoszy to raczej niewiele. W marcu kupili dom, a tego typu kroków nie robi się w chwilach, kiedy czujesz, że twoje małżeństwo się sypie. Co się stało? Nie wiedział. Mógł jedynie przypuszczać, wymyślić jakąś historyjkę, ale zdawał sobie sprawę, że mogła ona mieć niewiele wspólnego z tym, co się zdarzyło w rzeczywistości.

Potem, czytając dalszy ciąg artykułu, zauważył coś sugestywnego — "...Angeli Ford z Jamesem Fordem, Kirsten Frawley ze Stanleyem Frawleyem. Danny Mc Laren z Lee Mc Larenem i... Ralphi Dugana z Annie Dugan".

Oto amerykańskie obyczaje, nieźle, co? Nikt o tym za wiele nie mówi, ale wie się wszystko. Mężczyźni oświadczają się przy księżycu, kobiety składają pozwy do sądu. Nie zawsze tak jest, ale zazwyczaj. Po prostu zazwyczaj. Co ma nam do powiedzenia układ gramatyczny tego artykułu? Angela mówi: — Spadaj, Jack! Kirsten mówi: — Zaczynaj od nowa, Stan! Danna mówi: — Oddaj klucz, Lee! A co mówi Ralph, jedyny mężczyzna figurujący jako pierwszy w tej kolumnie? Myślę, że mówi: — Pozwólcie mi się wreszcie z tego wyrwać! — Może zobaczył na schodach zdechłego kota — rzekł Paul.

Następna strona. Kolejny artykuł o nowo przybyłych. Tym razem z "Camery" z Boulder, w Colorado. Było to zdjęcie dwunastoosobowej obsługi szpitala stojącej przed wejściem do Boulder's Hospital. Annie stała w drugim rzędzie — bladobiały krąg pod czepkiem z czarnym paskiem. Kolejne twarze, kolejny występ. Data pod zdjęciem — 9 marca 1981. Powróciła do swego panińskiego nazwiska.

Boulder. To właśnie tam Annie naprawdę oszalała. Przewracał strony coraz to szybciej, jego przerażenie narastało, a w mózgu stale, na przemian, pojawiały się dwie myśli: dlaczego, na Boga, nie można przewracać ich szybciej? I jak, na Boga, udało się jej prześlizgnąć im między palcami?

10 maja 1981 — długa choroba, 14 maja 1981 — długa choroba, 23 maja — długa choroba, 4 czerwca — krótka choroba, 15 czerwca — krótka choroba, 16 czerwca — długa.

Krótka. Długa. Długa. Krótka. Długa. Długa. Krótka. Strony śmigały mu pomiędzy palcami. Czuł słaby odór zeschniętego kleju do papieru.

— Chryste, ilu ludzi ona zabiła?

Jeżeli brać pod uwagę, że każdy nekrolog zamieszczony w tej książce miał jakiś związek z morderstwem, to liczba zabitych przez nią osób do końca 1981 przekroczyła 30, i to bez jakiegokolwiek odzewu ze strony władz. Oczywiście, większość ofiar stanowili ludzie starzy, resztę — ciężko ranni... ale mimo to... mógłbyś pomyśleć...

W 1982 roku w końcu powinęła się jej noga. Wycinek z "Camery" z 14 marca ukazywał jej pozbawione wyrazu, jakby wyciosane z kamienia oblicze z podpisem, który brzmiał następująco: ZNAMY JUŻ NAZWISKO NOWEJ PRZEŁOŻONEJ PIELEŃNIAREK ODDZIAŁU POŁOŻNICZEGO.

29 stycznia na oddziale tym miały miejsce pierwsze przypadki zgonów. Annie skrupulatnie zbierała wszystkie notatki na temat tych wydarzeń. Paul nie miał żadnych kłopotów, aby nadażyć za przebiegiem akcji.

Jeżeli ludzie, przed którymi się schowałeś, znajdą kiedyś tę książkę, Annie, trafisz do więzienia albo do szpitala psychiatrycznego na resztę swego życia.

Pierwsze dwa zgony niemowlaków nie wzbudziły niczyich podejrzeń — jedno z dzieci, o czym wiadano, miało poważne wady wrodzone. Jednak dzieci z wadami lub bez to nie to samo co staruszkowie umierający na skutek ustania pracy nerek czy ofiary wypadków samochodowych, które mając tylko pół głowy albo w żołądkach dziurę wielkości kierownicy nadal utrzymują się przy życiu. Wtedy zaczęła zabijać zarówno dzieci chore, jak i zdrowe. Przypuszczał, że w stanie pogłębiającej się w jej umyśle psychozy uznawała je wszystkie za "godne pożałowania biedactwa".

W połowie 1982 roku na oddziale niemowlęcym szpitala Boulder miało miejsce pięć kolejnych zgonów. Wszczęto intensywne śledztwo. 24 marca "Camera" podała informację, że przyczyną śmierci była "wadliwa formuła". Później następował fragment wypowiedzi jednego z "Godnych zaufania źródeł szpitalnych", a Paul zastanawiał się, czy tym źródłem nie była sama Annie Wilkes. Następne dziecko zmarło w kwietniu. Drugie w maju.

Potem wyjątek z pierwszej strony "Denver Post":

PRZEŁOŻONA PIELEŃNIAREK Z ODDZIAŁU POŁOŻNICZEGO PRZESŁUCHIWANA
W ZWIĄZKU ZE ZGONAMI DZIECI

Jak dotąd nie wniesiono jeszcze oskarżenia — mówi rzeczniczka Biura

Szeryfa

ARTYKUŁ MICHAELA LEITHA

Annie Wilkes, 39-letnia przełożona pielęgniarek na oddziale położniczym szpitala Boulder, była dziś przesłuchiwana w sprawie śmierci ośmiorga dzieci, które zmarły na tym oddziale w ciągu paru ostatnich miesięcy. Wszystkie te zgony miały miejsce podczas dyżurów p. Wilkes. Kiedy spytałem, czy panna Wilkes została aresztowana, rzeczniczka Biura Szeryfa Tamara Kinsohdng powiedziała, że nie. Kiedy spytałem, czy panna Wilkes zgłosiła się z własnej woli, by udzielić informacji, które mogłyby pomóc w śledztwie, p. Kinsohdng odparła: — Oficjalne śledztwo jeszcze się nie rozpoczęło. Sprawa jest o wiele poważniejsza. — Kiedy spytałem, czy p. Wilkes zostały przedstawione jakieś zarzuty, p. Kinsolving odpowiedziała: — Nie. Jak dotąd nie.

Reszta artykułu stanowiła streszczenie kariery Annie. Było jasne, że często przenosiła się z miejsca na miejsce, ale nie wspomniano słowem, że we wszystkich szpitalach, w których pracowała, a nie tylko w Boulder, ludzie przejawiali dość dziwną tendencję do masowego przenoszenia się na tamten świat. Spojrzał na towarzyszącą artykułowi fotografię z fascynacją. Annie przed sądem. Boże wszechmogący — Annie przed sądem. Idol, kamienny posąg, nie runął... ale zachwiał się... o tak, zachwiał się, i to mocno...

Wchodziła po kamiennych schodach w towarzystwie krzepkiej policjantki, z pochmurnym, pozbawionym wyrazu obliczem. Miała na sobie pielęgniarski fartuch i białe buty.

Następna strona: WILKES ZWOLNIONA. W KWESTII PRZESŁUCHAŃ PANUJE NIEPRZENIKNIONA CISZA.

Udało się jej wymknąć. Jakoś się jej udało. Powinna się teraz zmyć i pokazać gdzieś indziej — w Idaho, może w Kalifornii. Zamiast tego wróciła do pracy. I zamiast nowej kolumny z jakiejś zachodniej gazety na temat nowo przybyłych kolejnym wycinkiem był olbrzymi nagłówek z "Rocky Mountain News" z 2 lipca 1982.

HORROR TRWA NADAL. KOLEJNE TRZY ZGONY DZIECI W SZPITALU W
BOULDER

Dwa dni potem władze aresztowały portorykańskiego pielęgniarza tylko po to, by zwolnić go w dziewięć godzin później. Potem 19 lipca zarówno "Denver Post", jak i "Rocky Mountain News" donosiły o aresztowaniu Annie. Na początku sierpnia miały miejsce przesłuchania wstępne. 9 września postawiono ją w stan oskarżenia pod zarzutem zamordowania jednodniowej dziewczynki imieniem Christopher. Poza tym było jeszcze siedem innych oskarżeń o morderstwo pierwszego stopnia. W artykule zauważono, że niektóre z ofiar Annie żyły dostatecznie długo, by zdążyć nadać im imiona. Pośród sprawozdań z procesu przeplatały się również listy do wydawcy, wydrukowane w gazetach w Denver i Boulder. Paul zrozumiał, że Annie zmuszona była wybrać tylko tych najbardziej sobie wrogich — tych, którzy utwierdzali ją w przekonaniu, że świat składa się z samych frajerów i gnojków, i na nich przelewała całą swoją wściekłość. Wyglądało na to, że osiągnięto niejake porozumienie — powieszenie było dla Annie Wilkes za dobre. Jeden z korespondentów ochrzcił ją mianem Smoczycy i to określenie przyłgnęło do niej na czas trwania procesu. Większość udawała się żywić przekonanie, że Smoczycę powinno się skazać na śmierć przez zadżganie rozpalonymi do czerwoności widłami, a wielu zgłosiło akces, że chciałoby wziąć udział w kaźni w roli kata.

Obok jednego z takich listów Annie napisała koślawą i jakby patetyczną instrukcję — nie pasującą do jej zwykle pewnej ręki. "Pałki kamienie mogą połamać mi kości, ale słowa nigdy mnie nie zranią".

Największym błędem Annie — jak się wydawało — było to, że nie zaprzestała działalności, kiedy w końcu ludzie zdali sobie sprawę, że COŚ SIĘ DZIEJE. To było złe, ale na nieszczęście nie dość złe. Posąg jedynie się zachwiał.

Sprawa sądowa była jedną wielką kompromitacją i prowadzono ją tak nieudolnie, że podczas procesu można było spokojnie przeczytać gazetę, co z całą pewnością było o wiele bardziej pasjonującym zajęciem. Prokurator okręgowy dysponował dowodem w postaci śladów dłoni na twarzy i szyi dziewczynki Christopher, które pokrywały się z rozmiarem dłoni Annie włącznie ze śladem pierścienia z ametystem, jaki nosiła na czwartym palcu prawej ręki. Prokurator miał także zapis jej zaobserwowanych wejść i wyjść na oddział niemowlęcy, który pokrywał się z przypuszczalnym czasem zgonów dzieci. Jednakże Annie była przełożoną pielęgniarek, więc zawsze musiała kręcić się to tu, to tam. Obrona zdołała zwrócić uwagę na fakt tuzinów jej pojawień się na oddziale, kiedy to nie wydarzyło się nic szczególnego; było to stwierdzenie bliskie dowodowi, iż meteoryty nie spadają na Ziemię, skoro przez pięć dni z rzędu żaden nie trafił w pole starego farmera Johna, ale zdawał sobie sprawę, że w przypadku tego typu dowodów sąd najprawdopodobniej podzielał jego opinię.

Proces plótn swoją sieć, jak tylko mógł najlepiej, ale odcisk ręki ze śladem po pierścionku był jedynym poważniejszym dowodem, jakim dysponował oskarżyciel. Fakt, że stan Colorado zdecydował się w ogóle postawić Annie przed sądem, wskazywał na to, że dowód ów okazał się dostatecznie przekonujący, Paulowi zaś dał powód zarówno do przypuszczeń, jak i do pewności. Przypuszczenie dotyczyło tego, że wystąpienia Annie podczas przewodu sądowego musiały być wyjątkowo sugestywne, być może nawet obraźliwe, skoro jej adwokat zdołał wymóc zakaz wykorzystywania jej wypowiedzi podczas procesu. Pewność dotyczyła faktu, iż decyzja Annie o podjęciu się roli własnego świadka obrony podczas przesłuchania wstępnego była wyjątkowo nierozsądna. Tego dowodu adwokat nie był w stanie wyłączyć z procesu (choć usilnie próbował) i podczas gdy Annie w czasie trzech sierpniowych dni spędzonych "przed sądem w Denver" nie przyznała się w sumie do niczego, to — uznał — tak naprawdę, przyznała się do wszystkiego. Fragmenty z wycinków zamieszczonych w jej książce okazały się prawdziwymi perełkami.

"Czy one mnie zasmucały? Oczywiście że tak, zważywszy na świat, w którym żyjemy".

"Nie mam się czego wstydzić. Nigdy się niczego nie wstydziłam. To, co zrobiłam, to była ostateczność. Nigdy nie wspominam tego typu spraw".

"Czy byłam na pogrzebie któregoś z nich? Oczywiście że nie. Pogrzeby są smutne i bardzo przygnębiające. Poza tym nie wierzę, że dzieci w ogóle mają dusze".

"Nie. Nigdy nie płakałam".

"Czy było mi przykro? To chyba filozoficzne pytanie, prawda?"

"Oczywiście, że rozumiem pytanie. Rozumiem wszystkie wasze pytania. Wiem, że wszyscy jesteście przeciwko mnie".

Gdyby nalegała, aby być świadkiem na własnym procesie — pomyślał Paul, jej prawnik prawdopodobnie musiałby ją zastrzelić, żeby się wreszcie zamknęła.

Sprawa trafiła do sądu 13 grudnia 1982 roku. Tu następowało zadziwiające zdjęcie Annie siedzącej spokojnie w celi i czytającej *W poszukiwaniu Misery*. NIESZCZĘŚLIWA?¹ — brzmiał podpis pod fotografią. NA PEWNO NIE SMOCZYCA. Annie czyta i spokojnie czeka na werdykt.

A potem, 16 grudnia, olbrzymie nagłówki:

SMOCZYCA NIEWINNA

W artykule przytaczano wypowiedź jednego z sędziów, który prosił o zachowanie anonimowości.

— Miałem spore wątpliwości w kwestii jej niewinności — tak. Na nieszczęście miałem równie poważne wątpliwości, jeżeli chodzi o jej winę. Mam nadzieję, że będzie sądzona ponownie w związku z jednym z poprzednio stawianych jej zarzutów. Być może wówczas dowody oskarżenia będą bardziej oczywiste niż podczas tego procesu.

Oni wszyscy wiedzieli, że to ona to zrobiła, ale nikt nie potrafił tego udowodnić. No i prześlizgnęła się im między palcami.

Relacja ze sprawy ciągnęła się przez kilka następnych stron. Prokurator stwierdził, że Annie Z CAŁĄ PEWNOŚCIĄ zostanie postawiona w stan oskarżenia w związku z jednym z poprzednich zarzutów. W trzy tygodnie później zarzekął się, że nigdy nie powiedział niczego podobnego. Z początkiem lutego Biuro Prokuratora Okręgowego wystosowało oświadczenie stwierdzające, że mimo iż sprawa dzieciobójstwa w szpitalu w Boulder wciąż jeszcze była żywa i świeża, rozprawa przeciwko Annie Wilkes została zamknięta.

Prześlizgnęła się im między palcami. Jej mąż nie zeznawał po żadnej ze stron. Ciekaw jestem dlaczego?

W książce zostało jeszcze sporo stron, ale był niemal pewny, że oto zbliżał się do końca historii Annie Wilkes. Dzięki Bogu.

Następna strona pochodziła z "Gazette" w Sidewinder z 19 listopada 1984. Grupa wędrowców znalazła zmasakrowane i częściowo rozczłonkowane zwłoki młodego mężczyzny we wschodniej części Grider Wildlife Preserve. W tydzień później w gazetach podano, że zwłoki zostały zidentyfikowane — mężczyzną był Andrew Pomeroy, lat 23, z Cold Stream Harbor w Nowym Jorku. Pomeroy wyruszył autostopem z Nowego Jorku do Los Angeles we wrześniu ubiegłego roku. Jego rodzice słyszeli o nim po raz ostatni 15

¹ Misery to imię bohaterki powieści, ale i określenie nieszczęścia, złego losu, niedoli itp. (przyp. tłum.).

października. Zadzwoił do nich z Julesburga. Ciało zostało znalezione w korycie wyschłego strumienia. Policja wysunęła teorię, że Pomeroy mógł zostać zamordowany w pobliżu Autostrady 9, a jego zwłoki zmyło do Grand Wildlife Preserve podczas wiosennych roztopów. Raport koronera stwierdza, że rany zostały zadane siekierą. Paul zastanawiał się leniwie, jak daleko było stąd do Grider Wildlife Preserve. Odwrócił kartkę, spojrzął na ostatni — jak dotąd — wycinek i nagle zaparło mu dech w piersiach. To było tak, jakby po przejrzaniu tych okropnych nekrologów na poprzednich stronach zobaczył nagle swój własny nekrolog. No cóż, niezupełnie nekrolog, ale...

— A więc jednak sprawa trafiła do władz — powiedział cichym, ochrypłym głosem.

Był to fragment z "Newsweeka". Rubryka ZMIANY. Pod artykułem o rozwodzie aktorki telewizyjnej i nad wiadomością o śmierci potentata stalowego ze środkowego zachodu znajdowała się wzmianka takiej treści:

KOMUNIKAT O ZAGINIĘCIU

Paul Sheldon, lat 41, powieściopisarz, znany najbardziej z serii romansów o seksownej, infantylnej i niezniszczalnej Misery Chastain, o którego zaginięciu donosi jego agent Bryce Bell.

"Myślę, że nic mu nie jest — powiedział Bell — ale chciałbym, żeby dał znać o sobie i uspokoił moje zszarpane nerwy. Jego eks-żony też chciałyby, żeby się z nimi skontaktował i uspokoił ich bankowe konta". Po raz ostatni Sheldona widziano przed siedmiu tygodniami w Boulder, Colorado, dokąd udał się, aby skończyć swoją powieść.

Wycinek sprzed dwóch tygodni.

KOMUNIKAT O ZAGINIĘCIU — to wszystko. Uznali mnie za zaginionego. Nie umarłem — nie uznali mnie za zmarłego. Ale to było jak uznanie go za zmarłego i nagle poczuł, że potrzebuje swojego lekarstwa, bo nie tylko jego nogi dawały mu się we znaki. Wszystko go bolało. Ostrożnie odłożył książkę na miejsce i zaczął toczyć wózek w stronę gościnnego pokoju. Na zewnątrz wiatr znowu przybrał na sile, chłoszcząc cały dom kaskadami zimnego deszczu, a Paul oddalał się od tego coraz bardziej, jęczący i przerażony, próbując desperacko wziąć się w garść i nie wybuchnąć płaczem.

W godzinę później naszprycowany prochami i przysypiający, gdy wycie wiatru bardziej go utulało do snu, niż przerażało, pomyślał: Nie ucieknę. Nie ma mowy. Co Thomas Hardy mówi w "Jude the Obscure"?

"Ktoś mógł się pojawić i uwolnić chłopca od lęku, ale nikt tego nie zrobił... bo nikt się nie zjawił". Racja. Słusznie. Twój statek się nie pojawi, bo zabrakło łądzi. Samotny Jeździec jest zajęty robieniem reklamówek, a Superman kręci filmy w Miasteczku Blichtru. Jesteś zdany na siebie, Paulie. Tylko na siebie. Ale może to i dobrze. Bo, być może, w gruncie rzeczy wiesz, jak brzmi odpowiedź. Wiesz?

Oczywiście, że wiedział.

Jeżeli miał zamiar się stąd wydostać, to będzie musiał ją zabić.

Tak. Oto odpowiedź — myślę, że jedyna i właściwa. A więc to znów ta sama stara gra, co, Paulie? „Możesz”... Paulie?

Odparł bez odrobiny wahania. *Tak. Mogę.*

Zamknął oczy. I usnął.

20

Burza trwała przez cały następny dzień. W nocy chmury zaczęły się rozdzielać, aż w końcu rozwiało je zupełnie. W tym samym czasie temperatura z 60 stopni spadła do 25. Cały świat na zewnątrz skuło lodem. Drugiego dnia, który miał spędzić w samotności, Paul siedząc przy oknie swojej sypialni i wyglądając na skrzący się, spowity lodem poranny świat słyszał kwik świni imieniem Misery i ryk jednej z krów, dobiegające od strony stodoły. Często słyszał zwierzęta, będące nieodłączną częścią tła tego miejsca, podobnie jak bicie zegara w saloniku — ale nigdy dotychczas nie było to takie kwiczenie. Miał wrażenie, że słyszał już podobny ryk krowy, ale to było niczym złowieszczy odgłos, słabo słyszalny w złowieszczym śnie, bo całe jego ciało przepelniał potworny, przejmujący ból. Działo się to wówczas, kiedy Annie wyjechała po raz pierwszy, zostawiając go bez pigułek.

Dorastał na przedmieściach Bostonu i większość życia spędził w Nowym Jorku, ale miał wrażenie, że wie, co znaczą te bolesne ryki krów. Jedna z krów chciała, aby ją wydojono. Druga widać nie chciała, być może dlatego, że dziwaczne nawyki picia mleka przez Annie już ją osuszyły.

A świnia?

Jest głodna. To wszystko. I to wystarczyło.

Nie ulży im dzisiaj. Wątpił, czy Annie zdołałaby tu dziś wrócić, nawet gdyby tego chciała. Ta część świata przemieniła się w jedną wielką ślizgawkę. Był nieco zaskoczony rozmiarami sympatii, jaką żywił wobec zwierząt, i rozmiarami złości wobec Annie — za to, jaka była, że przez swój bezwzględny i arogancki egoizm pozostawiła je, by cierpiały w swoich zagrodach.

Gdyby zwierzęta mogły mówić, Annie, powiedziałyby ci, kto tu naprawdę jest przebrzydłym ptaszyskiem.

On sam miewał się w owym czasie bardzo dobrze. Jadł z puszek, pił wodę z nowego dzbanka, brał regularnie lekarstwa, każdego popołudnia ucinał sobie drzemkę. Opowieść o Misery, jej amnezji i początkowo niespodziewanym (i efektownie zdemoralizowanym) pokrewieństwie z wolna, acz nieuchronnie przenosiła się w stronę Afryki, na której terytorium miała rozgrywać się akcja drugiej połowy powieści. Jak na ironię ta kobieta zmusiła go do napisania czegoś, co zapowiadało się na najlepszą z powieści o Misery. Ian i Geoffrey wyjechali do Southampton, aby przygotować do rejsu szkuner — Lorelei. To właśnie tu, na Czarnym Łądzie, Misery, która zapadała w kataleptyczny trans w najbardziej nieodpowiednich momentach (wystarczyłoby jedno jedyne uządlenie pszczoły i Misery na zawsze odeszłyby z tego świata), miała umrzeć albo zostać uleczona. O 150 mil w głąb lądu od Lawstow, niewielkiej brytyjsko-holenderskiej osady na najdalej wysuniętym na północ krańcu niebezpiecznego półkola zwanego Wybrzeżem Barbarzyńców, mieszkali Bourkasi — najbardziej niebezpieczne spośród afrykańskich plemion. Bourkasi byli niekiedy znani jako Ludzie Pszczoły. Większość białych, którzy ośmielili się wdrzeć na terytorium Bourkasów, nigdy nie powróciła, ale ci, którym to się udało, opowiadali bajeczne historie o twarzy kobiety wyciosanej w wysokiej, łatwo kruszącej się skale — bezlitosnym obliczu z otwartymi szeroko ustami i olbrzymim rubinem osadzonym w jej kamiennym czole. Była jeszcze inna historia — rzecz jasna tylko plotka, ale dziwnie przekonująca, że w jaskiniach znajdujących się wewnątrz skały, na ścianie której widnieje wizerunek bogini z drogocennym kamieniem na czole, żyje rój olbrzymich pszczoł albinosów, strzegących zaciekle swojej królowej — potwornego galaretowatego stworzenia dysponującego straszliwą bronią w postaci niezwykle morderczego jadu i... znającego odwieczne tajniki magii. W ciągu tych dni dał sobie spokój z pisaniem owych jakże sympatycznych głupot. Wieczorami siedział w ciszy, nasłuchując kwiczenia świni i rozmyślając o tym, jak zabije Smoczycę.

Granie w "Możesz?" w rzeczywistości — jak się już zdążył przekonać — różniło się diametralnie od gry, którą zabawiał się w kręgu swoich rówieśników będąc dzieckiem, jak również od historyjek, które zwykł pisywać. Kiedy to była tylko gra (a jeżeli nawet dostawał za nią pieniądze, to i tak nie była ona niczym innym), mogłeś wymyślić nawet najdziksze rozwiązanie i sprawić, aby wyglądało wiarygodnie — na ten przykład związek pomiędzy Misery Chastain i panią Charlottą Evelyn-Hyde (okazało się, że były przyrodnimi siostrami, Misery dowie się później, że jej ojciec przebywa w Afryce mieszkając wraz z Ludźmi Pszczołami — Bourkasami). W rzeczywistości jednak tego typu pomysły traciły rację bytu.

Nie to, żeby Paul nie próbował. W łazience na dole było przecież tyle lekarstw i narkotyków. Z całą pewnością istniał jakiś sposób, aby dzięki nim usunąć ją z drogi — nieprawdaż? Albo unieszkodliwić ją na pewien czas, a potem zająć się nią jak należy. *Weź novril. Odpowiednio duża dawka tego świństwa sprawi, że nawet nie będziesz musiał się nią zajmować. Sama odfrunie z tego świata.*

To bardzo dobry pomysł, Paul. Powiem ci, co musisz zrobić. Weź garść tych kapsułek i powtykaj je do jej lodów. Pomyśli sobie po prostu, że to orzeszki pistacjowe i połknie je jedną po drugiej.

Nie. Oczywiście. To nie zadziała. Rozbijanie kapsułek i mieszanie zawartego w nich proszku z lekko roztopionymi lodami też nie wchodziło w grę. Novril "na surowo" był diabelnie gorzki. Miał kiedyś okazję spróbować i dobrze o tym wiedział. Rozpoznałaby ten smak natychmiast — nawet pośród oczekiwanej słodyczy... a potem miałbyś kłopoty, Paulie. Takie kłopoty, o jakich ci się jeszcze nie śniło.

W opowiadaniu byłby to całkiem niezły pomysł, jednak w rzeczywistości był on kompletnie bezużyteczny. Zastanawiał się, czy zaryzykowałby nawet wówczas, gdyby biały proszek miał obojętny smak. To nie było dostatecznie bezpieczne i dostatecznie pewne. To nie gra. Tu chodziło o jego życie.

Przychodziły mu do głowy różne pomysły, a on odrzucał je jeszcze szybciej. Jeden z pomysłów polegał na tym, aby zawiesić coś ciężkiego (od razu przyszła mu na myśl maszyna do pisania) nad drzwiami, tak żeby wchodzącej Annie to coś spadło na głowę i z miejsca pozbawiło ją życia albo przynajmniej przytomności.

Innym było przeciągnięcie drutu potykacza na schodach. Ale w obu tych przypadkach problem był taki sam jak w sztuczce z novrilem w lodach — żaden z nich nie był dostatecznie pewny. Wolał nie myśleć, co by się mogło z nim stać, gdyby próbował pozbawić ją życia i po prostu sfuszerował.

Drugiego wieczora po zapadnięciu zmroku znów dało się słyszeć monotonne zawodzenie Misery — kwik świni przypominał nie domknięte drzwi z przerdzewiałymi zawiasami, chybczące się na wietrze — ale Bossie numer 1 nagle umilkła. Paul zastanawiał się niespokojnie, czy nie daj Boże biednemu zwierzęciu nie eksplodowało wymię, powodując w rezultacie śmierć na skutek wykrwawienia. Przez chwilę jego wyobraźnia

(tak żywa!)

próbowała go uraczyć widokiem zdechłej krowy, leżącej w kałuży mleka zmieszanego z krwią i błyskawicznie odegnał od siebie tę wizję.

Powiedział sobie, że nie powinien być takim kretynem — krowy nie zdychają w taki sposób. Ale mówiącemu te słowa głosowi wyraźnie brakowało przekonania. Nie miał pojęcia, czy krowy zdychają w ten sposób, czy nie. Poza tym to nie krowa była teraz jego problemem numer jeden, zgadza się?

Wszystkie twoje fantastyczne pomysły sprowadzają się do jednego — chcesz ją zabić na odległość, nie brudząc sobie ręk jej krwią. Jesteś jak człowiek, który uwielbia krwiste befsztyki, ale nie wytrzymałby nawet godziny w rzeźni. Ale posłuchaj, Paulie — powiem to prosto z mostu! W tym momencie swojego życia musisz stawić czoło rzeczywistości, bo w przeciwnym razie nie pożyjesz długo. Podstawą jest realizm. Żadnych fantazji. Żadnych nieprawdopodobieństw. Jasne?

Jasne.

Przejechał z powrotem do kuchni. Otwierał po kolei szuflady szukając noży. Wybrał najdłuższy nóż rzeźniczy i wrócił z nim do swego pokoju, zatrzymując się tylko, żeby zatrzeć ślady po piastach kół na bokach framugi. Ślady jego przejazdów za każdym razem stawały się coraz wyraźniejsze.

Nie ma sprawy. Jeżeli nie zauważyła ich za pierwszym razem, to nie zauważy ich już nigdy.

Położył nóż na nocnym stoliku, wślizgnął się do łóżka, a potem wsunął go pod materac. Kiedy Annie wróci, poprosi ją o dużą szklanekę zimnej wody, a kiedy pochyli się, żeby mu ją podać, wbije jej nóż prosto w gardło.

Bez odrobiny fantazji. Paul zamknął oczy i zapadł w sen, a kiedy o czwartej nad ranem cherokee zajechał cichutko na podjazd z wyłączonymi światłami i silnikiem, nawet nie drgnął. Dopóki nie poczuł ukłucia igły wbijającej mu się w ramię i nie obudził się; aby zobaczyć jej oblicze nachylające się ku niemu, w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że wróciła do domu.

Z początku myślał, że to sen o jego książce, że mrok był wyśnionym mrokiem jaskiń za olbrzymią kamienną głową Bogini Pszczół Bourkasów, a to ukłucie było uządleniem...

— Paul?

Wymamrotał coś, co nic nie znaczyło — coś, co oznaczało jedynie: wynoś się stąd, senny głosie — spadaj.

— *Paul.*

To nie był głos ze snu. To był głos Annie.

Zmusił się, aby otworzyć oczy. Tak. To była ona — i przez chwilę ogarnęło go jeszcze większe przerażenie. Potem uczucie to po prostu odpłynęło, jak woda wyciekająca przez częściowo zapchany otwór ściekowy.

Co, do diabła?

Był kompletnie zdezorientowany.

Stała tam, w cieniu, jakby jej wcale nie było, ubrana w jedną ze swoich wełnianych spódnic i kiepskich swetrów. Zobaczył w jej dłoni strzykawkę i zrozumiał, że to nie było uządlenie, tylko zastrzyk. Co, do diabła, wychodziło na to samo. Dostał się w rękę bogini. To ona go zraniła. Ale co ona...

Uczucie paniki próbowało powrócić i ponownie zdołał odegnać je od siebie. Wszystko, co był w stanie odczuwać, to czysto akademickie zdziwienie. To i coś w rodzaju intelektualnej ciekawości. Zastanawiało go, skąd się tu wzięła i dlaczego teraz. Próbował unieść rękę i podniosły się odrobinę... ale tylko odrobinę. Czuł, jakby doczepiono do nich niewidoczne ciężarki. Opadły na prześcieradło z głuchym stukiem.

Nieważne, co mi wstrzyknęła. To jest to, co zwykle piszesz na ostatniej stronie książki
— *KONIEC.*

Ta myśl wcale go nie przerażyła. Zamiast tego popadł w stan bliski euforii.

W końcu spróbowała to zrobić. Jakoś. Zrobić to...

— No jesteś wreszcie — powiedziała Annie, dorzucając kokieteryjnie: — Widzę cię, Paul... te twoje niebieskie oczy. Czy ktoś ci kiedyś mówił, że masz śliczne niebieskie oczy? Przypuszczam, że inne kobiety ci to mówiły, te, które były o wiele ładniejsze ode mnie i o wiele bardziej śmiałe w okazywaniu uczuć.

Wróciła. Wślizgnęła się tu nocą i zabiła mnie — za pomocą strzykawki czy żądła, bez różnicy — to by było na tyle, jeżeli chodzi o nóż pod materacem. Wszystko, czym teraz jestem, to kolejna ofiara na liście osób zamordowanych przez Annie. Pokażnej liście.

A potem, kiedy spowodowane zastrzykiem odrętwienie zaczęło się rozprzestrzeniać po całym ciele, pomyślał niemal z humorem: okazało się jednak, że kiepska ze mnie Szeherezada.

Sądził, że lada chwila zapadnie w sen — i będzie to sen wieczny — ale tak się nie stało. Zobaczył, jak chowa strzykawkę do kieszeni fartucha, a potem siada na łóżku — nie tam, gdzie zwykle siadała — siedziała w nogach łóżka i przez chwilę widział tylko jej masywne, nieprzeniknione plecy, kiedy pochyliła się, jakby chciała coś sprawdzić. Usłyszał drewniane — thunk! — metaliczne — klang! — a potem szeleszczący odgłos, który gdzieś już kiedyś słyszał. Po chwili przypomniał sobie. *Weż zapalniczki, Paul.*

Diamond Blue Tips. Nie wiedział, co jeszcze mogła zgromadzić w nogach jego łóżka, ale jednym z tych przedmiotów było z całą pewnością pudełko zapalek.

Annie odwróciła się do niego i uśmiechnęła raz jeszcze. Cokolwiek jeszcze miało się wydarzyć, jej apokaliptyczna depresja znikła, jak ręką odjął. Dziewczęcym gestem odsunęła za ucho niesforny kosmyk włosów. Dziwnie to wyglądało, bo włosy były przetłuszczone, brudne i zatraciły prawie cały połysk.

Brudne, przetłuszczone włosy, prawie bez połysku — o, chłopie, myślisz teraz o takich rzeczach. To właśnie chcesz zapamiętać. Nie to, że, chłopie, jesteś teraz sparaliżowany, obrócony w kamień — cała przeszłość była jedynie prologiem do tego gówna, które właśnie za moment się zacznie. Ej, dziecino, zaraz nastąpi gwóźdź programu. O, kurwa, ale mi dopięprzyła. To już koniec, stary, wierzchołek kryształowej góry i teraz dopiero się zacznie, to jak wjazd rollsem w wysoką na milę falę, to jak...

— Co chcesz usłyszeć najpierw, Paul? — spytała. — Dobrą czy złą wiadomość?

— Najpierw dobrą — wysilił się na szeroki, głupkowaty uśmiech. — Zła wiadomość oznacza, że to KONIEC, prawda? Sądzę, że książka nie przypadła ci zbyt do gustu, co? Za mało... się starałem. Jest zła. Właśnie nad nią pracowałem. Właśnie zacząłem... no wiesz... się rozkręcać.

Obdarzyła go spojrzeniem pełnym wyrzutu.

— Kocham tę książkę, Paul. Powiedziałam ci to już, a ja nigdy nie kłamię. Tak bardzo mi się podoba, że nie chcę jej czytać, dopóki nie skończysz. Przykro mi, że będziesz musiał sam uzupełniać te swoje "n", ale... to jest jak podglądanie.

Jego głupekowy uśmiech rozszerzył się jeszcze bardziej, miał wrażenie, że już wkrótce kącki ust znajdują się z tyłu głowy, połączą się tam w miłosnym uścisku, a górna część jego biednej makówki po prostu odpadnie. Może wylądje w kaczce stojącej przy łóżku. Gdzieś głęboko, w tej części jego mózgu, której nie zdołały naruszyć narkotyki, sygnały alarmowe zostały nagle wyłączone. Książka przypadła jej do gustu, co oznaczało, że nie miała zamiaru go zabijać. Cokolwiek miało się wydarzyć, nie chciała pozbawić go życia. A jeżeli to nie jego danina dla Annie Wilkes sprawiła, że była pochmurna i zagniewana, to oznaczało to, że miała coś innego w zanadru.

Teraz światło w pokoju nie wyglądało jak zamglone — było cudownie czyste, cudownie pełne swoich własnych szarości i niezwykłego czaru, był sobie w stanie wyobrazić żurawie, na wpół spowite w stalowoszarej mgle, znieruchomiałe w jednonogiej ciszy nad brzegiem jednego z górskich jezior w takim właśnie świetle, był w stanie wyobrazić sobie błyski miki w skałach wystających spośród kęp wiosennej trawy na górskiej łące — niezwykły odbłask lustrzanych szyb przy tego typu świetle, mógł sobie wyobrazić elfy krzątające się w takim świetle, pośród przesiąkniętych rosą liści młodego bluszczu...

O, chłopie, zostałeś obrócony w kamień — pomyślał Paul i zachichotał słabo.

Annie odwzajemniła uśmiech.

— Dobra wiadomość — powiedziała — to to, że twój samochód zniknął. Martwiłam się o twój samochód, Paul. Wiedziałam, że będzie potrzeba takiej burzy jak ta, żeby się go pozbyć, a być może nawet i ona by tu nie pomogła. Wiosenne roztopy pomogły mi w pozbyciu się ciała tego obrzydliwego ptaszyska — Pomeroya, ale samochód jest o wiele większy od człowieka, prawda. Nawet od takiego zafajdańca, jakim był Pomeroy. Ale burza i roztopy połączonymi siłami dokonały tego dzieła. Twój samochód zniknął. To dobra wiadomość.

— Co... — Znów słaby sygnał alarmowy. Pomeroy... znał to nazwisko, ale nie pamiętał dobrze skąd. Nagle sobie przypomniał.

Pomeroy. Wielki, nieżyjący, Andrew Pomeroy lat 23 z Cold Stream Harbor w Nowym Jorku. Znaleziony w Grider Wildlife Preserve, gdziekolwiek by to było.

— Daj spokój, Paul — powiedziała tak dobrze mu znanym pedantycznym głosem. — Nie udawaj nieśmiałego. Wiem, że wiesz, kim był Andy Pomeroy, bo wiem, że czytałeś moją książkę. Przypuszczam, że w pewnym sensie miałam nadzieję, że ją przeczytasz, wiesz, bo w przeciwnym razie dlaczego zostawiałabym ją na wierzchu? Ale, wiesz — upewniłam się, musiałam się upewnić. I teraz już jestem pewna, bo nitki były pozrywane.

— Nitki — powiedział cicho.

— O, tak. Czytałam kiedyś o niezawodnym sposobie, dzięki któremu możesz się dowiedzieć, czy ktoś szpera ci w szufladach. Przyklejasz do każdej z nich cieniutką nitkę i jeżeli po powrocie do domu okazuje się, że któraś z nich jest przerwana, to już wiesz wszystko — prawda? Wiesz, że ktoś szperał ci w szufladzie. Widzisz, jakie to łatwe?

— Tak, Annie. — Słuchał jej, ale to, czego naprawdę pragnął, to móc zagłębić się w tej wspaniałej, oszałamiającej powodzi światła.

Ponownie się pochyliła, aby pogmerać przy czymś, co przyniosła ze sobą i ułożyła w nogach łóżka — ponownie usłyszał słabe, głucho kling-klang — drewna uderzającego o coś metalowego, a potem odwróciła się i raz jeszcze, obojętnie, przyglądała włosy.

— Zrobiłam to z moją książką, tyle że, widzisz, nie użyłam do tego celu nitki, tylko paru moich włosów. Włożyłam je w trzech różnych miejscach i kiedy dziś rano wróciłam — bardzo wcześnie — jak myszka, żeby cię przypadkiem nie obudzić — wszystkie trzy włosy były przerwane i wiedziałam, że przeglądałeś moją książkę.

Przerwała, po czym uśmiechnęła się. Był to dla Annie uśmiech wyjątkowo zwycięski, a on w obecnej sytuacji nie mógł nic na to poradzić. Nie mógł nawet pokazać jej palca.

— Wcale mnie to nie zdziwiło. Wiedziałam, że opuszczasz ten pokój. To właśnie ta zła wiadomość. Wiedziałam o tym od dawna. Od bardzo dawna, Paul.

Przypuszczał, że powinien w tej chwili poczuć wściekłość i konsternację. Ona wiedziała. Wiedziała niemal od początku, tak przynajmniej to wyglądało... ale czuł jedynie tę niewyraźną, zalewającą całe jego wnętrze euforię i to, co do niego mówiła, nie miało dla niego większej wartości niż chwalebna powódź jasnego światła budzącego się z wolna, dnia.

— Ale — powiedziała, wracając do tematu — mówiliśmy o twoim samochodzie. Mam opony nabijane gwoździami, Paul, a w swoim domku w górach zestaw specjalnych łańcuchów do opon — 10X. Wczoraj wczesnym popołudniem czułam się już o wiele lepiej — większość czasu w owym miejscu spędziłam na kolanach pogrążona w modlitwie i otrzymałam jak zwykle odpowiedź, która okazała się jak zwykle dosyć prosta. Za to, co przekazujesz Panu swoją modlitwą, Paul, On odplaca ci po tysiackroć. No więc nałożyłam łańcuchy i wyruszyłam w powrotną drogę. To nie było łatwe i wiedziałam, że pomimo tych kolców i łańcuchów muszę bardzo uważać, bo w taki dzień o wypadek nietrudno. Wiedziałam również, że na tych krętych, górskich drogach coś, co można by określić mianem “nieszkodliwego wypadku”, należy raczej do rzadkości. Ale byłam spokojna, bo czułam, że jestem bezpieczna z woli Pana.

— To bardzo budujące, Annie — zachrypiał Paul.

Obdarzyła go spojrzeniem, które od pierwszej chwili było przepełnione zdziwieniem i podejrzliwością... a potem rozluźniła się i uśmiechnęła.

— Mam dla ciebie prezent, Paul — powiedziała cicho i zanim zdążył ją zapytać jaki, nie był bowiem pewny, czy chciał jakichkolwiek prezentów od Annie — ciągnęła dalej. — Na drogach było strasznie ślisko. Dwa razy o mało nie wpadłam do rowu... Za drugim razem Stara Bessie zrobiła pełny obrót dookoła osi, podczas gdy przez cały czas zjeżdżała w dół górskiego zbocza. — Annie roześmiała się serdecznie. — Potem ugrzęzłam w zaspie... to było koło północy, ale akurat przejeżdżała ciężarówka Departamentu Robót Publicznych z Eunice rozsypująca piasek i pomogli mi się wydostać.

— Brawo dla Departamentu Robót Publicznych z Eunice — rzekł Paul, ale to, co wyszło z jego ust, brzmiało raczej jak: Bławo dla Dupaltamętów Łobót Publicznych.

— Ostatni ciężki kawałek to dwie mile wzdłuż głównej autostrady. Główna autostrada to droga numer 9, jak wiesz. Droga, którą jechałeś, kiedy miałeś wypadek. Posypali ją piaskiem "na odwal się". Zatrzymałam się w miejscu, gdzie się rozbiłeś, i zaczęłam się rozglądać w poszukiwaniu twojego samochodu. Wiedziałam, co mam zrobić, gdybym go zobaczyła. Bo zaczęliby wypytywać, a ja byłabym jedną z pierwszych, do których by się pofatygowali z wiadomych ci już chyba powodów.

I tu cię wyprzedziłem, Annie — pomyślał. Rozpatrzyłem ten scenariusz już trzy tygodnie temu.

— Jednym z powodów, dla których cię tu sprowadziłam, było coś więcej niż tylko zbieg okoliczności... to wyglądało bardziej jak ręka Opatrzności.

— Co wyglądało jak ręka Opatrzności, Annie? — zapytał.

— Twój wóz rozbił się niemal dokładnie w tym samym miejscu, w którym pozbyłam się tego okropnego Pomeroya. Tego, który powiedział mi, że jest artystą.

Machnęła pogardliwie ręką, zaszurała nogami i nagle dał się słyszeć głuchy drewniany odgłos, jakby jedną stopą zahaczyła o coś, co położyła na podłodze.

— Wzięłam go do samochodu w drodze powrotnej z Ester Park. Byłam tam na wystawie sztuki ceramicznej. Uwielbiam te małe porcelanowe figurynki!

— Zauważyłem — rzekł Paul. Jego głos zdawał się dochodzić z odległości wielu lat świetlnych. Kapitanie Kirk! Złapałem jakiś dziwny komunikat — pomyślał i zachichotał ponuro. Ta głębsza część niego samego — ta, której nie mogły osiągnąć narkotyki — próbowała go ostrzec, że powinien się zamknąć, po prostu się zamknąć — ale po co? Jaki był w tym sens? Ona wiedziała. Oczywiście, że ona tak — Bogini Pszczół Bourkasów wie wszystko. — Najbardziej podobał mi się pingwin na lodowej skale.

— Dziękuję, Paul... ładny jest, prawda? Pomeroy był autostopowiczem. Podróżował z plecakiem. Powiedział, że jest artystą, ale jak się później dowiedziałam, nie był niczym więcej jak tylko zwykłym ćpającym hippisem — przebrzydłym ptaszyskiem, co to przez parę ostatnich miesięcy zmywał talerze w restauracji w Ester Park. Kiedy mu powiedziałam, że mam dom w Sidewinder, stwierdził, że to prawdziwy zbieg okoliczności, gdyż “właśnie jechał” do Sidewinder. Powiedział, że zawarł kontrakt z jednym z nowojorskich magazynów. Miał się wybrać do takiego jednego starego hotelu i wykonać szkice ruin. Jego rysunki miały ozdobić artykuł na temat tego hotelu przewidziany w magazynie. To był słynny stary hotel zwany Overlook². Spalił się dziesięć lat temu. Spalił go facet, który się nim opiekował. Był szalony. Wszyscy w mieście tak mówią. Ale to już teraz nieważne; on nie żyje. Powiedziałam, aby Pomeroy zamieszkał ze mną. Byliśmy kochankami.

Spojrzała na niego. Jej czarne oczy płonęły w masywnej, ale pulchnej twarzy, a Paul pomyślał: jeżeli Andrew Pomeroy skusił się na ciebie, Annie, to musiał być tak samo szalony, jak ten dozorca, który spalił hotel.

— Potem dowiedziałam się, że tak naprawdę on wcale nie miał kontraktu na wykonanie szkiców tego hotelu. Robił je po prostu z własnej woli, mając nadzieję, że gdzieś je sprzeda. Nie był nawet pewny, czy jakiś magazyn miał zamiar opublikować artykuł na temat Overlooka. Dowiedziałam się tego bardzo szybko! Kiedy to się stało, rzuciłam okiem na jego szkice. Uważałam, że mam do tego pełne prawo. W sumie przecież jadł moje jedzenie i spał w moim łóżku. W całej książce miał tylko osiem czy dziewięć szkiców i one były naprawdę okropne.

Skrzywiła się i przez chwilę wyglądała jak wtedy, kiedy naśladowała kwiczenie świni.

— Nawet ja byłabym w stanie zrobić lepsze szkice! Wszedł, kiedy przeglądałam jego rysunki, i wściekł się! Powiedział, że wtykam nos w cudze sprawy! Ja mu na to, żeby nie nazywał oglądania rzeczy w moim własnym domu wtykaniem nosa w cudze sprawy. Powiedziałam, że jeżeli on był artystą, to ja byłam Madame Curie. Zaczął się śmiać. Śmiał się ze mnie. No i ja... ja...

— Zabiłaś go — rzekł Paul. Jego głos brzmiał cicho i sędziwie.

Uśmiechnęła się z zażenowaniem do ściany.

— No cóż, chyba tak... Nie pamiętam tego za dobrze. Pamiętam tylko, jak był martwy. Pamiętam to dobrze. Pamiętam, jak go wykapałam.

² Patrz: Stephen King *Lśnienie* (*The Shining*).

Patrzył na nią z prawdziwym przerażeniem. Przed jego oczyma pojawiła się nagle wizja — nagie ciało Pomeroya pływające w wannie, w łazience na parterze, niczym kawałek surowego ciasta, głowa oparta ukośnie o porcelanę. Otwarte oczy patrzące w sufit...

— Musiałam — powiedziała, a jej usta rozchyliły się nieznacznie ukazując zaciśnięte zęby. — Prawdopodobnie nie wiesz, co policja może zrobić z jedną jedyną nitką, drobiną brudu ukrytą pod paznokciami albo nawet kurzem we włosach trupa! Ty tego nie wiesz, ale ja przez całe życie pracowałam w szpitalu i wiem! Ja wiem! Wiem! Znam się na są-dow-nic-twie!

Popadła w typowy dla siebie stan szaleńczego opętania i wiedział, że powinien spróbować coś powiedzieć, żeby ją (choćby nawet na chwilę) uspokoić, ale jego usta wydawały się sparaliżowane i najzwyczajniej w świecie odmówiły mu posłuszeństwa.

— Oni wszyscy tylko czekają, żeby się do mnie dobrać! Czy myślisz, że słuchaliby, gdybym próbowała opowiedzieć im, jak to się stało? Jak sądzisz? Jak sądzisz? O, nie! Prawdopodobnie wymyśliliby jakąś szaloną teorię, że musiałam mu coś powiedzieć, a on wybuchnął śmiechem i dlatego go zabiłam! Prawdopodobnie wymyśliliby właśnie coś takiego!

I wiesz co, Annie? Wiesz co? Myślę, że to by mogło być bardzo bliskie prawdy.

— Te przebrzydłe ptaszyska wokoło byłyby w stanie powiedzieć wszystko, żeby tylko przysporzyć mi kłopotów albo splamić moje nazwisko.

Przerwała, oddychając ciężko — prawie dysząc — patrząc na niego zuchwale, tak jakby zapraszała go, żeby się odważył i powiedział coś zgoła innego. *Tylko spróbuj!*

Potem — jakby udało się jej zebrać w sobie — uspokoiła się nieco i ciągnęła spokojniejszym tonem:

— Wykąpałam... to, co z niego zostało... i uprałam jego rzeczy. Wiedziałam, co robić. Padał śnieg. Pierwsza prawdziwa śnieżycą tego roku — i powiedzieli, że do rana pokrywa śniegu będzie wynosić trzydzieści centymetrów. Włożyłam jego rzeczy do plastikowego worka, owinęłam ciało w prześcieradła, a po zmierzchu wyniosłam wszystko do tego wyschniętego koryta strumienia przy dziewiątce. Przeszłam prawie milę od miejsca, w którym rozbił się twój samochód. Szłam, dopóki nie doszłam do lasu i tam to wszystko zostawiłam. Pewno myślisz, że go ukryłam, ale nie robiłam tego. Wiedziałam, że śnieg go przykryje i pomyślałam sobie, że jak go zostawię w korycie strumienia, to podczas wiosennych roztopów ciało zostanie zniesione daleko stąd. Tak też się stało, ale nie spodziewałam się, że je zniesie aż tak daleko. No cóż. Znaleźli jego ciało cały rok po... po tym, jak umarł i dwadzieścia siedem mil stąd. Mam nadzieję, że twojego wozu nie zniesie aż

tak daleko, bo w Grider Preserve roi się od wędrowców i obserwatorów ptaków. Lasy wokoło są o wiele mniej uczęszczane.

Uśmiechnęła się.

— I tam właśnie znajduje się obecnie twój wóz, Paul — gdzieś w lasach pomiędzy drogą numer dziewięć a Grider Wildlife Preserve. Na tyle daleko, że nie widać go od strony szosy. Na Starej Bessie mam zamontowany silny reflektor, ale koryto strumienia aż do linii lasu jest kompletnie puste. Myślę, że jak wody trochę opadną, to przejdę się tam na piechotę, żeby to sprawdzić, ale przypuszczam, że twój samochód jest zupełnie bezpieczny. Jakiś myśliwy znajdzie go za dwa i pół albo siedem lat, zardzewiały, z gniazdami wiewiórek w siedzeniach, a do tego czasu ty skończysz już moją książkę i wrócisz do Nowego Jorku, Los Angeles, czy gdzie tam będziesz chciał, a ja nadal będę pędzić tu sobie ciche i spokojne życie. Może nawet będziemy ze sobą korespondować.

Uśmiechnęła się mgliście — uśmiech rozmarzonej, pogrążonej w fantazjach kobiety — a potem uśmiech zniknął i znów powróciła do przerwane go tematu.

— No więc wracałam tutaj i po drodze dużo rozmyślałam. Musiałam, bo fakt zniknięcia twojego samochodu oznaczał, że naprawdę mogłeś tu zostać i skończyć moją książkę. Nie zawsze byłam pewna, czy jesteś w stanie to zrobić, wiesz, choć nigdy ci tego nie powiedziałam, bo nie chciałam cię denerwować. Po części nie chciałam cię denerwować, bo wiedziałam, że nie mógłbyś wtedy pisać tak dobrze, jakbym tego chciała, ale to brzmi jeszcze bardziej chłodno i obojętnie, niż to czułam w rzeczywistości, mój kochany. Widzisz, zaczęłam od pokochania tylko tej części ciebie, która potrafi tworzyć tak wspaniałe historie, bo jest to jedyna część, którą miałam — o reszcie ciebie nie wiedziałam kompletnie nic i miałam wrażenie, że ta część może być naprawdę bardzo nieprzyjemna. Nie jestem głupia, wiesz o tym. Czytałam o tzw. "słynnych autorach" i wiesz, że często są oni bardzo nieprzyjemni. Jak F. Scott Fitzgerald, Ernest Hemingway i ten obrzydliwy typ z Missisipi — Faulkner — czy jak mu tam było — mogli wygrać Nagrodę Pulitzera za najlepszą książkę, skoro tak naprawdę to ci goście byli zwyczajnymi zafajdańcami, łobuzami i ochlajusami. Inni też — kiedy nie pisali wspaniałych książek, pili, chodzili na dziwki, szprycowali się narkotykami i Bóg jeden wie, co jeszcze... Ale ty nie jesteś taki, poznanie reszty Paula Sheldona nie zajęło mi wiele czasu i mam nadzieję, że nie będziesz miał mi tego za złe, kiedy powiem, że pokochałam również i tę resztę ciebie.

— Dziękuję, Annie — powiedział ze szczytu swojej błyszczącej, złotej fali i pomyślał: być może nie zrozumiałaś mnie właściwie. Widzisz, w sytuacji, w jakiej się znalazłem, raczej trudno mówić o jakichkolwiek przyjemnościach. Ciężko jest skoczyć do baru na jednego,

kiedy ma się połamane obie nogi, Annie. A co się tyczy brania narkotyków, mam swoją własną Boginię Pszczół Bourkasów, która osobiście mi je dozuje.

— Ale czy chciałbyś zostać? — podsumowała. — To było pytanie, które musiałam sobie zadać, ale równie dobrze mogłam próbować mydlić sobie oczy różnymi pokrętnymi odpowiedziami — znałam odpowiedź na to pytanie — znałam ją, zanim jeszcze zobaczyłam ślady na framudze drzwi.

Wskazała na nie palcem, a Paul pomyślał: założę się, że wiedziała o tym prawie od samego początku. Mydlenie oczu? Kto jak kto, ale nie ty, Annie. Ty nigdy. Ja, ze swej strony, robiłem to za nas dwoje.

— Pamiętasz pierwszy raz, kiedy wyjechałam? Po tym, jak mieliśmy tę głupią sprzeczkę na temat papieru?

— Tak, Annie.

— Wtedy opuściłeś pokój po raz pierwszy?

— Tak. — Nie było sensu zaprzeczać.

— Oczywiście. Chciałeś dostać swoje pigułki. Powinnam była wiedzieć, że zrobisz wszystko, aby je dostać, ale kiedy wpadam we wściekłość, to robię się... no wiesz.

Nawet się nie uśmiechnął. Wspomnienie tego bolesnego, nie kończącego się interludium z upiornym głosem sprawozdawcy sportowego, komentującego każdy jego ruch, było aż nadto silne.

Tak. Wiem, jaka się robisz — pomyślał. Robisz się nieporządna.

— Z początku nie byłam całkiem pewna. O, tak, zauważyłam, że parę figurynek na stoliku w salonie było poprzestawianych, ale pomyślałam, że mogłam to zrobić sama — są takie chwile, że kompletnie zapominam o całym świecie. Potem przyszło mi na myśl, że może wydostałeś się ze swojego pokoju, ale później powiedziałam sobie: nie, to niemożliwe. On jest tak ciężko ranny, a poza tym przecież zamknęłam drzwi. Nawet upewniłam się, czy wciąż jeszcze mam klucz w kieszeni spódnicy. Okazało się, że tak. Potem przypomniałam sobie, że zostawiłam cię w fotelu. A więc może...

Jedną z rzeczy, których się uczysz, kiedy pracujesz jako pielęgniarka, jest to, że zawsze dobrze jest sprawdzić każdą ewentualność. No i zaczęłam sprawdzać rzeczy, które trzymam w łazience na dole — są to w większości próbne serie leków, które udało mi się zebrać podczas mojej pracy w szpitalu; powinieneś zobaczyć, ile oni tam tego mają, Paul! No i od czasu do czasu brałam sobie trochę... tego i owego... ale nie byłam jedyną, która to robiła. Wiedziałam dostatecznie dużo, aby nie brać żadnych narkotyków sporządzonych na morfinie. Przechowują je w zamknięciu. Liczą je skrupulatnie. Prowadzą rejestry. I jak tylko zaczną

podejrzewać, że to, rozumiesz, pielęgniarzka im podwędza — “podwędza” tak to nazywają — obserwują ją, dopóki nie nabiorą pewności. A potem — BACH! Annie gwałtownie smagnęła pięścią w dół — wyrzucają je i większość z nich już nigdy nie może nałożyć białego czepka. Okazałam się sprytniejsza.

Patrząc na te pudła miałam takie samo wrażenie, jak spoglądając na figurki ustawione na stole. Wydawało mi się, że ktoś w nich grzebał i byłam przekonana, że jedno z pudeł, które teraz znajdowało się na spodzie, zostało przestawione, ale nie miałam pewności.

Mogłam to zrobić sama, kiedy byłam... no... kiedy byłam zaabsorbowana.

Potem, dwa dni później, kiedy już niemal o tym zapomniałam, przyszedłam wieczorem do twojego pokoju, żeby ci dać twoją wieczorną porcję lekarstwa. Wciąż jeszcze spałeś. Próbowałam przekręcić klamkę, ale przez kilka sekund w ogóle nie chciała się obrócić — miałam wrażenie, jakby drzwi były zamknięte na klucz. Potem klamka się obróciła i usłyszałam, jak coś w zamku zachrobotało. Później ty zacząłeś się budzić, więc po prostu dałam ci twoje pigułki — jak zawsze. Jak gdyby nigdy nic. Jestem w tym bardzo dobra, Paul. Potem pomogłam ci przejść na fotel, żebyś mógł pisać. A tego popołudnia, kiedy ci pomogłam to zrobić, czułam się prawie jak święty Paweł w drodze do Damaszku. Miałam oczy szeroko otwarte.

Widziałam, że wróciły ci kolory. Widziałam, jak poruszałeś nogami. Sprawiały ci ból i mogłeś nimi poruszać tylko trochę, ale jednak nimi poruszałeś. I twoje ręce znów stały się silne jak kiedyś.

Zdałam sobie sprawę, że po prostu powróciłeś do zdrowia. I właśnie wtedy uświadomiłam sobie, że mogłabym mieć z tobą masę kłopotów, nawet gdyby nikt z zewnątrz niczego nie podejrzewał. Patrzyłam na ciebie i myślałam, że być może nie tylko ja potrafię utrzymać różne rzeczy w tajemnicy. Tej nocy zamieniłam twoje lekarstwo na coś odrobinę mocniejszego i kiedy upewniłam się, że nie obudziłbyś się nawet wówczas, gdyby ktoś zdetonował ci pod łóżkiem granat, przyniosłam z piwnicy mój maleńki zestaw narzędzi i odkręciłam z drzwi pokrywę zamka. Popatrz tylko, co znalazłam w środku!

Z jednej z płaskich kieszeni swojej męskiej koszuli wyjęła coś małego i ciemnego. Włożyła mu to do jego zdrętwiałej dłoni. Przysunął ją z trudem do twarzy i przyjrzał się uważnie, jak sowa, przedmiotowi, który mu wręczyła.

Był to zgięty i wykrzywiony kawałek złamanej spinki. Paul zaczął chichotać. Nie był w stanie temu zapobiec.

— Co w tym śmiesznego, Paul?

— W dniu, kiedy pojechałaś, żeby pospłacać podatki, znów musiałem otworzyć drzwi. Fotel z trudem mieścił się w drzwiach, zostawił na framudze czarne ślady. Chciałem je zetrzeć najlepiej, jak się tylko da.

— Żeby ich nie zobaczyła.

— Tak. Ale ty i tak je widziałaś, prawda?

— Po tym jak znalazłam w zamku kawałek mojej własnej spinki? — uśmiechnęła się. — To jasne jak słońce, że wiedziałam. Nie ma mowy.

Paul skinął głową i roześmiał się jeszcze bardziej. Śmiał się tak, że aż łzy popłynęły mu z oczu. Cała jego praca... cały jego wysiłek... nerwy... wszystko na marne, wszystko na nic. Tak, to było naprawdę śmieszne. Wyborne.

Powiedział: — Martwiłem się, że ten kawałek spinki może mi wszystko zepsuć... ale tak się nie stało. Nawet nie było słyhać, jak grzechocze w zamku. Nic w tym zresztą dziwnego, prawda? Nie słyszałem, jak grzechocze, bo po prostu już jej tam nie było. Bo ją stamtąd wyjął. Wystrychnęłaś mnie na dudka, Annie. Jesteś w tym naprawdę dobra.

— Tak — powiedziała i uśmiechnęła się słabiutko. — Wystrychnęłam cię na dudka. Jestem w tym naprawdę dobra.

Poruszyła stopą. I ponownie dał się słyszeć stłumiony stuk jakiegoś drewnianego przedmiotu, dochodzący od strony nóg łóżka.

22

— Ile razy w sumie opuszczałeś pokój?

Nóż. O Chryste — nóż!

— Dwa. Nie, chwileczkę. Wyjechałem stąd wczoraj po południu jeszcze raz. Żeby napełnić dzbanek z wodą.

To była prawda. Napełnił dzbanek. Ale nie przyznał się, jaki był prawdziwy powód jego trzeciej podróży. Prawdziwy powód leżał teraz pod jego materacem. Księżniczka na ziarnku grochu. Paulie na rzeźnickim nożu. — Trzy razy, licząc wyjazd po wodę.

— Powiedz prawdę, Paul.

— Tylko trzy razy, przysięgam. I nigdy po to, żeby stąd uciec. Na litość boską, piszę tu książkę, jeżeli tego nie zauważyłaś.

— Nie wymawiaj imienia Pana Boga twego nadaremno.

— Ty przestaniesz używać mojego w ten sposób, to może i ja przestanę. Za pierwszym razem tak mnie bolało, że miałem wrażenie, jakby ktoś wsadził mnie od kolan w dół do samego piekła. I ktoś to zrobił. Ty to zrobiłaś, Annie.

— Zamknij się, Paul.

— Za drugim razem chciałem wziąć sobie coś do jedzenia i upewnić się, że są tu jakieś zapasy żywności, na wypadek gdyby miało cię nie być dłużej — ciągnął ignorując ją. — Potem zachciało mi się pić. Ot, co — żadna tajemnica.

— I jak sądzę ani razu nie sięgnąłeś po telefon ani nie rzuciłeś okiem na zamki u drzwi, bo jesteś takim dobrym chłopcem.

— Pewno, że sięgnąłem po telefon. Pewno, że rzuciłem okiem na zamki... ale nawet gdyby drzwi były otwarte na oścież, w tym bloku na zewnątrz i tak nie ujechałbym daleko.

Narkotyk nadciągał coraz to większymi falami. Chciał teraz tylko jednego — żeby się zamknęła i poszła sobie stąd czym prędzej. I tak dała mu już dostatecznie dużo powodów, że wygarnął jej całą prawdę — obawiał się jednak, że już wkrótce przyjdzie mu za to srodze zapłacić. Ale najpierw chciał się jeszcze trochę zdrzemnąć.

— Ile razy opuszczałeś ten pokój?

— Powiedziałem ci...

— ILE RAZY? — podniosła głos. — Powiedz prawdę!

— Przecież mówię! Trzy!

— Ile razy, do diabła!?

Pomimo naszpikowania prochami Paul poczuł, że zaczyna go ogarniać przerażenie.

Jeżeli nawet chce mnie za to ukarać, to nie może mi zrobić nic poważnego... Chce, żebym skończył książkę... Tak powiedziała...

— Masz mnie za idiotkę?

Zauważył, jak lśniąca była jej skóra, jakby ktoś nałożył ciasno na kamień powłokę z polimerowego plastyku. Ta twarz sprawiała wrażenie, jakby była kompletnie pozbawiona porów.

— Annie, przysięgam...

— Och, kłamcy stale przysięgają!., kłamcy uwielbiają przysięgać! No cóż, rób dalej swoje, traktuj mnie jak idiotkę, jeżeli tego chcesz. Niech ci będzie. Twoja wola. Traktuj kobietę, która nie jest idiotką, jakby nią była, a ta kobieta i tak zawsze będzie o krok przed tobą. Powiem ci coś, Paul — porozklejałam nitki i włosy z mojej własnej głowy po całym domu, a później okazało się, że wiele z nich po prostu odpadło. Odpadło albo... zniknęło...

puf! Nie tylko w mojej książce z wycinkami, ale i w tym hallu i przy szufladach mojego kredensu, na piętrze... w szopie... wszędzie.

Chciał zapytać, jak mógłby się stąd wydostać i złożyć wizytę w szopie, skoro kuchennego wyjścia strzeże tyle zamków — ale nie dała mu na to czasu i ciągnęła dalej.

— A teraz, proszę, powtórz to jeszcze raz i powiedz mi ponownie, że opuściłeś ten pokój tylko trzy razy, mój Panie Spryciarzu, a ja powiem ci, kto tu jest idiotą.

Spojrzał na nią mętym, ale przerażonym wzrokiem. Nie wiedział, jak ma jej odpowiedzieć. To było takie... paranoiczne... takie szalone...

Mój Boże — pomyślał, zapominając nagle o szopie. Na piętrze? Czy ona powiedziała na piętrze?

— Annie, jak, na miłość boską, mógłbym dostać się na piętro?

— Och, racja! — krzyknęła. — No pewno! Weszłam tu kiedyś przed paroma dniami i zauważyłam, jak sam, o własnych siłach, zdołałeś wejść na fotel! Jeżeli mogłeś to zrobić, to mogłeś również dostać się na piętro! Mogłeś się wczołgać!

— Tak. Na moich połamanych nogach i zdruzgotanym kolanie — powiedział.

Znów to czarne spojrzenie szczeliny. Nieprzenikniona ciemność pod łąką. Annie Wilkes odeszła. Była tu teraz Bogini Pszczół Bourkasów.

— Nie radzę ci zgrywać cwaniaka, Paul — wyszeptwała.

— No cóż, Annie, jedno z nas musi spróbować, a tobie to nie wychodzi najlepiej. Gdybyś tylko mogła zrozumieć, że wczoł...

— Ile razy?

— Trzy.

— Pierwszy raz po lekarstwa.

— Tak. Kapsułki novrilu.

— A drugi raz po jedzenie.

— Zgadza się.

— Trzeci raz, żeby napelnić dzbanek.

— Tak, Annie. Jestem taki skołowany...

— Napelniłeś dzbanek w łazience, na korytarzu...

— Tak...

— Raz po lekarstwa, raz po żywność i raz po wodę.

— Tak. Już ci powiedziałem! — próbował krzyknąć, ale to, co dobyło się z jego krtani, było pozbawionym siły skrzekiem.

Znowu sięgnęła do kieszeni spódnicy i wyjęła z niej rzeźnicki nóż. Jego lśniące ostrze błyszczało w jasnym świetle poranka. Nagle odwróciła się w lewo i z całych sił cisnęła nożem. Rzuciła nim z morderczą, na wpeł niedbałą precyzją i gracją cyrkowego nożownika. Wbił się, drżąc z lekka, w ścianę, poniżej obrazu przedstawiającego Łuk Triumfalny.

— Zanim dałam ci zastrzyk przedoperacyjny, sięgnęłam pod twój materac. Spodziewałam się znaleźć pigułki, nóż był dla mnie kompletnym zaskoczeniem. Mało brakowało, a bym się zacięła. Ale to nie TY go tam włożyłeś, prawda?

Nie odpowiedział. Jego umysł to unosił się w górę, to znowu opadał, jak jakiś oszalały wagonik "Fali" z lunaparku, który wyrwał się spod kontroli operatora. Zastrzyk przedoperacyjny? Czy to było to, co ona powiedziała? Przedoperacyjny? Nagle w jednej krótkiej chwili nabrał pewności, że miała zamiar wyjąć nóż ze ściany i po prostu go nim wykastrować.

— Nie. To nie ty go tam włożyłeś. Ty wyjechałeś stąd raz po lekarstwo, raz po żywność, a raz po wodę. Ten nóż musiał... no cóż... musiał sam tu przyfrunąć i sam wślizgnął się pod twój materac. Tak. Tak to musiało być! — Annie wybuchnęła szyderczym śmiechem.

Przedoperacyjny? Boże, czy ona to właśnie powiedziała?

— Niech cię diabli! — krzyknęła. — Niech cię wszyscy diabli! Ile razy?

— Dobrze, dobrze! Wziąłem nóż, kiedy pojechałem po wodę! Przyznaję się! Jeżeli uważasz, że wyjeżdżałem stąd więcej razy niż trzy, to dobrze, niech ci będzie! Jeżeli chcesz, żebym powiedział, że opuszczałem ten pokój pięć razy, to znaczy, że tak było, pięć razy. Jeżeli uważasz, że wyjeżdżałem stąd dwadzieścia, pięćdziesiąt czy sto razy, to tak właśnie było. Przyznaję się. Wyjeżdżałem stąd tyle razy, ile razy uważasz, że stąd wyjeżdżałem, Annie.

Na chwilę, w gniewie i narkotycznym zamroczeniu, zapomniał o mrocznym przerażającym pojęciu, którego użyła przed chwilą, mianowicie ZASTRZYK PRZEDOPERACYJNY. Miał jej tyle do powiedzenia, chciał jej tyle powiedzieć, choć w gruncie rzeczy wiedział, że tak szalony paranoik jak Annie odrzuciłby nawet to, co oczywiste. W powietrzu była wilgoć. Taśmy klejące nie przepadają za wilgocią.

W wielu przypadkach jej małe pułapki, rodem z powieści Ludluma, po prostu podpadały, a wiatr i deszcz dokończyły dzieła. I szczury. Z taką ilością wody w piwnicy, kiedy pani domu wyjechała, słyszał je, buszujące w ścianach. Oczywiście. Miały swoje przejścia w całym domu i przyciągała je woń śmietnika, który zostawiła po sobie Annie. To najprawdopodobniej szczury były tymi chochlikami, które poprzegryzały większość

pozostawionych przez Annie nitek. Ale ona w ogóle nie brała czegoś takiego pod uwagę. Jej zdaniem on nawet dziś mógłby wziąć udział w nowojorskim maratonie.

— Annie... Annie... Co miałaś na myśli mówiąc, że dałaś mi przedoperacyjny zastrzyk?

Ale Annie nadal myślała zupełnie o czymś innym.

— Moim zdaniem to było siedem — powiedziała łagodnie. — Przynajmniej siedem. Czy to było siedem?

— Jeżeli chcesz, aby to było siedem, to znaczy, że było siedem. Co miałaś na myśli mówiąc...

— Widzę, że zdecydowałeś się zgrywać upartego — powiedziała. — Sądzę, że tacy ludzie jak ty, aby żyć, muszą tyle kłamać, że potem już w normalnym życiu nie są w stanie wyzbyć się tego nawyku. Ale to dobrze, Paul. Bo reguła pozostaje nie zmieniona, niezależnie, czy opuściłbyś ten pokój siedem, siedemdziesiąt czy siedemdziesiąt siedem razy. Reguła się nie zmienia, podobnie jak odzew.

Odpływał — coraz bardziej odpływał w dal. Zamknął oczy, słyszał jej słowa dochodzące jakby z daleka... jak jakiś nadludzki głos dobywający się z chmury. Bogini — pomyślał.

— Czy słyszałeś kiedyś o początkach kopalni diamentów Kimberly, Paul?

— Napisałem na ten temat książkę — odparł i w sumie bez powodu roześmiał się.

(Zastrzyk przedoperacyjny? Zastrzyk przedoperacyjny?)

— Czasami pracujący tam tubylcy kradli diamenty. Owijali w liście i wkładali je sobie w odbytnice. Jeżeli udało im się wydostać z Big Hale tak, że nikt tego nie zauważył, mieli szansę uciec. A wiesz, co robili z nimi Brytyjczycy, kiedy przyłapywali takich zbiegów, zanim udało im się dotrzeć do Oranjeriver i zniknąć na znanym sobie terenie?

— Przypuszczam, że ich zabijali — powiedział z wciąż zamkniętymi oczami.

— O, nie! To byłoby tak, jak wyrzucanie drogiego samochodu na złom tylko dlatego, że zepsuła się w nim jakaś mała sprężynka: Kiedy ich przyłapywali, upewniali się, że będą mogli dalej pracować, jak również upewniali się, że już nigdy nie będą próbować ucieczki. Ta operacja była nazywana OKULAWIENIEM, Paul, i to jest właśnie to, co mam zamiar zrobić teraz z tobą. Dla mojego własnego bezpieczeństwa... i twojego również... Uwierz mi — potrzebujesz ochrony przed samym sobą. Pamiętaj, to tylko troszkę poboli i będzie po wszystkim. Próbuj dodać sobie otuchy tą myślą.

Groza przejmująca i raniąca jak podmuch wiatru miotającego ostrza brzytwy przeniknęła narkotyczną mgiełką i Paul błyskawicznie otworzył oczy. Wstała i odsunęła koc, odsłaniając jego powykrzywiane nogi i nagie stopy.

— Nie — powiedział. — Nie... Annie... o czymkolwiek w tej chwili myślisz, możemy chyba najpierw porozmawiać, prawda?... proszę...

Pochyliła się. Kiedy się wyprostowała, w jednej ręce trzymała przyniesioną z szopy siekiere, a w drugiej propanowy palnik. Ostrze siekiery błyszczało. Na boku propanowego palnika widniał napis: Bernz-O-mati-C.

Znowu się pochyliła i tym razem podniosła się z ciemną buteleczką i pudełkiem zapalek. Na ciemnej butelce była jakaś nalepka. Na nalepce napis: BETADYNA.

Nigdy nie zapomniał tych przedmiotów, tych słów, tych nazw.

— ANNIE, NIE! — krzyknął. — ANNIE, ZOSTANĘ TU! NAWET NIE BĘDĘ WYCHODZIŁ Z ŁÓŻKA! PROSZĘ! O BOŻE, PROSZĘ, NIE OKALECZAJ MNIE!

— Wszystko będzie dobrze — powiedziała, a na jego twarzy widniał ten sam wyraz, który pojawiał się na niej, kiedy się wyłączała — wyraz zdumiewającej pustki — i zanim jego umysł stanął w płomieniach bezbrzeżnej paniki, zdał sobie sprawę, że kiedy to się skończy, ona w ogóle nie będzie pamiętać tego, co zrobiła, tak jak nie pamiętała, jak zabijała dzieci, staruszków, pacjentów, których przywieziono do jej szpitala w stanie ciężkim, i Andrew Pomeroya. Była to przecież kobieta, która mimo iż dostała swój czepek w 1966 roku, zaledwie parę minut temu powiedziała mu, że pracowała jako pielęgniarka od dziesięciu lat.

Zabiła Pomeroya tą samą siekiere. Wiem, że tak właśnie było.

W dalszym ciągu krzyczał i błagał, ale jego słowa zmieniły się w nieartykułowany bełkot. Próbował się odwrócić, próbował się od niej odsunąć, a jego nogi krzyczały przeraźliwie. Próbował podciągnąć je wyżej, sprawić, by były mniej wyraźnym celem, aby były mniej odsłonięte, a jego kolana wrzeszczały upiornie.

— Jeszcze minutkę, Paul — powiedziała i odkorkowała buteleczkę betadyny. Wylała trochę brązowoczerwonego paskudztwa na jego lewą kostkę. — Jeszcze minutkę i będzie po wszystkim.

Przekręciła siekiere na płask. Na jej silnym prawym nadgarstku pojawiły się grube ścięgna — zauważył błysk pierścienia z ametystem, który nadal nosiła na czwartym palcu tej ręki. Wylała trochę betadyny na ostrze. Czuł woń, jaka zwykle dominuje w szpitalnych pomieszczeniach. Ta woń oznacza zwykle, że zaraz dostaniesz zastrzyk.

— To będzie bolało tylko trochę, Paul. Nie będzie tak źle.

Odwróciła siekierę i połała betadyną drugą stronę ostrza. Zauważył na tej stronie rozkwitające kwiaty rdzy, zanim zdążył je zakryć brunatny obrzydliwy płyn.

— ANNIE, ANNIE, OCH, ANNIE, PROSZĘ, PROSZĘ, NIE, PROSZĘ, NIE RÓB TEGO, ANNIE, PRZYSIĘGAM, BĘDĘ DOBRY, PRZYSIĘGAM, NA BOGA, BĘDĘ DOBRY, PROSZĘ, DAJ MI SZANSE, BY BYĆ DOBRYM, OCH, ANNIE, PROSZĘ, POZWÓL MI BYĆ DOBRYM...

— To będzie bolało tylko trochę. Potem najgorsze będziemy już mieli za sobą i to na dobre, Paul.

Wyrzuciła otwartą butelkę betadyny przez ramię, a jej oblicze było puste i pozbawione wyrazu jak wyciosane z kamienia; przesunęła prawą dłoń w dół styliska siekiery, prawie aż do samego obucha. Lewą ręką uchwyciła stylisko nieco bardziej u dołu i rozstawiła szeroko nogi niczym drwal.

— ANNIE, OCH, PROSZĘ, PROSZĘ, NIE RÓB MI NIC ZŁEGO!

Jej oczy były jakby zamglone i nieobecne.

— Nie martw się — powiedziała. — Jestem wykwalifikowaną pielęgniarką.

Siekiera opadła ze świstem i jej ostrze zagłębiło się w lewej nodze Paula Sheldona, tuż nad kostką. Potworny ból przeszył jego ciało niczym ognisty piorun. Dotarł do każdego zakamarka jego ciała. Ciemnoczerwona krew zbryzgała jej twarz jak indiańskie barwy wojenne. Zachlapała ścianę. Słyszał, jak ostrze zgrzytnęło na kości, kiedy wyciągała siekierę z rany. Spojrzał z niedowierzaniem w dół, na samego siebie. Prześcieradło nabiegło czerwienią. Zobaczył palce swoich stóp poruszające się nerwowo. Potem zobaczył JĄ unoszącą ponownie w górę ociekającą szkarłatem siekierę. Spinki wypadły jej z włosów, kręcone kosmyki opadały jej na czoło, przesłaniały pozbawioną wyrazu, tępą twarz.

Próbował się cofnąć pomimo bólu w nodze i kolanie i zdał sobie sprawę, że jego noga poruszała się, ale stopa nie. Jedyne, co dzięki temu osiągnął, było poszerzenie rany zadanej siekierą, która zaczęła się otwierać niczym upiorne usta. Miał dostatecznie dużo czasu, aby zrozumieć, że jego stopa i reszta nogi były połączone razem już tylko dzięki mięsu jego łydki, zanim ostrze siekiery nie opadło ponownie, mierząc prosto w otwartą ranę, rozcinając jego nogę do końca i pogrążając się głęboko w materacu łóżka. Rozległ się przenikliwy jęk sprężyn.

Annie jednym szarpnięciem uwolniła siekierę i odrzuciła ją w kąt. Przez chwilę patrzyła obojętnie na bryzgający krwią kikut, a potem wzięła do ręki pudełko zapalek. Zapaliła jedną. Potem podniosła propanowy palnik z napisem "Bernz-O-mati-C" na ścianie i przekreśliła znajdujący się z boku zawór. Palnik zasyczał. Krew lała się z miejsca, w którym

teraz miała kończyć się jego noga. Annie podstawiła zapalną pod wylot palnika. Rozległo się ciche — puf — pojawił się długi, żółty płomynek. Annie przekręciła zawór i żółty płomynek zmienił się w gruby błękitny strumień ognia.

— Nie mogę tego zeszyć — powiedziała. — Nie ma na to czasu. Założenie opaski uciskowej też nie wchodzi w rachubę. Nie ma centralnego punktu nacisku. Muszę...

(splukać)

to przypalić.

Pochyliła się. Paul krzyczał, kiedy ogień omiół żywy i krwawiący kikut. Dym uniósł się w powietrze. To była słodka woń. On i jego żona spędzili miesiąc miodowy na Maui. Trafili na Luau. Ta woń przypominała mu woń świni, kiedy wyciągnięto ją z dołu, w którym przyrządzano ją przez cały dzień. Świnia była nadziana na kiju, obwisła, czarna, rozpadająca się na kawałki.

Ból był krzykiem. To on krzyczał.

— Prawie po wszystkim — powiedziała i zakręciła zawór, bo właśnie przed chwilą zapaliło się prześcieradło wokół jego kikuta — kikuta, który już nie krwawił i który był tak czarny jak skóra świni, kiedy wyjęto ją z dołu Luau — Eileen odwróciła się, ale Paul przyglądał się z fascynacją, jak obdzierano świnie ze skóry. Skóra była spękana i zdzierano ją niemal z taką łatwością, z jaką mógłbyś ściągnąć sweter po zakończeniu meczu piłki nożnej.

— Prawie po wszystkim...

Zgasiła palnik. Jego noga leżała na linii płomieni. Za nią zaś spoczywała jego wciąż jeszcze drgająca odrąbana stopa. Pochyliła się i kiedy się podniosła, trzymała w dłoni jego starego dobrego przyjaciela — żółte wiadro. Z jego nieocenioną pomocą bez trudu poradziła sobie z płomieniem.

Krzyczał. Krzyczał. Ból! Bogini! Ból! O Afryko!

Stała, patrząc na niego i na pociemniałe, zbryzgane krwią prześcieradło z mglistą konsternacją — jej twarz była twarzą kobiety, która słyszy podawany przez radio komunikat, że podczas trzęsienia ziemi w Turcji czy w Pakistanie zginęło dziesięć tysięcy osób.

— Nic ci nie będzie, Paul — powiedziała, ale w jej głosie zupełnie nieoczekiwanie dało się wyczuć przerażenie. Rozglądała się trwożliwie wokoło, jak wtedy, kiedy wydawało się jej, że może stracić kontrolę nad palącymi się w piecyku stronami jego książki. Nagle jej wzrok zatrzymał się na czymś. Miał wrażenie, że odetchnęła z ulgą. — Tylko wyrzucę śmieci.

Podniosła jego stopę. Jej palce wciąż jeszcze poruszały się spazmatycznie. Przeniosła ją przez pokój. Zanim dotarła do drzwi, znieruchomiały. Widział bliźnę na podbiciu i

przypomniał sobie, w jaki sposób się jej nabawił — będąc jeszcze dzieckiem stanął przez przypadek na kawałku rozbitej butelki. Czy to się zdarzyło na Revere Beach? Tak. Wydawało mu się, że tak. Przypomniał sobie, jak płakał, a ojciec powiedział, że to przecież tylko niewielkie skaleczenie. Ojciec powiedział, żeby przestał się zachowywać jak ktoś, komu urżnięto jego cholerną stopę.

Annie zatrzymała się przy drzwiach i raz jeszcze spojrzała na Paula, który krzyczał i wił się na poprzypalonym i zakrwawionym łóżku — jego twarz była trupio blada.

— Teraz jesteś okaleczony — powiedziała. — I nie wiń mnie za to. To wyłącznie twoja wina.

Wyszła..

A Paul stracił przytomność.

23

Chmura wróciła. Paul zanurkował w jej stronę i nie obchodziło go bynajmniej, że tym razem chmura może wcale nie oznaczać utraty przytomności, tylko śmierć. Prawdę mówiąc, miał nadzieję, że umrze. Tylko... proszę, żeby to nie było bolesne. Bez wspomnień, bez bólu, bez Annie Wilkes.

Zanurkował w stronę chmury, wpłynął w nią, jak przez mgłę słysząc echo własnego krzyku i czując w nozdrzach zapach swego własnego przypalonego ciała.

Kiedy jego myśli gaśły, postanowił jeszcze: Bogini! Zabiję cię! Bogini! Zabiję cię! Bogini!

Potem nie było już nic — prócz nicości.

Część trzecia

PAUL

Jest niedobrze. Próbowałem spać przez ostatnie pół godziny i nie magłem. Pisanie tu działa jak jakiś narkotyk. To jedyne, czego oczekuję. Tego popołudnia czytałem to, co napisałem... I to wydawało mi się żywe. Wiem, że wydaje się żywe, bo moja wyobraźnia uzupełnia to drobiazgami, których inna osoba nie byłaby w stanie zrozumieć. Chciałem powiedzieć, że to próżność. Ale to wygląda również jak jakieś czary... A ja po prostu nie mogę żyć w tej teraźniejszości. Oszalałbym, gdybym w niej żył.

John Fowles
“Kolekcjoner”

1

ROZDZIAŁ 32

— O Jezu! — Jęknął Iain i zrobił nerwowy ruch przód. Geoffrey schwycił przyjaciela za ramię. Jednostajny rytm bębnow pulsował w jego głowie jak coś, co słyszy się w stanie jakiegoś morderczego delirium. Pszczoły latały wokół ich, ale żadna nie zainteresowała się nimi a dobre — po prostu przelatywały wokół ich zmierzając w stronę pola jakby — pomyślał Geoffrey — były jakimiś małymi kimsami i coś je am

2

Paul podniósł maszynę i potrząsnął nią. Po chwili mały kawałek stali wypadł z niej prosto na deskę spoczywającą na oparciach fotela. Podniósł go i przyjrzał mu się z uwagą. To była litera "t". Maszyna po prostu wyrzuciła z siebie literę "t".

Pomyślał. Muszę złożyć skargę do zarządcy. Nie tylko poproszę, ale po prostu zażądam nowej maszyny. Ona ma pieniądze — wiem, że je ma. Może trzyma je w słoikach zakopanych pod stodołą albo upycha je w ścianach swojego Miejsca Śmiechu, ale ona ma forszę. A "t", mój Boże, to druga w kolejności, najważniejsza litera w języku angielskim!

Oczywiście nie poprosi o nic Annie — ani tym bardziej niczego nie zażąda. Kiedyś był taki człowiek, który mógłby chociaż poprosić. Człowiek, który cierpiał potworne katusze, człowiek, który nie miał żadnego punktu zaczepienia — nawet tej cholernej książki. Ten człowiek byłby w stanie poprosić. Cierpiąc czy nie, ten facet miał w sobie dostatecznie dużo odwagi, żeby przynajmniej spróbować stawić czoło Annie Wilkes. On był tym człowiekiem i przypuszczał, że powinien się wstydić — ale tamten człowiek miał nad tym podwójną przewagę — TAMTEN miał dwie stopy... i oba kciuki.

Paul siedział przez chwilę w zamyśleniu, przeczytał ostatnią linijkę (w myślach uzupełnił braki), a potem na nowo zabrał się do dzieła.

Tak jest lepiej.

Lepiej o nic nie prosić.
Lepiej nie prowokować.
Za jego oknem brzęczały pszczoły.
Był pierwszy dzień lata.
przyciągało.

3

przyciągało.

– Puść mnie – warknął Ian i zamierzył się na Geoffreya, a jego prawa dłoń zacisnęła się w pięść. Na bladej twarzy oczy zabiegły mu wściekłością – najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, kto powstrzymywał go przed dołączeniem do ukochanej. Geoffrey zrozumiał, że to, co zobaczyli, kiedy Hezekiah odsunął nieco zasłonę krzewów, nieomal doprowadziło Iana do obłędu. Znajdował się na krawędzi i wystarczyłby jeden jedyny drobny impuls, aby runął w otchłań, szaleństwa. Gdyby tak się stało, pociągnąłby za sobą Misery.

– Ian.

– Pozwól mi tam iść, mówię! – Ian szarpnął się do tyłu z szaleńczą wściekłością, a Hezekiah jęknął trwożliwie:

– Nie, szefie, rozwścieczy pan pszczoły i użądla panią.

Ian zdawał się tego nie słyszeć. Z dzikim, mętnym spojrzeniem wyrwał się Geoffreyowi, uderzając starego przyjaciela mocno w kość policzkową. Czarne gwiazdy niczym komety przemknęły pod czaszką Geoffreya.

Pomimo to zobaczył, jak Hezekiah zaczyna wymachiwać swoim potencjalnie morderczym Gosha – woreczkiem wypełnionym

piaskiem, ulubioną bronią Bourkasów, stosowaną zwykle w walce na krótki dystans – i zdążył jeszcze wyszeptać:

– Nie! Ja się tym zajmę!

Hezekiah z wahaniem pozwolił, by Gosha opadł bezwładnie i kołysał się na końcu skórzanego rzemienia niczym zatrzymujące się wahadło.

W tej samej chwili głowa Geoffreya odskoczyła do tyłu pod wpływem bolesnego uderzenia. Tym razem pod wpływem ciosu rozciął sobie wargę i poczuł, jak do ust zaczęła mu się saczyć ciepła krew, czuł jej słodkavo-słony smak. Rozległ się trzask, kiedy koszula Iana – wyblakła od słońca i porozrywana w wielu miejscach – zaczęła się drzeć Geoffreyowi w palcach. Jeszcze chwila i Ian będzie wolny. Geoffrey z pewnym zdziwieniem zdał sobie sprawę, że była to ta sama koszula, którą Ian miał na sobie podczas uroczystej kolacji u barona i baronowej, trzy wieczory temu... tak, nie ulegało wątpliwości. Od tej pory ani Ian, ani żaden z ich nie miał możliwości się przebrać. Trzy wieczory temu... Ale koszula wyglądała tak, jakby Ian nosił ją co najmniej od trzech lat, a Geoffrey miał wrażenie, że od czasu przyjęcia minęło już dobre trzysta lat.

Tylko trzy wieczory temu – pomyślał znowu z głupawym zdziwieniem i w tej samej chwili Ian zasypał jego twarz gradem ciosów.

– Pozwól mi tam pójść, do cholery – Ian uderzał okrwawioną pięścią raz po raz w twarz Geoffreya – swego przyjaciela, za którego w normalnych okolicznościach i w stanie pełnej świadomości oddałby życie.

– Chcesz udowodnić, że ją kochasz zabijając ją? – spytał cicho Geoffrey. – Jeżeli tak, to proszę bardzo, stary, pobij mnie do nieprzytomności!

Pięść Iana zawahała się. Zdawać by się mogło, że obłąkańcze, przerażone spojrzenie odzyskuje odrobinę dawnego blasku. Uspokoił się trochę.

– Muszę do niej pójść – wymamrotał jak człowiek we śnie. – Przepraszam, że cię uderzyłem, Geoffrey, naprawdę, bardzo mi przykro, stary – jestem pewien, że mnie rozumiesz – ale ja muszę... widzisz, ja...

Spojrzał raz jeszcze, jakby chciał się upewnić, że okropieństwo, które zobaczył, nie było wytworem wyobraźni i ponownie szarpnął się, jak gdyby miał zamiar wybiec na polanę, gdzie stała Misery – przywiązana do drzewa, z rękoma uniesionymi wysoko nad głową. Na jej nadgarstkach lśniły – przytwierdzając jej dłonie do najniższej gałęzi eukaliptusa, jedyne drzewa rosnące na tej polanie – zabrane przez Bourkasów baronowi Hendzigowi /zanim wysłano go na pewną i okrutną śmierć do jaskini w skale, do której wchodziło się przez otwór ust kamiennej bogini/ stalowe kajdanki barona.

Tym razem to Hezekiah schwycił Iana, ale Geoffrey zdążył jeszcze raz spojrzeć pomiędzy rozchylonymi gałęziami i omieść wzrokiem całą polanę – na krótką chwilę zaparło mu dech w piersiach – czuł się jak człowiek, który musi wnieść na strome wzgórze ładunek przeterminowanych i wyjątkowo czułych materiałów wybuchowych, a jego koszula zaczepia się nagle o kolczaste krzewy.

Jedno uządlenie, pomyślał. Tylko jedno i po niej.

- Nie szefie, nie może pan - rzekł Hezekiah z przerażającym spokojem w głosie. - Jest tak, jak powiedział ten facet... Jeżeli pan tam wyjdzie, te pszczoły obudzą się ze snu. A jeśli te pszczoły się obudzą, to dla niej nie będzie żadnej łóżnicy, czy użądła ją łaz, czy tysiąc łazy. Jak te pszczoły się obudzą, my wszyscy umrzemy, ale ona umrze piełwsza, a jej śmieć będzie najbałdziej okłutna.

Ian powoli zaczynał się uspokajać. Będąc pomiędzy dwoma mężczyznami, czarnym i białym, z potworną niechęcią odwrócił głowę w stronę polany, jakby nie chciał na nią patrzeć, a mimo to nie był w stanie przezwyciężyć pokusy.

- No to co teraz mamy robić? Co możemy zrobić dla mojej biednej ukochanej?

- Nie wiem - spłynęło Geoffreyowi na usta i choć sam był pogrążony w przygnębiającym smutku, zdołał mimo wszystko powstrzymać się przed wypowiedzeniem ich na głos. Nie po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że zawładnięcie przez Iana kobietą, którą Geoffrey kochał równie mocno /jak skrycie/, obudziło w Ianie uczucie dziwnego egoizmu i niemal kobiecej hysterii, na którą sam Geoffrey nie mógł sobie wszakże pozwolić. Przecież dla reszty świata był tylko przyjacielem Misery. Tak, tylko jej przyjacielem, pomyślał z na wpół histeryczną ironią, a potem przesunął wzrok na polanę. Na jego przyjaciółkę. Misery nie miała na sobie odzienia, ale Geoffrey uznał, że w takiej chwili nawet najgorsza dewotka nie poczułaby się zgorszona i nie oskarżyłaby jej o nieprzyzwoitość. Hipotetyczna stara dewotka mogłaby, to fakt, uciec z krzykiem na widok Misery, ale jej krzyk byłby raczej wynikiem strachu i

obrzydzenia aniżeli obrazy moralności. Misery nie miała na sobie odzienia, ale wcale nie była naga. Jej strojem były pszczoły. Od stóp do głów, całe ciało miała pokryte pszczołami. Wyglądała tak, jakby miała na sobie jakiś dziwny habit – dziwny, bo habit ten poruszał się i falował pośród krągłości jej piersi i bioder, choć dzień był kompletnie bezwietrzny. Ponadto cała jej twarz wydawała się spowita jakimś typowo wschodnim kwiatem – tylko jej niebieskie oczy wyglądały spoza maski pszczoł, które leniwie wędrowały po całym jej obliczu, przesłaniając usta, nos, brodę i czoło. Jeszcze więcej pszczoł, wielkich brązowych pszczoł afrykańskich – tych najbardziej morderczych i najsłynniejszych pszczoł świata – obsiadło stalowe obręcze kajdanek barona, pospacerowało po nich przez chwilę, a potem przyłączyło się do żywych rękawic na dłoniach Misery. Kiedy Geoffrey przyglądał się tej scenie, wielkie roje pszczoł przemknęły w stronę polany. Zlatywały się ze wszystkich stron, ale nawet teraz, w momencie chwilowego roztrzęsienia, zdawał sobie sprawę, że najwięcej nadciągało z zachodu, gdzie majaczyło wielkie, kamienne oblicze bogini. Bębny przez cały czas wybijały równy rytm – równie odurzający jak monotonne, sennie brzęczenie pszczoł. Ale Geoffrey wiedział, że senna pszczoł była rzeczą wyjątkowo złudną, wiedział, co się stało z baronową, i dziękował Bogu, że oszczędził Ianowi tego okropnego widoku... i odgłosu tego sennego brzęczenia, który w jednej chwili zmienił się we wściekły ryk puszczonej w ruch piły łańcuchowej. Odgłosu, który najpierw stłumił, a potem zagłuszył przerażające okrzyki umierającej kobiety. Była próżną, głupią, a jednocześnie niebezpieczną istotą – mało brakowało, a

zabiłaby ich, kiedy wypuściła z klatki niebezpiecznego, jadowitego afrykańskiego węża – ale głupia czy nie, niebezpieczna czy nie, nikt, obojętnie, mężczyzna czy kobieta, nie zasłużył na taką śmierć.

W głębi duszy raz po raz przypominał sobie pytanie Iana:

– I co teraz mamy robić? Co możemy zrobić dla naszej
biednej ukochanej?

Hezekiah rzekł:

– Nic nie możemy zrobić, szefie, ale jej nic nie głozi, dopóki biją bębny, te pszczoły będą spać i pani też będzie spać.

Teraz pszczoły pokryły całe jej ciało grubym, drgającym kokonem. Jej oczy, otwarte, ale nie widzące, wydawały się uskokami w żywej jaskini stale wędrujących, przepychających się między sobą, brzęczących pszczół.

– A jeśli bębny umilkną? – spytał Geoffrey cichym, prawie pozbawionym siły głosem, i w tej samej chwili odgłos bębnów ucichł.

Prz z chwil wszyscy rz j

4

Paul patrzył z niedowierzaniem na ostatnią linijkę, a potem podniósł royala — podnosił go niczym sztangę, kiedy tylko wychodziła z pokoju, Bóg wie dlaczego — i znów nią potrząsnął — klawisze zagrzechotały, a potem na deskę, która służyła mu za stół, wypadł kolejny kawałek metalu. Na zewnątrz słyszał ryk błękitno-białej maszyny do koszenia trawnika — przycinała starannie trawnik przed domem, żeby ci “zafajdani Roydmanowie” nie mieli o czym gadać w mieście. Odstawił maszynę, po czym podniósł do góry kawałek metalu, aby zobaczyć, jaką nową niespodziankę wyszykował mu stary royal. To było prawdziwe

zaskoczenie. Patrzył na to w promieniach popołudniowego słońca padających ukośnie przez okno. Jego wyraz niedowierzania pozostał nie zmieniony.

Na trzymanej w dłoni przybrudzonej nieco tuszem główce metalowej dźwigienki widniało

E

e

Jakby na dodatek, żeby było weselej, stary royal wyrzucił teraz najczęściej używaną literę w języku angielskim. Paul spojrzął na kalendarz. Obrazek ukazywał ukwieconą łąkę — miesiąc miał być ponoć majem, ale Paul zapisywał dni na jednej ze swoich kartek brudnopisu i zgodnie z jego domowej roboty kalendarzem był już 21 czerwca.

Niechaj te leniwe upalne szalone letnie dni trwają wiecznie — pomyślał z goryczą i rzucił czcionkę od maszyny mniej więcej w stronę kosza na śmieci.

No dobrze, i co ja mam teraz robić? — pomyślał, ale oczywiście wiedział, co go czeka. Pisanie odręczne. Oto, co go czekało. Ale jeszcze nie teraz. Choć jeszcze przed chwilą nie mógł się doczekać, żeby opisać scenę, w której Ian, Geoffrey i przezabawny Hezekiah wpadną w pułapkę Bourkasów, tak żeby całe towarzystwo zostało przetransportowane do jaskiń za obliczem kamiennego posągu, gdzie rozegra się dramatyczny finał opowieści, poczuł się nagle zmęczony. Dziura w papierze zamknęła się z potwornym hukiem.

Jutro.

Jutro zaczniesz pisać odręcznie.

Pieprzony rękopis. Poskarż się swojemu zarządcy, Paul.

Ale wiedział, że tego nie zrobi. Annie za bardzo zdziwaczała. Nasłuchiwał monotonnego ryku maszyny do strzyżenia trawników, zobaczył jej cień i podczas gdy myślał o tym, jak bardzo Annie zdziwaczała — jego umysł przypominał mu wizję unoszącej się, a potem opadającej siekiery, wizję jej bezdusznej, pozbawionej wyrazu twarzy, zbryzganej krwią. To było tak wyraźne, każde słowo, które wypowiedziała, każde słowo, które wykrzykiwała, zgrzyt siekiery, kiedy wyrywała ją z przełupanej kości, krew na ścianie. Wszystko było kryształowo wyraziste.

Próbował w takich chwilach wymazać z pamięci te wspomnienia — zablokować je w jakiś sposób, ale za każdym razem okazywało się, że zabierał się do tego zbyt późno. Ze względu na przebieg jednej z ostatnich scen *Szybkich samochodów* — brawurową ucieczkę Tony'ego Bonasaro zakończoną wypadkiem, z którego młody złodziejczek ledwo co wyszedł z życiem (epilog powieści rozgrywał się w pokoju szpitalnym Tony'ego, gdzie bohater był przesłuchiwany przez partnera nieżyjącego porucznika Graya), Paul rozmawiał z wieloma

ofiarami wypadków samochodowych. Słyszał stale to samo, za każdym razem. Słowa były różne, ale sens taki sam: Pamiętam, jak wsiałem do samochodu, a obudziłem się już tutaj. Cała reszta — to ciemność. Nic więcej nie pamiętam.

Dlaczego więc coś takiego nie przytrafiło się jemu?

Bo pisarze pamiętają wszystko, Paul. Zwłaszcza bolesne przeżycia. Rozbierz pisarza do naga, wskaż palcem na jego blizny, a on zaserwuje ci opowiadanie o najdrobniejszej z tych blizn. O tych większych napisze sporych rozmiarów powieść. Nie wymiga się amnezją. Dobrze jest mieć odrobinę talentu, jeżeli chcesz być pisarzem, ale tak naprawdę to tym, czego potrzebujesz, jest zdolność przypominania sobie okoliczności, w jakich nabawiłeś się każdej z tych blizn.

“Sztuka polega na trwałości wspomnień”. Kto to powiedział? Thomas Szasz? William Faulkner? Cyndi Lauper? Wspomnienie tego ostatniego nazwiska obudziło w nim jego własne skojarzenia — bolesne i nieprzyjemne w obecnych okolicznościach — wspomnienie Cyndi Lauper śpiewającej radośnie “Girls Just Want to have Fun” — było tak wyraźne, że niemal słyszał słowa:

Kochany tato, z tobą nie jest źle
Ale dziewczyny chcą zabawić się
Kiedy dzień pracy wreszcie skończy się
Dziewczyny chcą, dziewczyny chcą zabawić się.

Nagle zapragnął posłuchać jakiegoś dobrego rockandrollowego kawałka. To pragnienie było silniejsze niż jakiegokolwiek do tej pory pragnienie zapalenia papierosa. To niekoniecznie musiała być Cyndi Lauper. To mógł być ktokolwiek. Jezu Chryste, to mógłby być nawet Ted Nugent.

Wizja opadającej siekiery.

Świst siekiery.

Nie myśl o tym.

Ale to było głupie. Mówił sobie, że nie powinien o tym myśleć, choć wiedział, że ta wizja przez cały czas tkwiła w jego podświadomości jak kość w gardle. Czy pozwoli, żeby tam utkwiała na zawsze, czy okaże się mężczyzną i w końcu ją wyrzyga?

Wtedy pojawiło się inne wspomnienie — wyglądało na to, że był to Dzień Wspomnień Paula Sheldona. Tym razem przypomniał sobie Olivera Reeda w roli szalonego, ale wyjątkowo przekonującego naukowca w filmie Davida Cronnenberga “Potomstwo”,

namawiającego swoje pacjentki w Instytucie Psychoplazmatyki (zdaniem Paula była to naprawdę zabawna nazwa), aby “przeszły przez to”!

“Przeszły przez to do końca!”

No cóż... może to wcale nie była taka głupia rada?

Przeszedłem przez to raz. To wystarczy.

Gówno — oto czym to było. Gdyby jednorazowe przejście przez to miało mu wystarczyć, gdyby miał mieć dość już po jednym razie, skończyłby sprzedając odkurzacze — jak jego ojciec.

No to w takim razie przejdź przez to. Przejdź przez to do końca, Paul. Zaczynij z Misery.

Nie.

Tak.

Pieprzę cię.

Paul oparł się na fotelu, przykrył oczy ręką i chcąc nie chcąc, przeszedł przez to.

Bez wahania.

Aż do samego końca.

5

Nie umarł, nie usnął, ale w chwilę po tym, jak Annie go okulała, ból odszedł. Odplynął, oderwał się od ciała jak balon czystej myśli unoszący się na cienkiej nici.

O, cholera — dlaczego on się tym w ogóle przejmował? Zrobiła to, przez cały czas pomiędzy wtedy i teraz były tylko ból, nuda i praca nad tą głupawą, melodramatyczną książką, której podjął się, aby umknąć tym dwóm pierwszym czynnikom. Cała rzecz była bez znaczenia.

O, tak, ale już nie jest — to temat dla ciebie, Paul. To nić, która omotywa wszystko. Ta nić, która jest tak autentyczna. Czy tego nie dostrzegasz?

Misery. Oczywiście. To była nić, która omotywała wszystko, ale niezależnie, czy ta nić była autentyczna, czy nie, była przy tym cholernie głupia. I słowo to oznaczało przede wszystkim ból (zazwyczaj rozwlekły i tępy). Naprawdę oznaczało ono jednak postać i powieść (co się tyczy tej ostatniej — wyjątkowo rozwlekłą i banalną, która jednak, jakkolwiek by było, wkrótce zostanie ukończona). Spędził w towarzystwie Misery ostatnie

cztery miesiące (być może nawet pięć) swojego życia, tak — Misery była przy nim przez cały czas, dzień w dzień, ale z całą pewnością to było zbyt jasne — z całą pewnością...

O, nie, Paul. W Misery nic nie jest jasne. Z wyjątkiem tego, że zawdzięczasz jej życie... bo w sumie zmieniłeś się w Szeherazadę, prawda?

Ponownie próbował odegnać od siebie te myśli, ale nie mógł.

Trwałość wspomnień i cała ta reszta.

Pismacy chcą się zabawić. Potem przyszedł mu do głowy nieoczekiwany pomysł — całkiem nowy, który sprowadził jego myśli na zupełnie nowe tory.

To, co przeoczyłeś, bo jest tak jasne i oczywiste, to to, że byłeś — jesteś — Szeherazadą również dla samego siebie.

Zamrugał, opuścił rękę i patrzył otepiałym wzrokiem na letni krajobraz, którego nie spodziewał się w gruncie rzeczy zobaczyć. Cień Annie przesunął się przed nim i ponownie zniknął.

Czy to prawda?

Grać Szeherazadę dla samego siebie? — pomyślał ponownie. Jeżeli tak, to miał przed sobą największy idiotyzm, z jakim kiedykolwiek przyszło mu się zetknąć. Zawdzięczał życie faktowi, że chciał skończyć tę totalną bzdurę, do której napisania zmusiła go Annie. Powinien był umrzeć... ale nie mógł. Nie mógł umrzeć, dopóki nie dowie się, jak to się wszystko skończyło.

Och, ty kretynie, chyba już do reszty ci odbiło. Naprawdę? Jesteś tego pewny?

Nie. Nie był już tego pewny. Teraz już nie był pewny niczego. Z jednym wyjątkiem. Całe jego życie obracało się wokół Misery i było od niej uzależnione. Był uzależniony od Misery.

Pozwolił swojemu umysłowi odpłynąć.

Chmura — pomyślał. Na początek chmura.

6

Tym razem chmura była ciemniejsza, gęstsza i w jakiś sposób łagodniejsza. Nie odczuwał uczucia unoszenia się, tylko zjeżdżania. Czasami pojawiały się jakieś myśli, czasem pojawiał się ból, a czasami słabo słyszał głos Annie, brzmiący jak tego dnia, kiedy spalił

manuskrypt w piecyku do barbecue, co nieomal wymknęło się jej spod kontroli: "Wypij to, Paul... musisz!"

Zjeżdżać?

Nie.

To nie było właściwe słowo. Właściwe słowo to "tonąć". Przypomniał sobie pewien telefon, kiedyś o trzeciej nad ranem, kiedy był jeszcze w college'u. Zaspany cenzor bursy z czwartego piętra zabębnił pięściami w drzwi jego pokoju mówiąc mu, żeby przyszedł i odebrał ten cholerny telefon. Jego matka. "Wracaj do domu najszybciej, jak możesz, Paulie. Twój ojciec miał atak serca. Stan jest ciężki. On tonie". Przyjechał tak szybko, jak mógł, zmuszając swojego starego forda, żeby pruć siedemdziesiątką, choć samochód ten nie powinien był wyciągnąć więcej niż pięćdziesiąt, ale wszystkie jego wysiłki i tak spęłzły na niczym. Kiedy dotarł na miejsce, jego ojciec już nie tonął. UTONAŁ.

Jak bliski utonięcia był on sam tej nocy, kiedy odrąbała mu nogę siekierą? Nie wiedział, ale fakt, że przez cały tydzień po amputacji w ogóle nie odczuwał bólu, pozwalał mu przypuszczać, że był bardzo bliski śmierci. Tak sądził. Poza tym pamiętał jej głos. Głos przepełniony przerażeniem. To mówiło samo za siebie. Popadł w stan półśpiączki — prawie nie oddychał, znów powróciły kłopoty z pracą płuc — uboczne efekty branych przez niego medykamentów, ponownie podłączyła go pod kroplówkę. Ze stanu tego wyrwał go odgłos bębnow i brzęczenie pszczół.

Bębny Bourkasów.

Pszczoły Bourkasów.

Sny o Bourkasach.

Z kolorów zaczęły się wyłaniać poszczególne kształty. Przed jego oczyma pojawił się ni stąd, ni zowąd obraz krainy i plemienia, które nigdy dotąd nie wyszły poza ramy kart papieru, na których je opisywał.

Sen o bogini, twarz bogini, czerń skały górująca ponad zielenią dżungli — pieniaą się i erodująca.

Czarna bogini, czarny kontynent, kamienna głowa pełna pszczół. Obraz ten został zastąpiony innym, który w miarę upływu czasu (miał wrażenie, jakby na chmurę, w której się znajdował, puszczono jakiś wielki slajd) stawał się coraz to wyraźniejszy. Obraz ten przedstawiał polanę, na której stało jedno jedyne stare drzewo. Eukaliptus. Z najniższej gałęzi drzewa zwisała para staromodnych, stalowych kajdanek. Pełzały po nich pszczoły. Kajdanki były puste. Były puste, ponieważ Misery...

...Uciekła? Czy ona uciekła? Czy to nie tak miał się przedstawiać dalszy ciąg powieści?

Być może, ale teraz nie był już tego taki pewny. Czy to właśnie to miały oznaczać te puste kajdanki? A może ona została porwana? Odprowadzona? Zabrana do wnętrza posągu? Zaprowadzona do królowej pszczół — Wielkiej Bogini Bourkasów?

Byłeś Szeherazadą także dla samego siebie. Komu opowiadasz tę historię, Paul? Komu ją opowiadasz? Annie?

Oczywiście, że nie. Nie patrzył przez tę dziurę w papierze, żeby zobaczyć Annie albo prosić Annie... patrzył przez nią, by oderwać się od Annie.

Ból obudził się. Swędzenie również. Chmura zaczęła jaśnieć i rozpadać się. Zaczął dostrzegać, co było złe, i zobaczył Annie, co było jeszcze gorsze. Mimo to wciąż tliła się w nim chęć życia. Jakaś część niego samego, która też tak jak i Annie lubiła stare kinowe seriale, uznała, że nie może umrzeć, dopóki nie dowie się, jak to się wszystko skończy.

Czy ona uciekła przy pomocy Iana i Geoffreya? A może została odprowadzona do wnętrza głowy bogini? To było śmieszne, ale te głupawe pytania mimo wszystko wymagały odpowiedzi.

7

Nie chciała mu pozwolić, aby powrócił do pracy — nie od razu. Wiedział, że była przerażona. Widział to w jej oczach. Dostrzegł w nich strach i niepewność. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo był bliski śmierci. Zajmowała się nim wyjątkowo troskliwie — co osiem godzin zmieniała bandaż na jego krwawiącym kikucie (a z początku, jak poinformowała go z miną człowieka, który wie, że nigdy nie dostanie medalu za to, co zrobił — choć na to zasługuje — robiła to co cztery godziny), myła go gąbką i nacierała spirytusem, jakby w ten sposób chciała wymazać z jego pamięci makabryczne wspomnienie tamtego zdarzenia. Praca — powiedziała — mogłaby sprawić mu ból.

“To by ci mogło zaszkodzić, Paul. Nie powiedziałabym tego, gdyby to nie było prawdą. Uwierz mi. Ty przynajmniej wiesz, jaki jest ciąg dalszy — umieram z niecierpliwości, żeby się dowiedzieć, co będzie dalej”.

Okazało się, że przeczytała wszystko, co napisał — całe jego przedoperacyjne dzieło — podczas gdy on balansował na krawędzi życia i śmierci... ponad trzysta stron maszynopisu.

W ostatnich czterdziestu nie wpisał brakujących "n", Annie to zrobiła. Pokazała mu je z dumą. Jej "n" były równe i schludne jak litery z elementarza — uderzający kontrast w porównaniu z jego własnymi koślawymi bazgrołami.

Choć Annie nigdy tego nie powiedziała, wierzył, że uzupełniła te "n" z jeszcze jednego powodu — chciała w ten sposób udowodnić mu ostatecznie swoją troskę o niego: "Jak możesz mówić, że byłam wobec ciebie okrutna, Paul, skoro, jak widzisz, wypełniłam za ciebie te wszystkie luki w tekście?" Miał to być akt pokuty lub może swego rodzaju quasi-zabobonny rytuał: dostatecznie dużo zmian bandaży, dostatecznie dużo kąpiei, dostatecznie dużo "n" wpisanych w tekst maszynopisu i Paul będzie żył. *Kobieta pszczoła z plemienia Bourkasów ma potężną magiczną moc, bwana. Mojo. Wpisze tylko brakujące "n" w całym tekście i wszystko będzie w porządku.*

Tak to się zaczęło, ale wtedy pojawiła się chętka. Paul znał wszystkie jej objawy. Kiedy powiedziała, że umiera z ciekawości, żeby się dowiedzieć, co będzie dalej, wiedział, że nie żartowała.

Przecież ty też żyjesz tylko po to, żeby się dowiedzieć, jak to się wszystko skończy — pomyślał. Czyż nie tak? Przecież sam to powiedziałeś.

Było to szalone — wstydził się tego pomimo całej absurdalności stwierdzenia — ale musiał się z tym zgodzić.

Chętka. To było coś, z czym — pomyślał z irytacją — w przypadku jego książek o Misery nie miał żadnych problemów, a co w przypadku reszty jego twórczości pojawiało się bardzo rzadko albo wcale. Nie wiesz dokładnie, gdzie znaleźć tę chętkę, ale zawsze wiedziałeś, kiedy już na nią natrafieś. To sprawia igła jakiegoś wewnętrznego licznika Geigera (przesuwa się rytmicznie od jednego końca skali do drugiego). Nawet siedząc przy maszynie do pisania, lekko skacowany, popijając czarną kawę i zagryzając jednym czy dwoma Rolaidami co parę godzin (wiedział, że powinien rzucić te cholerne papierosy — a jeżeli nie, to przynajmniej nie palić nad ranem — ale nigdy nie miał dostatecznie silnej woli, kiedy przyszło co do czego) na parę miesięcy przed ukończeniem i wiele lat świetlnych przed opublikowaniem wyczuwałeś bezbłędnie chętkę, kiedy się już na nią natknąłeś.

Spotkanie z nią zawsze go odrobinę zawstydzalo — czuł się, jakby był manipulowany. Ale to sprawiało, że czuł się usprawiedliwiony w swojej pracy. Chryste, mijał dzień za dniem, a dziura w papierze była mała, światło przymglone, a podsłuchiwane rozmowy idiotyczne.

Brnąłeś naprzód, bo to było wszystko, co mogłeś zrobić. Konfucjusz mówi, że jeżeli człowiek chce, aby urósł mu jeden łan kukurydzy, to musi on najpierw przerzucić łopatą tonę gówna. I wtedy pewnego dnia dziura poszerzyła się niczym ekran w Vista Vision, a światło,

jakie zaczęło z niej bić, przypominało promienie słońca w obrazie Cecila B. De Mille'a — i wiedziałeś, że odnalazłeś swoją chętkę żywą i całą.

Chętka: Myślę, że posiedzę jeszcze z piętnaście, dwadzieścia minut, kochanie — chciałbym wiedzieć, jak się skończy ten rozdział. Nawet jeżeli typ, który to mówi, przez cały dzień spędzony w pracy myślał tylko o seksie i wie, że najprawdopodobniej, gdy dotrze do sypialni, jego żona będzie już spać w najlepsze.

Chętka: Wiem, że powinnam zacząć robić kolację już teraz — on się wścieknie, jak znów nie będzie miał co przekąsić — ale ja naprawdę chciałabym zobaczyć, jak to się skończy. Chciałabym się dowiedzieć, czy ona przeżyje.

Chciałabym się dowiedzieć, czy ona dorwie tego skurwiela, który zabił jej ojca.

Chciałabym się dowiedzieć, czy ona się dowie, że jej najlepsza przyjaciółka kręciła z jej mężem.

Chętka. Wstrętna jak walenie konia w podrzędnym burdelu. Wspaniała, jak pieprzenie się z najlepszą na świecie, najbardziej utalentowaną panią na telefon. O, chłopie, to było okropne i o, chłopie, to było dobre, o, chłopie — w końcu to nieważne, jakie to było — takie czy siakie, bo koniec końców było tak, jak powiedział Jackson na tej swojej płycie — nie przestałeś, dopóki nie miałeś dość.

8

Byłeś Szeherazadą także dla siebie!

Nie była to myśl, którą był w stanie wyartykułować czy choćby nawet zrozumieć — jeszcze nie — za bardzo cierpiał. Ale wiedział o tym, prawda?

Nie. Nie ty. Ci faceci w twoim warsztacie. Oni wiedzieli.

Tak. Oni mieli prawo wiedzieć.

Odgłos przejeżdżającej kosiarki stał się głośniejszy. Przez chwilę Annie pojawiła się w jego polu widzenia. Zauważyła jego spojrzenie i uniosła rękę. On również uniół swoją — tę z kciukiem. Znowu znikła mu z pola widzenia. No i dobrze. W końcu zdołał ją przekonać, że powrót do pracy wpłynie na niego korzystnie, a nie osłabiająco... Był nawiedzany przez wyraziste wizje, te same, które wywabiły go z chmury i "nawiedzany" było właściwym słowem: dopóki nie zostały zapisane, były pozbawionymi fizycznych kształtów cieniami. I mimo że mu nie uwierzyła — przynajmniej wtedy — pozwoliła mu wrócić do pracy. Nie

dlatego, że ją przekonał, ale z powodu jej chętki. Z początku był w stanie pracować tylko krótkimi, bolesnymi seriami — po piętnaście minut, czasami pół godziny — jeżeli rzecz, którą pisał, naprawdę tego wymagała. Nawet krótkie serie były prawdziwymi katuszami. Zmiana pozycji sprawiała, że kikut ożywał, tak jak żarząca się żagiew rozpala się płomieniem pod wpływem silniejszego podmuchu wiatru. Kiedy pisał, całe jego ciało przeszywał potworny ból, ale nie to było najgorsze — najgorsza była godzina czy dwie po zakończeniu pracy, kiedy zdrowiejący kikut doprowadzał go do obłędu potwornym swędzeniem; miał wrażenie, że jego okaleczoną nogę obsiadł rój sennych pszczoł. To on miał rację, nie ona. Tak naprawdę nigdy nie wyzdrowieje — w sytuacji, w jakiej się znajdował, było to raczej niemożliwe — ale jego stan się poprawiał i odzyskał nieco sił. Zdawał sobie sprawę, że horyzont jego zainteresowań znacznie się zawęził, lecz przyjął to jako cenę swojego przetrwania. To cud, że w ogóle udało mu się przeżyć.

Siedząc tak przed szczybatą maszyną do pisania i wspominając zamiast szczegółów akcji okres, w którym pracował nad koncepcją powieści — Paul skinął głową. Tak. Przypuszczał, że był swoją własną Szeherazadą, podobnie jak był swoją własną kobietą ze snów, kiedy na zasadzie samogwałtu wykorzystując własne dłonie, dobywał z siebie najbardziej osobiste fantazje i marzenia. Nie potrzebował psychiatry, żeby stwierdzić, iż pisanie miało swoją autoerotyczną stronę — zamiast walić konia, walisz w maszynę do pisania, przy czym jedno i drugie polega na szybkości i sprawności dłoni oraz szczerym zaangażowaniu w sztuce samozaspokojenia. Ale czy nie było w tym czegoś ze zwykłego stosunku — nawet w najbardziej oziębłej formie? Bo kiedy tylko zaczął na nowo... no cóż, nie chciała mu przerywać, ale odbierała jego dzienną normę, kiedy tylko skończył — z pozoru, aby uzupełnić brakujące litery, ale tak naprawdę — teraz już o tym wiedział, tak jak znający się na kobietach mężczyźni wiedzą niemal od razu, która z randek będzie udana, a która okaże się niewypałem — aby zaspokoić swoją ciekawość. Aby zaspokoić swoją chętkę. Seriale. Tak. Wróć do tego. Przez parę ostatnich miesięcy ma taki serial na co dzień, a nie tylko w sobotnie popołudnia, a Paul, który dostarcza jej tych mocnych wrażeń, jest jej ulubionym pisarzem — substytutem zwierzątka domowego zamiast jej starszego brata.

Czas, jaki spędzał przy maszynie, stopniowo się wydłużał, w miarę jak ból z wolna zaczynał słabnąć, a on odzyskiwał siły — ale w sumie i tak nie był w stanie pisać na tyle szybko, aby zadowolić jej wymagania.

To chętką trzymała ich oboje przy życiu — był o tym przekonany, wiedział, że gdyby nie ona, z całą pewnością już dawno temu zabiłaby najpierw jego, a potem siebie.

Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że to właśnie ta sama chęćka przyczyniła się do utraty przez niego kciuka. To straszne, ale również i śmieszne.

Wysil się na odrobinę ironii, Paul — to dobrze zrobi twojej krwi.

I pomyśl, że mogło być gorzej.

To mógł być na przykład twój penis.

— A mam tylko jeden — powiedział i wybuchnął śmiechem w samym środku pustego pokoju, mając przed sobą tę znienawidzoną, szczerbatą, wykrzywioną w szyderczym uśmiezku maszynę do pisania. Śmiał się, dopóki nie poczuł jednocześnie bólu w żołądku i kikucie okaleczonej nogi. Śmiał się aż do bólu. Czuł świdrujący ból pod czaszką. W pewnym momencie śmiech zmienił się w przerażający, suchy szloch, który obudził ból nawet w tym, co pozostało z jego kciuka, i wówczas z miejsca się uspokoił. Przez chwilę zastanawiał się niemrawo, jak bardzo był bliski obłędu. Ale to nie było najważniejsze. Tak mu się przynajmniej wydawało.

9

Pewnego dnia, niedługo przed kciukotomią — może nawet nie dłużej niż tydzień — Annie weszła do jego pokoju z dwoma olbrzymimi miseczkami lodów waniliowych, puszką czekoladowego syropu Hersheya, pojemnikiem Reddi Wip i słoikiem, wewnątrz którego znajdowały się czerwone niczym krew z serca wiśnie, pływające jak biologiczne okazy naukowe.

— Pomyślałam, że zrobię dla nas lody, Paul — powiedziała Annie. W jej tonie brzmiała udawana radość. Paul nie lubił tego. Ani tego tonu jej głosu, ani niepewnego spojrzenia jej oczu. To spojrzenie mówiło: “Niegrzeczna ze mnie dziewczynka”. Robił się wtedy czujny — stawiał cały umysł w stan pełnej gotowości. Bez trudu mógł sobie wyobrazić, że wyglądała identycznie kładąc na jednych schodach stosik bielizny i zdechłego kota na drugich.

— Ależ... dziękuję, Annie — powiedział i patrzył, jak nalewała syrop i wyciskała z pojemnika dwa kumulusy bitej śmietany. Przygotowywała tę ucztę z wprawą typowego łakomczucha.

— Nie musisz dziękować. Zasłużyłeś na to. Tak ciężko pracowałeś. Dała mu jego lody. Po trzeciej łyżce słodycz stała się mdląca, ale jadł dalej. Tak było rozsądniej. Jedną z

kluczowych reguł przetrwania, tu w Western Slope, było: kiedy Annie cię częstuje — nie grymas.

Przez chwilę panowała cisza, po czym Annie odstawiła swoją miseczkę, starła wierzchem dłoni z brody resztki czekoladowego napoju zmieszanego z topniejącymi lodami i powiedziała słodko:

— Opowiedz mi resztę.

Paul odstawił swoją miseczkę.

— Słucham?

— Opowiedz mi dalszy ciąg twojej powieści. Nie mogę już dłużej czekać. Po prostu nie mogę.

Czy nie zdawał sobie sprawy, że to kiedyś nastąpi? Tak. Gdyby ktoś dostarczył dwadzieścia taśm z nowymi odcinkami przygód Człowieka Rakiety do domu Annie, to czy czekałaby cierpliwie, wydzielając sobie jeden odcinek tygodniowo czy nawet jeden dziennie? Spojrzał na wpół zmęczoną lawinę jej lodów, jedna z wiśni prawie utonęła w bitej śmietanie, inna pływała w syropie czekoladowym. Przypomniał sobie jej salonik, gdzie niemal wszędzie wały się naczynia po słodyczach.

Nie. Annie nie należała do osób cierpliwych. Annie obejrzałyby wszystkie odcinki w ciągu jednej nocy, nawet gdyby miała to przyplacić bólem oczu i głowy.

Bo Annie uwielbiała to co słodkie.

— Nie mogę — powiedział.

Jej twarz z miejsca pociemniała, ale czy nie dostrzegł przy tym czegoś, co mogło przypominać ulgę?

— Tak? A dlaczego nie?

Bo straciłbym wszystkie twoje względy — pomyślał i uznał, że musi powiedzieć coś innego. Ale dosadnie.

— Bo jestem kiepskim opowiadaczem — odparł jednak w końcu. Pochłonęła resztę lodów pięcioma łyżkami, co w przypadku Paula zakończyłoby się zapewne poważnym odmrożeniem przełyku. Potem odstawiła miseczkę i spojrzała na niego wściekle — nie tak, jakby był wielkim Paulem Sheldonem, ale jakby był kimś, kto ośmielił się skrytykować wielkiego Paula Sheldona.

— Jeżeli jesteś takim kiepskim opowiadaczem, to jak to się stało, że masz na swoim koncie tyle bestsellerów i miliony ludzi kochają książki, które napisałeś?

— Nie powiedziałem, że jestem kiepskim pisarzem. Tak się składa, że — moim zdaniem — jestem w tym całkiem dobry. Ale jako opowiadacz jestem do kitu.

— Po prostu usiłujesz mi wcisnąć jakąś zafajdaną bujdę. — Jej oblicze pociemniało, a dłonie złożone na materiale spódnicy zaciskały się w lśniące pięści. Huragan Annie znów był w pokoju. Wsysała w siebie wszystko, co znajdowało się w pobliżu. Bał się jej tak jak zawsze, ale mimo to zaczął wyslizgiwać się jej z rąk.

Życie nie było już dlań czymś tak wspinałym jak kiedyś, obojętnie z chętką czy bez. Bał się tylko tego, że może go zranić.

— To nie jest bujda — odparł. — Te dwie rzeczy różnią się od siebie jak jabłko i pomarańcza, Annie. Ludzie, którzy opowiadają historie, zwykle nie potrafią ich pisać. Jeżeli naprawdę sądzisz, że ludzie, którzy piszą książki, są przy tym cholernie wygadani, to chyba nigdy nie widziałaś takiego typu podczas któregoś z wywiadów w programie “Today”.

— No cóż, ale ja nie chcę już czekać — nadąsała się. — Zrobiłam ci takie dobre lody i myślę, że mógłbyś mi chociaż odpowiedzieć na parę pytań. Nie musisz mi opowiadać całości, ale... czy to baron zabił Calthorpe’a? — jej oczy rozbłyły. — To jedno, co naprawdę chcę wiedzieć. I jeżeli to on go zabił, to co zrobił z ciałem? Czy zostało pocięte na kawałki i znajduje się w tym kufrze, którego jego żona nie spuszczała ani na chwilę z oka? To znaczy, tak myślę...

Paul pokręcił głową — nie, żeby dać jej do zrozumienia, że się pomyliła, ale by dać jej do zrozumienia, że nie powie.

Stała się jeszcze bardziej pochmurna. Mimo to jej głos był łagodny i delikatny.

— Denerwujesz mnie, wiesz o tym, Paul, prawda?

— Oczywiście, że wiem, ale nic na to nie mogę poradzić.

— Mogłabym cię zmusić. Mogłabym cię zmusić, żebyś coś na to poradził. Mogłabym cię zmusić, żebyś zaczął opowiadać.

Ale wyglądała na sfrustrowaną, tak jakby zdawała sobie sprawę, że to przekracza jej możliwości. Mogła go zmusić, żeby opowiedział jej różne rzeczy, ale nie mogła go zmusić, aby zaczął jej opowiadać.

— Annie, czy pamiętasz, jak mi opowiadałaś, co mówi małe dziecko, kiedy jego matka przyłapie go na rozlewaniu płynu do mycia naczyń pod zlewem i odbierze mu butelkę? “Mamusi, jesteś okropna!” Czy to nie to samo, co ty mówisz teraz? Paul, jesteś okropny!

Jak mnie jeszcze bardziej zdenerwujesz, to nie ręczę za siebie — powiedziała, ale czuł, że jej kryzys minął. Była dziwnie podatna na te pojęcia dyscypliny i zachowania.

— Będę musiał zaryzykować — powiedział — bo jesteś jak ta matka. Nie mówię “nie” dlatego, że jestem okropny ani by zrobić ci na złość — mówię “nie”, bo naprawdę chcę,

żebyś polubiła tę opowieść... a jeżeli dam ci to, czego chcesz, i to ci się nie spodoba, to nie będziesz już tego chciała.

I co się wtedy ze mną stanie, Annie? — pomyślał, ale nie powiedział tego na głos.

— No to powiedz mi przynajmniej, czy ten czarnuch, Hezekiah, naprawdę wie, gdzie jest ojciec Misery? Powiedz mi chociaż to!

— Chcesz powieści, czy chcesz, żebym wypełnił ci kwestionariusz?

— Nie mów do mnie takim sarkastycznym tonem!

— No to nie udawaj, że nie rozumiesz, co do ciebie mówię! — odkrzyknął. Odsunęła się od niego gwałtownie, zaskoczona i zaniepokojona — resztki mroczności znikły z jej oblicza. Po tym wszystkim wyglądała jak mała dziewczynka z dziwnym spojrzeniem, ze spojrzeniem mówiącym: “Byłam niegrzeczna”. — Chcesz zakatrupić złotą gęś! Oto, do czego doszło. Ale kiedy farmer w tej opowieści koniec końców to zrobił, wszystko, co mu zostało, to martwa gęś i masa bezwartościowych flaków!

— W porządku — powiedziała. — W porządku, Paul. Skończysz moje lody?

— Już nie mogę.

— Rozumiem. Zdenerwowałam cię. Myślę, że masz rację. Źle zrobiłam, że spytałam.

Znów była spokojna. W gruncie rzeczy oczekiwał kolejnego okresu głębokiej depresji czy wściekłości, ale nic takiego nie nastąpiło. Oboje wrócili do swoich rutynowych czynności — Paul pisał, Annie czytała dzienną porcję jego wypocin, a od momentu kciukotomii minęło parę dni i początkowo Paul nie był w stanie powiązać razem tych dwóch incydentów.

Aż do teraz.

Poskarżyłem się na maszynę — pomyślał patrząc na nią i nasłuchując warkotu kosiarki. Brzmiał on jakby słabiej i Paul zdał sobie sprawę, że to nie dlatego, że Annie oddalała się od domu, ale ponieważ to on się oddalał. Usypiał. Ostatnio sporo sypiał — po prostu usypiał jak jakiś stary przyk w zakładzie dla rekonwalescentów.

Niewiele. Poskarżyłem się tylko raz. Ale to wystarczyło, prawda? O jeden raz za dużo. To było... w tydzień po tym, jak przyniosła te obrzydliwe lody? Chyba tak. Mniej więcej. Tylko jeden tydzień i jedna skarga. To, że szczęk tego martwego klawisza doprowadza mnie do obłądu. Nawet jej nie zaproponowałem, żeby załatwiła drugą używaną maszynę ze sklepu tej Naney Kurwamonger czy jak tam, tylko żeby u, maszyna miała wszystkie czcionki w porządku. Powiedziałem, że ten szczęk doprowadza mnie do obłądu, aż tu nagle rach-ciach — był kciuk i nie ma kciuka. Tyle że ona nie zrobiła tego, bo skarżyłem się na maszynę, prawda? Zrobiła to, bo powiedziałem jej “nie”, a ona musiała się z tym pogodzić. To był akt wściekłości. Wściekłość była rezultatem uświadomienia. Uświadomienia czego? Że nie ma w ręku

wszystkich atutów, że mimo wszystko trzymam ją w szachu. Siła chętki. Okazuje się, że wbrew pozorom całkiem niezła ze mnie Szeherazada.

To było szalone. To było zabawne. Ale to było zarazem rzeczywiste. Miliony mogły szydzić — ale tylko dlatego, że nie zdawały sobie sprawy, jak bardzo przenikliwy może być wpływ sztuki, nawet tak zdegenerowanej jak popularna beletrystyka. Gospodynie domowe układają sobie plan dnia według popołudniowych mydlanych oper. Jeżeli wracają do pracy, pierwszą rzeczą, jaką robią, jest zakup magnetowidu, żeby mogły oglądać popołudniowe filmy wieczorami. Kiedy Arthur Conan Doyle uśmiercił Sherlocka Holmesa nad wodospadem Reichenbach, cała wiktoriańska Anglia sprzeciwiła się temu i zażądała powrotu bohatera. Ton ich protestów przypominał zachowanie Annie — nie smutek i żal, ale wściekłość. Doyle został złajany przez swoją własną matkę, kiedy napisał do niej w liście o swoim zamiarze skończenia z Holmesem. Jej pełna oburzenia odpowiedź przybyła zwrotną pocztą. “Zabić tego przemilego pana Holmesa? Głupota! Ani mi się waź!” Albo przypadek jego przyjaciela. Gary’ego Ruddmana, który pracował w Bibliotece Publicznej w Boulder. Kiedy Paul wpadł kiedyś, żeby się z nim zobaczyć, zauważył, że Gary zaciągnął w pokoju zasłony, a drzwi ozdobił czarną krepą. Zaniepokojony, Paul przez dłuższą chwilę musiał walić w drzwi, zanim Gary zdecydował się otworzyć.

— Idź sobie — powiedział mu Gary. — Mam dziś kiepski dzień. Ktoś umarł. Ktoś dla mnie bardzo ważny. — Kiedy Paul zapytał kto, Gary odparł znużonym głosem: — Van der Valk.

Paul usłyszał, jak tamten oddała się od drzwi i choć zapukał ponownie, Gary nie powrócił. Van der Valk, jak się okazało, był fikcyjnym detektywem stworzonym, a potem uśmierconym przez pisarza nazwiskiem Nicolas Freeling. Paul był przekonany, że reakcja Gary’ego była czymś więcej aniżeli fałszem, uznał ją za pretensjonalnie kreowaną. To była poza. Trwał w tym przeświadczeniu aż do 1983 roku, kiedy przeczytał *Świat według Garpa*. Popęłnił błąd czytając przed snem fragment, w którym młodszy syn Garpa ginie, nadziany na drążek zmiany biegów. Minęło wiele godzin, nim usnął. Nie mógł wyrzucić tej sceny z pamięci. Myśl, że współczuł postaci z książki, była absurdalna, ale uczyniła o wiele więcej, niż tylko zagnieździła się w jego umyśle, kiedy tak przewracał się z boku na bok w bezsennej noc. Bo, rzecz jasna, tak właśnie było — współczuł Garpowi. To, że zdał sobie z tego sprawę, nic mu nie pomogło, jakkolwiek dało mu do myślenia, że być może Gary Ruddman odczuwał stratę van der Valka o wiele poważniej, niż Paul kiedykolwiek przypuszczał. A to sprawiło, że na powierzchnię wypłynęło kolejne wspomnienie: jak kończąc *Władcę much* Goldinga — w wieku dwunastu lat, w upalny dzień podszedł do lodówki po szklanekę zimnej lemoniady...

nagle zmienił kierunek i co sił w nogach popędził do łazienki. Tam pochylił się nad toaletą i zwymiotował.

Paul przypomniawszy sobie nagle inne przykłady tej dziwnej manii. Tłumy rozjuszonych ludzi w dokach Baltimore, z których każdy chciał dostać kolejny zeszyt powieści Dickensa — *Małej Dorrit* czy *Olivera Twista* (kilku utonęło, ale to nie zniechęciło innych); starą kobietę liczącą sobie sto pięć wiosen, która oświadczyła, że będzie żyć, dopóki p. Galsworthy nie skończy *Sagi rodu Forsyte'ów* i która umarła w niespełną godzinę po tym, jak przeczytano jej ostatnią stronę ostatniego tomu; młodego alpinistę, z niemal nieuleczalnym przypadkiem hypotermii, któremu przyjaciele czytali na okrągło *Władcę pierścieni*, dopóki nie obudził się ze śpiączki i setki innych tego typu przypadków.

Każdy “bestsellerowy” pisarz zajmujący się beletrystyką mógł, jak przypuszczał, wymienić znany z własnego doświadczenia przykład bądź przykłady skrajnego zżycia się czytelnika ze stworzonym przez pisarza światem... przykłady kompleksu Szeherazady — pomyślał Paul, na wpół drzemiąc, a warkot kosiarki Annie to cichł, to znów narastał, jakby dobiegał z bardzo, ale to bardzo daleka. Przypomniawszy sobie, jak otrzymał dwa listy sugerujące stworzenie Parku Misery na wzór Disneylandu i Świata Wielkiej Przygody. W jednym z tych listów znajdowała się kiepska odbitka planu takiego parku. Ale wszystkie rekordy (przynajmniej dopóki Annie Wilkes nie weszła w jego życie) pobiła niejaka pani Roman D. Sandpiper III z Ink Beach na Florydzie. Pani Roman D. Sandpiper (której imię brzmiało Virginia) przekształciła pokój na piętrze swojego domu w Salonik Misery. Przysłała mu polaroidowe zdjęcie Kądzieli Misery.

Escritoire Misery, włącznie z na wpół skończonym pełnym pochlebstw liścikiem do p. Favereya stwierdzającym, że Misery będzie obecna podczas uroczystości szkolnych — 20 października — wykonanym, jak sądził Paul, przez kogoś, kto miał szczególnie ciężką rękę dla jego bohaterki; pismo nie było ani zgrabne, ani ładne i przypominało na wpół niewieści miedzioryt (Kanapa Misery. Karta ciężowa Misery) NIECH MIŁOŚĆ CIĘ TEGO NAUCZY, NIE PRÓBUJ POUCZAĆ MIŁOŚCI itp. itd. Meble, jak pisała w swoim liście pani Roman D. (Virginia) Sandpiper, były autentykami, a nie reprodukcjami i choć Paul nie mógł powiedzieć tego na pewno, przypuszczał, że to musi być prawda. Jeżeli tak, to owo drogie udawanie musiało kosztować panią Roman D. (Virginie) Sandpiper tysiące dolarów. Pani Roman D. (Virginia) Sandpiper starała się go zapewnić, że nie zamierzała wykorzystywać jego bohaterki w celach zarobkowych — uchowaj Boże! — ale chciała, by zobaczył zdjęcia i powiedział, co zrobiła nie tak (bo wiedziała, że na pewno popełniła całą masę błędów). Pani Roman D. (Virginia) Sandpiper miała również nadzieję, że wyrazi swoją opinię na temat jej

przedsięwzięcia. Patrząc na te zdjęcia, ogarniało go dziwne i nieuchwytnie uczucie, jakby patrzył na zdjęcia tego, co powstało w jego wyobraźni — i wiedział, że od tej chwili, gdy tylko będzie próbował sobie wyobrazić mały salonik i pracownię Misery, w jego myślach pojawi się natychmiast zdjęcie pani Roman D. (Virginii) Sandpiper zmieniające jego wyobraźnię w radosną, aczkolwiek jednowymiarową rzeczywistość.

Powiedzieć jej, co zrobiła nie tak? Toż to czyste szaleństwo. Od tej pory to ON się będzie nad tym zastanawiać. Odpisał, dołączył króciutki liścik z wyrazami serdeczności i podziwu, liścik, który nie zawierał pytań dotyczących pani Roman D. (Virginii) Sandpiper, które przychodziły mu na myśl — “jak mocno ma zawiązany kaftan?” na ten przykład — i w odpowiedzi otrzymał kolejny list z nową porcją polaroidów. Pani Roman D. (Virginia) Sandpiper za pierwszym razem przysłała mu dwustronicowy list i siedem zdjęć, za drugim razem list miał aż dziesięć stron, a zdjęć było czterdzieści. List był wyczerpujący (dosłownie) i opowiadał o tym, w jaki sposób pani Roman D. (Virginia) Sandpiper znalazła każdy z przedmiotów, ile za nie zapłaciła i co musiała przedsięwziąć, aby dany zabytek doprowadzić do stanu pełnej używalności. Pani Roman D. (Virginia) Sandpiper napisała, że spotkała człowieka nazwiskiem Mc Kibbon, który miał starą strzelbę, i zmusiła go, aby za jej pomocą zrobił dziurę w ścianie, tuż obok krzesła — choć nie mogła przysiąc, że była to ta sama broń. Pani Roman D. (Virginia) Sandpiper wiedziała, że kaliber był odpowiedni. Zdjęcia ukazywały z bliska dziury po kulach. Ale gdyby nie opisy na drugiej stronie, równie dobrze mogłyby zostać wykorzystane w którymś z magazynów lubujących się w zagadkach pod hasłem: Co przedstawia to zdjęcie? Było wiele takich magazynów. Proste ramię spinacza do papieru mogło na dużym powiększeniu udawać pylon, a pocięta puszka od piwa — rzeźbę Picassa. Paul nie odpowiedział na ten list, ale to nie zniechęciło pani Roman D. (Virginii) Sandpiper, która przysłała mu pięć kolejnych (w pierwszych czterech znajdowały się zdjęcia), zanim, koniec końców, w intrygujący i dość radykalny sposób nie zaprzestała korespondencji. Ostatni list był prosty, podpisany zwyczajnie — Roman D. Sandpiper. Zaproszenie — jakkolwiek rzucone nawiasem, aby nazywał ją Virginią — zostało wycofane. Obsesyjna i nienormalna psychika tej kobiety nigdy nie zdoła osiągnąć poziomu paranoi, jaką wykazywała Annie, ale Paul zdał sobie sprawę, że źródłem tego stanu musiało być to samo. Kompleks Szeherazady. Głęboka, elementarna siła płynąca z jej chętki. Odpłynął z prądem. I usnął.

W tych dniach usypiał niczym starzy ludzie, usypiał nagle, czasami w zupełnie niewłaściwym momencie, co oznaczało, że od świata jawy oddzielała go bardzo wąska bariera. Nie przestał słyszeć jeżdżącej kosiarki, ale jej warkot stał się głębszy, bardziej szorstki, bardziej tnący: jak odgłos elektrycznego noża.

Wybrał zły dzień, aby zacząć się skarżyć na royala i jego brakujące “n”. A, rzecz jasna, nigdy nie było “właściwego” dnia na powiedzenie “nie” Annie Wilkes. Kara mogła być odroczone... ale nigdy zniesiona.

No... Jeżeli to cię tak drażni, to będę musiała dać ci coś, żebyś przestał myśleć o tym starym “n”.

Słyszał, jak krząta się w kuchni, rzucając różnymi rzeczami i miotając przekleństwa w swoim własnym, Wilkesowskim języku. Dziesięć minut potem weszła ze strzykawką, betadyną i elektrycznym nożem. Paul natychmiast zaczął krzyczeć. Przypominał na swój sposób psy Pawłowa. Kiedy Pawłów włączał dzwonek, psy się śliniły. Kiedy Annie weszła do sypialni ze strzykawką, betadyną i ostrym przedmiotem służącym do cięcia, Paul zaczął krzyczeć. Podłączyła nóż do gniazdka przy jego fotelu, a on błagał jeszcze usilniej, krzyczał jeszcze głośniej, przekonywał ją, że będzie dobry, obiecywał, przyrzekał... Kiedy próbował się odsunąć, żeby nie mogła mu dać zastrzyku, powiedziała, żeby siedział spokojnie i był grzecznym chłopcem, bo w przeciwnym razie to, co miało się stać, mogło mu się przydarzyć na żywca, bez jakiegokolwiek znieczulenia. Kiedy nadal odsuwał się od igły, błagając i wyjąc, Annie zaproponowała, że skoro tak, to może powinna po prostu poderżnąć mu gardło i skończyć z tym raz na zawsze. Wtedy znieruchomiał, a ona dała mu zastrzyk, tym razem połała betadyną jego lewy kciuk i ostrze noża (kiedy go włączyła i ostrze zaczęło przesuwając się rytmicznie w przód i w tył, kropelki betadyny zaczęły przyskać na wszystkie strony, ale ona jakby w ogóle tego nie zauważyła) i, koniec końców, czerwone krople zaczęły bryzgać wokoło niczym szkarłatny deszcz. Bo kiedy Annie decydowała się na coś, to robiła to do końca. Żadne prośby nie robiły na niej wrażenia.

Bo Annie była głęboko przeświadczona o słuszności swojego postępowania; kiedy mruczące, wibrujące ostrze zagłębiło się w miękkiej tkance ciała pomiędzy jego “już wkrótce bezużytecznym” kciukiem a pierwszym palcem, zapewniła go głosem matki-która-cierpi-jeszcze-bardziej-niż-ty-Paul, że go kocha.

Potem, tej nocy...

Ty nie śniesz, Paul. Myślisz o rzeczach, o których nie odważasz się myśleć na jawie. No to obudź się. Na miłość boską, zbudź się.

Odcięła mu palec nad ranem a wieczorem wślizgnęła się do pokoju w którym siedział oszołomiony bólem i prochami z obandażowaną ręką przy piersi i miała ze sobą tort i zaśpiewała mu sto lat z okazji urodzin tym swoim mocnym ale bezdźwięcznym głosem choć nie były to jego urodziny na torcie stały świeczki a w samym środku niczym dodatkowa świeczka znajdował się jego kciuk szary martwy kciuk z lekko postrzępionym paznokciem bo czasami obgryzał go kiedy nie mógł znaleźć odpowiedniego słowa ona zaś powiedziała *Jeżeli mi obiecasz, że będziesz dobry, Paul, to dostaniesz kawałek ciasta. Nie będziesz musiał jeść żadnej z tych dodatkowych świeczek* więc obiecał że będzie dobry bo nie chciał żeby go zmusiła do zjedzenia którejś z tych dodatkowych świeczek ale również dlatego że Annie była wspaniała Annie była dobra powinniśmy być wdzięczni Annie za to co dla nas zrobiła byleby tylko nie kazała nam tego jeść **DZIEWCZYNY CHCĄ SIĘ ZABAWIĆ** ale **COŚ ZŁEGO SIĘ TU ZBLIŻA** proszę nie każ mi zjeść mojego własnego kciuka Annie mamó Annie bogini kiedy Annie jest w pobliżu lepiej być uczciwym ona wie kiedy śpisz a kiedy nie wie czy byłeś dobry czy zły ale co najważniejsze lepiej nie krzycz nie krzycz nie krzycz...

Nie krzyczał.

A teraz, kiedy się obudził, zrobił to tak gwałtownie, że poczuł potworny ból — nie zdawał sobie sprawy, że z całych sił zacisnął usta, aby tylko nie dobył się z nich żaden krzyk, mimo iż kciukotomia miała miejsce ponad miesiąc temu. Był tak pochłonięty tym, żeby nie krzyknąć, że w pewnej chwili nie zwrócił uwagi na to, co wjeżdżało na podjazd, a kiedy już to zobaczył, początkowo uznał, że to musi być zwyczajna halucynacja.

To był samochód Policji Stanowej z Colorado.

11

Po amputacji kciuka nastąpił mroczny okres, w którym najpoważniejszym zajęciem Paula, innym niż praca nad powieścią, było liczenie dni. To stało się już w jego przypadku niemalże patologią — spędzał długie chwile, wyliczając dnie, aby się upewnić, że nie pominął żadnego.

Odbija mi, tak samo jak jej — pomyślał któregoś dnia.

A jego umysł odpowiedział ponuro: No to co?

Praca nad książką po utracie przez niego stopy (w tzw. okresie rekonwalescencyjnym — jak to określiła Annie) szła mu całkiem nieźle. Nie, “całkiem nieźle” było niewłaściwym

określeniem — za dużo w nim fałszywej skromności. Szło mu zadziwiająco dobrze jak na człowieka, który kiedyś nie potrafił pisać, gdy nie miał papierosów, był na kacu czy cierpiał na dokuczliwy ból głowy. Chciał uwierzyć, że był to przejaw jego własnego heroizmu, ale zdawał sobie sprawę, że tak naprawdę starał się w ten sposób uciec od rzeczywistości, zapomnieć o bólu, który znów dawał mu się we znaki. Kiedy rozpoczął się w końcu proces zdrowienia, uznał, że to “upiorne swędzenie” stopy, której już nie miał, było jeszcze gorsze niż ból. Budził się raz po raz w środku nocy i dużym palcem prawej stopy drapał powietrze cztery cale poniżej miejsca, gdzie po tej stronie kończyło się obecnie jego ciało.

Ale jednocześnie sporo pracował.

Dopiero po kciukotomii i tym potwornym urodzinowym torcie, który przypominał jeden z rekwizytów filmu “Co się stało z Baby Jane?”, w koszu na śmieci znowu zaczęły się pojawiać zmięte kulki, kartki papieru. Stracił stopę, był o krok od śmierci, a potem znów zabrał się do pracy. Stracił kciuk i znalazł się ponownie w ślepym zaułku.

Czy nie powinno być odwrotnie? Facet miał gorączkę — spędził z tego powodu cały tydzień w łóżku. Ale to nie było nic poważnego. Jego najwyższa temperatura wynosiła 100,7 i w gruncie rzeczy nie było to nic wielkiego. Gorączka była zapewne w większym stopniu spowodowana jego pogarszającym się stanem zdrowia aniżeli infekcją wynikłą w związku z amputacją — żadna wstrętna stara gorączka nie stanowiła dla Annie powodu do zmartwienia — pośród innych specyfików Annie miała w swojej łazience spory zapas keflexu i ampicyliny. Naszpikowała go lekarstwami i doszedł do siebie... jeżeli w tych okropnych okolicznościach można w ogóle posłużyć się takim terminem. Ale stało się coś złego. Stracił jakąś żywotną moc, a w rezultacie utracił część swoich pisarskich zdolności. Próbował rzucić za to winę na brakujące “n”, ale zrobił to już wcześniej... a prawdę mówiąc, czym było brakujące “n” w porównaniu z odrąbaną stopą czy dodatkową obecnie atrakcją w postaci odciętego palca?

Jakikolwiek był tego powód, coś zakłóciło jego sen, coś sprawiło, że dziura, przez którą patrzył, nagle się skurczyła. Kiedyś — był gotów przysiąc! — była tak duża jak wlot Tunelu Lincolna, teraz nie była większa od otworu kanału, przy którym mógłby zatrzymać się inspektor chodników, aby rzucić okiem na jakiś szczególnie interesujący fragment konstrukcji budynku. Musiałeś się pochylać i wyteżać, aby w ogóle cokolwiek zobaczyć, a bardzo często poza twoim polem widzenia działy się rzeczy naprawdę ciekawe — nic w tym zresztą dziwnego zważywszy, że pole obserwacji było tak małe... Praktycznie rzecz biorąc to, co się stało po kciukotomii i okresie pooperacyjnej gorączki, było zupełnie normalne.

Język powieści stał się kwiecisty i przejaszczony — nie była to jeszcze autoparodia, ale zdecydowanie zmierzała w tę właśnie stronę, a on nie potrafił temu zaradzić. Przerwy w pracy zaczęły stawać się częstsze, podczas gdy z piwnicy dobiegały odgłosy hałasujących, pieniających się szczurów, na przestrzeni trzydziestu stron baron stał się wicehrabią z *W poszukiwaniu Misery* — musiał się cofnąć i zacząć wszystko jeszcze raz, od początku.

To nieważne, Paul — powtarzał sobie raz po raz, przez te parę dni, zanim royal wypłuł najpierw “t”, a potem także “e”. Ta cholerna powieść jest już na ukończeniu. No i dobrze. Praca nad nią była torturą, a zakończenie jej oznaczało niemal to samo, co podpisanie na sobie wyroku śmierci. Potem to ostatnie zaczęło mu się wydawać o wiele bardziej atrakcyjne, niż początkowo przypuszczał, prawdopodobnie z tego względu, że jego stan fizyczny, jak i psychiczny uległ znacznemu pogorszeniu. Ale mimo wszystko praca nad książką posuwała się do przodu, jakby była całkowicie niezależna od jakichkolwiek zewnętrznych czynników. To prawda, zdarzały się okresy przestoju, ale były one rzadkie i krótsze. Miał większe niż kiedykolwiek do tej pory kłopoty z wyobraźnią i wymyślaniem różnych rzeczy, gra w “Możesz?” nie była już radosną zabawą i zmieniała się w uciążliwą harówkę. Jednak pomimo tych wszystkich potwornych rzeczy, które zrobiła z nim Annie, pisał nadal — mógł się żalić, że wraz z krwią, która wypłynęła z jego żył po utracie kciuka, stracił również ikrę, ale cokolwiek by mówić, powieść, nad którą pracował, nadal była niezła — najprawdopodobniej to najlepsza powieść z całego cyklu o Misery. Fabuła była melodramatyczna, ale nakreślona sprawnie i z humorem. Gdyby miała być kiedyś opublikowana w czymś więcej aniżeli jednym jedynym egzemplarzu okazowym (wyd. pierwsze — 1 egz.) Wydawnictwa Annie Wilkes, to — jak sądził — sprzedawałaby się cholernie dobrze. Tak, przypuszczał, że przez to przebrnie, jeżeli tylko ta pieprzona maszyna nie rozleci się mu w rękach.

Ponoć był z ciebie kiedyś twardy gość — pomyślał pierwszego dnia po zakończeniu ćwiczenia z maszyną. Jego chude ręce drżały, kikut kciuka pulsował przejmującym bólem, a czoło było zlane potem.

Byłeś twardym facetem, kowbojem, który chciał zwalić z urzędu starego zgrzybiatego szeryfa, zgadza się? Tyle że masz już o jedną czcionkę mniej. I lada chwila inne “t”, “e” czy “g” — na ten przykład — zaczną zachowywać się dziwnie... Będą przesuwać się w jedną albo drugą stronę, czasami nieco powyżej, a czasami trochę poniżej linijki — myślę, że może tym razem ten stary grzyb wygra, mój drogi przyjacielu. Myślę, że tym razem ten stary grzyb może po prostu cię załatwi. I, kto wie, może nawet ta dziwka o tym wiedziała. Może to dlatego

odcięła ci lewy kciuk. Jak mówi stare powiedzenie może i jest szalona, ale na pewno nie głupia.

Spojrzał na maszynę do pisania ze znaczną intensywnością.

No dalej. Rozsyp się, ty stare pudło. Ja i tak skończę. Jeżeli zaproponuje mi nową, podziękuję jej serdecznie, ale jeżeli tego nie zrobi, dokończę powieść ręcznie.

Jednego jestem pewien nie będę krzyczał.

Nie będę krzyczał.

Ja.

Nie będę.

12

Nie będę krzyczał!

Siedział przy oknie, kompletnie rozbudzony i całkiem świadomy że policyjny wóz, jaki widział na podjeździe przed domem Annie, jest równie rzeczywisty jak niegdyś jego lewa stopa.

Krzycz! Do cholery, krzycz!

Chciał, ale sekwencja była zbyt silna, po prostu zbyt silna. Nie mógł nawet otworzyć ust. Próbował i zobaczył brązowe krople betadyny skapujące z ostrza elektrycznego noża. Próbował i usłyszał zgrzyt siekiery o kość i ciche — puf — kiedy zapaliła zapalką palnik Bernz-O-mati-C. Próbował otworzyć usta, ale nie mógł. Próbował unieść rękę, ale nie mógł. Z jego ust dobył się stłumiony jęk, a palce zaczęły bębnić o boki royala — to było jednak wszystko, na co mógł się zdobyć, to był jedyny sposób, w jaki potrafił obecnie sprawować kontrolę nad swoim losem. Nic, czego doświadczył dotychczas — może z wyjątkiem chwili, kiedy zdał sobie sprawę, że choć jego lewa noga poruszała się, stopa pozostała nieruchoma — nie było równie potworne jak ten przedziwny paraliż. W rzeczywistości nie trwał on długo — pięć, może dziesięć sekund. Ale pod czaszką Paula Sheldona pojawiło się przeświadczenie, że ciągnął się on przez wiele długich lat.

Miał przed sobą szansę ratunku: wszystko, co musiał zrobić, to zbić szybę, zerwać plombę zamykającą jego usta i krzyknąć:

Pomocy! Pomocy! Ratunku! Zabierzcie mnie od Annie! Zabierzcie mnie od bogini!

W tej samej chwili inny głos krzyknął: *Będę dobry, Annie! Nie będę krzyczał! Będę dobry! Będę dobry, na litość boską! Przrzekam, nie będę krzyczał, tylko nie okaleczaj mnie już więcej!*

Czy wiedział, czy zdawał sobie sprawę, jak bardzo udało się jej go zastraszyć i w jakim stanie znajdowało się jego zasadnicze “ego” — jego prawdziwe “ja”? Wiedział, że udało się jej go sterroryzować, ale czy wiedział, ile jego subiektywnej rzeczywistości — niegdyś tak silnej i niewzruszonej, którą przyjmował za rzecz zgoła naturalną — zostało mu przy tym odebrane?

Jednego był pewny — to było coś o wiele gorszego niż paraliż języka, tak samo jak kłopoty z pisaniem nie wynikały tylko z tego, że w maszynie brakowało jednego klawisza, to było coś o wiele gorszego niż gorączka, chwile zapomnienia czy nawet utrata ikry. Umierał po kawałku, ale to umieranie wcale nie było takie straszne, jak je sobie wyobrażał. To, co było straszne, to to, że po prostu wygasł — a to doprowadzało go do obłądu.

Nie krzycz! — wrzasnął przerażony głos, kiedy gliniarz otworzył drzwi swego wozu i wysiadł z niego, nakładając na głowę kapelusz. Był młody, miał nie więcej niż 22-23 lata, nosił okulary przeciwsłoneczne, czarne i wyglądające, jakby skąpano je w wiadrze z ropą naftową. Zatrzymał się, aby wygładzić fałdy swoich mundurowych spodni w kolorze khaki, a 30 jardów od niego przy oknie siedział mężczyzna o niebieskich podkrążonych oczach — mężczyzna o bladej, zniszczonej twarzy starca — i przyglądał mu się z nadzieją, z jego zaciśniętych ust dobywał się stłumiony jęk, a dłonie stukwały bezcelowo w deskę położoną na ramionach fotela.

Nie krzycz.

(Tak, krzycz).

Krzyknij i wreszcie ten koszmar się skończy — krzyknij i wreszcie będzie po wszystkim.

(Nigdy — to się nigdy nie skończy, nie — dopóki nie umrę — ten dzieciak nie ma szans w starciu z boginią).

Paul, Chryste, czy ty już naprawdę nie żyjesz? Krzycz, ty tchórzliwy skurwysynu! *Krzycz, jak potrafisz najgłośniej!!!*

Jego usta rozchyliły się przy wtórze odgłosu przypominającego pęknięcie jakiejś niewidzialnej zasłony. Wciągnął powietrze do płuc i zamknął oczy. Nie miał pojęcia, jaki dźwięk dobędzie się z jego gardła — i czy w ogóle coś się z niego dobędzie — dopóki to nie stało się faktem.

— *Afryka!* — krzyknął Paul. Jego drżące dłonie uniosły się niczym przerażone ptaki i przyłożył je do skroni, jakby w ten sposób chciał zapobiec eksplozji swego mózgu. — *Afryka! Na pomoc! Ratunku! Afryka!*

13

Jego oczy otworzyły się gwałtownie. Policjant patrzył w stronę domu. Paul nie widział oczu policjanta, bo tamten nosił okulary słoneczne, ale po sposobie, w jaki kręcił głową, było widać, że jest naprawdę zaskoczony. Zrobił krok naprzód, a potem się zatrzymał. Paul spuścił wzrok na deskę. Po lewej stronie przy maszynie do pisania leżała ciężka, porcelanowa popielniczka, kiedyś byłaby wypełniona pomiętymi niedopałkami papierosów, ale teraz nie było w niej czegoś, co tak radykalnie mogłoby zaszkodzić jego zdrowiu — jedynie spinacze do papieru i gumka do maszyny. Sięgnął po popielniczkę i rzucił nią w szybę. Szkło rozprysło się na zewnątrz. Dla Paula był to najwspanialszy odgłos, jaki kiedykolwiek słyszał.

Ściany się wałą — pomyślał frywolnie i krzyknął: — Tutaj! Na pomoc! Uważaj na kobietę! Ona jest szalona!

Stanowy gliniarz spojrział na niego. Opadła mu szczeka. Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej coś, co mogło być jedynie zdjęciem. Przyjrzał mu się z uwagą, po czym zbliżył się do skraju podjazdu. Potem wypowiedział tylko cztery słowa — jedyne, które Paul usłyszał z jego ust, ostatnie cztery słowa, które ktokolwiek od niego usłyszał. Potem z jego ust dobywały się jeszcze różne nieartykułowane odgłosy, ale nie były to już słowa jako takie.

— O kurwa — rzucił gliniarz. — To ty!

Uwaga Paula była przez cały czas skupiona na policjancie, toteż nie zauważył on Annie, dopóki nie było już za późno. Kiedy ją zobaczył, poczuł, jak ogarnia go prawdziwa groza. Annie stała się boginią — istotą na wpół ludzką, na wpół mechaniczną — osobliwym połączeniem człowieka i maszyny do koszenia trawników, dziwnym kobiecym centaurem. Baseballowa czapka spadła jej z głowy, a twarz wykrzywił potworny grymas. W jednej ręce trzymała drewniany krzyż. Był to krzyż, który stał na grobie Bossie — Paul nie pamiętał już: pierwszej czy drugiej — która w końcu przestała zakłócać mu spokój swoim mучeniem. Ta krowa naprawdę zdechła i kiedy wiosna zmiękczyła nieco ziemię, Paul przypatrywał się przez okno ze zgrozą, ale i z odrobiną rozbawienia, jak Annie najpierw wykopała grób (co zajęło jej prawie cały dzień), a potem wyciągnęła Bossie (wtedy już pewnie w dość kiepskim stanie) ze

stodoły. Użyła do tego łańcucha do mocowania przyczepy, w którą był zaopatrzony cherokee. Owinęła drugi koniec łańcucha wokół brzucha krowy. Paul w myślach założył się sam ze sobą, że Bossie rozerwie się na pół, zanim Annie dociągnie ją do grobu. Ale przegrał. Annie zrzuciła krowę do dołu, a potem zaczęła ze stoickim spokojem zasypywać grób — pracę tę zakończyła już dobrze po zmierzchu.

Paul patrzył, jak oznaczała grób krzyżem, a potem, w świetle dopiero co wzeszłego księżyca, czytała półgłosem wersety z Biblii. Teraz trzymała ten krzyż jak włócznię. Przybrudzony ziemią, zaostzony koniec pionowego drzewca był wymierzony prosto w plecy policjanta.

— ZA TOBĄ! UWAGA! — wrzasnął Paul i choć wiedział, że już było za późno, mimo to krzyczał dalej.

Przy wtórze krótkiego, szczebiocącego okrzyku Annie wbiła krzyż z grobu krowy w plecy policjanta.

— Aach! — krzyknął gliniarz i wolnym krokiem z wypiętym brzuchem, wygięty w pałąk wyszedł wprost przed maszynę do koszenia trawników. Jego twarz była twarzą człowieka, który doznał właśnie ataku kamicy nerek albo potwornego bólu żołądka. Krzyż zaczął przechylać się ku ziemi, kiedy gliniarz zbliżył się do okna, przy którym siedział Paul — a jego szarą zniszczoną twarz otaczały ostre fragmenty stłuczonej szyby. Policjant wolno sięgnął rękami za siebie. Przypominał Paulowi człowieka, który usilnie próbuje podrapać się w miejscu, którego jednak żadnym sposobem nie jest w stanie dosięgnąć. Annie zsiadła z kosiarki i zastygła w bezruchu. Jej szponiaste palce były wciśnięte z całych sił we wzniesienie piersi. Potem pochyliła się do przodu i wyrwała krzyż z pleców policjanta.

Odwrócił się w jej stronę sięgając po pistolet, a Annie z całych sił wbiła mu krzyż w żołądek.

— Aaaa! — jęknął tym razem glina i upadł na kolana, łapiąc się oburącz za brzuch. Kiedy się pochylił, Paul zobaczył dziurę w brązowej koszuli jego munduru, gdzie dosięgło go pierwsze z uderzeń.

Annie wyciągnęła krzyż jednym szarpnięciem — jego zaostzony szpic pękł — pozostawiając postrzępiony, odłupany kikut i wbiła go w plecy gliniarza — między łopatki. Wyglądała jak kobieta, która usiłuje zabić wampira. Pierwsze dwa ciosy być może nie sięgnęły zbyt głęboko, ale za trzecim razem krzyż pograżył się w ciele klęczącego policjanta co najmniej na trzy cale. Mężczyzna runął na ziemię.

— A MASZ! — krzyknęła Annie, wyszarpując oznakę miejsca wiecznego spoczynku Bossie z pleców policjanta: — JAK CI SIĘ TO PODOBA, TY PRZEBRZYDŁE PTASZYSKO?

— ANNIE, PRZESTAŃ — krzyknął Paul.

Spojrzała na niego, a jej ciemne oczy zaśniły przez krótką chwilę jak błyszczące monety — kosmyki brudnych włosów zasłaniały jej twarz, a w kąciку ust zastygł radosny uśmiezek szaleńca, który przynajmniej na chwilę zdołał wyrwać się z kępujących go więzów. Potem znów przeniosła wzrok na policjanta.

— A MASZ! — krzyknęła i ponownie wbiła mu krzyż w plecy. I w pośladki. I w udo. I w szyję. I w krocze. Zadała mu przynajmniej ze sześć pchnięć i za każdym razem, kiedy wrywała krzyż z rany, wrzeszczała głośno: — A MASZ!

Potem krzyż pękł jej w dłoniach na pół.

— Masz — powiedziała niemal konwersacyjnie i odeszła w stronę, z której przybyła. Zanim zniknęła Paulowi z oczu, odrzuciła na bok zakrwawiony krzyż, jakby, zupełnie nagle, przestał ją interesować.

14

Paul położył ręce na kołach fotela nie mając pewności, dokąd powinien się udać, a jeżeli tak, to co powinien zrobić, kiedy już będzie na miejscu — może pojechać do kuchni po nóż? Nie. Z nożem nie miał przeciwko niej żadnych szans — gdyby zobaczyła nóż w jego ręku, po prostu poszłaby do szopy po swoją 30-30. Nie chodziło o to, że chciał ją zabić — chodziło o to, żeby przynajmniej miał szansę uniknąć jej zemsty i własnoręcznie popodrzynać sobie żyły. Nie wiedział, czy naprawdę miał taki zamiar czy nie, ale pomysł wydawał mu się całkiem niezły, bo jeżeli naprawdę musiał już odejść, to chciał to zrobić w ten, a nie inny sposób. Miał dość umierania po kawałku za każdym razem, kiedy wpadała w szal.

Nagle zobaczył coś, co sprawiło, że zamarł w bezruchu.

Gliniarz.

Gliniarz wciąż jeszcze żył.

Uniósł głowę. Okulary spadły mu z nosa. Paul widział jego oczy. Widział, że policjant był młody, przerażony i że bardzo cierpiał. Krew płynęła mu po twarzy strumieniami. Podniósł się, oparł się na rękach i kolanach, upadł, po czym z wyraźnym trudem podniósł się

raz jeszcze. Zaczął się czołgać w stronę samochodu. Pokonał połowę drogi pomiędzy domem a pojazdem, po czym stracił równowagę i przewrócił się na plecy. Jego mundur — koszula i spodnie były ciemne od krwi — ciemne plamy powoli się rozprzestrzeniały, zlewały się ze sobą i przez cały czas się rozrastały.

Gliniarz dotarł do pojazdu.

Nagle rozległ się upiorny warkot włączanej kosiarki.

— UWAŻAJ! — krzyknął Paul. — UWAŻAJ! ONA NADCIĄGA!

Policjant odwrócił głowę. Na jego twarzy pojawił się wyraz zaniepokojenia. Ponownie sięgnął po broń. Wyciągnął ją — coś dużego i czarnego z długą lufą i brązową drewnianą okładziną na kolbie — a potem nagle znów pojawiła się Annie siedząc wysoko na siodełku mknącej na pełnym gazie kosiarki.

— ZASTRZEL JĄ! — krzyknął Paul, ale gliniarz zamiast zastrzelić Annie z tego wielkiego rewolweru rodem z Brudnego

(Ptaszyska)

Harry'ego, najpierw miał kłopoty z uniesieniem go w górę, a potem po prostu go upuścił.

Wyciągnął po niego rękę. Annie skręciła i przejechała zarówno po jego dłoni, jak i wyciągniętym na wprost przedramieniu. Z otworu ekshaustora trawy bryzgnęła krew.

Dzieciak w policyjnym mundurze krzyknął przeraźliwie. Rozległ się ostry brzęk, kiedy wirujące ostrze kosiarki natrafiło na rewolwer. Potem Annie skręciła w boczną alejkę, wykorzystała ją, aby zawrócić, a jej spojrzenie, które Paul zdołał uchwycić przez ułamek sekundy, było jednoznaczne. Wiedział, co oznaczało. Najpierw gliniarz, potem on. Dzieciak znowu leżał na boku. Kiedy zobaczył, że kosiarka zmierza w jego stronę, przewrócił się na plecy i zaczął opętańczo kopać obcasami ziemię, próbując wślizgnąć się pod samochód, gdzie maszyna nie mogłaby go dosięgnąć. Jednakże nie zdążył się tam schronić. Annie przekreśliła przepustnicę kosiarki i maszyna z potwornym rykiem, na pełnym gazie przetoczyła się nad głową policjanta. Paul jeszcze przez ułamek sekundy widział jego przerażone brązowe oczy, zobaczył strzępy koszuli brązowego munduru, zwisające z jego przedramienia, kiedy uniósł je do góry, próbując, aczkolwiek bezskutecznie, ochronić twarz i kiedy te oczy zniknęły, Paul odwrócił wzrok. Silnik kosiarki zakaszlał nagle, a w chwilę potem rozległa się cała seria gwałtownych dziwacznie chlupoczących, głuchych odgłosów. Paul z zamkniętymi oczyma zwymiotował na podłogę obok fotela.

Otworzył je dopiero, kiedy usłyszał grzechot klucza w kuchennym wejściu. Drzwi do jego pokoju były otwarte — patrzył, jak idzie korytarzem w swoich starych, brązowych, kowbojskich butach i džinsach, z breloczkiem do kluczy zwisającym z jednej szlufki, w podkoszulku, który teraz był zachlapany krwią. Odsunął się od niej. Chciał powiedzieć: — Jeżeli odetniesz mi jeszcze coś, Annie, umrę. Nie zniosę szoku jeszcze jednej amputacji. Umrę z własnej woli. Ale z jego ust nie dobyło się ani jedno słowo — tylko przerażające bełkotliwe odgłosy, które przyprawiały go o obrzydzenie.

Zresztą i tak nie dała mu czasu, aby cokolwiek powiedział.

— Zajmę się tobą później — powiedziała i zamknęła drzwi. Jeden z jej kluczy zagrzechotał w zamku — nowym Kreigu, z którym nie poradziłby sobie nawet Tom Twyford — pomyślał Paul, a potem znów przeszła szybkim krokiem przez korytarz. Tupot jej butów na obcasie — całe szczęście — ucichł po chwili. Odwrócił głowę i spojrzał mętym wzrokiem przez okno. Widział jedynie część ciała policjanta. Jego głowa nadal znajdowała się pod kosiarką, ta zaś była przechylona na bok i opierała się o wóz policyjny. Kosiarka z wyglądu przypominała mały traktor i służyła do starannego przycinania nieco większych niż przeciętne trawników. Nie była przystosowana do jazdy po kamieniach, kłodach przewróconych drzew czy czaszkach policjantów ze stanowej drogówki. Gdyby samochód nie był zaparkowany w tym miejscu, w którym stał obecnie, i gdyby gliniarz nie dotarł tam, gdzie zdołał dotrzeć, zanim najechała nań Annie, kosiarka prawie na pewno by się przewróciła, a Annie wypadłaby z siodelka. Być może nic by się jej nie stało, ale równie dobrze mogłoby się jej przydarzyć coś naprawdę przykrego.

Ma szczęście jak sam diabeł — pomyślał pośpiesznie Paul i patrzył, jak jednym pchnięciem odsuwa kosiarkę od ciała policjanta. Bok maszyny otarł się o wóz policyjny i zdrapał z drzwiczek trochę farby. Teraz, gdy gliniarz był martwy, Paul już mógł na niego spojrzeć. Wyglądał jak wielka lalka, z którą zabawiała się grupka niegrzecznych dzieci. Paul czuł potwornie bolesną sympatię dla tego bezimiennego młodego mężczyzny, ale z tą silną emocją była związana jeszcze inna. Przyjrzał się jej przez chwilę i stwierdził bez zdziwienia, że to była zazdrość. Gliniarz już nigdy nie wróci do swego domu, do żony i dzieci — jeżeli je miał — ale z drugiej strony udało mu się uciec od Annie Wilkes. Schwyciła go za okrwawioną rękę i przeciągnęła przez podjazd i przez drzwi stodoły, które były otwarte na oścież. Kiedy wyszła, przytknęła je. Potem wróciła do samochodu. Działała ze spokojem, niemal metodycznie. Była prawie że rozbawiona. Włączyła silnik wozu policyjnego i wprowadziła go do stodoły. Kiedy wyszła z niej ponownie, przytknęła drzwi, zostawiając

tylko niewielką szparę tak, aby swobodnie przez nią przechodzić. Stała w połowie podjazdu i rozejrzała się wokoło z rękoma na biodrach. I ponownie Paul zobaczył na jej twarzy wyraz rozbawienia. Dolna część kosiarki była zachlapaną krwią — zwłaszcza wokół ekshaustora, z którego wciąż skapywały szkarłatne krople. Drobnutkie strzępy munduru khaki leżały na podjeździe albo pośród świeżo przyciętej trawy bocznego trawnika. Wszędzie widniały rozbryźnięte ślady krwi. Tu i ówdzie na podjeździe migotały kałuże szkarłatu. W kurzu leżał rewolwer policjanta z długą rysą na lufie, prostokątny kawałek sztywnego papieru był nadziany na kolce kaktusa, który Annie zasadziła w maju, a rozłupany krzyż po Bossie leżący na podjeździe stanowił ukoronowanie całego tego bałaganu.

Znalazła się w jego polu widzenia, ponownie zmierzając w stronę kuchni. Gdy weszła, usłyszał, jak śpiewała: “Będzie powozić szóstką białych koni, kiedy NADEJDZIE, będzie powozić szóstką białych koni, kiedy NADEJDZIE! Będzie powozić szóstką białych KONI, powozić szóstką białych KONI... będzie powozić szóstką białych KONI, kiedy NADEJDZIE”!

Kiedy zobaczył ją ponownie, trzymała w dłoniach wielką zieloną torbę na śmieci, a trzy czy cztery inne wystawały jej z tylnych kieszeni spodni. Na podkoszulku wokół jej szyi i pod pachami zaczęły ciemnieć sporych rozmiarów plamy potu. Gdy się odwróciła, zobaczył rosnącą niczym drzewo plamę potu na jej plecach. Sporo worków jak na parę strzępów ubrań — pomyślał Paul, ale wiedział, że tak naprawdę będzie je miała czym zapełnić, zanim skończy swoją robotę. Pozbierała strzępy munduru, a potem krzyż. Przełamała go na dwoje i wrzuciła do plastikowego worka. Co niesamowite — kiedy to zrobiła, uklękła. Podniosła rewolwer, otworzyła bębenek, wytrząsnęła naboje, włożyła je do kieszeni, zatrzasnęła bębenek wprawnym strzałem z nadgarstka, a potem wcisnęła broń za pasek spodni. Zdjęła z kolca saguaro kawałek papieru i przyjrzała mu się z z troskaniem. Włożyła go do drugiej kieszeni na biodrze. Poszła do stodoły, wniosła do środka worki na śmieci, po czym wróciła do domu. Przeszła trawnikiem do piwnicznego wejścia, które znajdowało się niemal dokładnie pod oknem Paula. Jej wzrok padł na jakiś przedmiot. To była jego popielniczka. Podniosła ją, a potem podała mu ją ostrożnie przez dziurę w szybie.

— Masz, Paul. Wziął ją jak otępiały.

— Spinacze pobieram potem — powiedziała, jakby odpowiadała na dręczące go już od dawna pytanie. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie walnąć ją tą ciężką, porcelanową popielniczką w głowę i rozłupując czaszkę, zabić chorobę zżerającą bezlitośnie jej mózg. Zaraz jednak pomyślał, co by się stało z nim — co mogłoby się z nim stać, gdyby ją tylko

zranił — i odstawił popielniczkę na miejsce drżąca, pozbawioną kciuka dłonią. Spojrzała na niego.

— To nie ja go zabiłam — wiesz.

— Annie.

— TY go zabiłeś. Gdybyś trzymał głowę na kłódkę, odesłałabym go, skąd przyszedł. Żyłby teraz i nie musiałabym sprzątać tego okropnego bałaganu.

— Tak — stwierdził Paul — on by odjechał, ale co ze mną, co ze mną, Annie?

Wyjęła z piwnicy wąż ogrodowy i przewiesiła go sobie przez ramię.

— Nie wiem, co masz na myśli.

— Ależ, wiesz. — Pomimo szoku był wewnętrznie rozbawiony. — On miał moje zdjęcie. Jest teraz w twojej kieszeni — zgadza się?

— Nie zadawaj mi pytań, to nie odpowiem ci kłamstwem.

Po lewej stronie pod oknem znajdował się kurek wodociągowy do węża. Zaczęła nakręcać na niego plastikową rurkę.

— Stanowy gliniarz z moim zdjęciem oznacza, że ktoś znalazł mój wóz. Oboje wiemy, że tak musiało się stać. Dziwię się tylko, że to trwało tak długo. W powieści wóz być może na dobre by z niej wypadł — myślę, że mógłbym wymyślić jakieś racjonalne rozwiązanie, w które ludzie byliby skłonni uwierzyć — ale w prawdziwym życiu nigdy. Oszukiwaliśmy się nawzajem, prawda, Annie? Ty z powodu książki, ja ze względu na moje życie, choć stało się dla mnie istnym piekłem.

— Nie wiem, o czym mówisz. — Odkręciła kurek. — Wszystko, co wiem, to to, że zabiłeś tego biednego dzieciaka, wyrzucając przez okno popielniczkę. Przemyśl sobie, co może się stać z tobą na przykładzie tego, co stało się z NIM.

Uśmiechnęła się do niego. W tym uśmiechu było coś szaleńczego, jak również coś, co go naprawdę przeraziło. Dostrzegł coś, co przypominało najczystsze w swoim rodzaju zło — demona czającego się w jej oczach.

— Ty dziwko — powiedział.

— SZALONA dziwko, prawda? — spytała, nadal się uśmiechając.

— O tak, jesteś szalona — stwierdził.

— Cóż, chyba będziemy musieli o tym pogadać, prawda? Kiedy będę miała więcej czasu, będziemy musieli sporo na ten temat pogadać. Ale teraz jestem bardzo zajęta, jak chyba widzisz.

Rozwinęła wąż i odkręciła wodę. Przez prawie pół godziny zmywała krew z kosiarki, podjazdu i bocznego trawnika, podczas gdy w strugach wody błyszczały splatające się ze

sobą tęczę. Potem zakręciła kurek i odniosła wąż ogrodowy do piwnicy, ciągnąc go za sobą po trawniku. Ciągle jeszcze było jasno, ale cień Annie znacznie się wydłużył. Była już szósta. Odkręciła wąż, otworzyła klapę i wrzuciła zielony plastikowy wąż do piwnicy. Zamknęła klapę, zatrzasnęła skobel, cofnęła się i zaczęła rozglądać po trawniku i podjeździe, które sprawiały wrażenie, jakby przed chwilą przeszła tędy jakaś potworna ulewa.

Annie wróciła do kosiarki, wsiadła na nią, zapaliła silnik i odstawiła maszynę na tyły domu. Paul uśmiechnął się słabiutko. Miała diabelskie szczęście i kiedy była w trudnej sytuacji — prawie diabelski spryt, ale “prawie” było w tym wypadku właściwym słowem. Już raz w Boulder powinęła się jej noga i udało jej się wywinąć, głównie dzięki szczęściu. Teraz noga powinęła się jej po raz drugi. Wiedział to. Zmyła krew z kosiarki, ale zapomniała o ostrzu pod spodem, o całym mechanizmie ostrza dokładnie rzecz biorąc. Być może przypomniał sobie o tym później, ale Paul szczerze w to wątpił. Kiedy było już po sprawie, Annie natychmiast o wszystkim zapomniała. Przyszło mu na myśl, że umysł Annie i ta kosiarka mają ze sobą coś wspólnego — to co dostrzegalne gołym okiem, wyglądało całkiem normalnie — ale kiedy odwróciłeś tę rzecz do góry nogami i zaglądałeś do środka, żeby zobaczyć, jak działa, twoim oczom ukazywała się okrwawiona maszyna do zabijania, zaopatrzona w mordercze, bezlitosne ostrze.

Wróciła do kuchennego wejścia i znów znalazła się w domu. Poszła na górę i słyszał, jak krząta się tam przez chwilę. Potem znów zeszła na dół, tym razem wolniej — ciągnąc coś, co (przynajmniej sądząc z odgłosów) było miękkie i ciężkie. Po chwili wahania Paul podjechał wózkiem do drzwi i przyłożył ucho do drewna. Słaby, oddalający się odgłos kroków — głuchy, stłumiony dźwięk. A potem odgłos ciągnięcia jakiegoś miękkiego, ciężkiego przedmiotu. W jego mózgu błyskawicznie zapłonęły reflektory, a całe ciało przebiegł dreszcz przerażenia. Szopa! Poszła do szopy po siekierę! Znowu siekiera!

Ale to był tylko chwilowy atawizm — i odegnał go bez wahania. Ona nie poszła do szopy. Schodziła do piwnicy. Wciągała coś do piwnicy. Słyszał, jak znów wchodzi na górę, i podjechał z powrotem do okna. Kiedy usłyszał jej kroki, jak zbliżała się do drzwi — i szcęk klucza w zamku — pomyślał: Przyszła, żeby mnie zabić. I jedyną emocją, jaką obudziła w nim ta myśl, było uczucie przejmującej ulgi.

Drzwi otworzyły się i stanęła w nich Annie, przyglądając mu się z zaciekawieniem. Przebrała się w nowy podkoszulek i świeżą parę “chinos”. Na ramieniu miała małą, płócienną torbę — zbyt dużą jak na torebkę i nie dość dużą jak na plecak. Kiedy weszła, dziwiąc się sobie powiedział, co miał jej do powiedzenia, z wyraźnym akcentem drwiny w głosie:

— No dalej, zabij mnie, Annie. Zrób to, jeśli chcesz, ale wyświadczyć mi przysługę i zrób to szybko. Nie okaleczaj mnie już bardziej.

— Nie zabiję cię, Paul — przerwała. — Przynajmniej dopóki sprzyja mi szczęście. Powinam cię zabić, wiem o tym, ale przecież jestem szalona. A szaleńcy bardzo często nie robią tego, co powinni. Mam rację?

Przeszła za niego i wyprowadziła go z pokoju i przez korytarz. Słyszał, jak torba objęła się głośno o jej bok i nagle przyszło mu na myśl, że jeszcze nigdy nie widział jej z taką torbą. Jeżeli jechała do miasta w sukience, zabierała dużą pojemną torebkę — w typie, jakie stare ciotki biorą ze sobą udając się na kościelną wyprzedaj. Jeżeli była w spodniach, wkładała do kieszeni na biodrze portfel jak mężczyzna.

Do kuchni wpadały złote promienie słońca. Cienie nóg kuchennego stołu kładły się w poprzek linoleum pionowymi pasami jak cienie więziennych krat. Zgodnie z tym, co widniało na zegarze, była szósta piętnaście, ale nie miał powodu wierzyć, że opiekowała się zegarem bardziej troskliwie aniżeli kalendarzem (na którym przez cały czas był maj) i w głębi duszy przypuszczał, że było już o wiele później. Słyszał odgłosy pierwszych świerszczy dających koncert na polu Annie. Pomyślał: Słyszałem ten sam dźwięk będąc zdrowym, małym chłopcem — i przez chwilę zbierało mu się na płacz.

Wtoczyła go do spiżarni, gdzie stały otworem drzwi do piwnicy. Żółte światło omiało chwiejnie schody i oświetlało nieco przyćmionym blaskiem podłogę spiżarni. W powietrzu wciąż jeszcze unosiła się woń wilgoci po ostatniej tej zimy burzy.

Tam na dole są pająki — pomyślał. Tam są myszy. I szczury.

— O, nie — powiedział. — Mnie możesz nie liczyć. Ja pasuję. Spojrzała na niego ze swego rodzaju zniecierpliwieniem i zdał sobie sprawę, że od chwili, kiedy zabiła policjanta, zachowywała się prawie normalnie. Jej twarz była dumnym, acz nieco zmęczonym obliczem kobiety przygotowującej wystawne przyjęcie.

— Zejdiesz tam na dół — oświadczyła. — Pytanie tylko czy na moich plecach, czy na własnym tyłku. Daję ci pięć sekund na podjęcie decyzji.

— Na barana — odparł od razu.

— Bardzo mądrze — odwróciła się, żeby mógł objąć ją ramionami za szyję. — Tylko nie próbuj niczego głupiego, Paul. Próba uduszenia mnie mogłaby się źle dla ciebie skończyć.

W Harrisburgu brałam lekcje karate. Byłam w tym bardzo dobra. Dołożyłabym ci. Podłoga jest zakurzona, ale bardzo twarda. Skręciłbyś kark.

Podniosła go z łatwością. Jego nogi — uwolnione już z łubek, ale powykrzywiane i brzydkie jak coś dostrzeżonego przelotnie przez dziurę w płótnie namiotu, w którym są wystawione różne dziwolągi — zwisały bezwładnie. Lewa — z kopułą bólu w miejscu, w którym kiedyś znajdowało się jego kolano, była całe cztery cale krótsza od prawej. Próbował stanąć na prawej nodze i zdał sobie sprawę, że może to zrobić — ale nie mogło to trwać długo, bo ból, jaki odczuwał po każdym takim eksperymencie, trwał zwykle wiele godzin i był naprawdę potworny. Nawet narkotyk nie był w stanie uśmierzyć tego bólu, który był jak głęboki, fizyczny szloch.

Znosiła go na dół, w gęstniejącą woń starego kamienia, drewna, wilgoci i gnijących warzyw. W piwnicy znajdowały się trzy gołe żarówki. Pomiędzy nagimi belkami były rozpięte stare pajęczyny. Ściany z kamienia pełne głębokich szpar wyglądały jak dziecięce rysunki przedstawiające kamienny mur. W piwnicy panował chłód, ale ten chłód wcale nie był przyjemny. Nigdy dotąd nie był tak blisko niej jak wtedy, kiedy znosiła go na barana po schodach. Tak blisko niej będzie jeszcze tylko raz. To nie było miłe przeżycie. Czuł woń jej potu — spowodowanego wysiłkiem — i choć w gruncie rzeczy lubił zapach świeżego potu — kojarzył mu się z pracą, z wysiłkiem, rzeczami, które darzył szacunkiem — ta woń była tajemnicza i nieprzyjemna, jak stare, śmierdzące potem i spermą prześcieradła. A pod wonią potu skrywała się woń bardzo starego brudu. Annie, jak sądził, pamiętała o braniu prysznic tak samo, jak o przewracaniu stronik kalendarza.

Zauważył ciemnobrązową woskowinę zalepiającą jej jedno ucho i zastanawiał się z odrobiną obrzydzenia, jak ona mogła w ogóle cokolwiek słyszeć. I nagle, pod jedną z kamiennych ścian, zobaczył źródło owego tajemniczego głuchego odgłosu, który zaniepokoił go nie tak dawno temu — materac. Obok niego ustawiła połamany stolik. Stało na nim parę puszek i butelek. Podeszła do materaca, odwróciła się i przykucnęła.

— Złaż, Paul!

Ostrożnie rozluźnił uchwyt i zsunął się na materac. Spojrzał na nią uważnie, kiedy podniosła się i sięgnęła do swojej torby.

— Nie — powiedział natychmiast, kiedy zobaczył, jak słabe żółte światło wypełniające wnętrze piwnicy zabłysło na igle strzykawki. — Nie. Nie.

— Ejże, chłopcze! — powiedziała. — Pewno myślisz już, że stara Annie ma dziś ochotę na małe rachuciachu! Chciałabym, żebyś się uspokoił, Paul. — Odłożyła strzykawkę na blat stolika. — To skopolamina. Narkotyk sporządzany na morfinie. Masz szczęście, że udało mi się w ogóle go zdobyć. Mówiłam ci, jak pilnie strzegą tego w szpitalnych aptekach. Zostawiam to, bo tu na dole jest wilgoć i zanim wrócę, ból w nodze może ci zacząć nieźle doskwierać. Chwileczkę — mrugnęła do niego, podtekst był co najmniej niepokojący, było to mrugnięcie, jakie jeden konspirator mógłby przekazać drugiemu. — Wyrzuciłeś jedną zafajdaną popielniczkę, a mam przez to tyle roboty co jednoręki tapeciarz. Zaraz wracam.

Weszła na górę i w chwilę potem wróciła z poduszkami z tapczanu stojącego w salonie i kocami z jego łóżka. Poukładała mu poduszki za plecami tak, żeby mógł w miarę wygodnie siedzieć — ale nawet przez poduszki czuł posępny chłód kamiennej ściany czekający tylko, aby móc się z niej wyslizgnąć i zmrozić go na kość. Na blacie połamanego stolika stały trzy butelki pepsi. Otworzyła dwie z nich za pomocą otwieracza przy jej breloczku do kluczy i podała mu jedną. Potem podniosła swoją i jednym łykiem opróżniła butelkę do połowy, po czym czknęła — jak prawdziwa dama zasłaniając usta ręką.

— Musimy porozmawiać — powiedziała. — Albo to raczej ja muszę mówić, a ty musisz słuchać.

— Annie, kiedy powiedziałem, że jesteś szalona...

— Sza! Ani słowa na ten temat. Może pomówimy o tym później. Możesz sobie myśleć, co ci się żywnie podoba, mój Panie Spryciarzu. Wszystko, co dla ciebie zrobiłam, to wyciągnęłam cię z wraka twojego samochodu, zanim zdążyłeś zamarznąć w nim na śmierć, poskładałam twoje biedne połamane nogi, zaopiekowałam się tobą, wyperswadowałam ci możliwość publikacji tej obrzydliwej książki i namówiłam cię do napisania najlepszej powieści w całej twojej karierze. I jeżeli to jest szalone, to proszę bardzo, zabierz mnie do czubków.

Och Annie, gdyby tylko ktoś mógł to zrobić — pomyślał i zanim zdążył się powstrzymać, wybuchnął:

— Ale odcięłaś mi też moją pieprzoną stopę!

— Nie używaj przy mnie tych wstrętnych wulgaryzmów — powiedziała. — Jestem dobrze wychowana, nawet jeżeli ty masz pewne luki w tym względzie. Masz szczęście, że nie odciełam ci twojego maluśkiego. Myślałam o tym, wiesz.

Spojrzał na nią. Jego żołądek przypominał w tej chwili wnętrze lodówki.

— Wiem, że o tym myślałaś, Annie — rzucił cicho.

Jej oczy rozszerzyły się i przez chwilę sprawiała wrażenie przyłapanej na gorącym uczynku, zupełnie zaskoczonej winowajczyni. Niegrzeczna Annie zamiast Niebezpiecznej Annie.

— Posłuchaj mnie. Posłuchaj mnie, Paul. Wszystko będzie dobrze, jeżeli się ściemni, zanim ktokolwiek zjawi się tu w poszukiwaniu tego faceta. Za półtorej godziny będzie już ciemno. Jednak jeśli ktoś pojawi się tu wcześniej...

Raz jeszcze sięgnęła do swojej torby i wydobyła z niej spluwę gliniarza. Piwniczne światło lśniło na przypominającym błyskawicę zygzaku wyrytym na lufie przez ostrze kosiarki.

— Jeżeli ktoś zjawi się tu wcześniej, to mam jeszcze to... — powiedziała. — Dla tego, kto tu przyjdzie, potem dla ciebie, a na końcu dla mnie.

18

Powiedziała, że jak się ściemni, wywiezie wóz policyjny do jej Miejsca Śmiechu. Koło domu było takie miejsce, gdzie mogła go zaparkować z pełnym przeświadczeniem, że nie zostanie przez nikogo zauważony. Sądziła, że jedynym miejscem, gdzie ktoś mógłby ją zobaczyć, była droga numer dziewięć, ale nawet tu ryzyko nie było zbyt duże — musiała przejechać wzdłuż niej zaledwie cztery mile. Kiedy już zjedzie z dziewiątki, będzie się poruszać po rzadko uczęszczanych górskich drogach, gdzie spotkanie z jakimś innym samochodem należało raczej do rzadkości. Kilka z tych dróg — jak stwierdziła — było zablokowanych zamkniętymi na kłódki zagrodami, ale ona i Ralph dostali do nich klucze, kiedy kupowali ten dom. Nie musieli prosić — właściciele ziem pomiędzy drogą a domem dali im klucze — to było tzw. sąsiedztwo, jak powiedziała, wymawiając to słowo ze specjalnym, acz nie wymuszonym naciskiem pełnym podejrzania, pogardy i gorzkiego rozbawienia.

— Zabrałabym cię z sobą, żeby cię mieć na oku, zwłaszcza teraz, kiedy okazało się, że nie zasługujesz na to, by ci ufać, ale to niestety nie wchodzi w grę. Mogłabym cię usadzić na tylnym siedzeniu policyjnego wozu, ale usadowienie cię tak, żeby cię nikt nie zauważył, byłoby raczej niemożliwe. Będę musiała wrócić motorem Ralpha. Może się zdarzyć, że spadnę i skrucę sobie kark.

Wybuchnęła wesołym śmiechem, żeby podkreślić, jakie by to było zabawne, lecz Paul nie podzielał jej wesołości.

— A co stałoby się wówczas ze mną?

— Nic ci nie będzie, Paul — powiedziała łagodnie. — Jeju, ale ty się martwisz na zapas.

Podeszła do jednego z okien piwnicy i stała tam przez chwilę, wyglądając na zewnątrz i przyglądając się odejściu dnia. Paul obserwował ją w ponurym nastroju. Gdyby spadła z motoru męża albo zjechała z jednej z tych wyboistych górskich dróg, jego los nie przedstawiałby się zbyt różowo. Prawdę mówiąc był przekonany, że w takiej sytuacji po prostu zdechłby tu jak pies, a jego ciało posłużyłoby za posiłek dla szczurów, które z całą pewnością obserwowały parę nieproszonych dwunogów, obecnych na ich terytorium. Na drzwiach spiżarni znajdował się teraz zamek marki Kreig, a zasuw na klapie piwnicy była gruba jak jego nadgarstek — okna piwnicy, jakby odzwierciedlające paranoję Annie (i nic w tym dziwnego, pomyślał, no bo w gruncie rzeczy, czyż domy nie odzwierciedlają charakterów ludzi, którzy w nich mieszkają?) nie były większe od tradycyjnych otworów strzelniczych — 20 cali długości na 14 szerokości. Nie wydostałby się przez nie nawet w okresie, kiedy był w swojej szczytowej formie, a co dopiero teraz. Może mógłby wybić jedną z szyb i wzywać pomocy, gdyby ktoś pojawił się w pobliżu, zanim umarłby z głodu — ale to nie było dla niego zbytnią pociechą.

Pierwsze fale bólu prześlizgnęły się w dół jego nóg, jak zatruta woda. I ta chęć. Jego ciało wołało o novril. I to była chęćka, prawda? Pewno, że tak.

Annie wróciła i wzięła trzecią butelkę pepsi.

— Przyniosę ci parę, zanim wyjadę — powiedziała. — Teraz potrzebuję czegoś słodkiego. Nie masz nic przeciwko, prawda?

— Absolutnie nie. Moja pepsi jest twoją pepsi.

Otworzyła butelkę i pociągnęła spory łyk. Paul pomyślał — Chug-a-lug, chu-g-a-lug make ya want — to holler-hi-de-ho. Kto to był? Roger Miller, tak? Zabawne, co też ci przychodzi na myśl.

Śmieszne,

— Zamierzam wsadzić go do jego wozu i odwieźć do mojego Miejsca Śmiechu. Zabiorę tam wszystko. Wóz odstawię do szopy, a jego i jego... szczątki pogrzebię w lesie.

Nie powiedział ani słowa. Myślał o krowie, której ryki nie dawały mu spokoju, dopóki któregoś dnia nie ucichły — bo krowa zdechła i kolejnym aksjomatem życiowym z West Slope było: Zdechłe krowy głosu nie dają.

— Mam łańcuch na podjeździe. Zrobię z niego użytek. Gdyby policja przyjechała, mogłaby zacząć coś podejrzewać, ale wolę, żeby zaczęli coś podejrzewać, niż mieliby podjeżdżać pod dom i usłyszeć, jak się drzesz. Myślałam o zakneblowaniu cię, ale kneble są niebezpieczne, zwłaszcza że bierzesz narkotyki, po których możesz mieć kłopoty z oddychaniem. Albo mógłbyś zwymiotować. Albo mogłyby ci się pozamykać zatoki, bo tu na dole jest tak wilgotno. Gdyby zamknęły ci się zatoki, nie mógłbyś oddychać ustami...

Odwróciła wzrok, wyłączwszy się, milcząca jak kamienie w ścianie piwnicy, pusta jak pierwsza butelka pepsi, którą wypijała. Holler-hi-de-ho. A Annie była dziś w takim humorze. W sam raz na holler-hi-de-ho. Tak. Niewątpliwie. Przecież Annie śpiewała, zmywając zachlapany krwią trawnik. Wybuchnął śmiechem. Nie dała po sobie znać, że go usłyszała.

Potem z wolna zaczęła wracać.

Spojrzała na niego, zamrużyła powiekami.

— Mam zamiar zostawić na łańcuchu kartkę z wiadomością — powiedziała wolno, zbierając myśli. — O trzydzieści pięć mil stąd jest miasto. Nazywa się Steamboat Heaven (Parostatek Niebo). Czy to nie śmieszna nazwa jak na miasto? Mają tam w tym tygodniu coś, co nazywają Największy Na Świecie Pchli Targ. To się powtarza co roku. Zawsze jest tam cała masa ludzi sprzedających ceramikę. Napiszę na kartce, że jestem tam, w Steamboat Heaven i oglądam porcelanę. Napiszę, że zostaję tam do rana. A jeśli ktoś spyta mnie później, gdzie się zatrzymałam na noc, żeby to sprawdzić, powiem, że nie znalazłam dla siebie nic ciekawego i chciałam wrócić do domu wcześniej. Tylko że byłam zmęczona. Oto co powiem. Powiem, że chciałam się zdrzemnąć, bo bałam się, że zasnę za kierownicą. Powiem, że chciałam tylko trochę się zdrzemnąć, ale byłam tak zmęczona, że przespałam całą noc.

Paul był przerażony głębią tej przebiegłości. Nagle zdał sobie sprawę, że Annie robiła dokładnie to, czego on nie robił — grała w "Możesz?" w prawdziwym życiu. Może — pomyślał — to dlatego ona nie pisze książek. Bo nie musi.

— Wrócę tak szybko, jak tylko będę mogła, bo już wkrótce zjawią się tu policjanci — stwierdziła.

Ta perspektywa najwyraźniej nie pozbawiła jej dobrego humoru, choć Paul nie był w stanie w to uwierzyć — najwidoczniej nie zdawała sobie sprawy, jak blisko zakończenia gry znajdowali się w obecnej chwili.

— Nie sędzę, by pojawili się tu dzisiejszej nocy — może przejadą obok, ale na pewno się tu pojawiają. Jak tylko nabiorą pewności, że on zginął. Przejadą wzdłuż całej trasy, którą miał przebyć, szukając go i próbując się domyślić, gdzie też mógł wsiąknąć. Co ty na to, Paul? Mam rację?

— Tak.

— Powinam wrócić, zanim się tu zjawią. Gdybym wyjechała ciągnikiem o świcie, to zdążyłabym wrócić jeszcze przed południem. Powinam ich prześcignąć. Bo jeżeli ten typ wyruszył z Sidewinder, to mógł zahaczyć po drodze o wiele miejsc, zanim tutaj dotarł. Zanim tu przyjadą, ty będziesz już znowu w swoim przytulnym pokoiku i będzie ci ciepłutko jak w puchu. Nie związę cię ani nie zaknebluję, Paul. Nic z tych rzeczy. Możesz sobie nawet wyglądać, kiedy wyjdę, żeby z nimi pogadać. Bo następnym razem będzie ich, jak sędzę, dwóch. Przynajmniej dwóch — co ty na to?

Paul skinął głową.

Ona też pokiwała, z zadowoleniem.

— Ale jak będę musiała, to i z dwoma sobie poradzę — poklepała płócienną torbę. — Chcę, żebyś pamiętał o rewolwerze tego chłopaka, jak już będziesz filował, Paul. Chcę, żebyś pamiętał, że będzie tu przez cały czas. Pogadam z tymi policjantami, gdy pojawią się jutro czy pojutrze. Torba nie będzie zasunięta na suwak. Ty możesz na nich patrzeć, ale jeżeli oni zobaczą ciebie, Paul — niezależnie czy przypadkiem, czy dlatego, że spróbujesz zrobić jeszcze jeden taki numer jak dziś — jeśli to się stanie, wyciągnę spluwę z torby i zacznę strzelać. I tak już masz na swoim koncie śmierć tego chłopaka.

— Gówno prawda — rzekł Paul wiedząc, że go za to ukarze, ale nie przejmował się tym. Mimo to nie zrobiła tego. Po prostu uśmiechnęła się radosnym, matczynym uśmiechem.

— Ty wiesz — stwierdziła — nie próbuję oszukać samej siebie, że ciebie to w ogóle nie obchodzi. W ogóle nie próbuję się oszukiwać, ale ty wiesz. Gdyby tylko to mogło ci pomóc, zaryzykowałbyś życie tych dwóch ludzi — tyle że to ci nie pomoże, Paul. Bo jeżeli będę musiała zabić tych dwóch ludzi, to w sumie zabiję czworo. Ich... i nas. I wiesz co? Myślę, że mimo wszystko twoje życie jeszcze coś dla ciebie znaczy.

— Nie za bardzo — powiedział. — Powiem ci prawdę, Annie — z każdym dniem coraz bardziej mam ochotę się z nim rozstać.

Wybuchnęła śmiechem.

— O, tak. Słyszałam to już wcześniej. Ale gdybyś ich zobaczył, jak się im położyło rękę na tych ich starych, obrzydliwych respiratorach! To zupełnie inna historia! Tak! Kiedy TO zobaczyli, zaczęli się drzeć, krzyczeć i zmieniali się w bandę nieznośnych gnojków!

Ale to cię nie powstrzymało, prawda, Annie?

— W każdym razie — powiedziała — chciałam tylko, żebyś wiedział, jak się sprawy mają. Jeżeli ci naprawdę na nich nie zależy, to krzycz ile sił w płucach, kiedy przyjadą. Wybór należy do ciebie.

Paul nie powiedział ani słowa.

— Kiedy przyjadą, wyjdę na podjazd i powiem: Tak, glina z policji stanowej przejeżdżał tędy. Powiem, że przyjechał właśnie, kiedy wybierałam się do Steamboat Heaven, żeby rzucić okiem na ceramikę. Powiem, że pokazał mi twoje zdjęcie. Powiem, że cię nie widziałam. Wtedy jeden z nich spyta: To było zeszłej zimy, panno Wilkes, jak może być pani taka pewna? A ja mu na to: Gdyby Elvis Presley żył i zobaczył go pan ubiegłej zimy, czy PAMIĘTAŁBY pan, że go widział? A on odpowie: Tak, zapewne tak, ale co to ma wspólnego ze sprawą? — a ja powiem, że Paul Sheldon to mój ulubiony pisarz i widziałam jego zdjęcie wielokrotnie. Muszę tak powiedzieć. Wiesz dlaczego?

Wiedział. Jej spryt naprawdę go zadziwiał. Przypuszczał, że nie powinien, ale mimo wszystko tak właśnie było. Przypomniawszy sobie podpis pod zdjęciem Annie w jej celi, zdjęcie zrobione pomiędzy zakończeniem procesu a powrotem sędziów. Przypomniawszy sobie to słowo po słowie: NIESZCZĘŚLIWA? NA PEWNO NIE SMOCZYCA. ANNIE CZYTA SPOKOJNIE I CZEKA NA WERDYKT.

— Potem — ciągnęła — powiem, że policjant zapisał sobie to wszystko w notesie i podziękował mi. Powiem, że zaprosiłam go na kawę, pomimo że się spieszyłam, a oni zapytają mnie dlaczego. Powiem, że prawdopodobnie wiedział o moich poprzednich kłopotach, a ja chciałam mu dać do zrozumienia, że wszystko jest w należyтым porządku. Ale powiedział “nie” — musiał ruszać w dalszą drogę. No więc spytałam go, czy nie chciałby wziąć ze sobą zimnej pepsi, bo dzień był upalny, a on powiedział: Tak, dziękuję, to bardzo miło z pani strony.

Wypiła drugą pepsi i trzymała pustą plastikową butelkę pomiędzy nim a sobą. Jej oko widziane przez plastik było olbrzymie i wyłupiaste jak oko cyklopa. Bok jej głowy zmienił się w pofalowaną wodogłowię opuchliznę.

— Zamierzam się zatrzymać i wyrzucić tę butelkę do rowu jakieś dwie mile w górę drogi stąd — powiedziała. — Ale najpierw muszę ją zaopatrzyć w jego odciski palców. To oczywiste.

Uśmiechnęła się do niego oschłym, bezdusznym uśmiezkiem.

— Odciski palców — powiedziała. — To będzie dla nich dowód, że przejeżdżał koło mojego domu i pojechał dalej. Będą tak myśleć, a o to właśnie chodzi, czy nie tak, Paul?

Jego konsternacja pogłębiła się jeszcze bardziej.

— A potem pojedą go szukać w górę szosy, ale go nie znajdą. Po prostu zniknie. Jak ci swamisi, którzy grają na fletach, dopóki ze stojących przed nimi koszy nie zaczną wysuwać się liny, a oni wdrapują się po tych linach i znikają — puf!

— Puf — powtórzył Paul.

— I wkrótce znowu tu wrócą. Wiem o tym. No bo w sumie jeżeli jedynym śladem, jaki po nim zostanie, będzie zwykła plastikowa butelka, to na pewno zechcą zainteresować się bliżej moją skromną osobą. Jestem bądź co bądź szalona, prawda? Wszystkie gazety tak pisały. Prawdziwa wariatka! Ale najpierw mi uwierzą. Nie sądzę, żeby od razu chcieli wdzierać się do domu i robić w nim rewizję — nie od razu. Zanim tu wrócą, będą szukać w wielu innych miejscach i myśleć o całej masie zupełnie innych spraw. Będziemy mieli trochę czasu. Myślę, że co najmniej z tydzień.

Rzuciła mu groźne spojrzenie.

— Będziesz musiał pisać szybciej, Paul — powiedziała.

19

Zapadł zmierzch i żadna policja się nie zjawiała. Annie nie spędziła całego tego czasu w towarzystwie Paula. Chciała wstawić szybę w oknie sypialni i wybierać z trawnika wszystkie spinacze i odłamki szkła.

— Kiedy policja zjawi się jutro w poszukiwaniu swojej zaginionej owieczki — powiedziała — nie chcemy, żeby zobaczyli coś niezwykłego, prawda, Paul?

Wystarczy, żeby spojrzeli pod kosiarkę, dziecino. Wystarczy, żeby spojrzeli pod kosiarkę. A zobaczą całą masę niezwykłych rzeczy. Ale niezależnie od tego, jak bardzo próbował zmusić do pracy swoją żywą wyobraźnię, nie był w stanie wymyślić żadnego scenariusza, który mógłby do tego doprowadzić.

— Zastanawiasz się, dlaczego ci o tym wszystkim opowiedziałam, Paul? — spytała, zanim weszła na górę zobaczyć, co jest w stanie zrobić z oknem. — Dlaczego tak szczegółowo opowiedziałam ci o moich planach?

— Nie wiem — odparł cicho.

— Po części dlatego, bo chciałam, żebyś wiedział, o co idzie w tej grze i co będziesz musiał zrobić, aby utrzymać się przy życiu. Chciałam też, abyś wiedział, że od teraz nie zależy mi już na niczym. Z wyjątkiem książki. Nadal mi na niej zależy.

Uśmiechnęła się. Był to uśmiech zarazem promienny i dziwnie zadumany.

— To naprawdę najlepsza z powieści o Misery i tak bardzo chcę wiedzieć, jak to się wszystko skończy.

— Ja również, Annie — powiedział. Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Czemu... ty przecież wiesz, prawda?

— Kiedy zaczynam książkę, zawsze wydaje mi się, że wiem, jak ona się skończy, ale to się jak dotąd nigdy nie sprawdziło. Zresztą w gruncie rzeczy nic w tym dziwnego, jak się przestanie o tym myśleć. Pisanie książki to trochę jak wystrzelenie pocisku raketowego, tyle że tu wędruje się przez czas, a nie przestrzeń. Pisanie powieści i zakończenie jej w sposób dokładnie przemyślany w chwili jej rozpoczęcia, to tak jakbyś wystrzelił raketę typu Tytan na drugą półkulę oczekując, że trafisz nią bez pudła w cel wielkości paznokcia. To dobrze wygląda na papierze i są ludzie, którzy budują takie rakety i którzy powiedzą ci, że to bardzo łatwe, ale traktuj to, co mówią, z przymrużeniem oka — bo zawsze mogą się pojawić różne nieprzewidziane okoliczności.

— Tak — powiedziała Annie. — Rozumiem.

— Muszę mieć w swoim sprzęcie wyjątkowo dobry system nawigacyjny, bo zazwyczaj trafiam bardzo blisko, a jeżeli w głowicy rakety jest dostatecznie dużo materiału wybuchowego, to można powiedzieć, że jest całkiem nieźle. Obecnie mam dwa zakończenia mojej książki. Jedno jest bardzo smutne. Drugie, choć nie przypomina typowego hollywoodzkiego happy endu, pozostawia odrobinę nadziei na przyszłość.

Annie wyglądała na zdenerwowaną — i nagle zagrzmiała:

— Chyba nie masz zamiaru zabić jej ponownie, co, Paul? Uśmiechnął się słabo.

— A gdyby tak, to co, Annie? Zabijesz mnie? To mnie już ani trochę nie przeraża. Może i nie wiem, co się stanie z Misery, ale wiem dobrze, co się stanie ze mną... i z tobą. Ja napiszę swój koniec, ty przeczytasz, a potem napiszesz swój KONIEC, prawda? Koniec dla nas obojga. Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości. Prawda wcale nie różni się tak bardzo od fikcji, jak powiadają. Zazwyczaj wiesz dokładnie, jak potoczą się różne sprawy.

— Ale...

— Myślę, że wiem, jak to się wszystko skończy. Jestem pewny zakończenia w osiemdziesięciu procentach. Myślę, że ci się spodoba. Ale nawet jeżeli koniec końców

wybiore ten drugi wariant, to i tak żadne z nas nie pozna szczegółów, dopóki nie przeleję ich na papier, prawda?

— Nie, przypuszczam, że nie.

— Pamiętasz hasło linii autobusowej Greyhound? “Wsiąść do naszego autobusu to już połowa zabawy”.

— Tak czy inaczej to już prawie koniec, prawda?

— Tak — powiedział Paul. — To już prawie koniec.

20

Zanim wyszła, przyniosła mu jeszcze jedną pepsi, pudełko krakersów, sardynki, ser... i kaczkę.

— Jeżeli przyniesiesz mi maszynopis i jedną z tych żółtych kartek, to będę mógł pisać odręcznie — powiedział. — To pomoże mi zabić czas.

Zawahała się, po czym ze smutkiem pokręciła głową.

— Chciałabym, Paul. Ale to by oznaczało, że musiałabym zostawić chociaż jedną zapaloną żarówkę, a na to nie mogę sobie pozwolić. Nie mogę ryzykować.

Pomyślał o tym, że zostanie sam, w mrocznej, pustej piwnicy i zrobiło mu się gorąco — ale to trwało tylko chwilę. Potem poczuł chłód. Dostał nagle gęsiej skórki. Pomyślał o szczurach ukrywających się w swoich norach i biegających po kamiennych ścianach. Pomyślał, jak wyłażą ze swoich kryjówek, kiedy w piwnicy robi się ciemno. Pomyślał, że być może są w stanie wyczuć jego bezradność.

— Nie zostawiaj mnie tu po ciemku, Annie. Proszę, nie rób tego.

— Muszę. Gdyby ktoś zauważył światło w mojej piwnicy, mógłby się zatrzymać, żeby to sprawdzić, niezależnie od tego, czy podjazd będzie zablokowany łańcuchem czy nie i czy będzie do niego przyczepiona kartka z informacją czy nie. Gdybym ci dała latarkę, mógłbyś nadawać nią sygnały. Gdybym dała ci świeczkę, mógłbyś za jej pomocą spalić dom. Widzisz, jak dobrze cię znam?

Nie ośmielił się wspomnieć o tym, jak opuszczał swój pokój — bo to zawsze doprowadzało ją do wściekłości — teraz, powodowany strachem pozostania w pojedynkę w ciemnej piwnicy, zdecydował się na to.

— Gdybym chciał spalić twój dom, Annie, mógłbym to zrobić już dawno temu.

— Wtedy była inna sytuacja — stwierdziła krótko. — Przykro mi, że nie lubisz być zostawiany po ciemku. Przykro mi, że musisz. Ale to twoja wina, więc przestań być nieznośnym gnojkiem. Muszę już iść. Jeżeli będziesz czuł, że potrzebujesz tego zastrzyku, zrób go sobie w nogę.

Spojrzała na niego.

— Albo w tyłek. Ruszyła w stronę schodów.

— No to zasłoń czymś okna — krzyknął za nią. — Zakryj je prześcieradłami albo... albo... zamaluj je na czarno... albo... Chryste, Annie... szczury! SZCZURY!

Była już na trzecim stopniu. Zatrzymała się i spojrzała na niego tymi swoimi oczyma przypominającymi zakurzone monety.

— Nie mam na to czasu — powiedziała — a szczury nie zrobią ci krzywdy. Może nawet uznają cię za swego, Paul. Może cię adoptują.

Annie wybuchnęła śmiechem. Weszła po schodach, śmiejąc się coraz głośniej i głośniej. Rozległ się trzask, kiedy zgasło światło, ale Annie śmiała się dalej, a on powiedział sobie, że nie będzie krzyczał — nie będzie błagał — miał to już poza sobą. Jednak mrok panujący w pustym, wilgotnym wnętrzu i jej śmiech okazały się silniejsze; krzyczał, żeby tego nie robiła, żeby go nie zostawiała, ale ona tylko się śmiała, a potem dał się słyszeć szcęk zamykanych drzwi i jej śmiech został tym nieco stłumiony, ale trwał nadal — jej śmiech był tam przez cały czas — po drugiej stronie drzwi, gdzie paliło się światło, a potem zgrzytnął zamek i jej śmiech był jeszcze bardziej przytłumiony (ale nadal tam był) i szcęknął kolejny zamek, łupnęła zamykana zasuwka i śmiech zaczął się oddalać — jej śmiech był na zewnątrz, ale nawet kiedy włączyła silnik policyjnego samochodu, wykręciła nim na podjazd, zaciągnęła łańcuch na podjeździe i odjechała, nawet wówczas wydawało mu się, że ją słyszy. Miał wrażenie, że słyszy jej śmiech. Śmiała się do rozpuku.

21

Piec stojący w środku pokoju był zamazaną masą. Przypominał ośmiornicę. Paul pomyślał, że jeżeli noc będzie spokojna, to powinien usłyszeć bicie zegara dochodzące z saloniku, ale jak to często bywa, zerwał się silny letni wiatr i nie był w stanie śledzić upływu czasu. Czas po prostu płynął — ciągnął się w nieskończoność. Słyszał cykanie świerszczy pod domem, a potem usłyszał odgłosy skradania się — te, których tak bardzo się obawiał.

Ciche, momentami szurające odgłosy przemykających szczurów. Tyle tylko, że on tak naprawdę wcale nie bał się szczurów, prawda? Nie. To był policjant. Jego tak cholernie żywa wyobraźnia rzadko serwowała mu tego typu upiorne widowisko, ale kiedy to już nastąpiło, to uchowaj, Boże. Od stóp do głów spowiła go fala potwornego gorąca. Tu, w tej ciemności, wszystko to, o czym myślał, po prostu traciło swój sens. W ciemności racjonalność wydawała się rzeczą głupią, a logika robiła wrażenie sennych urojeń. W ciemności myślał przez skórę. Widział policjanta powracającego do życia (powiedzmy, że można tu mówić o życiu) gdzieś tam, w stodole, siadającego na ziemi, otrząsającego się ze słomy, którą Annie przykryła jego ciało (słoma opada na ziemię i na uda mężczyzny), a twarz policjanta porznięta ostrzem kosiarki jest jedną, wielką, potworną raną — obrzydliwą krwawą miazgą. Zobaczył go wyczołgującego się ze stodoły i prześlizgującego się przez podjazd do kłapy piwnicy, a strzępy jego munduru szeleściły i trzepotały na wietrze. Zobaczył go, jak jakimś czarodziejskim sposobem prześlizgnął się przez zamkniętą kłapę i zmaterializował się w swojej okropnej postaci w mrocznej czeluści piwnicy. Zobaczył go, czołgającego się po zakurzonej podłodze, a ciche odgłosy, które słyszał Paul, nie były odgłosami wydawanymi przez szczury, tylko przez niego — martwego gliniarza, czołgającego się uparcie w jego stronę. Jediną myślą, która tliła się w zimnym jak kawał gliny mózgu policjanta, było: To ty mnie zabiłeś. Otworzyłeś usta i zabiłeś mnie. Rzuciłeś popielniczką i zabiłeś mnie. Ty zafajdany sukinsynu, odebrałeś mi życie.

W pewnej chwili Paul poczuł dotyk zimnych martwych palców policjanta ześlizgujących się po jego policzku i wrzasnął przeraźliwie potrząsając nogami. Ból, który się w nim obudził, zaryczał wściekle. Przesunął spazmatycznie ręką po twarzy, ale nie stracił z niej palców policjanta, tylko sporego pająka. Ruch ten zakończył okres zawieszenia broni pomiędzy bólem w nogach i potrzebą narkotyku w jego ciele, ale w pewien sposób rozproszył uczucie strachu, który go ogarniał. Zaczynał rozróżniać poszczególne przedmioty — widział je coraz wyraźniej i to mu dużo pomogło. Niby w sumie nie było tu za wiele do oglądania — piec, pozostałość po górze węgla, stół, na blacie którego stało kilka mrocznych puszek i parę innych przedmiotów... a po prawej, trochę dalej od miejsca, gdzie się opierał... co to był za kształt? Ten obok półek? Znał ten kształt. Coś sprawiało, że przedmiot ów wyglądał dziwnie złowieszczo. Stał na trzech nogach. Góra była okrągła. To “coś” przypominało jedną z machin śmierci z *Wojny światów* Wellsa — tyle że w miniaturze. Paul zamyślił się, zdrzemnął chwilę, obudził się i pomyślał: Oczywiście. Powinienem był wiedzieć od razu. To jest machina śmierci. I jeżeli na Ziemi są jacyś Marsjanie, to należy do nich na pewno Annie

Wilkes. To jej piecyk do barbecue. To krematorium, w którym kazała mi spalić *Szybkie samochody*.

Zmienił nieco pozycję, bo jego tyłek zaczął już przysypiać, i jęknął. Ból w nogach — zwłaszcza w zmiążdżonym kolanie — i ból z okolic miednicy. To najprawdopodobniej oznaczało, że miał przed sobą naprawdę kiepską noc, bo przez ostatnie dwa miesiące jego miednica w ogóle się nie odzywała. Sięgnął po strzykawkę, podniósł ją, a potem odłożył z powrotem. Bardzo mała dawka — powiedziała. A zatem najlepiej zostawić ją na potem. Słyszał stłumione szuranie i spojrzał w kąt, oczekując widoku policjanta czołgającego się w jego stronę — jedno jedyne brązowe oko łypiące na niego z posiekanego na miazgę oblicza. *Gdyby nie ty, byłbym teraz w domu oglądając telewizję z ręką na udzie mojej żony*. To nie był glina. Być może mroczny kształt był jedynie wymysłem jego wyobraźni, ale to najprawdopodobniej był zwyczajny szczur. Paul uznał, że powinien się odrobinę odprężyć.

Zapowiadała się wyjątkowo długa noc.

22

Zdrzemnął się trochę i obudził się przechylony mocno w lewo z głową zwieszoną nisko, jak pijak drzemiący pod płotem. Wyprostował się, a jego nogi obrzuciły go stekiem niewybrednych wyzwisk. Skorzystał z kaczki, ale kiedy się odlewał, czuł przejmujący ból. Uznał, że musiała mu się wdać jakaś infekcja moczowodów. Był teraz taki słaby i podatny na całą masę chorób. Był podatny praktycznie na wszystko. Odstawił kaczkę na bok i znów podniósł strzykawkę. *Niewielka dawka skopolaminy* — powiedziała. *Cóż, może i tak. A może zapakowała tu czegoś o wiele gorszego? Tego samego, czym posłużyła się, aby zgładzić ludzi takich jak Ernie Gonyar i "Queenie" Beaulifant*.

Potem uśmiechnął się nieśmiało. Czy to naprawdę byłoby aż takie złe? Odpowiedź nadeszła błyskawicznie — DO CHOLERY, NIE! To by było dobre. Pigułki zniknęłyby na zawsze. Skończyłby się odpływ. Na zawsze. To myśląc odnalazł żyłę w swoim lewym udzie i choć nigdy dotąd nie robił sam sobie zastrzyku, zrobił to teraz bez chwili wahania, szybko, sprawnie, z prawdziwym entuzjazmem.

23

Nie umarł i nie usnął. Ból odszedł, a on dryfował, jakby całkiem oderwany od swego fizycznego ciała — balon myśli unoszący się na końcu długiego sznurka. Byłeś Szeherezadą także dla samego siebie — pomyślał i spojrzął na piecyk do barbecue. Pomyślał o marsjańskich promieniach śmierci obracających Londyn w perzynę. Nagle przypomniał sobie piosenkę — dyskotekowy kawałek grupy zwanej Trammmps.

Spal, dziecino, spal

Spal mamuszkę raz i dwa

Coś mu zaświtało.

Pewien pomysł.

Spal mamuszkę raz i dwa...

Paul Sheldon usnął.

24

Kiedy się obudził, wewnątrz piwnicy wypełniało popielate światło świtu. Na blacie, który zostawiła mu Annie, siedział bardzo duży szczur i podwinąwszy ogon pod siebie z apetytem pałaszował kawałek sera. Paul krzyknął, szarpnął się i krzyknął ponownie, kiedy ból spłynął mu do nóg. Szczur uciekł.

Zostawiła mu parę kapsułek. Wiedział, że novril nie zneutralizuje bólu, ale to było lepsze niż nic.

Poza tym ból, nie ból, czas na porannego procha, no nie, Paul?

Popił łykiem pepsi dwie kapsułki, a potem położył się wygodnie, czując pulsujący ból w nerkach. Coś mu rośło tam na dole. No i dobrze. Świetnie.

Marsjanie — pomyślał. Marsjańskie maszyny śmierci.

Spojrzął w stronę piecyka do barbecue oczekując, że w dziennym świetle będzie wyglądał normalnie — zwykły piecyk do barbecue — nic szczególnego. Szczerze się zdziwił, kiedy zdał sobie sprawę, że nadal kojarzy mu się on z jedną z wellsowskich, ruchomych machin zagłady.

Miałeś pomysł — co to było?

Piosenka powróciła — piosenka zespołu Trammps.

Spal, dziecino, spal — spal mamuszkę raz i dwa!

Tak! Ale co to za mamuska? Nie zostawi ci nawet świeczki.

Nie mógłbyś zapalić nawet swoich własnych gazów.

Jego chłopcy z warsztatu przestali mu wiadomość.

Nie musisz niczego palić. Ani tu. Ani teraz.

O czym wy, kurwa, gadacie, chłopaki? Czy moglibyście mnie oświe...

I wtedy to się stało — to nadeszło w jednej chwili — tak jak to zwykle bywa w przypadku dobrych pomysłów — okrągłe, gładkie i przekonujące w całej swej doskonałości.

Spal mamuszkę...

Spojrzał na piecyk do barbecue, oczekując, że ból tego, co zrobił — tego, do czego go zmusiła — powróci lada chwila. Wrócił, ale był słaby i przytłumiony. Co ona powiedziała wczoraj?

“Wszystko, co dla ciebie zrobiłam, to... wyperswadowałam ci pomysł publikacji twojej obrzydliwej książki i namówiłam do napisania najlepszej powieści w całej twojej karierze”...

Może była w tym szczypta prawdy. Może po prostu przecenił *Szybkie samochody*. Może nie były tak dobre, jak przypuszczał.

To tylko twój umysł próbuje złagodzić twój ból — wyszeptała część niego. — Jeżeli kiedykolwiek uda ci się stąd wydostać, to w ten sam sposób będziesz próbował przekonywać samego siebie, że w gruncie rzeczy lewa stopa jest ci zupełnie niepotrzebna, cholera, pięć paznokci więcej do obcinania. A oni naprawdę potrafią czynić cuda z tymi sztucznymi kończynami.

Nie, Paul. To była naprawdę dobra książka, a to była naprawdę dobra stopa. Nie oszukujmy się.

Mimo to głębsza część niego uznała, że tego typu rozmyślania są swego rodzaju próbą oszustwa.

Nie oszukuj samego siebie, Paul. Powiedz prawdę, do cholery. Okłamujesz samego siebie. Facet, który pisze książki tego typu, oszukuje wszystkich, a więc nigdy nie może oszukiwać samego siebie. To zabawne, ale to prawda. Jak już raz zaczniesz, to równie dobrze możesz wyrzucić maszynę przez okno i zająć się czymkolwiek innym, bo po prostu zejdziesz na psy.

Co zatem było prawdą? Prawdą było to, że w oczach krytyków był “pisarzem popularnym” (co jego zdaniem oznaczało, że był o krok — o bardzo mały krok — od chałturnika) i bardzo ubolewał nad tym faktem. To kolidowało z jego opinią o sobie jako Poważnym Pisarzu, który klecił te swoje głupawe romansidła tylko po to, aby subwencjonować (fanfary!) PRAWDZIWE DZIEŁO! Czy nienawidził Misery? Czy jej nienawidził? Jeżeli tak, to czemu tak łatwo zdołał powrócić do jej świata? Nie — bardziej niż łatwo. Błogo, jakby wślizgiwał się do wanny z dobrą książką w jednej i szklanką zimnego piwa w drugiej ręce. Może jedyne, co nienawidził, to fakt, że jej twarz na okładce przyćmiła jego autorskie zdjęcie, a krytycy nie potrafili dostrzec w nim młodego Mailera czy Cheevera — nie potrafili zrozumieć, że mają do czynienia z kimś z wyższej ligi. Czyż zatem, w rezultacie, jego “poważna beletrystyka” nie stała się swego rodzaju manifestem, okrzykiem? *Spójrzcie na mnie! Spójrzcie, jakie to dobre! Ej! Chłopaki! Ta powieść ma ruchomą perspektywę! Ta powieść ma interludia w postaci strumienia świadomości! To moje prawdziwe dzieło! Wy kretyni! Nie próbujcie się odwracać ode mnie! Nie próbujcie, wy zafajdane gnojki! Nie próbujcie się odwracać od mojego prawdziwego dzieła! Nie próbujcie, bo...*

Bo co? Co mógł zrobić? Poobcinać im stopy? Pourzynać im kciuki?

Paul dostał gwałtownego ataku dreszczy. Musiał się wysikać. Wziął kaczkę i koniec końców dopiął swego, choć ból był o wiele gorszy niż poprzednio. Oddając mocz, jęczał, jęk dobywał się z jego ust jeszcze długo po tym, jak skończył. W końcu, na szczęście, novril zaczął działać (słabo, bo słabo, ale zawsze) — i zaczął przysypiać. Spojrzał na piecyk do barbecue sennymi oczyma. Powieki miał jak z ołowiu.

Jak byś się czuł, gdyby spaliła *Powrót Misery*? — wyszeptał wewnętrzny głos i rozbudził go na chwilę. Odplywając, zdał sobie sprawę, że to by go zabolalo, tak, to sprawiłoby mu potworny ból, to sprawiłoby, że ból, jaki odczuwał, kiedy spalił *Szybkie samochody*, wyglądałby niczym ból z zainfekowanych nerek, w porównaniu z tym, co czuł, kiedy zamachnęła się siekierą i odrąbała mu nogę wykazując edytorską władzę nad jego ciałem.

Zdał sobie również sprawę, że to nie było właściwe pytanie. Właściwe pytanie brzmiało, jak poczułaby się wtedy Annie. Obok piecyka do barbecue znajdował się stół. Stało na nim jakieś pół tuzina słoików i pojemników. Jednym z nich był pojemnik z płynem do zapalniczek.

Co by było, gdyby to Annie zaczęła krzyczeć z bólu? Jesteś ciekawy, jak by to mogło brzmieć? Jesteś tego ciekaw? Przysłowie mówi, że zemsta jest talerzem, z którego najlepiej

jeść, kiedy ostygnie — ale przecież gdy powstało to powiedzenie, pojemnik z Ronson's Liteup nie został jeszcze wynaleziony.

Paul pomyślał “Spal mamuszkę, spal” i usnął.

Na jego bladym i wychudłym obliczu pojawił się nieśmiały uśmiech.

25

Annie wróciła za kwadrans trzecia po południu. Jej zazwyczaj rozczochrane włosy były równo przyklapnięte naokoło głowy — układały się zgodnie z kształtem kasku, który tego dnia założyła; nie była w nastroju do rozmowy, co miast depresji miało oznaczać, że była zmęczona i zadumana. Kiedy Paul spytał, czy wszystko poszło zgodnie z planem, przytaknęła.

— Tak — myślę, że tak. Miałam trochę kłopotów z zapaleniem motoru, bo gdyby nie to, byłabym tu już godzinę temu. Świece były brudne. Jak twoje nogi, Paul? Chcesz jeszcze jeden zastrzyk, zanim zabiorę cię na górę?

Po niemal dwudziestu godzinach w wilgotnym pomieszczeniu miał wrażenie, jakby ktoś ponabijał jego nogi zardzewiałymi gwoździami. Chciał zastrzyku, i to bardzo, ale nie tu na dole. To nie zdałoby egzaminu.

— Czuję się nieźle. Tak mi się wydaje. Odwróciła się do niego plecami i zaszczebotała:

— W porządku. Wskakuj. Ale pamiętaj, co ci powiedziałam o chwytach duszących i innych takich. Jestem bardzo zmęczona i nie mam nastroju do żartów.

— Ja też.

To dobrze.

Podniosła go z cichym stęknieniem, a Paul zagryzł zęby, żeby nie krzyknąć z bólu. Przeszła przez piwnicę w stronę schodów — jej głowa odwróciła się nieznacznie — zdał sobie sprawę, że patrzyła (tak mu się zdawało) w stronę zastawionego puszkami stołu. Obrzuciła go szybkim, niemal przelotnym spojrzeniem, ale dla Paula to zdawało się trwać całe wieki, był pewien, że zorientuje się, iż ze stołu znikł pojemnik z paliwem do zapalniczek. Obecnie tkwił on głęboko w spodniach Paula. Wiele miesięcy po swojej poprzedniej grabieży zdobył się na odwagę, aby ukraść coś, czego potrzebował, i gdyby jej ręce przesunęły się wyżej wzdłuż jego nóg — kiedy wchodziła po schodach, natrafiłaby na coś więcej aniżeli

tylko kościste pośladki. Po chwili odwróciła wzrok. Jej oblicze było pozbawione wyrazu. Poczuł niezwykłą ulgę i niemal nie zwracał uwagi na ból, który dawał mu się we znaki, kiedy wносиła go na górę. Potrafiła zachować pokerową twarz, kiedy chciała — ale tym razem wydawało mu się (miał w każdym razie taką nadzieję), że ją oszukał.

Tym razem naprawdę ją oszukał.

26

Myślę, że ten zastrzyk jednak by mi się przydał — powiedział, kiedy już położyła go do łóżka.

Przez chwilę przyglądała się jego bladej, złanej potem twarzy i pokiwała głową.

Kiedy tylko wyszła, wyjął płaski pojemniczek ze slipek i wsunął go pod materac. Od czasu noża nie wkładał tam niczego i nie zamierzał przechowywać go tam długo; najwyżej do wieczora. Po zmierzchu ukryje go w innym — bezpieczniejszym miejscu. Wróciła i zrobiła mu zastrzyk. Potem położyła na parapecie kartkę i parę ołówków i przysunęła jego wózek do łóżka.

Masz — powiedziała. — Ja muszę się trochę zdrzemnąć. Jeżeli zjawi się tu jakiś samochód, usłyszę go. Jeśli nikt nie zakłóci nam spokoju, to pewno wstanę dopiero jutro rano. Gdybyś chciał wstać i pisać dalszy ciąg odręcznie — to tu stoi twój fotel. Maszynopis leży na podłodze. Ale, szczerze mówiąc, odradzałabym ci to, dopóki się na dobre nie rozgrzejesz.

— Teraz na pewno nie dałbym rady, ale sądzę, że wieczorem zmuszę się, żeby troszkę popracować. Rozumiem, co miałas na myśli mówiąc, że mamy coraz mniej czasu.

— Cieszę się, że to rozumiesz, Paul. Jak sądzisz, ile jeszcze czasu ci potrzeba?

— W normalnych okolicznościach powiedziałbym — miesiąc. Ale jeżeli będę pisał w takim tempie jak ostatnio, to nie więcej niż dwa tygodnie. Gdybym naprawdę dał z siebie wszystko — pięć dni. Powiedzmy — tydzień. Nie będzie to może arcydzieło, ale nie powinno być złe.

Westchnęła i spojrzała z zamyśleniem na swoje dłonie.

— Wiem, że to nie potrwa dłużej niż dwa tygodnie.

— Chciałbym, żebyś mi coś obiecała.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem. Nie ze złością czy podejrzliwością, ale właśnie z zaciekawieniem.

— Co?

— Że nie będziesz tego czytać, dopóki nie skończę... albo dopóki nie będę musiał... no, wiesz...

— Przestać?

— Tak. Dopóki nie będę musiał przestać. W ten sposób nie będziesz się musiała rozdrabniać. Wszystko za jednym zamachem.

— To będzie naprawdę dobra książka, prawda?

— Tak — uśmiechnął się Paul. — To będzie naprawdę ognista powieść!

27

Tego wieczora, około ósmej, wślizgnął się ostrożnie na fotel. Przez chwilę nasłuchiwał, ale nie dobiegł go żaden niepokojący odgłos. Nie usłyszał niczego, odkąd o czwartej po południu skrzypnięcie sprężyn oznajmiło mu, że położyła się do łóżka. Musiała być naprawdę zmęczona. Paul wyciągnął płyn do zapalniczek i podjechał pod okno, gdzie znajdował się jego prowizoryczny warsztat pisarski. Znajdowała się tu maszyna do pisania szczerząca w uśmiechu dziury po trzech brakujących zębach, kosz na śmieci, ołówki, papier do pisania na brudno, papier maszynowy i stosik kartek z notatkami, z których część najprawdopodobniej wykorzysta, a reszta powędruje do kosza. Albo raczej powędrowałyby — wcześniej.

Właśnie tu, choć niewidzialne, znajdowały się wrota do innego świata. Właśnie tu — jak sądził — tkwił jego własny duch, uwiązany pośród pliku notatek, jak nieruchome obrazy, które gdyby przekartkować je gwałtownie, dałyby złudne wrażenie ruchu.

Z łatwością i wprawą, której nabrał po długiej praktyce, wmanewrował fotel pomiędzy stosy papieru, raz jeszcze nadstawił uszu, a potem sięgnął ręką i wyjął dziewięciocalowej długości kawałek listwy podłogowej. Jakiś miesiąc temu zorientował się, że jest obłuzowana, a cienka warstewka kurzu na niej (już wkrótce będziesz tam przyklejał włosy, żeby się upewnić — pomyślał) świadczyła, że Annie nie wiedziała o poluzowanej listwie. Tuż za nią znajdowała się wąska, pusta przestrzeń zarezerwowana dla kurzu i mysich odchodów. Ulokował pojemniczek z Fast-Lite w środku i włożył listwę na miejsce. Przez chwilę bał się, że pojemnik nie zmieści się i drewno nie będzie przylegać tak jak powinno (Boże, ona miała taki przenikliwy wzrok!), ale jego obawy okazały się bezpodstawne. Listwa przylegała, jak

należy. Paul przyglądał się jej przez chwilę, po czym przygotował kartki, wziął do ręki ołówek i odnalazł dziurę w papierze. Pisał nieprzerwanie przez następne cztery godziny — dopóki końce wszystkich trzech ołówków nie stępiły się, a potem wrócił do łóżka i bez trudu zapadł w sen.

ROZDZIAŁ 37

Ręce Greoffreya zaczęły przypominać rozgrzane do białości żelazo. Od pięciu minut stał w ciemnościach na rewolwerze chaty należącej do M'Chibi „wspaniałego”, przypominając niemydarską krewię cynkowego siłacza - z kufrem Beronowej nad głową. Tuż racją wierzyć, że Herekiah śladnym sposobem nie zdążył

przekonać M'Chibi „wspaniałego” do opuszczenia chaty, gdy nagle usłyszał odgłos jakiegoś nagłego poruszenia. Greoffrey odwrócił się jeszcze dalej, między jego ramion drgały konwulsyjnie. Wódki M'Chibi „wspaniałego” był strasznikiem ognia i wewnątrz jego chaty znajdowało się ponad sto pochodni, których główki pokryte były grubą warstwą żywicy. Żywica ta skierowana była z niskopiętrowych drzew rosnących na tym terenie, a Bourkasowie narywali ją płomienistym olejem albo olejem - krowią płomienici. Jak najprostszą z języków, tak i język Bourkasów był często bardzo wodnisty. Jednakże jakkolwiek by się owa substancja narywała, w tej chacie było dostatecznie dużo pochodni, aby cała wioska mogła stanąć w płomieniach.

Pełiłaby się jak kufra Guya Faulknera - pomysłał Greoffrey, a dręchi temu będą mieli: z głowy M'Chibiego.

- Niech się pan nie boi walnąć szefie Greoffrey - rzekł Herekiah M'Chibi - on wyjdzie piętny. Ten ognisty facet, Herekiah, wyjdzie drugi. Niech pan nie cieknie aż zabawy być mouch wotydy zębów, tylko wali, ile wlewie! Kas, dwa w Tob i po kufku!

Ale kiedy w końcu usłyszał, jak wychodzi, pomimo bólu w ramionach, Greoffrey poczuł chwilowe wątpliwe. Przypuszczalnie dlatego, przez tę jedną jedyną chwilę

Jego ołówek zatrzymał się w pół słowa na dźwięk zbliżającego się silnika. Był zdziwiony spokojem, jaki go ogarnął — obecnie najsilniejszym uczuciem, jakie odczuwał, była łagodna irytacja, że przerwano mu pisanie, i to w chwili, kiedy zaczął się wznosić jak ważka i żądlić niczym pszczoła. Z korytarza dobiegło *staccato* kroków Annie.

— Schowaj się. — Jej twarz była ponura i pełna napięcia. Na ramieniu miała płócienną torbę, nie zapiętą na suwak. — Scho...

Przerwała, bo zobaczyła, że właśnie zaczął odsuwać się od okna. Spojrzała na parapet, żeby się upewnić, że nic na nim nie stoi, po czym pokiwała głową.

— To Policja Stanowa — powiedziała.

Wyglądała na spiętą, ale trzymała nerwy na wodzy. Torbę miała przez cały czas w zasięgu ręki. — Będziesz dobry, Paul?

— Tak — powiedział.

Jej oczy lustrowały jego twarz.

— Mam zamiar ci zaufać — powiedziała w końcu i oddaliła się, zamykając za sobą drzwi, ale nie przekręcając klucza w zamku.

Wóz skręcił na podjazd; dał się słyszeć łagodny, senny rytm silnika, typowy dla starego plymoutha 442. Usłyszał, jak drzwi kuchennego wyjścia otwierają się z trzaskiem i podjechał wózkiem nieco bliżej okna, żeby ze skrytego w cieniu kąta móc obserwować, co będzie działo się na zewnątrz. Wóz zatrzymał się tuż obok Annie i silnik zgasł. Kierowca wysiadł i stanął prawie w tym samym miejscu, w którym stał młody glina, kiedy wypowiedział cztery ostatnie słowa w swoim życiu — ale na tym całe podobieństwo się kończyło. Tamten glina był zwyczajnym gołowąsem, młodzikiem potrafiącym postępować jedynie według ścisłych zasad regulaminu, który poszukiwał śladu jakiegoś znikowanego pisarza, który rozwalił się samochodem i albo wczuł się głęboko w las, aby tam zdechnąć, albo po prostu poszedł gdzieś sobie w diabły, zapominając o całym świecie i wszystkim, co go z nim łączyło.

Glina, który wysiadł zza kierownicy samochodu, miał co najmniej czterdziestkę i bary szerokie jak wrota stodoły. Jego twarz była wycięta z bloku granitu, z paroma wyżłobionymi w niej bruzdami wokół oczu i w kącikach ust. Annie była potężną kobietą, ale przy tym mężczyźnie sprawiała wrażenie karlicy. Poza tą była jeszcze jedna różnica. Gliniarz, którego

zabiła Annie, był sam. W tym samochodzie zaś na siedzeniu obok kierowcy zajmował miejsce mały, przygarbiony cywil o prostych jasnych włosach. Wsiadł z wozu.

Dawid i Goliat — pomyślał Paul. Mutt i Jeff. Jezu.

Cywil nie tyle przeszedł, ile raczej przetruchtał obok samochodu. Jego twarz sprawiała wrażenie starej i zniszczonej. Była twarzą człowieka, który na wpeł śpi... z wyjątkiem jego przyblakłych, niebieskich oczu. Te oczy były otwarte szeroko — patrzyły wszędzie naraz. Paul uznał, że ten typ musi być szybki.

Spisali Annie, a ona zaczęła z nimi rozmawiać — najpierw uniosła wzrok, żeby zamienić parę słów z Goliatem, a potem odwróciła się odrobinę i spuściła wzrok, żeby odpowiedzieć Dawidowi. Paul zastanawiał się, co by się stało, gdyby znów rozbił szybę i zaczął wzywać pomocy. Uznał, że mieli osiem szans na dziesięć, żeby wziąć nad nią górę. O, tak, była szybka, ale wielki gliniarz sprawiał wrażenie, jakby mógł być od niej szybszy — pomimo swojej niezwyklej postury — i na tyle silny, aby gołymi rękami wrywać z ziemi średniej wielkości drzewka. Pewny i spokojny krok cywila mógł być tak samo zwodniczy jak jego zaspane spojrzenie. Uznał, że mieli szansę, aby wziąć nad nią górę... Chyba że to, co zaskoczyłoby ich, nie zaskoczyłoby jej i nie zapewniłoby tego bezcennego ułamka sekundy forów.

Płaszcz cywila. Mimo że było gorąco, był zapięty. Gdyby najpierw zastrzeliła Goliata, miałyby szansę wpakować Dawidowi kulę w twarz, zanim zdążyłby rozpiąć płaszcz i dobrać broni. Co więcej, ten zapięty płaszcz sugerował, że Annie miała rację — to chyba rzeczywiście była tylko rutynowa inspekcja. Chyba.

“To nie ja go zabiłam — wiesz. Ty go zabiłeś. Gdybyś tylko przymknął gębę na kłódkę, wysłałabym go w dalszą drogę. Żyłby teraz”...

Czy on w to uwierzył? Nie — oczywiście, że nie. Ale wciąż tkwiło w nim to silne, bolesne poczucie winy — jak głęboka, kluta rana. Czy miał trzymać gębę na kłódkę, bo istniały dwie szansę na dziesięć, że jeżeli ją otworzy — dwóch policjantów przypłaci życiem jego niesubordynację? Odpowiedź brzmiała — nie. Byłoby nieźle, gdyby mógł przekonać się tak szczytnym motywem. Powód był prosty. Chciał osobiście zająć się Annie Wilkes.

Oni co najwyżej wpakowaliby cię do mamra, ty dziwko — pomyślał. Ja wiem, jak cię zranić.

Zawsze istniała możliwość, że wyczują szczura. Chwywanie szczurów było wszakże ich zawodem i z całą pewnością musieli coś wiedzieć na temat przeszłości Annie. Jeżeli tak miało się stać, to niech tak będzie, ale miał wrażenie, że Annie tym razem wymknęłaby się sprawiedliwości.

Paul wiedział teraz tyle na temat całej sprawy, ile — jak przypuszczał — powinien wiedzieć. Annie od czasu jej długiego snu przez cały czas słuchała radia; jedną z najważniejszych poruszanych tam spraw było zaginięcie policjanta — niejakiego Duane'a Kushnera. Jego zniknięcia nie powiązano jak na razie z faktem, że prowadził on poszukiwania znanego i popularnego pisarza nazwiskiem Paul Sheldon. Przynajmniej na razie. Wiosenne roztopy zmyły jego camaro — o pięć mil w dół strumienia. Poobijany i zdezelowany wóz mógł spoczywać w lesie jeszcze przez miesiąc, a może nawet i rok, gdyby nie zadziwiający zbieg okoliczności. Paru jurnych facetów z helikopterowej brygady Gwardii Narodowej wysłanych na rutynową kontrolę pól w związku z kampanią antynarkotykową (innymi słowy — szukając nielegalnych plantacji) zauważyło odbicie słońca w tym, co pozostało z przedniej szyby camaro, i wylądowało w pobliżu, aby przyrzeć się temu uważniej. Skutki wypadku zostały dość skutecznie zatarte, zanim camaro dotarł po wielu burzliwych przejściach do miejsca swego ostatecznego spoczynku. Czy w samochodzie znajdowały się jakieś ślady krwi, które można by wykorzystać do analizy sądowej (jeżeli w ogóle przeprowadzono taką analizę), tego w radiu nie podano. Paul wiedział, że odnalezienie śladów krwi prawie na pewno nie było możliwe — jego wóz spędził niemal całą wiosnę w strumieniu, a potem niejako na dodatek został przeniesiony przez rwący prąd o pięć mil od miejsca katastrofy. W Colorado większość uwagi była poświęcona policjantowi Duane'owi Kushnerowi, co — jak przypuszczał — potwierdzali obecni w domu Annie dwaj goście. Jak dotąd rozmowa dotyczyła tylko trzech rzeczy: "księżycowego blasku", marihuany i kokainy. Wydawało się możliwe, że Kushner poszukując zaginionego pisarza mógł przypadkiem natknąć się na nielegalną plantację, destylatornię albo może nawet cały magazyn narkotyków. I w miarę jak nadzieja na odnalezienie Kushnera żywego słabła, zaczęły pojawiać się coraz częściej i głośniejsze pytania, dlaczego wyruszył w drogę w pojedynkę — bo choć Paul wątpił, że stan Colorado miał dostatecznie dużo pieniędzy, aby finansować system dwójkowych policyjnych

patroli, było rzeczą oczywistą, że w teren, który miał przeczesywać Kushner, powinno się udać dwóch przedstawicieli prawa. Na wszelki wypadek. Aby wyeliminować ryzyko.

Goliat skinął w stronę domu. Annie wzruszyła ramionami i pokręciła głową. Dawid powiedział coś. Po chwili skinęła głową potakująco i poprowadziła ich ścieżką do drzwi kuchennego wejścia.

Paul usłyszał pisk zawiasów, a potem weszli do środka. Odgłos tyłu par stóp w korytarzu przeraził go, był swego rodzaju profanacją.

— O której on się tu zjawił? — spytał Goliat. To musiał być Goliat. Miał głos typowego mieszkańca środkowego zachodu ochrypiły od papierosów.

— Mniej więcej około czwartej — powiedziała Annie. Właśnie skończyła przyszywać trawniki i nie miała przy sobie zegarka. Było diabelnie gorąco, pamięta to bardzo dobrze.

— Jak długo tu pozostał, pani Wilkes? — spytał Dawid.

— Panno Wilkes, jeśli łaska.

— Proszę mi wybaczyć.

Annie stwierdziła, że nie pamięta dokładnie, jak długo to trwało, ale z całą pewnością niezbyt długo, jakieś pięć minut.

— Pokazał pani zdjęcie?

— Tak — potwierdziła Annie. — Dlatego przyjechał.

Paul nie mógł się nadziwić, jak miło i łagodnie brzmiał jej głos.

— I widziała pani mężczyznę z tego zdjęcia?

Annie stwierdziła, że to był Paul Sheldon i że poznała go od razu.

— Mam wszystkie jego książki — powiedziała. — Bardzo je lubię. Oficer Kushner był tym chyba rozczarowany. Powiedział, że jeżeli tak, to z całą pewnością wiem, o czym mówię. Był bardzo zniechęcony. I zmęczony.

— Tak. Dzień był bardzo upalny — rzekł Goliat, a Paul przeraził się bliskością jego głosu. W salonie?

Tak. Najprawdopodobniej byli teraz w salonie. Olbrzymi czy nie, facet poruszał się jak ryś. Kiedy Annie odpowiedziała, jej głos był jeszcze bliższy. Gliniarze weszli do saloniku. Podążyła ich śladem. Nie prosiła ich o to, ale oni i tak weszli do środka. Przeszukiwali dom. Choć jej ulubiony pisarz znajdował się teraz o niecałe 35 stóp od nich, głos Annie pozostał nie zmieniony. Spytała, czy chciałby wypić filiżankę mrożonej kawy, odpowiedział, że nie. Spytała więc, czy chciałby wziąć ze sobą na drogę butelkę zimnej...

— Proszę tego nie niszczyć — przerwała sama sobie Annie, a jej głos stał się nagle oschły i cięty. — Lubię moje cacuszka, a większość z nich jest naprawdę bardzo krucha.

— Przepraszam panią. — To musiał być Dawid — jego głos był cichy i szepczący, przepełniony jednocześnie skrucą i zdziwieniem. W innych okolicznościach ton głosu policjanta zapewne by go rozbawił, ale w tych Paulowi wcale nie było do śmiechu. Siedział sztywno słysząc cichy odgłos czegoś stawianego ostrożnie na stole (może był to pingwin na górze lodowej) — z dłońmi wczepionymi kurczowo w oparcie fotela. Wyobrażał sobie Annie, jak gmera dłońią przy swojej materiałowej torbie. Czekał, jak jeden z policjantów — być może Goliat — zapyta ją, co też ona tam trzyma w środku. Wtedy rozpoczęłaby się strzelanina. — Co pani powiedziała? — spytał Dawid.

— Spytałam go, czy chciałby wziąć ze sobą butelkę pepsi prosto z lodówki, bo był taki gorący dzień. Trzymam je tuż obok zamrażalnika i dzięki temu są naprawdę zimne, ale nie zamarzają. Powiedział, że to byłoby naprawdę miło. Był bardzo uprzejmym chłopcem. Czy wiecie, dlaczego pozwolili takiemu młodemu chłopakowi pojechać na patrol w pojedynkę?

— Czy wypił tę pepsi tutaj? — spytał Dawid ignorując jej pytanie. Jego głos był spokojny, pełen opanowania. Przeszedł przez salonik.

Paul nie musiał zamykać oczu, aby go sobie wyobrazić stojącego w drzwiach i patrzącego na drugą stronę niewielkiego korytarzyka, który przechodził w dolną łazienkę i kończył się gościnną sypialnią. Paul siedział spięty i wyprężony jak struna — serce podchodziło mu do gardła. Puls gnał jak oszalały.

— Nie — powiedziała Annie spokojnie jak dotychczas. — Zabrał ją ze sobą. Powiedział, że wypije po drodze.

— Co jest tam dalej? — spytał Goliat. Rozległ się stukot dwóch par policyjnych butów — dźwięk nieco przygłuszony, kiedy wyszli z wyłożonego dywanem saloniku na nagie deski korytarza.

— Łazienka! Druga sypialnia. Czasami śpię tam, gdy jest bardzo duszno. Proszę, wejdźcie, panowie, jeżeli chcecie, ale przysięgam, że nie znajdziecie tam waszego kolegi przywiązanego do łóżka.

— Nie, proszę pani. Jestem o tym przekonany — rzekł Dawid i, co niezwykle, ich głosy i kroki zaczęły cichnąć. Wracali do kuchni. — Czy wydawał się czymś podekscytowany, kiedy z panią rozmawiał?

— W zasadzie nie — odparła Annie. — Tylko zmęczony i zniechęcony.

Paul znów zaczął oddychać.

— Zaabsorbowany czymś?

— Nie.

— Mówił, dokąd się wybiera?

Choć gliniarze na pewno nie zwrócili na to uwagi, Paul wychwytał czujnym uchem krótką chwilę wahania — to mogła być pułapka, potrzask, który mógł zamknąć się natychmiast albo z niewielkim opóźnieniem.

— Nie — odparła w końcu — ale pojechał na zachód, toteż przypuszczam, że musiał wyruszyć w stronę Springer's Road i kilku innych farm na tej trasie.

— Dziękujemy za współpracę z pani strony — rzekł Dawid. — Być może jeszcze się tu zjawimy.

— W porządku — powiedziała Annie — czujcie się zaproszeni. To dla mnie prawdziwa przyjemność. Ostatnimi czasy nie narzekam na nadmiar gości.

— Czy miałyby pani coś przeciwko temu, abyśmy rzucili okiem na pani stodołę? — spytał nagle Goliat.

— Ależ skąd, tylko nie zapomnijcie się przywitać, wchodząc do środka.

— Z kim, proszę pani? — spytał Dawid.

— Jak to z kim? Z Misery — odparła Annie. — Z moją świnią.

31

Stała w drzwiach przyglądając mu się z uwagą i takim napięciem, że gorąco napłynęło mu do twarzy i miał wrażenie, że zaczyna się czerwienić. Dwaj policjanci odjechali przed kwadransem.

— Coś nie tak? — spytał w końcu.

— Dlaczego nie zacząłeś krzyczeć?

Obaj pożegnali się z nią szarmancko, ale nie uśmiechali się wsiadając do samochodu. Paul, nawet ze swego ustronnego kącika w rogu pokoju, był w stanie dostrzec ich wzrok — dziwny wyraz ich oczu. Wiedzieli, z kim mają do czynienia.

— Byłam prawie pewna, że zaczniesz krzyczeć. Spadliby na mnie jak lawina.

— Może. A może nie.

— Ale dlaczego tego nie zrobiłeś?

— Annie, jeżeli przez całe życie zakładasz, że musi ci się przytrafić tylko to co najgorsze, to przecież może się zdarzyć, że się czasem pomylisz.

— Nie zgrywaj cwaniaka! — Zdał sobie sprawę, że pod maską beznamietności była naprawdę mocno zakłopotana. Jego milczenie nie pasowało zbyt dobrze do jej wyobrażenia egzystencji jako swego rodzaju meczu wszechczasów — wolnej amerykanki: — Przyzwoita Annie kontra perfidny podstępny i perwersyjny zespół zafajdanych gnojzków.

— Kto próbuje zgrywać cwaniaka? Powiedziałem, że będę trzymał gębę na kłódkę i zrobiłem to. Chcę dokończyć moją książkę we względnym spokoju. I chcę ją skończyć dla ciebie.

Spojrzała na niego niepewnie, jakby chciała mu uwierzyć i bała się tego... w końcu uwierzyła. I miała prawo wierzyć, bo powiedział jej prawdę.

— No to zabierz się do pracy — powiedziała łagodnym tonem. — Zabierz się do pracy, i to jak najszybciej. Widziałeś, jak na mnie patrzyli.

32

Przez następne dwa dni życie toczyło się tym samym torem co przed śmiercią Duane'a Kushnera. Można by nawet uwierzyć, że Duane Kushner w ogóle nie istniał. Paul pisał niemal bez przerwy. Na pewien czas zerwał z maszyną do pisania. Annie odstawiała ją na kominek bez słowa komentarza. W ciągu dwóch dni zapełnił trzy bloki papieru listowego. Został mu tylko jeden, kiedy zapełni i ten, może przerzucić się na blok stenograficzny. Zaostrzyła mu pół tuzina ołówków typu Berol Black Warrior; pisał, dopóki się nie stępiły, a Annie naostrzyła je ponownie. Stopniowo kurczyły się, kiedy siedział w słońcu, przy oknie, pochylony, czasami drapiąc nieświadomie wielkim palcem prawej nogi w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się jego lewa stopa, spoglądając w dziurę w papierze. Znowu rozszerzyła się niepomiernie, a książka nabrała tempa — pędziła w stronę zakończenia, jak najlepsze dzieła tego rodzaju — mknąc niczym rakieta. Widział wszystko z wyśmienitą wyrazistością — trzy grupy poszukujące Misery w mrocznych kamiennych korytarzach w skale za głową posągu — dwie, chcące ją zabić — trzecia, złożona z Iana, Geoffreya i Hezekiaha pragnąca ją uratować... podczas gdy poniżej wioska Bourkasów stała w płomieniach, a ocaleli z pożogi tubylcy tłoczyli się przy jedynym z wyjść — lewym uchu bogini — aby zaszlachtować każdego, komu uda się wydostać stamtąd żywym. Ów stan niemal hipnotycznego

zaabsorbowania pracą został zachwiany (ale nie przerwany), kiedy, na trzeci dzień po wizycie Dawida i Goliata, na podjeździe przed domem Annie zatrzymała się kremowa półciężarówka marki Ford z napisem KTKA (Grand Junction) na bocznych drzwiczkach. Tył wozu był zawałony sprzętem i aparaturą wideo.

— O Boże! — rzekł Paul tonem zastygłym pomiędzy rozbawieniem, zdziwieniem i przerażeniem. — A co to za dziwo?

Ledwo tylko samochód stanął, tylne drzwiczki otworzyły się na oścież i na podjazd wyskoczył facet ubrany w wojskowe spodnie i podkoszulek z wizerunkiem Trupiej Czaszki. W jednej ręce trzymał coś dużego i czarnego. Paul myślał z początku, że to pistolet z ładunkami gazu łzawiącego. Po chwili mężczyzna uniósł tajemniczy przedmiot do ramienia i łagodnym łukiem odwrócił się w stronę domu, a Paul zobaczył, że była to minikamera.

Z przedniego siedzenia wysiadła młoda, ładna kobieta — szpanując świeżo zrobioną fryzurą, zatrzymując się na chwilę przy bocznym lusterku, aby sprawdzić makijaż, zanim dołączyła do kamerzysty. Oko zewnętrznego świata, które przez ostatnie parę lat nie spoglądało na Smoczycę, obecnie znów mściwie zwróciło na nią uwagę. Paul błyskawicznie odsunął się od okna, mając nadzieję, że zrobił to dostatecznie szybko.

No... jeżeli chcesz wiedzieć na pewno, obejrzyj wiadomości o szóstej — pomyślał, a potem uniósł ręce do ust, żeby stłumić chichot. Boczne drzwi otworzyły się i zamknęły z trzaskiem.

— Wynocha stąd! — wrzasnęła Annie. — Wynocha z mojego terenu!

Stłumione: — Panno Wilkes, chcieliśmy tylko...

— Jeżeli nie wyniesiecie się stąd, i to już, to zarobicie parę gramów ołowiu w te wasze zafajdane sraki!

— Panno Wilkes, jestem Glenna Roberts z KTKA...

— Nie obchodzi mnie, czy jesteś John Q Jezus Johnny Cake Chrystus z planety Mars! Wynocha z mojego terenu albo was rozwalę!

— Ale... *Kapow!*

Och Annie, Jezu, Annie zabiła któregoś z tych kretyńskich...

Przetoczył się z powrotem i wyjrzał przez okno. Nie miał wyboru. Musiał to zobaczyć. Ogarnęło go uczucie ulgi. Annie wystrzeliła w powietrze. Glenna Roberts pędziła w stronę półciężarówki. Kamerzysta nakierował sprzęt w stronę Annie. Annie zwróciła swoją strzelbę w stronę kamerzysty. Kamerzysta uznawszy, że woli jeszcze trochę pożyć i obejrzeć na żywo koncert grupy Grateful Dead, niż nakręcić krótki i ostatni w swojej karierze film na temat

Smoczy, wskoczył na tylne siedzenie wozu. Zanim zatrzasnął drzwiczki, półciężarówka już wykręcała na podjeździe.

Annie stała ze strzelbą w dłoni patrząc, jak odjeżdżają, a potem wolnym krokiem wróciła do domu.

Usłyszał trzask, kiedy odłożyła strzelbę na stół. Potem zeszła na dół do pokoju Paula. Wyglądała gorzej niż kiedykolwiek dotąd — jej twarz była wychudła i blada, przez cały czas rozglądała się wokoło.

— Oni wrócili — wyszeptwała.

— Uspokój się.

— Wiedziałam, że te gnoje wrócą. I wrócili.

— Odeszli, Annie. Zmusiłaś ich, żeby odeszli.

— Oni nigdy nie odejdą. Ktoś powiedział im, że ten gliniarz był w domu Smoczy, zanim zniknął. I dlatego tu przyjechali.

— Annie?

— Wiesz, czego oni chcą? — spytała.

— Oczywiście. Miałem do czynienia z prasą — chcą tego samego co zawsze, popieprzyć z tobą o różnych głupotach, nagrać odpowiednio dużo materiału, a potem żeby ktoś postawił im coś mocniejszego i puścił ich program w telewizji. Ale, Annie, uspo...

— TEGO chcą — powiedziała i uniosła jedną zakończoną długimi paznokciami dłoń do czoła. Gwałtownie machnęła ręką w dół, zostawiając na ciele cztery głębokie bruzdy. Krew spływała jej po brwiach, w dół po policzkach i po obu stronach jej nosa.

— Annie, przestań!

I TEGO! — wymierzyła sobie siarczysty policzek z lewej na tyle mocny, że został po nim czerwony ślad.

— I TEGO! — Policzek z prawej jeszcze mocniejszy, z ran wyżłobionych przez jej paznokcie trysnęło parę kropel krwi.

— PRZESTAŃ! — krzyknął.

— TEGO WŁAŚNIE CHCĄ! — odrzyknęła. Uniosła ręce do czoła, przycisnęła je do ran i umazała we krwi. Wyciągnęła zakrwawione ręce w jego stronę i na krótką chwilę znieruchomiała. Potem ciężkim krokiem wyszła z pokoju. Minęło sporo czasu, nim Paul ponownie zabrał się do pracy. Z początku pisało mu się ciężko — przeszkadzała mu w tym wizja Annie rozdrapującej sobie twarz paznokciami. Zastanawiał się, czy nie powinien odłożyć swojej pracy na następny dzień — miał wrażenie, że to, co napisze po tak dramatycznych przejściach, nie będzie zbyt dobre, ale powieść pochłonęła go bez reszty i

ponownie runął w głąb dziury, która pojawiła się na papierze. Jak zawsze w owym okresie, ogarnęło go przy tym uczucie błogosławionej ulgi.

33

Następnego dnia przyjechało więcej policji — tym razem lokalni kowboje. Wraz z nimi był chudy jak szczapa facet z walizką, w której najprawdopodobniej znajdowała się maszyna do stenografowania. Annie stała z nimi na podjeździe słuchając, z twarzą pozbawioną wyrazu. Potem zaprowadziła ich do kuchni. Paul siedział cicho, z blokiem stenograficznym na udzie (poprzedniego wieczoru zapisał ostatni blok papieru listowego) i słuchał głosu Annie, kiedy składała zeznanie powtarzając słowo w słowo to, co przed czterema dniami powiedziała Dawidowi i Goliatowi. Nie było to — pomyślał Paul — niczym więcej niż zwyczajnym bezceremonialnym najściem. Był rozbawiony i zaskoczony, kiedy zdał sobie sprawę, że jest mu trochę żal Annie Wilkes.

Glina z Sidewinder, który zadawał najwięcej pytań, zaczął od powiedzenia Annie, że jeśli tego chce, może złożyć swoje zeznanie w obecności adwokata. Annie odmówiła i po prostu raz jeszcze opowiedziała swoją historyjkę. Paul nie zauważył żadnych odstępstw od poprzedniego schematu.

Siedzieli w kuchni przez pół godziny. Pod koniec jeden z nich spytał, skąd się wzięły u niej zadrapania na czole.

To się stało w nocy — powiedziała. — Miałam zły sen. — O czym?

— Śniło mi się, że znowu zjawili się tu ludzie, którzy pamiętali mnie jeszcze z tamtego okresu, choć minęło już tyle lat.

Kiedy odjechali, Annie weszła do jego pokoju. Wyglądała blado i mizernie, jakby była chora.

— To miejsce zaczyna się zmieniać w Grand Central — rzekł Paul. Nie uśmiechnęła się.

— Ile jeszcze?

Zawahał się — spojrzał na plik kartek maszynopisu z ułożonym na nich stosikiem stronic rękopisu, a potem przeniósł wzrok na Annie.

— Dwa dni — stwierdził. — Może trzy.

— Kiedy zjawią się tu następnym razem, będą mieli nakaz rewizji — powiedziała i wyszła, zanim zdążył odpowiedzieć.

34

Przyszła wieczorem, jakiś kwadrans przed dwunastą i powiedziała:

— Już od godziny powinieś być w łóżku, Paul.

Uniósł wzrok, ze zdziwieniem, wyrwany z pisarskiego rytmu — Geoffrey, który jak się okazało, przejął funkcję wiodącej postaci tej powieści, znalazł się właśnie oko w oko z odrażającą Królową Pszczół, z którą musiał się zmierzyć w śmiertelnej walce, a stawką w tym pojedynku było życie Misery.

— To nieważne — powiedział. — To może poczekać. Jak się wpadnie w rytm, trzeba korzystać — on nie pojawia się na zawołanie.

Potrząsnął dłonią, która była napuchnięta i obolała. Od wewnątrz na jego palcu wskazującym, w miejscu gdzie najmocniej dociskał ołówek, pojawiła się olbrzymia narośl — na poły zrogowacenie, na poły pęcherz. Miał pigułki, które poradziłyby sobie z bólem, ale jednocześnie wpłynęłyby negatywnie na umysł. Jego myśli nie byłyby tak jasne i żywe jak obecnie.

— Myślisz, że to jest dobre, prawda? — spytała cicho. — Naprawdę dobre. Nie piszesz tego tylko dla mnie. Już nie. Prawda?

— O, nie — powiedział. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powiedzieć czegoś więcej, na przykład: to nigdy nie było dla ciebie, Annie, ani dla żadnego z tych ludzi, którzy podpisują swoje listy

“Twój najzagorzalszy wielbiciel”. Kiedy zaczniesz pisać, ci ludzie przestają dla ciebie istnieć — zmieniają się w mieszkańców planet znajdujących się na drugim końcu galaktyki czy coś w tym stylu. Tak samo nigdy nie pisałem swoich książek dla moich byłych żon, mojej matki czy mojego ojca. Powodem, dla którego autorzy prawie zawsze dedykują komuś swoją powieść, Annie, jest to, że w końcu wszyscy zdają sobie sprawę z własnego egoizmu i to napawa ich grozą.

Ale mówienie jej takich rzeczy nie byłoby zbyt rozsądne.

Pisał do świtu, a potem położył się do łóżka i spał przez cztery godziny. Jego sny były pogmatwane i nieprzyjemne. W jednym z nich ojciec Annie wchodził po długich krętych

schodach. W rękach trzymał koszyk czegoś, co przypominało spinacze do gazet. Paul próbował krzyknąć i ostrzec go, ale za każdym razem, kiedy otworzył usta, dobywał się z nich starannie dobrany fragment opowiadania. Choć za każdym razem inny, zaczynał się identycznie — Pewnego dnia... — jakiś tydzień później...

I wtedy pojawiała się Annie Wilkes i krzyżąc przebiegała przez korytarz z wyciągniętymi rękami, aby zadać swemu ojcu mordercze pchnięcie... tyle tylko, że jej krzyki stawały się dziwnie brzęczące, a ciało ukryte pod wełnianym swetrem falowało i wyginało się w łuk, ponieważ Annie Wilkes zmieniała się w pszczołę.

35

Następnego dnia nie pojawił się żaden przedstawiciel prawa, za to pokazało się wielu nieoficjalnych przyjezdnych. Gapie. Ciekawscy. Jeden z samochodów był pełen nastolatków. Kiedy wjechali na podjazd, żeby wykręcić w drugą stronę, Annie wybiegła z domu i wrzasnęła, żeby się wynosili, zanim powystrzela ich jak wściekłe psy.

— Pierdol się, Smoczyco! — krzyknął jeden z nich.

— Gdzieś go pochowała?! — wrzasnął inny, kiedy spod tylnych kół samochodu trysnęła fontanna piachu i kurzu.

Trzeci rzucił butelkę po piwie. Kiedy wóz odjechał z rykiem, Paul wyglądając przez okno dostrzegł na zderzaku ich samochodu następującą nalepkę: POPIERAJCIE NIEBIESKIE DIABŁY Z SIDEWINDER.

W godzinę później zobaczył Annie przechodzącą ponuro przed jego oknem. Szła do stodoły, a po drodze zakładała leniwie parę roboczych rękawic. Niedługo potem wróciła trzymając w dłoni łańcuch. Zamocowanie na stalowych palikach drutu kolczastego nie zajęło jej zbyt wiele czasu. Kiedy skończyła z montażem drutu w poprzek podjazdu, sięgnęła do kieszeni na piersi i wyjęła z niej parę strzępów czerwonej szmaty. Przywiązała je do ogniwo łańcucha, żeby jej mała zapora była dobrze widoczna.

— To nie powstrzyma gliniarzy — powiedziała, kiedy w końcu weszła do sypialni — ale powstrzyma resztę tego tałatajstwa.

— Tak.

— Twoja ręka jest chyba opuchnięta.

— Tak.

— Nie lubię odgrywać roli zafajdanej żony, Paul, ale...

— Jutro — powiedział.

— Jutro? Naprawdę? — Pojaśniała od razu.

— Tak. Myślę, że tak. Prawdopodobnie około szóstej.

— Paul, to cudownie! Czy mogę zacząć czytać już teraz, czy też...

— Wolałbym, żebyś zaczekała.

— To zaczekam. — W jej oczach znów pojawiło się to miękkie, delikatne spojrzenie.

Nienawidził tego jej wyglądu i tego spojrzenia najbardziej ze wszystkich. — Kocham cię, Paul. Wiesz o tym, prawda?

— Tak — powiedział. — Wiem. I znów pochylił się nad kartką.

36

Tego wieczora przyniosła mu keflexa (jego infekcja moczowodów rozwijała się, aczkolwiek bardzo powoli) i kubek lodu. Położyła obok niego zwinięty starannie ręcznik i wyszła bez słowa. Paul odłożył ołówek na bok — musiał użyć palców lewej ręki, żeby poodginać palce prawej — i włożył dłoń do kubka z lodem. Trzymał ją tam, dopóki niemal całkiem mu nie zdrętwiała. Kiedy ją wyjął, miał wrażenie, że opuchlizna trochę się zmniejszyła. Owinął rękę ręcznikiem i siedział, wpatrując się w ciemność, dopóki nie poczuł mrowienia w palcach dłoni. Odłożył ręcznik na bok, przez chwilę rozluźniał dłoń (z początku było to dość bolesne, ale już wkrótce ręka zaczęła odzyskiwać dawną sprawność) i znowu zabrał się do pisania. O świcie przesunął fotel do łóżka, przeczołgał się na nie i niemal natychmiast zasnął. Śnił, że zgubił się podczas burzy śnieżnej — tyle że to nie był śnieg, lecz unoszące się w powietrzu kartki, które zapełniały świat, niszczyły poczucie kierunku, a każda strona była pokryta maszynowym tekstem, w którym brakowało “n”, “t” i “e”, a on wiedział, że jeżeli uda mu się dożyć do końca śnieżycy, będzie musiał sam wypełnić wszystkie luki odręcznie, rozszyfrowując słowa, których prawie nie było.

Obudził się około jedenastej i kiedy tylko Annie usłyszała, że się rusza, pojawiła się w jego pokoju ze szklanką soku pomarańczowego, pigułkami i miską gorącego rosółu. Promieniała z podniecenia.

— To bardzo szczególny dzień, prawda, Paul?

— Tak — próbował podnieść łyżkę prawą ręką, ale nie mógł. Była napuchnięta i czerwona, tak nabrzmiała, że skóra prawie lśniła; kiedy próbował złożyć dłoń w pięść, miał wrażenie, jakby ktoś na chybił trafił poprzebijał ją długimi stalowymi prętami. Ostatnie kilka dni — pomyślał — były niczym jakaś koszmarna sesja autografów, która ciągnie się w nieskończoność.

— Och, twoja biedna ręka — krzyknęła. — Dam ci jeszcze jedną pigułkę. Już! Teraz!

— Nie. To narkotyk. Chcę mieć jasną głowę.

— Ale przecież nie możesz pisać dalej taką ręką!

— Nie — zgodził się. — Na pewno nie tą ręką. Zamierzam skończyć tę dziecinę tak, jak zacząłem — za pomocą royalą. Osiem czy dziesięć stron — powinienem dać sobie radę. Myślę, że poradzę sobie z wpisywaniem tych wszystkich “t”, “e” i “n”.

— Powinnam była załatwić ci inną maszynę — powiedziała. Wyglądało na to, że było jej przykro, miała łzy w oczach.

Paul uznał, że w takich chwilach jak ta wyglądała naprawdę upiornie, bo właśnie wtedy dostrzegał w niej kobietę, jaką mogłaby być, gdyby zachowywała się normalnie albo gdyby wszystkie te śmieszne gruczoły pracujące w jej wnętrzu działały mniej zawodnie. A może jedno i drugie.

— Skrewiłam sprawę. Ciężko mi się do tego przyznać, ale to prawda. Bo nie chciałam przyznać, że ta Dartmonger może być ode mnie lepsza. Przykro mi, Paul. Twoja biedna ręka.

Uniosła ją delikatnie jak Niobe nad Sadzawką i pocałowała ją.

— Nie ma sprawy — powiedział. — Ducky Daddles i ja damy sobie radę. Nienawidzę go, ale mam wrażenie, że on też za mną nie przepada i dlatego, jak sędzę, jesteśmy kwita.

— O czym ty mówisz?

— O royalu. To jego ksywa — po takim typie z filmu animowanego.

— Och... — umilkła. Wyłączyła się. Zamknęła się w sobie. Czekał cierpliwie, aż wróci, kończąc zupę łyżką trzymaną niezdarnie pomiędzy pierwszym i drugim palcem lewej ręki.

Kiedy w końcu wróciła, spojrzała na niego i uśmiechnęła się promiennie jak kobieta, która dopiero co się obudziła i uświadomiła sobie, że zapowiada się wspaniały dzień.

— Skończyłeś? Jeśli tak, to mam dla ciebie coś specjalnego. Pokazał jej prawie pustą miskę — na dnie zostało jeszcze trochę przylepionych klusek.

— Widzisz, jaka ze mnie Pszczółka, Annie? — powiedział, bez cienia uśmiechu.

— Jesteś najwspanialszą Pszczołą, jaka kiedykolwiek istniała, Paul, i dostaniesz cały rząd złotych gwiazdek. Prawdę mówiąc... poczekaj. Poczekaj, zaraz zobaczysz.

Wyszła, zostawiając Paula ze wzrokiem utkwionym na przemian w wizerunku Łuku Triumfalnego i kalendarzu. Uniósł głowę i spojrzał na sufit, na którego powierzchni widniały przecinające się ze sobą, tańczące pijacki taniec litery “W”. Na koniec spojrzał na maszynę do pisania i spory, niechlujny stosik maszynopisu.

Żegnajcie — pomyślał mętnawo i w tej samej chwili do pokoju wpadła Annie, niosąc jeszcze jedną tacę.

Stały na niej cztery talerze — na jednym plasterki cytryny, na drugim jajecznicą, na trzecim tosty. Pośrodku stał większy talerz, na którym wznosiła się

(obrzydliwa) paciowata góra kawioru.

— Nie wiem, czy to lubisz, czy nie — powiedziała nieśmiało. — Nie wiem nawet, czy ja to lubię. Nigdy nie próbowałam.

Paul wybuchnął śmiechem. To obudziło ból w jego żołądku, nogach i ręce — wiedział, że najprawdopodobniej już wkrótce ból stanie się o wiele bardziej dotkliwy, bo Annie była nienormalna i jej paranoja kazała jej przypuszczać, że jeżeli ktoś się śmiał, to musiał się śmiać z niej. Ale mimo to nie potrafił przestać. Śmiał się, dopóki nie zaczął się dusić i krztusić jego policzki poczerwieniały, łzy popłynęły z oczu. Kobieta, która odrąbała mu stopę siekierą i odcięła kciuk elektrycznym nożem, przyniosła mu teraz, talerz z porcją kawioru, wystarczającą do wykończenia bardziej wygłodniałej świni. To niesamowite, ale na jej twarzy nie pojawiła się mroczna jak noc szczelina. Wręcz przeciwnie. Annie zaczęła się śmiać razem z nim.

Kawior jest jedną z tych rzeczy, którą zazwyczaj albo się lubi, albo nie, ale Paul nie podzielał ani jednej, ani drugiej opinii. Gdyby leciał pierwszą klasą i stewardesa postawiłaby przed nim talerz, zjadłby porcję kawioru i zapomniałby, że coś takiego w ogóle istnieje, aż do następnej tego typu okazji.

Ale teraz jadł łączywie, nie żałując sobie ani trochę, jakby po raz pierwszy w życiu odkrył Wielką Zasadę Jedzenia.

Annie w ogóle nie zwracała na to uwagi. Uszczknęła odrobinę z talerzyka, który ustawiła na tacy obok tostów, skrzywiła się z obrzydzeniem i odstawiła na bok. Paul jednak jadł z nie słabnącym entuzjazmem. W ciągu piętnastu minut zjadł niemal połowę Góry Bieługi. Czknął, zakrył usta i spojrzał z pokorą na Annie ta wybuchnęła śmiechem.

Myślę, że cię zabiję, Annie — pomyślał i uśmiechnął się do niej ciepło. Naprawdę. Może i zabierzesz mnie ze sobą — prawdopodobnie tak, ale przynajmniej odejdę z żołądkiem pełnym kawioru. Mogło być gorzej.

— To było wspaniałe, ale już więcej nie mogę — powiedział.

— Porzygałbyś się, gdybyś jadł dalej — powiedziała. — To bardzo pożywne. — Uśmiechnęła się. — Mam dla ciebie jeszcze jedną niespodziankę. Butelkę szampana. Na później... kiedy już skończysz książkę. Dom Perignon. Kosztuje siedemdziesiąt pięć dolarów! Za butelkę! Chuckie Yoder ze sklepu z alkoholem mówi, że to najlepsza marka.

— Chuckie Yoder ma racje — rzekł Paul, dodając w myślach, że to w gruncie rzeczy właśnie dzięki temu szampanowi znalazł się w tym piekle. Przerwał na chwilę, po czym rzekł: — Chciałbym cię prosić o jeszcze jedną rzecz. Kiedy już skończę.

— Tak? O co?

— Powiedziałaś kiedyś, że masz wszystkie moje rzeczy.

— Bo mam.

— No... w mojej aktówce był karton papierosów. Chciałbym zapalić, kiedy skończę. Jej uśmiech z wolna zaczął znikać.

— Wiesz, że te rzeczy ci szkodzą, Paul. One powodują raka.

— Annie, czy uważasz, że w obecnej sytuacji powinienem się przejmować perspektywą raka płuc?

Nie odpowiedziała.

— Chcę tylko jednego jedyne go papierosa. Kiedy kończyłem każdą ze swoich książek, miałem zwyczaj układać się wygodnie i wypalać jednego papierosa. Ten jeden zawsze smakuje najlepiej, uwierz mi — jeszcze bardziej niż dobry papieros po naprawdę dobrym posiłku. Przynajmniej tak było do tej pory. Przypuszczam, że tym razem będzie mi po nim trochę mdło i niedobrze, ale naprawdę bardzo mi zależy na tym małym ogniu z łańcucha przeszłości. Co ty na to, Annie? Graj fair. Ja grałem.

— W porządku... ale po szampanie. Nie mam zamiaru pić szampana za siedemdziesiąt pięć dolarów w pokoju wypełnionym obrzydliwym cuchnącym dymem.

— W porządku. Jeżeli przyniesiesz mi go około południa, położę sobie na parapecie, żeby móc spoglądać na niego co jakiś czas. Skończę, potem powstawiam litery, wypalę papierosa, a jak zacznie mi się robić niedobrze, to go zgaszę. Potem cię zawołam.

— W porządku — powiedziała. — Ale mimo to twoja propozycja nie przypadła mi zbyt do gustu. Nawet jeżeli ten papieros nie miałby cię przyprawić o raka płuc, to i tak nie jestem z tego wszystkiego zadowolona. A wiesz dlaczego, Paul?

— Nie.

— Bo tylko Nie-Pszczoły palą — powiedziała i zaczęła zbierać talerze.

39

— Panie Ian, czy ona...

— Ciii... — syknął groźnie Ian i Hezekiah zamilkł. Geoffrey czuł, jak puls łomocze mu w gardle.

Z zewnątrz dobiegało ciche, delikatne skrzypienie lin i takielunku, łagodne trzepotanie żagli pod wpływem nieśmiałych jeszcze podmuchów zrywającego się wiatru i rzadki, ale głośny krzyk ptaków. Od strony rufy słychać było przytłumione, chrapliwe głosy grupki marynarzy śpiewających szanty. Ale tu, w kajucie trzech mężczyzn pogrążeni byli w milczeniu. Trzech mężczyzn — dwaj biali i jeden czarny — czekali, żeby przekonać się, czy Misery przeżyje... czy...

Ian jęknął ochryple, a Hezekiah chwycił go za rękę. Geoffrey niemal nie zdawał sobie sprawy, że znajdowali się na krawędzi rozpacz. Z trudem udawało mu się opanować. Czy po tym wszystkim Bóg naprawdę mógł być aż tak okrutny, by pozwolić jej umrzeć? Kiedyś z pełnym przekonaniem zaprzeczyłby takiej teorii – przyjąłby ją bardziej z humorem aniżeli z oburzeniem. Pomyśl, że Bóg mógł być okrutny, w tamtym okresie byłby dlań czymś zgoła absurdalnym.

Ale jego zdanie na temat Boga – i na temat wielu innych spraw – zmieniło się diametralnie. Zmieniło się w Afryce. To w Afryce doszedł do wniosku, że nie istnieje jeden Bóg, ale wielu bogów i że niektórzy z nich byli nie tylko okrutni – byli obłąkani – i to wszystko zmieniło. W sumie okrucieństwo było rzeczą, którą można zrozumieć. Jednak co się tyczy obłądu – tego nie sposób wytłumaczyć. Jeżeli jego Misery naprawdę umarła, czego się obawiał, zamierzał wyjść na rufę i rzucić się za burtę. Zdawał sobie sprawy, że bogowie byli okrutni i bezwzględni (wierzył w to w głębi duszy) – ale nie miał zamiaru żyć w świecie, którym rządzą bogowie szaleńcy.

Te nieszczęsne rozmyślania przerwało ostre, na wpół zabobonne westchnienie Hezekiaha.

– Panie szefie Ian! Panie szefie Geoffrey Spójrzcie! Jej oczy! Spójrzcie na jej oczy!

Oczy Misery, te wspaniałe fiołkowe oczy o tworzyły się. Przeniosła wzrok z Iana na Geoffreya, a potem z powrotem na Iana. Przez chwilę Ian dostrzegł w jej oczach wyraz zakłopotania... ale to trwało tylko moment – rozpoznała ich, a duszę Iana rozpalił płomień radości.

– Gdzie jestem? – spytała, ziewając i przeciągając się.

– Ian, Geoffrey, czy my jesteśmy na morzu? Dlaczego jestem taka głodna?

Śmiejąc się i płacząc Ian pochylił się i wziął ją w ramiona, powtarzając raz po raz jej imię.

Zaskoczona, ale zadowolona odwzajemniła uścisk i ponieważ Misery powróciła do zdrowia, Geoffrey zdał sobie, nagle sprawę, że jest w stanie pogodzić się z ich związkiem, i to raz na zawsze. Wiedział o miłości łączącej Misery i Iana. Pogodził się z faktem, że będzie żył samotnie – mógł z tym żyć – jego wnętrze przepełniało uczucie absolutnego spokoju. Może jednak bogowie wcale nie byli szaleni... W każdym razie nie wszyscy.

Dotknął ramienia Hezekiaha.

– Myślę, stary, że powinniśmy ich teraz zostawić samych, nie uważasz?

– Chyba ma pan łację, panie szefi Geoffrey – rzekł Hezekiah. Uśmiechnął się szeroko błyskając wszystkimi siedmioma złotymi zębami.

Geoffrey po raz ostatni rzucił na nią okiem i przez ułamek sekundy ich spojrzenia spotkały się. Widok tych pięknych fiołkowych oczu rozpalił go i wypełnił, przepełnił całe jego wnętrze.

Kocham cię, moja Najdroższa – pomyślał. Słyszysz mnie?

Być może odpowiedź, którą usłyszał, była jedynie wytworem jego własnej wyobraźni, ale nie miał co do tego pewności – ten głos był zbyt wyraźny i za bardzo przypominał jej głos.

Słyszę... i też cię kocham.

Geoffrey zamknął drzwi i wyszedł na rufę statku. Zamiast rzucić się za burtę, tak jak zamierzał, zapalił fajkę i pykał ją wolniutko, obserwując czerwoną kulę słońca zachodzącą za odległą, niknącą z wolna chmurą na horyzoncie; tą chmurą było wybrzeże Afryki.

A potem, ponieważ nie mógł zrobić nic innego, Paul Sheldon wykręcił z maszyny ostatnią kartkę i nakreślił długopisem najbardziej ukochane i znieawidzone przez wszystkich pisarzy słowo

KONIEC

40

Jego napuchnięta ręka nie chciała wpisywać brakujących liter, ale zmusił ją do tego. Gdyby tego nie zrobił i nie pozbył się choć odrobiny zeszywnienia, nie dałby sobie rady z wprowadzeniem w życie reszty swojego planu. Kiedy skończył, odłożył długopis. Czuł się jak zawsze, gdy skończył książkę — dziwnie pusty, zawiedziony, przekonany, że za drobny w sumie sukces przyszło mu zapłacić absurdalnie wysoką cenę. To było stale tak samo, zawsze tak samo, jakby przedzierał się przez dżunglę porastającą olbrzymie wzgórze, a po dotarciu na szczyt i wyjściu na polanę, która się tam znajduje, jedyną nagrodę stanowił widok olbrzymiej, ruchliwej autostrady z paroma stacjami benzynowymi, kręglarniami i innymi rzeczami w podobnym stylu, mającymi dodać temu miejscu uroku. Mimo to robienie tego było dobre — zawsze. Bez wyjątku. Produkowanie tych rzeczy, tworzenie ich było czymś naprawdę wspaniałym. W dziwny, otepiały sposób rozważał: doceniał odwagę aktu tworzenia, budowania wrażenia ruchu i iluzji ciepła. Zrozumiał wreszcie — właśnie teraz, że robienie tego typu sztuczek szło mu dosyć topornie, ale tylko to potrafił i to zawsze kończyło się w ten sam sposób — aczkolwiek nie bez odrobiny prawdziwego uczucia. Dotknął stosiku maszynopisu i uśmiechnął się nieśmiało.

Jego dłoń zsunęła się ze stosu kartek papieru i przesunęła się do pojedynczego marlboro, którego zostawiła dlań na parapecie. Obok leżała porcelanowa popielniczka z

narysowanym na dnie statkiem wycieczkowym i napisem: PAMIĄTKA Z HANNIBAL, MISSOURI OJCZYZNY AMERYKAŃSKICH PISARZY!

W popielniczce znajdowało się pudełko zapalek, ale w środku spoczywała tylko jedna jedyna zapalka. To wszystko, na co mu pozwoliła. Jedna — jak uznał — powinna mu wystarczyć.

Słyszał, jak przechadza się po pokoju na górze. To dobrze. Będzie miał sporo czasu, żeby wszystko przyszykować — dostatecznie dużo czasu, żeby zrobić swoje, gdyby zdecydowała się zejść na dół, zanim zdąży przygotować się na jej przyjęcie.

A teraz pokażę ci prawdziwą sztuczkę, Annie. Zobaczymy, czy potrafię to zrobić. Zobaczymy — czy mogę?...

Pochylił się, nie zważając na ból w nogach, i zaczął palcami wyjmować obłuzowany kawałek listwy podłogowej.

41

Zawołał ją w pięć minut później. Słuchał jej ciężkich, jakby bezdźwięcznych kroków na schodach. Myślał, że będzie przerażony, gdy w końcu nadejdzie ta straszna chwila, z ulgą przyjął więc fakt, że był zupełnie spokojny i opanowany. W pokoju unosiła się woń paliwa do zapalniczki. Jego krople skapywały powoli z jednej strony deski ułożonej na poręczach fotela.

— Paul, naprawdę skończyłeś? spytała z korytarza.

Paul rzucił okiem na stos papieru leżący na desce obok znienawidzonego royała.

— Cóż — odrzyknął — zrobiłem wszystko, co mogłem, Annie.

— Ho, ho, to wspaniale! Ejże, aż nie mogę w to uwierzyć! Tyle to trwało. Jeszcze chwileczkę! Przyniosę szampana!

— Świetnie!

Słyszał jej kroki na linoleum w kuchni, znał każdy jej ruch, zanim jeszcze rozległo się kolejne głuchoe skrzypnięcie.

Słyszę wszystkie te odgłosy po raz ostatni — pomyślał i ta myśl obudziła w nim uczucie zdziwienia — zdziwienia, które rozłupało jego spokój jak skorupkę jajka. A w środku gnieździł się strach... i jeszcze coś. Przypuszczał, że była to wizja niknącego z oczu wybrzeża Afryki.

Drzwiczki do lodówki zostały otwarte, a potem zamknięte z trzaskiem. Teraz znów przechodziła przez kuchnię — zbliżała się — nadchodziła.

Nie zapalił papierosa — to oczywiste. — Marlboro nadal leżał na parapecie. Potrzebował tylko zapałki. Tej jednej jedynej zapałki.

A co będzie, jeżeli się nie zapali?

Ale było już za późno na tego typu rozważania. Sięgnął do popielniczki po pudełko zapałek. Wyjął z niego tę jedną jedyną zapałkę.

Przechodziła teraz przez korytarz. Paul potarł zapałką o draskę, ale zapałka — rzecz jasna — nie zapaliła się.

Spokojnie. Zrób to spokojnie. Powoli.

Powtórnie potarł zapałką o draskę. Nic.

Spokojnie... spokojnie...

Po raz trzeci pociągnął zapałką wzdłuż paska draski na odwrocie pudełka i tym razem na końcu tekturowego patyczka pojawił się blady, żółtawy płomynek.

42

— Mam nadzieję, że to...

Zatrzymała się, następane słowo wróciło do jej wnętrza, kiedy wciągnęła głęboko powietrze. Paul siedział w fotelu za barykadą ze stosu mokrych kartek i starego royala. Odwrócił pierwszą ze stron, żeby mogła przeczytać widniejące na niej słowa:

Paul Sheldon

"POWRÓT MISERY"

Ponad przemoczoną stertą kartek zawisła opuchnięta prawa ręka Paula, w której pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym tkwiła zapalona zapałka.

Stała w drzwiach, trzymając owiniętą w ręcznik butelkę szampana. Opadła jej szczęka. Zamknęła usta z trzaskiem.

— Paul? Ostrożnie. Co robisz?

— Skończyłem — powiedział. — I to jest dobre, Annie. Miałaś rację. Najlepsza z książek o Misery, a może w ogóle najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek spłodziłem. A teraz

mam zamiar trochę się z tym zabawić. Pokażę ci sztuczkę. Sztuczkę, której nauczyłem się od ciebie.

— Paul, nie! — krzyknęła. Jej głos był przepełniony bólem i zrozumieniem. Wyciągnęła przed siebie ręce — butelka szampana wypadła spomiędzy nich na podłogę. Rąbnęła w nią i eksplodowała niczym torpeda. Strumienie piany bryznęły na wszystkie strony. — NIE, NIE, PROSZĘ, NIE!

— Szkoda, że nigdy jej nie przeczytasz — rzekł Paul i uśmiechnął się do niej. Był to jego pierwszy, prawdziwy uśmiech od wielu miesięcy. Serdeczny i szczerzy. — Odrzućmy fałszywą skromność — muszę przyznać, że to było lepsze niż dobre. To było wspaniałe, Annie.

Zapałka wypalała się i oparzyła mu opuszki palców. Upuścił ją. Przez krótką, potworną chwilę myślał, że zgasła, i w tej samej chwili tytułowa strona przy wtórze głuchego — puf! buchnęła bladoniebieskim płomykiem. Ogień prześlizgnął się po bokach strony, smakując płyn, którym polaną były brzegi stosu kartek, i strzelił w górę żółtym jęzorem.

O BOŻE, NIE! wrzasnęła Annie. — NIE MISERY! NIE MISERY! NIE JA! NIE! NIE!

Jej twarz zaczęła migotać po drugiej stronie płomieni.

— Chcesz powiedzieć jakieś życzenie, Annie? — krzyknął do niej. — Chcesz powiedzieć jakieś życzenie, ty pieprzona czarownico?

— O BOŻE, PAUL, CO TY ROOOOBISZ?

Rzuciła się naprzód z wyciągniętymi rękami. Stos kartek nie palił się — po prostu stał w płomieniach. Szara ścianka royala zaczęła się robić czarna. Paliwo do zapalniczek wlało się pod nią i teraz błękitne płomyki ognia strzelały pomiędzy metalowymi czcionkami. Paul czuł, że jego twarz zaczyna się przypiekać, skóra na jego policzkach napięła się.

— NIE MISERY! — zawyla. — NIE MOŻESZ SPALIĆ MISERY, TY ZAFAJDANY GNOJU, NIE MOŻESZ SPALIĆ MISERY!

I właśnie wtedy zrobiła to, czego się spodziewał. W gruncie rzeczy był pewny, że to zrobi. Schwyciła płonący stos kartek i obróciła się na pięcie, zamierzając być może pognać z nim do łazienki i ugasić ogień w wannie. Kiedy się odwróciła, Paul schwycił royala, nie zważając na to, że bąble stopionej farby z rozgrzanej ścianki maszyny zaczęły wżerać się w jego i tak już napuchniętą prawą rękę. Uniósł go nad głowę. Z podstawy maszyny skapywały błękitne ogniste krople. Nie zwracał na nie uwagi, podobnie jak na palący ból w plecach — miał wrażenie, jakby podnosząc ten spory w sumie ciężar coś sobie nadwerżył. Na jego

obliczu zastygł wyraz szaleńczego wysiłku i niezwykłej koncentracji. Opuścił ręce do przodu i w dół, wypuszczając trzymaną w dłoniach maszynę. Uderzyła ją w sam środek pleców.

— AAA-AAGG! — To nie był krzyk, tylko pełne zdumienia jęknięcie. Annie runęła jak długa na podłogę, przywalając całym ciałem stos płonących kartek.

Drobniutkie niebieskie płomyki jak ognie św. Elma migotały na powierzchni deski, która służyła mu za stół. Dysząc, z trudem chwytając powietrze, Paul odrzucił ją na bok. Podniósł się i zachybotał się, wyprostowany, na swojej prawej nodze.

Annie wiła się i jęczała. Jęzor płomieni wystrzelił ze szpary pomiędzy jej lewym ramieniem i bokiem. Krzyknęła. Paul czuł woń płonącego ciała, palonego tłuszczu. Przetoczyła się na bok, próbując podnieść się na kolana.

Większość kartek leżała teraz na podłodze — część paliła się, część gasła z sykiem w kałuży rozlanego szampana, ale Annie wciąż przyciskała parę płonących stronic do piersi. Jej wełniany sweter też się palił. Zobaczył zielone trójkątiki szkła powbijane w jej przedramiona. Długi odłamek wystawał z jej prawego policzka niczym ostrze tomahawka.

— Zabiję cię, ty kłamliwy kutasie — powiedziała i zataczając się, ruszyła w jego stronę. Przeszła na czworakach trzy “kroki”, a potem potknęła się o maszynę do pisania. Skręciła całe ciało w bok i przesunęła się, chcąc ją wyminąć. W tej samej chwili Paul rzucił się na nią. Czuł ostre kanty maszyny do pisania pod nią, nawet poprzez jej masywne ciało. Wrzasnęła jak kot i jak kot próbowała wyslizgnąć się spod niego.

Płomienie wokół nich już przygasły, jednak stale czuł ciepło bijące z wijącego się, szamoczącego wzgórze pod nim i wiedział, że najprawdopodobniej część jej swetra i biustonosza musiała wpalać się w jej ciało. Jednak wcale nie było mu jej żal. Próbowała strząsnąć go z siebie. Trzymał ją mocno, leżąc na niej jak mężczyzna usiłujący dokonać gwałtu, jego twarz niemal opierała się o jej twarz. Jego prawa ręka wyciągnęła się przed siebie, wiedząc dokładnie, czego miała szukać.

— Zejdź ze mnie!

Znalazł plik palących się, na wpół zwęglonych kartek.

ZŁAŻ ZE MNIE!

Zmiał papier w kulkę, dusząc płomienie pomiędzy palcami. Czuł jej woń — palonego ciała, potu, nienawiści i szaleństwa.

— **ZŁAŻ ZE MNIE!** — krzyknęła, jej usta otworzyły się szeroko i w tej samej chwili spojrzał do wnętrza ust kamiennej bogini, gdzie przez cały czas płonęły krwistoczerwone ognie.

— **ZŁAŻ ZE MNIE, TY ZAJAJDANY GNO...**

Wepchnął kulę na wpół spalonego papieru do tych rozdziawionych, wykrzywionych wrzaskiem ust. Zobaczył, że gorejące oczy rozszerzyły się nagle jeszcze bardziej — tym razem pod wpływem zaskoczenia, przerażenia i kolejnej porcji bólu.

— Masz tu swoją książkę, Annie — wysapał, a jego dłoń zacisnęła się na kolejnej porcji kartek. Te nie paliły się już, były przesiąknięte rozlanym szampanem i emanowała z nich kwaśna silna woń. Annie wiała się i szarpała, próbując zrzucić go z siebie. Kopuła bólu w jego lewym kolanie rąbnęła o podłogę — było to coś doprawdy potwornego, ale utrzymał się na niej i nie pozwolił się zrzucić. *Mam ochotę cię zgwałcić — tak tak, Annie. Mógłbym cię zgwałcić. Bo wszystko, co mogę zrobić, to najgorsze, co mogę zrobić. Więc ssij moją książkę. Ssij moją książkę, ssij ją, dopóki nie zaczniesz się dławić.* Zmiał mokry papier w kulkę konwulsyjnym ruchem ręki i wbił ją do ust Annie, wpychając na wpół zwęgloną pierwszą z kul głębiej do jej gardła.

— Oto ona, Annie, jak ci się podoba? To okazowy egzemplarz. Wydawnictwo Annie Wilkes — jak ci się podoba? Żryj to, Annie, ssij to, wal dalej i żryj to — bądź dobrą Pszczołą i zeżryj całą tę książkę!

Wbił jej do ust trzecią papierową kulę, potem czwartą. Piąta wciąż jeszcze płonęła. Zgasił ją nasadą dłoni, kiedy wpychał ją jej do ust.

Z jej gardła dobywały się jakieś dziwne dźwięki. Szarpnęła się potężnie i tym razem udało się jej zrzucić Paula na podłogę. Po paru sekundach zdołała się podnieść na kolana. Jej dłonie zacisnęły się niczym szpony wokół własnego poczerniałego gardła, które, napuchnięte, wyglądało po prostu odrażająco. Ze swetra pozostał tylko wąski, zwęglony pasek wokół jej szyi. Jej brzuch i przepona były pokryte potężnymi bąblami. Z papierowej kulki wystającej z jej ust ściekały kropelki szampana.

— Mumph, markh, markh — wycharczała Annie. Zdołała się jakoś podnieść i przez cały czas zaciskała palce wokół opuchniętego gardła. Paul odczołgał się w tył, z nogami sterczącymi przed nim jak dwa sztywne patyki, przez cały czas obserwując ją uważnie. — Harkoo? Dorg? Mumpf?

Zrobiła krok w jego stronę. Dwa. Potem znów przewróciła się na maszynie do pisania. Kiedy upadła tym razem, jej głowa przekrzywiła się w bok i zobaczył jej oczy patrzące na niego tak, jakby, przerażona i zdziwiona, chciała go zapytać: Co się stało, Paul? Przecież przyniosłam ci szampana, prawda?

Lewa strona jej głowy wyrznęła o krawędź kominka i Annie runęła na podłogę jak rzucony niedbale worek cegieł. Uderzyła o ziemię z taką siłą, że Paul miał wrażenie, iż cały dom zatrzęsł się nagle w posadach.

43

Annie upadła na stos palących się kartek — jej ciało stłumiło płomienie. Teraz był to dymiący czarny kształt na środku pokoju. Kałuże rozlanego szampana ugasiły większość pojedynczych stron. Ale dwie czy trzy, przyklejone do ściany po lewej stronie drzwi, nadal płonęły jasnym ogniem. Tapeta również tu i ówdzie podchwyciła płomień, ale paliła się w zasadzie bez większego entuzjazmu.

Paul podczołgał się do łóżka, podniósł się na łokciach i ściągnął narzutę. Potem doczołgał się pod ścianę, usuwając po drodze rękoma odłamki potłuczonej butelki. Nadwreżył sobie plecy. Miał mocno poparzoną prawą rękę. Bolała go głowa. Jego żołądek wywracał się na wspomnienie słodkawej woni spalonego mięsa. Ale był wolny. Bogini nie żyła, a on był wolny. Oparł się na prawym kolanie, uniósł się nieznacznie i za pomocą narzuty (poplamionej szampanem i usmarowanej popiołem) zaczął dusić płomienie. Kiedy wreszcie rzucił dymiącą narzutę na podłogę, na ścianie widniała olbrzymia, dymiąca łysa plama, ale tapeta już się nie paliła. Dół strony kalendarza zwęglił się, ale nic poza tym.

Zaczął czołgać się z powrotem w stronę swego fotela. Znajdował się mniej więcej w połowie drogi, kiedy Annie otworzyła oczy.

44

Paul patrzył z niedowierzaniem, jak z wolna podniosła się na kolana. Paul ze swej strony opierał się na rękach ciągnąc nogi za sobą. Wyglądał jak dziwaczna, dorosła wersja bratanka Popeye'a, Sweepe'a.

Nie... Nie. Ty nie żyjesz.

Jesteś w błędzie, Paul. Nie możesz zabić bogini. Bogini jest nieśmiertelna. Teraz muszę splotkać.

Jej oczy były wytrzeszczone, okropne. Olbrzymia różowoczerwona rana prześwitywała pomiędzy jej włosami po lewej stronie głowy. Krew zalewała jej twarz.

— BLUD! — krzyknęła Annie przez wypełnione papierem usta. Zaczęła czołgać się w jego stronę, z wyciągniętymi rękami, zwinnie i szybko. — OOO BLUD!

Paul zatoczył półokrąg i zaczął czołgać się w stronę drzwi. Słyszał ją za sobą. I w chwili, kiedy znalazł się w strefie potłuczonego szkła, poczuł, jak potężna dłoń zamyka się

wokół jego lewej kostki i jej palce z potworną siłą zaciskają się na kikucie jego nogi. Krzyknął.

— BLUD! — krzyknęła triumfująco Annie. Obejrzał się przez ramię. Jej twarz z wolna nabiegała purpurą i wyglądała na obrzmiałą. Zdał sobie sprawę, że rzeczywiście ZMIENIŁA się w kamienną Boginię Bourkasów. Szarpnął się z całej siły i jego pozbawiona stopy noga wyslizgnęła się z jej uścisku pozostawiając w jej dłoni jedynie opaskę ze skóry, którą nałożyła mu na kikut. Czołgał się dalej, krzyk rodził się w jego ustach, a pot strumieniami spływał mu po policzkach. Czołgał się na łokciach jak żołnierz posuwający się pod ciężkim ostrzałem z broni maszynowej. Słyszał za sobą głuchy odgłos najpierw jednego, potem drugiego kolana. Nadal sunęła jego śladem. Była tak twarda i niewzruszona, jak się zawsze tego obawiał. Spalił ją, złamał jej kark, napchał jej do gardła papierowych kul, a ona mimo to szła dalej.

— PTAK! krzyknęła Annie. BLUDNY... PTAK!

Oparł jeden z łokci na kawałku szkła i poczuł, jak odłamek wbija mu się w ciało. Mimo to czołgał się dalej, z odłamkiem wystającym z ramienia jak pinezka. Jej dłoń zacisnęła się na jego lewej łydce. AUU! AAAAUUUU! AAACH!

Ponownie obejrzał się za siebie. Tak, jej twarz stała się czarna — czarna jak węgiel, a jej płonące żądzą mordy oczy niemal wychodziły z orbit. Jej pulsujące rytmicznie gardło nabrzmiało, jakby wepchnięto w nie sondę, a usta wykrzywiły się — zorientował się, że próbuje się uśmiechać. Drzwi były już w zasięgu jego rąk. Paul wyciągnął je przed siebie i schwycił z całych sił za framugę. To był naprawdę morderczy uścisk.

— GAA-OOO-OW!

Jej prawa ręka na jego prawym udzie.

ŁOMOT. Jedno kolano. ŁOMOT. Drugie. Bliżej. Jej cień. Jej cień padający na niego.

— Nie — jęknął. Czuł, jak wczepia się w niego i ciągnie ze wszystkich sił. Przez cały czas trzymał się mocno framugi. Jego oczy były zamknięte. Zaciskał je z całych sił.

GA-OOO-OOOW! Nad nim. Grom. Bogini Gromu.

Teraz jej ręce przesunęły się po jego plecach jak pająki, aż w końcu z ogromną siłą zacisnęły się na jego szyi.

— GAW-OOO — BRUDNY... PTAK!...

Stracił oddech. Z całych sił trzymał się framugi. Trzymał się framugi i czuł nad sobą jej obecność, czuł jej ręce wpijające się w jego szyję i wrzasnął:

— NIE MOŻESZ UMRZEĆ, NIE MOŻESZ UMRZEĆ, CZY TY NIGDY NIE ZDECHNIESZ, ZDYCHAJ, CZY TY NIGDY NIE ZDECH...

— GHAAA...

Nacisk zelżał. Przez chwilę znów mógł oddychać. A potem Annie runęła na niego, góra bezwładnego cielska, i w ogóle nie był w stanie oddychać.

45

Wyczołgiwał się spod niej jak człowiek próbujący przebić się przez pokrywę śnieżnej lawiny, która go przysypała. Dokonał tego resztkami sił. Przeczłogał się przez drzwi oczekując, że lada chwila jej dłoń znów zaciśnie się wokół jego kostki, ale tak się nie stało. Annie leżała nieruchomo z twarzą w kałuży krwi i rozlanego szampana, pośród odłamków zielonego szkła. Czy była martwa? Musiała być martwa. Paul nie wierzył, że była martwa.

Zatrzasnął drzwi. Zasuwa, którą zamontowała, sprawiała wrażenie, jakby znajdowała się w połowie wysokiego skalistego zbocza, ale dotarł do niej, przekręcił ją, a potem upadł na progu, pod samymi drzwiami i zwinięty w kłębek trząsł się niczym liść osiki na wietrze.

Przez jakiś czas był nieprzytomny. Ocknął się na dźwięk dziwnego, niezbyt głośnego chrobotania. Szczury — pomyślał. To szcz...

W tej samej chwili grube, okrwawione palce Annie wysunęły się ze szczeliny pod drzwiami i złapały go za koszulę. Krzyknął i szarpnął się gwałtownie, aby się wyrwać, i jego lewa noga wrzasnęła z bólu. Rąbnął pięścią w gmerające w szparze pod drzwiami palce. Zamiast się cofnąć, drgnęły nieznacznie i znieruchomiały.

Niech to już będzie jej koniec. Proszę, Boże, niech to już będzie jej koniec.

Cierpiący obecnie potworne katusze Paul zaczął z wolna czołgać się w stronę łazienki. Będąc w połowie drogi odwrócił się i spojrzał w stronę drzwi. Jej palce wciąż wystawały ze szpary pod drzwiami. Ból, jaki przeszywał jego ciało, był naprawdę potworny i w tym stanie nie mógł nie tylko patrzeć, ale i myśleć na ten temat, toteż zawrócił i przepchnął jej palce na drugą stronę. Z trudem zdołał się na to zdobyć — był przekonany, że kiedy ich tylko dotknie, zacisną się wokół jego dłoni jak szpony.

Kiedy w końcu dotarł do łazienki, całe jego ciało pulsowało jednostajnym bólem. Wślizgnął się do środka i zamknął drzwi.

Boże, a jeżeli przeniosła prochy gdzieś indziej?

Ale tego nie zrobiła. W kartonowych pudłach nadal znajdowały się stosy różnego rodzaju lekarstw. Były tu też pudełka z narkotykami. Włącznie z tymi, w których znajdowały się kapsułki novrilu. Łyknął trzy na sucho, po czym podczołgał się do drzwi i oparł się o nie, blokując je ciężarem swego ciała.

Paul usnął.

46

Kiedy się obudził, było już ciemno i w pierwszej chwili nie wiedział, gdzie się znajduje — jak jego sypialnia stała się taka maleńka? Potem przypomniał sobie wszystko, a wraz z tym pojawiło się dziwne przekonanie, że ona nie umarła, że nawet teraz nie była martwa. Stała na zewnątrz, pod tymi drzwiami, miała siekierę i kiedy on wyczołga się z łazienki, odrąbie mu głowę. Jego ucięta głowa będzie się toczyć przez korytarz niczym kula bilardowa, a ona będzie się śmiać do rozpuku. TO SZALONE — powiedział do siebie, a potem usłyszał (albo tak mu się zdawało) cichy szelest — odgłos sztywnej spódnicy ocierającej się o coś, najprawdopodobniej o ścianę.

To ci się tylko wydaje. To twoja wyobraźnia... jest taka żywa. Wcale nie. Ja to słyszałem.

Nie słyszał tego. Wiedział o tym. Jego dłoń sięgnęła w stronę klamki i nagle cofnęła się niepewnie. Tak, wiedział, że niczego nie słyszał... a jeżeli jednak to słyszał?

Mogła wydostać się przez okno. Paul, ona nie żyje! I znowu ta idiotyczna myśl: Bogini nigdy nie umiera.

Zdał sobie sprawę, że opętańczo zagryza wargi, i zmusił się, aby przestać. Czy to właśnie tak wyglądało popadanie w obłąd? Tak. Był tego bliski — kto miał po temu lepsze predyspozycje? Ale jeżeli się temu podda, a jutro lub najdalej pojutrze zjawią się tu gliniarze i znajdą w sypialni zwłoki Annie, a w łazience na dole pulsującą kulę protoplazmy — kulę, która niegdyś była pisarzem nazwiskiem Paul Sheldon — czy to nie byłoby w sumie zwycięstwo Annie?

Możesz się założyć. A teraz, Paulie, bądź dobrą pszczołką i postępuj zgodnie ze scenariuszem, dobrze?

Dobrze.

Jego dłoń znów sięgnęła klamki... i znów zawahała się. Nie mógł działać zgodnie z oryginalnym scenariuszem. Widział w nim siebie palącego swoją powieść i ją, zgarniającą płonące kartki z deski na oparciu fotela. To wszystko się wydarzyło. Tyle tylko, że on miał rozpieprzyć jej mózg za pomocą tej maszyny, a nie rzucać nią w jej plecy. Potem miał przedostać się do saloniku i podpalić cały dom. W swoim scenariuszu opracował drogę ucieczki przez jedno z okien w saloniku. Poobijałby się jak cholera, ale wiedział, że Annie jest bardzo skrupulatna, jeżeli chodzi o zamykanie drzwi. Lepiej poobijany niż zwęglony — pomyślał w duchu zgodnie z własną interpretacją słów, które mógł kiedyś wypowiadać Jan Chrzyciel. W książce wszystko poszłoby pewnie zgodnie z planem... ale w życiu, cholera, zawsze panował potworny bałagan — co mógłbyś powiedzieć na temat życia, gdzie najczęściej najbardziej kluczowych rozmów toczy się, kiedy masz parcie na pęcherz, albo coś w tym rodzaju? Życia, w którym nigdy nie było żadnych rozdziałów?

— Cholerny bałagan — warknął Paul. — Dobrzy faceci jak ja zawsze muszą posprzątać ten syf. Spłukać. — Zachichotał.

Butelki szampana nie było w scenariuszu, ale to małe piwo w porównaniu z potworną żywotnością tej kobiety i jego niepokojącą, nieomal bolesną niepewnością.

A dopóki nie wiedział, czy ona była martwa czy nie, nie mógł spalić domu i sprowadzić w ten sposób pomocy. Nie — ponieważ Annie wciąż jeszcze mogła żyć — a to oznaczałoby, że bez skrupułów spaliłby ją żywcem. To nie Annie powstrzymywała go przed tym krokiem. To maszynopis. Prawdziwy maszynopis. To, co spalił, nie było niczym więcej jak stosem czystych kartek z tytułową stroną na szczycie — czyste kartki, trochę notatek i zapisków. Prawdziwy maszynopis *Powrotu Misery* był bezpiecznie ukryty pod łóżkiem i nadal się tam znajdował.

Chyba że ona nadal żyje. Jeżeli nadal żyje, to może jest tam w środku i czyta go.

No i co masz zamiar zrobić?

Czekaj tu — powiedziała mu część niego samego. — Tu, gdzie jest miło i bezpiecznie. Ale inna, odważniejsza jego część nalegała, aby postępował zgodnie ze scenariuszem — przynajmniej na tyle, na ile mógł. Dostać się do saloniku, wybić szybę i wydostać się z tego okropnego domu. Doczołgać się do drogi i zatrzymać jakiś samochód.

Kiedyś musiałyby czekać parę dni, ale teraz sytuacja się zmieniła. Dom Annie stał się popularnym miejscem. Zbierając resztki odwagi sięgnął do klamki i przekręcił ją. Drzwi otworzyły się powoli w ciemność i tak, Annie tam była, bogini tam była, stojąc w ciemności, biały kształt w fartuchu pielęgniarki. Zamknął oczy, a potem otworzył je. Cienie — tak.

Annie — nie. Z wyjątkiem zdjęć w gazetach nigdy nie widział jej w fartuchu pielęgniarki. Tylko cienie. Cienie i...

(tak żywa) wyobraźnia.

Wypełzył wolno na korytarz i obejrzał się za siebie w stronę drzwi do sypialni. Były zamknięte na głucho; zaczął się czołgać w stronę saloniku. Wokół panowały ciemności. Annie mogła się ukrywać praktycznie wszędzie. I mogła mieć przy sobie siekiere.

Czołgał się.

Miał przed sobą olbrzymią sofę i Annie kuliła się za nią. Drzwi do kuchni stały otworem i Annie stała za nimi. Z tyłu za nim skrzypnęły deski podłogi... oczywiście! Annie była ZA NIM!

Odwrócił się, serce waliło mu w piersiach, w skroniach dudniło, mózg się lasował, a Annie była tuż za jego plecami z siekiere w uniesionych wysoko dłoniach — ale tylko przez chwilę. Rozmyła się w ciemnościach. Wczołgał się do saloniku i w tej samej chwili usłyszał odgłos nadjeżdżającego samochodu. Słabe światło reflektorów prześlizgnęło się po oknach. Zrobiło się jaśniej. Usłyszał chrzęst opon na żwirze i zrozumiał, że tamci zobaczyli łańcuch, który rozciągnęła przed wjazdem na podjazd. Drzwiczki wozu otworzyły się i zamknęły.

— Cholera! Spójrz na to!

Czołgał się szybciej, wyjrzał przez okno i zobaczył postać zbliżającą się do domu. Kształt kapelusza nie pozostawiał żadnych wątpliwości to był gliniarz. Paul uchwycił się stolika, strącając stojące na nim figurki. Kilka spadło na podłogę i roztrzaskało się. Jego dłoń zacisnęła się wokół jednej z figurek (przynajmniej ona przypominała książkę) — była gładka jak historia rodem z powieści; o życiu raczej rzadko można powiedzieć w ten sposób.

To był pingwin na górze lodowej. TO JUŻ KONIEC MOJEJ OPOWIEŚCI — brzmiał podpis na lodowej płycie, a Paul pomyślał: Tak! Bogu dzięki!

Opierając się na lewym przedramieniu zacisnął z całych sił prawą rękę na figurce pingwina. Pęcherze popękały i zaczęła wyciekać z nich ropa. Odchylił rękę do tyłu i z całych sił rzucił pingwinem w okno, tak jak jeszcze niedawno temu zrobił to z porcelanową popielniczką w gościnnej sypialni.

— TUTAJ! — krzyknął jak oszalały Paul Sheldon. — TUTAJ, TUTAJ PROSZĘ. JESTEM TUTAJ!

W całej tej historii było jeszcze jedno uładzenie rodem z powieści. To byli ci sami dwaj gliniarze, którzy nie tak dawno złożyli Annie wizytę i przesłuchiwali ją w sprawie zaginięcia Kushnera — Dawid i Goliat. Tyle tylko, że dziś płaszcz Dawida nie był zapięty, lecz porozpinany, a w dłoni mężczyzny tkwił rewolwer. Jak się okazało, Dawid nazywał się Wicks. Goliat — Mc Knight. Mieli nakaz rewizji. Kiedy w końcu wdarli się do domu, w odpowiedzi na potworne krzyki dobiegające z saloniku, znaleźli tam człowieka, który przypominał trupa. Istny koszmar.

— Była taka jedna książka, którą bardzo lubiłem — czytałem ją jeszcze w liceum — powiedział swojej żonie Wicks następnego dnia rano. — To był chyba *Hrabia Monte Christo* albo *Więzień Zandy*. W każdym razie było to o facecie, który przesiedział w więzieniu czterdzieści lat. Sam. Przez czterdzieści lat nie widział drugiego człowieka. I właśnie tak wyglądał ten facet. — Wicks przerwał na chwilę, chcąc, aby jego słowa bardziej zapadły jej w pamięć, a jednocześnie jak najlepiej wyrazić swoje odczucia w tej niezwyklej chwili — konflikt uczuć, jaki rozgrywał się w jego wnętrzu — grozę, żal, smutek i obrzydzenie, przede wszystkim zaś zdziwienie, że człowiek, wyglądający tak okropnie, w ogóle jeszcze żył. Nie potrafił znaleźć słów. — Kiedy nas zobaczył, zaczął płakać — rzekł i po chwili dodał: — Nie wiem dlaczego, ale przez cały czas nazywał mnie Dawidem.

— Może wyglądasz jak ktoś, kogo znał — stwierdziła.

— Być może.

Skóra Paula była szara, a jego ciało chude jak szczapa. Przycupnął przy stoliku, drząc na całym ciele i patrząc na nich rozbieganymi oczyma.

— Kim... — zaczął Mc Knight.

— Bogini — przerwał mu wycieńczony mężczyzna na podłodze. Oblizał usta. — Musicie na nią uważać. Sypialnia. Tam mnie trzymała. Ulubione zwierzątko domowe. Ulubiony pisarz. Sypialnia. Ona tam jest.

— Annie Wilkes? — spytał Wicks. — W tej sypialni? — Skinął w stronę korytarza.

— Tak. Tak. Zamknięta. Ale oczywiście jest tam okno.

— Kim... — zaczął po raz drugi Mc Knight.

— Chryste, nie widzisz? — spytał Wicks. — To ten facet, którego szukał Kushner.

Ten pisarz. Nie pamiętam jego nazwiska, ale to na pewno on.

— Dzięki Bogu — rzekł wychudzony mężczyzna.

— Co? — Wicks zaszepiony pochylił się w jego stronę.

— Dzięki Bogu, że nie pamięta pan mojego nazwiska.

— Nie szukaliśmy ciebie, koleś.

— W porządku. Nieważne. Tylko... musicie być ostrożni. Myślę, że ona nie żyje. Ale bądźcie ostrożni. Jeżeli jeszcze żyje... jest niebezpieczna... jak grzechotnik. — Z olbrzymim wysiłkiem uniósł swoją pokrzywioną lewą nogę w stronę promienia latarki Mc Knighta. — Odrąbała mi stopę. Siekierą.

Przez dłuższą chwilę patrzyli na jego okaleczoną nogę, po czym Mc Knight wyszeptał:

— Chryste Panie!

— Chodź — rzekł Wicks. Wyjął rewolwer, a potem obaj policjanci ruszyli wolno korytarzem w stronę zamkniętych drzwi sypialni Paula.

— UWAŻAJCIE NA NIA! — krzyknął Paul ochrypłym i łamiącym się głosem. — **BĄDŹCIE OSTROŻNI!**

Otworzyli drzwi i weszli do środka. Paul przesunął się i oparł o ścianę. Zamknął oczy. Było mu zimno. Nie mógł opanować drżenia. Albo oni zaczną krzyczeć, albo ona. Lada chwila usłyszy odgłosy walki. Albo strzały. Próbował się przygotować na którąś z tych ewentualności. Czas płynął — zdawało mu się, że upłynęło go bardzo dużo. W końcu usłyszał kroki na korytarzu. Otworzył oczy. To był Wicks.

— Ona była martwa — rzekł Paul. — Wiedziałem o tym, byłem o tym przekonany, ale nadal trudno mi w to...

Wicks powiedział:

— W pokoju są ślady krwi, strzępy popalonych kartek i tłuczonego szkła... ale... nie ma Annie Wilkes. Pokój jest pusty. Kompletnie.

Paul Sheldon spojrział na Wicksa, a potem zaczął krzyczeć. Wciąż jeszcze krzyczał, kiedy w końcu stracił przytomność.

Część czwarta

BOGINI

— Złoży ci wizytę wysoka ciemna nieznajoma — powiedziała do Misery Cyganka — a Misery, zaskoczona, w jednej chwili zdała sobie sprawę z dwóch rzeczy: po pierwsze to nie była Cyganka, a po drugie — nie były już same w namiocie.

Zanim dłonie szalonej kobiety zacisnęły się na jej gardle, poczuła zapach perfum Gwendolyn Chastain.

— Prawdę mówiąc — zauważyła Cyganka, która nie była Cyganką — myślę, że ona już tu jest.

Misery próbowała krzyczeć, ale nie mogła już nawet oddychać.

“Dziecko Misery”

— To zawsze tak wygląda, Szefie Ian — rzekł Hezekiah. — Nieważne, jak by się na nią spojrzano, wygląda, jak by się na ciebie gapła. Nie wiem, czy to prawda, ale Balkasi mówią, że nawet jak się jest z tyłu, za nią, to się ma włożenie, jakby się na ciebie gapła.

— Ale to przecież tylko zwyczajna skała — zaprotestował Ian.

— Tak, Szefie Ian — zgodził się Hezekiah. — I to jej daje siłę...

“Powrót Misery”

1

umbra broom

wrooom umbra brooom

fayuunnn

Te dźwięki: słyszalne nawet we mgle.

2

“Teraz muszę spłukać” — powiedziała i tak to wyglądało.

3

W dziewięć miesięcy po tym, jak Wicks i Mc Knight wynieśli go z domu Annie na prowizorycznych noszach, Paul Sheldon dzielił swój czas pomiędzy Doctors Hospital w Queens a nowym apartamentem na East Side, na Manhattanie. Jego nogi zostały ponownie połamane. Lewa wciąż jeszcze znajdowała się w gipsie (od kolana w dół). Lekarze powiedzieli mu, że będzie kulał do końca życia, ale będzie mógł chodzić i w zasadzie nie powinno mu to sprawiać bólu. Kulałby bardziej, gdyby poruszał się na swojej własnej stopie niż na specjalnie sporządzonej protezie. Jak na ironię, Annie wyświadczyła mu przysługę.

Pił za dużo i nie pisał w ogóle. Miewał koszmary. Pewnego majowego popołudnia, wychodząc z windy, dla odmiany nie myślał o Annie, tylko o pękatej paczce, którą niósł pod pachą i która zawierała dwie opasłe odbitki szczotkowe *Powrotu Misery*. Jego wydawcy nadali książce wyjątkowo szybki bieg — co, z uwagi na pojawiające się na pierwszych stronach obszerne artykuły dotyczące niezwykłych i przerażających okoliczności powstania powieści, wcale nie było zaskakujące. Hastings House zapowiedział pierwsze wydanie w bezprecedensowym nakładzie miliona egzemplarzy. — A to dopiero początek — rzekł jego wydawca, Charlie Merrill, na lunchu, z którego Paul wracał z odbitką szczotkową swojej nowej książki.

— Ta książka przyćmi wszystkie inne, mój przyjacielu. Powinieneś uklęknąć i podziękować Bogu, że historia opisana w tej książce jest prawie tak samo dobra jak ta poza nią.

Paul nie wiedział, czy to była prawda, i w gruncie rzeczy w ogóle go to nie obchodziło. Chciał to mieć już za sobą i zabrać się za następną książkę... ale dni posuchy zmieniły się w tygodnie, a potem miesiące i z wolna zaczął się zastanawiać, czy w ogóle napisze następną książkę.

Charlie błagał go, żeby opisał (w książce należącej do literatury faktu) swoją gehennę. Ta książka, stwierdził, przyćmiłaby nawet *Powrót Misery*. Przyćmiłaby *Iacoccę*. Kiedy Paul zapytał go z ciekawości, ile jego zdaniem mógłby zgarnąć za prawa do wydania kieszonkowego, Charlie odsunął ręką włosy z czoła, zapalił camela i rzekł: — Myślę, że moglibyśmy ustalić cenę wywoławczą na dziesięć milionów dolarów, a i tak licytacja byłaby jak cholera!

Mówiąc te słowa nawet nie mrugnął oczami. Po paru chwilach Paul doszedł do wniosku, że jego wydawca rzeczywiście musiał mówić zupełnie serio, albo tak mu się przynajmniej wydawało. Ale wiedział, że nie był w stanie napisać tego typu książki — przynajmniej jeszcze nie teraz, a najprawdopodobniej nigdy. Pisał powieści. Mógł napisać to, co mu proponował Charlie, ale w ten sposób przyznałby samemu sobie, że już nigdy nie napisze kolejnej powieści. *A najśmieszniejsze jest, że to byłaby powieść* — chciał już powiedzieć do Charliego Merrilla i powstrzymał się niemal w ostatniej chwili. Najśmieszniejsze było to, że Charlie w ogóle by się tym nie przejął.

To zaczynałoby się jak literatura faktu, a potem stopniowo zmieniałoby się... Z początku tylko trochę... Potem trochę bardziej... I bardziej. Nie dlatego, żebym miał przez to wyglądać lepiej (choć prawdopodobnie tak by właśnie było) i aby Annie wyglądała przez to gorzej (bo to chyba byłoby niemożliwe) — po prostu po to, aby stworzyć odpowiednią

gładkość. Nie chcę tworzyć fikcji samego siebie. Pisanie może być jak masturbacja, ale uchwaj Boże, gdyby miało się zmienić w akt autokanibalizmu.

Jego mieszkanie — 9 E znajdowało się najdalej od windy, a dziś korytarz zdawał się mieć co najmniej ze dwie mile długości. Zaczął iść w jego stronę, wolno, ponuro, z kulami w kształcie litery “T” w rękach. KLAK... KLAK... KLAK... Boże, nie cierpiał tego odgłosu.

Ból w nogach odezwał się na nowo, domagając się novrilu. Czasami myślał, że dobrze byłoby znów znaleźć się w domu Annie — tylko ze względu na prochy, jakimi go szpikowała. Lekarze wyciągnęli go z nałogu. Jego substytutem stał się alkohol — i kiedy wejście do mieszkania, strzelił sobie z miejsca podwójnego burbona. Potem przez chwilę

będzie patrzył na ciemny ekran monitora z drukarką. Zabawne. Przycisk do papieru Paula Sheldona... za, bagatelka, 15 tysięcy dolarów.

KLAK... KLAK... KLAK. Teraz wydobył klucz z kieszeni i to na tyle zręcznie, aby nie upuścić przy tym koperty z odbitką *Powrotu Misery* ani którejs z kul. Oparł kule o ścianę. Kiedy to robił, paczka wypadła mu spod pachy i upadła na dywan. Koperta otworzyła się.

— Cholera — zaklął i w tej samej chwili, jak na komendę, obie kule z trzaskiem zsunęły się na podłogę.

Paul zamknął oczy, chwiejąc się niepewnie na swoich poskręcanych bolących nogach, czekając na swoją reakcję — nie wiedząc, czy ma się wściec czy płakać. Miał nadzieję, że się wścieknie. Nie chciał płakać, tu, w korytarzu, choć wiedział, że to może nastąpić. Nastąpiło. Nogi bolały go przez cały czas i chciał dostać swoją porcję narkotyku — a nie tej skutecznej aspiryny, którą zaserwowali mu w szpitalu. Chciał dobrego procha, procha od Annie. Przez cały czas był tak cholernie zmęczony. To, co mogło go ożywić, to wymyślanie różnych historyjek i pisanie. Przede wszystkim pisanie (a nie jakieś gówniane kule). To był jego narkotyk — narkotyk, który nigdy dotąd go nie zawiódł, ale jego zapas najwyraźniej się już wyczerpał. Wyglądało na to, że dla niego wszystko się skończyło. Tak to jest, kiedy odpadasz z gry — pomyślał otwierając drzwi i wkuśtykując do swojego mieszkania. Dlatego nikt o tym nie pisze. To jest, kurwa, zbyt ponure. Powinna była umrzeć, kiedy wbiłem jej do gardła te zwęglone i na wpeł spalone kartki i ja też powinienem był wtedy umrzeć. W tej właśnie chwili byliśmy naprawdę jak postaci z jednego z tych seriali, o których opowiadała Annie żadnych szarości, tylko biel i czerń, dobro i zło. Ja byłem Geoffreyem, a ona Boginią Pszczół plemienia Bourkasów. Słyszałem już niejedno, ale to po prostu śmieszne. Zapomnij o bałaganie, tam, na podłodze. To teraz nieważne. Wszystko w swoim czasie. Najpierw gul, gul, gul, a potem sprzątu-krzātu. Najpierw przestać być, a potem...

Zatrzymał się. Zorientował się nagle, że w pomieszczeniu było jakby za ciemno. I była w nim jakaś woń. Znał tę woń. Zabójczą mieszankę brudu i pudru. Annie poderwała się ze swojej kryjówki za sofą niczym biały duch — ubrana w fartuch pielęgniarki i czepek. W dłoni trzymała siekiere. Wrzeszczała: *Czas to sflukać. Paul! Czas to sflukać!*

Krzyknął i próbował zmusić swoje schorowane nogi do odwrotu. Z przedziwną zręcznością i spokojem przeskoczyła przez sofę, jak olbrzymia zaba albinos. Jej nakrochmalony fartuch zaszeleścił z ożywieniem. Pierwszy cios siekiery okazał się niecelny, tyle tylko, że zaparło mu dech w piersiach; tak mu się przynajmniej wydawało, dopóki nie znalazł się na podłodze, czując w nozdrzach zapach swojej własnej krwi. Spuścił wzrok i zobaczył, że jego ciało było rozcięte prawie na pół.

Splukać! — krzyknęła i odrąbała mu prawą rękę.

Splukać! — wrzasnęła ponownie i jego lewa dłoń zniknęła: czołgał się w stronę otwartych drzwi na bluzgających krwią kikutach nadgarstków i, co niewiarygodne, odbitki stale tam były — egzemplarze, które Charlie wręczył mu na lunchu u p. Lee'a przesuwając dużą papierową kopertę w jego stronę poprzez lśniąco białą powierzchnię nakrycia stołowego, a z głośników nad ich głowami płynęły dźwięki muzyki.

Annie, możesz to teraz przeczytać! — próbował jeszcze krzyknąć, ale zdążył powiedzieć tylko — ANNIE — zanim jego odrąbana od tułowia głowa potoczyła się pod ścianę. Ostatnim obrazem, jaki zarejestrowała jego gasnąca świadomość, był widok własnego, spoczywającego na ziemi ciała i stojących obok niego białych butów Annie.

Bogini pomyślał, i umarł.

4

Scenariusz: Szkic lub synopsis, ogólny zarys akcji Webster's New Collegate.

Pisarz: Ten, kto pisze, zwłaszcza zawodowo Webster's New Collegate.

Wymysł: Symulowanie bądź stwarzanie pozorów czegoś Webster's New Collegate.

5

Paulie, "Możesz?"

6

Tak. Oczywiście, że mógł. Zgodnie ze "Scenariuszem pisarskim" Annie wciąż jeszcze żyła, choć zrozumiał, że to było tylko jego wymysłem.

Naprawdę udał się na lunch z Charliem Merrillem. Rozmowa przebiegała identycznie. Tyle tylko, że kiedy wszedł do swego mieszkania, wiedział, że to sprzątaczką zaciągnęła zasłony, a kiedy się przewrócił, z jego ust dobył się okrzyk przerażenia. Miał wrażenie, że to Annie wychodzi nagle niczym Kain z potężnej sofy, zdawał sobie sprawę, że winę za jego upadek ponosi kot — zezowaty syjamczyk imieniem Śmieciarz, którego zabrał ze schroniska w zeszłym miesiącu. Nie było żadnej Annie, bo Annie tak naprawdę wcale nie była boginią, tylko wariatką, która katowała Paula z sobie tylko znanych powodów. Annie zdołała wydobyć większość papierowych kul z ust i z gardła i wydostała się przez okno w sypialni, podczas gdy Paul, wzięwszy potężną dawkę narkotyków, usnął w łazience. Dotarła do stodoły i tam wyziona ducha. Nie żyła już, kiedy Wicks i Mc Knight ją odnaleźli, ale nie umarła na skutek uduszenia. Zmarła w wyniku pęknięcia czaszki, którego doznała uderzając o podstawę kominka, a uderzyła weń, ponieważ się potknęła i upadła. W sumie więc została zabita przez maszynę do pisania, której Paul tak bardzo nienawidził. Niemniej jednak miała pewne plany co do jego osoby. Nie ulegało wątpliwości; tym razem nie wystarczała jej już nawet siekiera. Znaleźli ją przed zagrodą dla Misery z jedną ręką zaciśniętą na uchwycie piły łańcuchowej. To wszystko należało jednak do przeszłości. Annie Wilkes spoczywała w grobie. Ale, jak Misery Chastain, nie mogła zaznać spokoju. W swoich snach i wizjach na jawie wykopywał ją z grobu raz po raz. *Nie mogłeś zabić bogini*. Na jakiś czas radził sobie z nią za pomocą burbona, ale był to czysto doraźny środek. Podszedł do barku, zlustrował uważnie rząd butelek, a potem odwrócił wzrok, żeby spojrzeć na odbitkę szczotkową *Powrotu Misery* i kule. Rzucił butelce ostatnie pożegnalne spojrzenie, a potem powrócił do swojej pracy.

Splukać.

Pół godziny później siedział przed ciemnym ekranem przekonany, że najwyraźniej w głębi duszy ma ochotę na tego typu karę. Zamiast kieliszka łyknął aspirynę, ale to i tak nie zmieni tego, co się teraz stanie — będzie tak siedział przez 15 minut, może nawet pół godziny, patrząc na plamkę kursora błyskającą w ciemności. Potem wyłączy urządzenie i w końcu wypije tego kielicha. Tylko...

Tylko że wracając z lunchu z Charliem zobaczył coś zabawnego i to podsunęło mu pomysł. Nie wspomniały. Taki sobie pomysł. To było w gruncie rzeczy drobne, mało znaczące zdarzenie. Dzieciak z wózkiem na zakupy, na Czterdziestej Ósmej ulicy — to wszystko, tyle tylko, że wewnątrz wózka znajdowała się klatka, a w niej dość spore pokryte gęstym futrem zwierzę. Paul myślał z początku, że był to kot. Kiedy przyjrzał mu się uważniej, dostrzegł szeroką białą pręgę na grzbiecie zwierzęcia.

— Chłopcze — zagadnął — czy to skunks?

— Tak — stwierdził chłopak i popchnął wózek trochę szybciej do przodu. Nie zatrzymujesz się na ulicy na dłuższą rozmowę z podejrzanymi typami, zwłaszcza z dziwnie wyglądającymi facetami, którzy mają pod oczami worki wielkości sporych walizek i którzy chodzą o kulach.

Dzieciak skręcił za róg i zniknął. Paul poszedł dalej chcąc złapać taksówkę, ale miał codziennie przejść co najmniej milę i to był właśnie jego spacer — bolało jak diabli i aby o tym nie myśleć, zaczął się zastanawiać, skąd pochodził ten dziwny chłopak, skąd miał ten wózek na zakupy, a przede wszystkim skąd wziął się tu ten skunks. Usłyszał za sobą jakiś odgłos i odwrócił się od ciemnego ekranu, aby zobaczyć Annie wychodzącą z kuchni. Miała na sobie dzinsy i czerwoną flanelową koszulę. W dłoniach trzymała piłę łańcuchową. Zamknął oczy, otworzył je i gdy się okazało, że Annie zniknęła, poczuł nagły przypływ wściekłości. Odwrócił się w stronę monitora i zaczął pisać — szybko, niemal myląc klawisze:

Dzieciak usłyszał jakiś odgłos na tyłach budynku i choć z miejsca pomyślał o szczurach, mimo wszystko zdecydował się skręcić za róg. Było jeszcze za wcześnie, aby iść do domu, bo lekcje skończą się dopiero za półtorej godziny, a on był

przecież na wagarach. To, co zobaczył przyciśnięte pod ścianą, oświetlone promieniami słońca, nie było szczurem, ale wielkim czarnym kotem z najbardziej puszystym ogonem, jaki kiedykolwiek widział.

10

Przerwał. Serce zupełnie nagle zaczęło walić mu jak młotem. Paulie — “Możesz?”

To było pytanie, na które nie ośmielił się odpowiedzieć. Ponownie pochylił się nad klawiaturą i po chwili zaczął uderzać w klawisze... tym razem łagodniej.

11

To nie był kot. Eddie Desmond całe swoje życie mieszkał w Nowym Jorku, ale bywał w zoo w Bronksie, 10 i Chryste, było przecież tyle różnych książek z obrazkami. Wiedział, co to było za zwierzę, choć nie miał pojęcia, skąd mogło się ono wziąć na tyłach tego opuszczonego domu przy Wschodniej 105. Biały szeroki pasek na grzbiecie zwierzęcia nie pozostawiał najmniejszych wątpliwości. To był skunks. Eddie wolno ruszył w jego stronę. Stopy chłopca zachrzęściły na cementowym żwirze.

12

Mógł. MÓGŁ.

A więc, pełen wdzięczności i przerażenia, zrobił to. Dziura otworzyła się, a Paul spojrział przez nią na to, co znajdowało się poza nią, nie zdając sobie sprawy, że jego palce zaczynają coraz szybciej śmigać po klawiaturze; nie zdając sobie sprawy, że jego bolące nogi znajdowały się teraz w tym samym mieście, ale pięćdziesiąt przecznic dalej; nie zdając sobie sprawy z tego, że pisząc najnormalniej w świecie — płakał.

Lovell. Maine. 23 września 1984

Bangor. Maine. 7 października 1986:
TO JUŻ KONIEC MOJEJ OPOWIEŚCI.